

# **BOJE LWOWSKIE.**

CZESŁAW MACZYŃSKI.

# BOJE LWOWSKIE

CZĘŚĆ I.

OSWOBODZENIE LWOWA.

(1—24 LISTOPADA 1918 ROKU).

TOM I.



WARSZAWA

NAKŁADEM SPÓŁKI WYD. RZ. CZPOSPOLITA.  
1921.

CZESŁAW MACZYŃSKI.

# OSWOBODZENIE LWOWA

CZĘŚĆ I

## BOJÓW LWOWSKICH.

TOM I.



WARSZAWA

NAKŁADEM SPÓŁKI WYD. RZECZPOSPOLITA.

1921.

213A  
36

47625.1  
II

Baran Liferacki Warszawa 2. III. 36

Cz. 1. 2.

205



205

ZWRACA SIĘ UWAGĘ NA BŁĘDY KOREKTORA. ZESTAWIENIE  
ICH NA STR. 337.

SPÓŁKA AKC. ZAKŁ. GRAF. „Drukarnia Polska”, WARSZAWA, SZPITALNA 12.



**O**BRONA Lwowa zadziwiająca swem bohaterstwem, siłą wytrwania i ogromnego napięcia woli zbiorowej całego polskiego społeczeństwa Lwowa, to zasługa tych wszystkich, którzy ochotnie, a w przeważnej części dobrowolnie do walki stanęli, to zasługa w pierwszej i najważniejszej mierze tego szarego żołnierza polskiego. Uważał się on za takiego od pierwszej chwili walki, bez względu na wiek i płeć, i był szczęśliwy i dumny, że mu danem było walczyć i ginąć pod tym imieniem dla sprawy ojczystej.

W drugiej mierze zasługa tego cudu, przed oczyma naszymi dokonanego, spada na społeczność lwowską i jest jej nieodłączną własnością. Tylko tak wysoko narodowo czujące obywatelstwo mogło poświęcić tylu swoich najbliższych, mogło samo ponosić liczne straty i udręki, a mimo to nie zachwiać się w całości swej ni raz, nie wystąpić w zdecydowanej formie przeciw kontynuowaniu srogiego krwi przelewu. Nie wiem, czy wiele znalazłoby się miast na świecie, któreby zdolne były przetrwać część drobną tego, na co Lwów przez okres siedmiomiesięcznych bojów był narażony. Jednak cierpiał wytrwale i do walki zachęcał — choć zdawało się opuszczony przez wszystkich.

Uważając tedy masę żołnierską za właściwego obrońcę Lwowa i oddając cześć zasłudze polskich mieszkańców miasta, mogę i powinienem przedstawić okres tych heroicznych zmagających, by oddać możliwie najwiernej wypadki tamtejsze i przekazać je potomnym jako obficie podsycany płomień bezbrzeżnej miłości ojczyzny.

Choć sam byłem naocznym świadkiem, spróbuję przedstawić je możliwie obiektywnie i nie nadać dziełu cech pamiątki, osobistym sosem podlanego.

Całość bojów lwowskich na trzy podzielę części, z których pierwsza pod tytułem „Oswobodzenie Lwowa“ zawrze czas od pierwszych przygotowań po dzień 24 listopada 1918. Miał okres ten najszczytniejszy dzień jeden, a był nim niezapomniany dla nikogo, kto go przeżył, dzień 22 listopada. Dniem tym powinienem zamknąć opowiadanie niniejsze. Uważam jednak, że i dwudniowe po nim wypadki lwowskie organicznie się łączą z poprzedniami i pod ten sam tytuł należą.

Dalsze części, które chciałbym opracować, to „Obrońna Lwowa“ rozpoczęta z chwilą zdobycia i uspokojenia całego Lwowa, a sięgająca po dzień 14 maja 1919, dzień zdecydowanej ofensywy polskiej.

Trzecia część przedstawi koleje ofensywy tych sił lwowskich, które razem zdobyły miasto i razem w braterskim, zgodnym wysiłku gród ten przed nawałą czerni obroniły. Tytuł jej brzmieć będzie: „Ofensywa wschodnio-galicyska brygady lwowskiej i 5 dywizji“.

Nie wszystko mogłem, nie wszystko chciałem jeszcze opowiedzieć. Niepoślednią odgrywał tu rolę wzgląd na interes państwowy. Liczyłem się nadto z mundurem żołnierskim. Nie chciałem również dotykać kwestji niemiłych, lub gorszących, nie chciałem podsycać i wznawiać waśni i tarć partyjnych.

Licząc się z objętością dzieła musiałem się skracać. Stąd wiele momentów mniej ważnych dla całości, stąd mnóstwo przewspaniałych działań bojowych pominięto zupełnie. Odkładałem je na lepsze czasy. Unikałem nadto w rozprawie, przeznaczonej dla szerszego ogółu, przeładowania opowiadania rozważaniami fachowemi, taktyczno-strategicznemi. Pomieszczałem te jedynie, które każdy laik zrozumieć może i tyle jedynie, ile potrzeba do należytego zrozumienia toku opowiadania.

Dla przyszłych historyków muszę podnieść jeden jeszcze moment, mający swe źródło może w charakterze polskim, może tylko w usposobieniu i przyzwyczajeniu części narodu, przyzwyczajeniu sięgającym czasów wojny światowej. To wyolbrzymianie czynów własnych — bo-

jowych szczególnie — ta chęć błyszczenia, która opano-  
wywała ludzi nawet wtedy, gdy za podstawę swą miała  
świadomy fałsz, historyczną nieprawdę lub zmyślony  
czyn. Oskarżenie poważne, ale zaznajomił się z nim każdy  
dowódzca, który bezstronnie całość mógł oglądać.

Czy nie było i we Lwowie wypadków tej choroby żoł-  
nierskiej, związanej nieodłącznie z psychologią wojny?  
Owszem, mnóstwo w czasie trwających bojów, więcej  
jeszcze po ich zakończeniu. Przytoczę charakterystyczny  
przykład. Zdobycie pewnego, ważnego obiektu przypisy-  
wało sobie dotychczas ludzi... trzynastu (czy mam ich  
imiennie po kolei wyliczać?), z których każdy — niektórzy  
na piśmie — twierdził, że on był tym jedynym dowódcą,  
który zdobył i zajął ważną placówkę. Kilku z nich nawet  
plan za swoją własność uważało i kładło na karb własnej  
jedynie inwencji.

Podziwiałem tych ludzi, którzy tyle odwagi (tak naz-  
wijmy ten rys charakteru) posiadali i to wobec mnie,  
o poinformowaniu którego mogli chyba przypuszczać.

Wskazana więc jest ostrożność w czerpaniu z opi-  
sów czynów własnych i cudzych.

W bojach lwowskich — a nawet w wojsku polskim  
w dużej mierze — liczyć się trzeba ponadto z innym  
przykrym objawem: ze stronnictwością partyjną (polityczną)  
i organizacyjną (przynależność do pewnych rodzajów broni  
lub grup wojskowych). Stąd często spotykana dążność do  
wywyższania — na podobnych jak i poprzednie podsta-  
wach — grupy własnej organizacyjnej czy partyjnej, a po-  
niżania, lub umniejszania albo zupełnego zaprzeczania  
czynów grupy innej.

Obrona Lwowa to rzecz wielka i wspańska, uznana  
w całej społeczności polskiej. A jednak wiele o niej po-  
dań i opisów nieprawdziwych, pisanych i drukowanych,  
świadomie błędnych lub z nieznamości i nieświadomości  
pochodzących.

Tyle do wiadomości przyszłych historyków, którzy  
czerpać będą wiadomości z druków i źródeł pisanych.

## L W Ó W.

Chlubną, zaszczytną miał kartę w dziejach niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej. Czy w czasie wojen kozackich, kiedy nieprzejrzone tłumy czerni kozackiej i tatarskiej waliły utartymi szlaki, by zmóc go, czy w czasie wszystkich wojen tureckich i zagonów tatarskich, czy wreszcie w czasie szalejących po ziemiach polskich zawieruch i potopów szwedzkich, zawsze podnosił dumnie na blanki swoje sztandar Rzeczypospolitej, zawsze chrobry i nieugięty gotował się do jego obrony, lub walczył w długiej, bohaterskiej obronie — choć zdawało się — wszystko stracone. Wiary jego ni chęci obrony nic i nigdy zachwiać nie potrafiło. Ni masy wroga, ni okrucieństwa jego, nie liczące się z żadnymi względami ludzkości, a topiące w morzu krwi — nawet bratniej — wszelki opór, ni wreszcie przedzierające się przez tłumy miejskie w popłochowym odwrocie resztki wojsk regularnych Rzeczypospolitej.

On i jego mieszkańcy, one „łyki lwowskie“ uszlachceni od czasów nobilitacji Lwowa (w r. 1658) i mający prawo noszenia karabel mieszczanie lwowscy zawsze stawali chlubnie w szeregach, zawsze gotowi byli poświęcić raczej wszystko — życie i całe mienie swoje — ale nie ulec i wrogowi nie poddać się.

Choć najczęściej ze wszystkich miast polskich oglądał pod murami swemi wrogów Rzeczypospolitej, nie uległ krom razu jednego jedynie i to w czasach powszechnego upadku ducha i woli narodowej. Krom krótkiego zresztą opanowania murów jego przez wojska Karola XII, żaden inny uzbrojony wraży żołnierz nie władał w nim i nie kro-

czył po brukach jego inaczej, niż związany pętami niewoli.

Kiedy zaś w tragicznych latach rozbiorowych zjawił się w nim żołdak austriacki i nowej przysięgi wierności zażądał, miasto i wszystkie jego stany odmówiły, tłómacząc to względami „dochowania wiary swemu monarsze, królowi polskiemu“.

Raz jeszcze — niestety na krótko — załopotwały w nim sztandary wojska narodowego. Byli to dumni, niezwycześni ułani ks. Józefa. Witai ich Lwów gorąco i z ogromnym entuzjazmem, lecz wkrótce... opuścić musieli miasto, bo dzięki wpływom cesarskim taki zawarto traktat.

Skrył się więc w czasach reakcji świętego przymierza w podziemia, on w całości swej polski i naprawdę po polsku czujący Lwów, a najdzielniejsi, najpatriotyczniejsi synowie jego zapełniali tłumnie kazamaty więzień austriackich, lub dumni, niezwycześni i nieśmiertelni ginęli na szubienicach na „Górze stracenia“, „hyclowską“ przedtem zwanej, z okrzykiem: „Nie zginęła!“

Lwów, stolica zaboru austriackiego, stał się głównym ośrodkiem polskiej myśli narodowej i państwowej i wytrwał godnie i szacownie w tej roli swej przez cały prawie ciąg — krótki tylko wyjąwszy okres — swej przynależności fizycznej do państwa austriackiego. Duchowo nigdy nie pogodził się ani z utratą niepodległości państwowej — ani z faktami rozbiorów i podziałów.

Zawsze jak był, tak pozostał i na wieki pozostanie miastem czysto i z ducha polskiem.

Historyk państwowej myśli polskiej przez cały czas rozbiorów zawsze zawadzić musi o Lwów, jeśli już tu nie szukać jej początków, zawiązków lub najbujniejszego rozkwitu. O niego również musi się otrzeć historyk polskiej myśli politycznej i tu szukać początków różnych poczyni wolnościowych, nawet... rewolucyjnych.

Tak bujnie tętniło tu życie polskie, że nieraz widziało się Lwów jako stolicę myślową Polski, jako jej duchowego przedstawiciela i reprezentanta.

Polski z dziejów swoich i ducha swego Lwów był stale od zarania powstania swego polskim z mieszkańców swoich. Nie—żeby nie było w nim ludzi innych narodowości i wyznań, ale ponieważ zawsze większość mieszkańców do polskiej przyznawała się państwowości i narodowości, ponieważ większość nieruchomości miejskiej i to od najdawniejszych, historycznie i dokumentarnie stwierdzić się dających czasów w polskich trwale zostawała rękach. Jako w mieście handlowo sławnem i ważnem, leżącym na głównym, silnie wydeptanym trakcie handlu ze Wschodem zbierały się wszystkie nacje, które miały tu swe dzielnice, czy jeno ulice. Była więc dzielnica żydowska, były ulice Ormiańska, Serbska, Rуска, ale Polskiej nie było, bo polskiem było całe miasto.

Większość mieszkańców stale do polskiej przyznawała się narodowości. Raczej traciliśmy powoli w ciągu dziejów na rzecz wyznań obcych, niż zyskiwali. Ostatni przedwojenny spis ludności wykazał 52% rzymsko-katolików, prawie 37% mojżeszowego wyznania, a tylko niecałych 12% wyznania grecko-katolickiego. Z tego wszyscy rzymsko-katolicy, część grecko-katolików i część żydów przyznało się do narodowości polskiej.

W całości miasto przekroczyło w pierwszym dziesiątku XX wieku cyfrę dwustutysięcy mieszkańców.

Jakby na ironię dziejów miasto to założyć miał—czy tylko zmienić pierwotną jego nazwę książę ruski.

Na pasmie niewysokich wzgórz w potocznej geografii lwowsko-tomaszowskimi zwanych, w szerokiej i bagnistej kotlinie małej rzeczulki, w obrębie miasta początek swój biorącej i wstydliwie niewonne nurty swoje pod sklepieniami kanałów ukrywającej Pełtwi, na europejskim dziale wód rozsiadł się gród, który miał być łącznikiem dwu mórz i strażnikiem szerokiej myśli państwowej polskiej „Od Bałtyku — po morze Czarne.”

Do Lwowa samego, niemal do śródmieścia jego dochodzi od wschodu wyżyna podolską mająca tu swój zachodni kraniec, a zarazem najwyższe swe szczyty. Tu we Lwowie bierze początek podrugiej, zachodniej stronie

miasta Rostocze Lwowsko-Rawskie. We Lwowie łączą się one i wysokimi szczytami swymi tu Kortumową Górą — tam Wysokim Zamkiem i Czartowską Skałą patrzą groźnie ku sobie ponad dachy i wieżycę miasta.

Rozdziela je szeroko rozwartą dolina Pełtwi.

Z drugiej strony podsunęły się aż pod sam Lwów piaski dyluwialne od Sanowej niziny po zachodni kraniec miasta sięgające, a naprzeciw od strony północno-wschodniej mające swój odpowiednik w niżu Bugowym.

Dopływ Bugu, lwowska Pełtew przepływa przez miasto z południa na północ i skręca tuż za miastem gwałtownie na wschód. Od niej wznosi się teren miejski na obie strony — wschód i zachód. Powoli i nieznacznie na wschód, by u wylotu miasta przejść we wzgórze znaczne, licznie porośnięte jarami i parowami, obficie zalesione a 120 do 150 metrów względnej wysokości mające; gwałtowniej zaś na zachód, by spotkać jeszcze na terenie właściwego miasta płaskowzgórze, słabiutko sfalowane.

Jako ostatnie wzniesienie wyżyny Podolskiej pod same prawie mury miasta starego dochodzi znaczny i gwałtowny stok wzgórza najwyższego niemal w okolicy (428 m.) całej: to góra zamkowa. Na niej to stał ongiś on zamek niezdobyty, dziś szczupłutki jedynie złomek muru pokazujący, a w zamian za to z usypanym na jego miejscu „Kopcem Unii Lubelskiej.“

Od góry zamkowej lekkim łukiem w kierunku południowo-wschodnim, u granic miasta dzisiejszego ciągnie się najwynioślejsze i najbardziej strome pasmo ze szczytami Góra Piaskowa, Lonszanówka (Lasek cesarski), a mające od wschodu drugi odpowiednik Góry zamkowej — Czartowską skałą, wysoką na 414 m. Stok pasma tego ku miastu łagodniejszy, na zewnątrz gwałtowniejszy, częstokroć bardzo stromy o licznych załomach i jarach.

U rogatki łyczakowskiej na t. zw. Jałowcu skręca zachodni jego stok w kierunku południowym — północną kończyną jego sfalowania jest cmentarz łyczakowski — i stąd już posyty parowami i jarami, nierzadko wprost niedostępnymi i zalesionymi prawie w swej całości, zmierza

na południe. To wzgórze Pohulanki i Pasiek o średniej wysokości 360 m.

Pasma to rozłożone w całości swej tuż poza miastem, o dość szerokiej podstawie, której kończyny daleko odbiegły od miasta.

Od Pohulanki przez rogatkę Zieloną wychodzą dwa pasemka wzgórz jedno wprost na północ zakończone Górą Jacka głęboko w miasto sięgającą i dziś w całości już zabudowaną, drugie na zachód idące przez Snopków, Zofiówkę, kończące się Górą kadecką (341 m.) i jarami Wólki.

One zamykają miasto od południa a choć pozbłobione licznymi jarami — stąd nazwa Snopkowa, polskiej Szwajcarii — kończą się niedaleko miasta i tworzą ładne, przejrzyste i czyste płaskowzgórze zamykające miasto od południa i zachodu.

Już naprzeciw Góry Jacka i Kadeckiej wznosi się w południowo-zachodniej stronie miasta kopiasta, prawidłowo o ostrych stokach Góra Wronowskich, inaczej Cytadelą zwana (320 m.). Panuje silnie nad miastem. Na niej to zbudował rząd austriacki Cytadelę i stąd bombardował miasto w r. 1848.

Od niej wprost na północ po słabo wznoszącym się w mieście wzgórzu wyrastają gwałtowne tuż poza miastem wzgórza Roztocza Lwowsko-Rawskiego. Początkowo silnie nad okolicą i miastem panujące, jak Góra Kortumowa (374 m.) dalej na północ o licznych i stromych jarach, zupełnie zalesionych, w którego lasach ulokowało się lotnisko podmiejskie Brzuchowice.

Południowo-wschodnią kończyną tego pasma to również głęboko w miasto wrzynająca się Góra stracenia.

Bieg zaś pasma taki sam jak i Pełtwi. Zamyka ono bowiem kotlinę Pełtwi najpierw od zachodu, dalej po skręcie na wschód od północy. Szczyty jego tuż przy mieście najwyższe (282—374 m.) panują nad wzniesieniami dalszemi a szczególnie nad wzgórzami Hołoska i Zboisk.

U wschodnich i południowych stóp pasma tego rozciąga się bagniste łożysko Pełtwi — szerokie miejscami na 3 km. — które zamyka resztę miasta od północy.



W całości tedy Lwów to kotlina otoczona wdzierającymi się w środek miasta pasmami i odnogami wzgórz.

Wzgórza wschodnie znacznie wyższe, licznie sfalowane, z jarami na południe i na zewnątrz miasta biegnącymi i szeroko poza miasto się rozciągające; pasma południowe mają jary w obrębie miasta i tuż poza jego obrębem przechodzą w słabo sfalowane płaskowzgórze, jak cała strona zachodnia ku północy jedynie (za dworcem głównym) w piaszczyste równiny i bagna przechodząca.

Północna połowa zachodnia silnie wzniesiona i mocno poryta jarami, równoległymi prawie do obwodu miasta. Na połowie wschodniej szerokie łóżysko Pełtwi.

W ocenie strategicznej powyższego położenia Lwowa podnieść się musi wypływające zeń następujące konieczności: przy obronie całego Lwowa najtrudniejszy do rozwiązania jest problem wschodni, mniej trudny północny łatwy zaś zachodni i południowy. Pierwszy wymaga bowiem stałego utrzymania wszystkich szeroko zakresłonych wzgórz, które potrzebują — z powodu łatwości podejścia — silnej obsady, gdyż albo łuk obronny szeroko musi być zakresłony, a wówczas obrona łatwa, albo przy mniejszym łuku obsada gęsta, gdyż z powodu nieprzejrzystości terenu zamykać musi wszystkie jary i parowy. Północna we wschodniej swej połowie ze względu na bagna pełtewne łatwa, wymaga jednak — choć niekoniecznie — obsady wzgórz Zboisk i Hołoska, zachodnia górzysta o jarach równoległych do obwodu, do obrony łatwa. Zachodnia i południowa strona miasta, jako przejrzyste płaskowzgórze, wymaga mniejszych sił do obrony. Linję obronną można tu prowadzić bliżej lub dalej miasta, można ją wyginać i zaginać, a jary i wądoły u końca miasta pozwalają na łatwe przerzucanie sił, manewrowanie nimi i t. d.

Jeśli obecnie rozpatrzmy pod względem strategicznym poszczególne części miasta właściwego, to rzuca się w oczy, że utrzymanie jakiegokolwiek części wschodniej połowy miasta przy stracie wszystkich lub poszczególnych

jeńo wzgórz okolicznych wschodnich jest niemożliwe. Jeden żołnierz ustawiony na odpowiednim miejscu wzgórza panuje ogniem nad poszczególnymi, głównymi ulicami, prowadzącymi prawie w linii prostej na zewnątrz miasta.

Wzgląd powyższy po stronie zachodniej miasta zupełnie nie istnieje. Tu można wroga zatrzymać skutecznie nawet na samej peryferji, można go nawet wpuścić w pewne ulice bez obawy narażenia całości obrony na niepowetowaną i niedającą się naprawić stratę.

Podobnie przedstawia się sprawa w południowej, nieco ale nieznacznie gorzej w północnej części miasta.

Przy walkach ulicznych zasadniczą decydującą rolę odegra sposób zabudowania miasta, kierunek i jakość ulic miejskich.

Wchodnia część miasta — jako starsza, zabudowana zupełnie ulicami prawie prostymi, łatwymi do obrony, trudniejszymi do zdobycia. Zachodnia natomiast ma wiele przestrzeni niezabudowanej (ogrody i parki) a dzielnica VI zabudowana prawie wyłącznie systemem will. Obrona więc łatwa, zdobywanie, rozszerzanie się i komunikowanie wzajemne znacznie łatwiejsze, ponieważ stwarza możliwość operowania w całym tego słowa znaczeniu.

Tak więc i ze względu na najbliższe otoczenie miasta, i ze względu na wzgórza panujące, jak niemniej ze względu na sam sposób zabudowania miasta wyżej strategicznie stać będzie zachodnia jego połowa — licząc od Pełtwi.

Rozsiedlenie mieszkańców we Lwowie wedle wyznań następujące: Żydzi skoncentrowani wzdłuż Pełtwi — wąskim pasem po obu bokach i w części wschodniej miasta. Brak ich — względnie znacznie mniej mieszka ich w części zachodniej, która przechodzi ostatecznie w wyłącznie prawie polską dzielnicę VI.

U północno zachodniego krańca miasta rozległ się dworzec główny ze wszystkimi swymi magazynami, warsztatami i t. d.

Stąd rozchodzą się linie kolejowe, które w stałych łukach otaczają całe prawie miasto i to tuż koło jego

rogatek. W nim zbiegają się zarazem wszystkie linie wschodnio-galicyskie — a jest ich 8 — i z żadnej z nich nie można się dostać na inną nie posiadając dworca głównego i mając zagrożone choćby ogniem tylko Podzamcze. „Kołowanie“ kolejowe możliwe tylko bardzo daleko od Lwowa — bo przez Tarnopol — Chodorów — Stryj — Sambor — wszędzie w odległości ponad, względnie około 100 km. Linie kolejowe północne nieużyteczne zupełnie bez dworca głównego.

Nakoniec słów kilkoro o roli Lwowa w czasie wojny światowej.

Tragiczne położenie społeczeństwa polskiego, rozdział jego na trzy zabory, a dwie walczące ze sobą strony, niemożność wynalezienia jasnego, rozumowego, a niezbiętego postępowania własnego wywołały — nie wątpię — z pobudek czysto polskich rozdział gwałtowny społeczności na dwa zwalczające się obozy. Jeden — enkaenowym zwany od naczelnej swej władzy Naczelnego Komitetu Narodowego — widział najmożliwsze do osiągnięcia i najlepsze — choć częściowe rozwiązanie sprawy polskiej w oparciu się o państwa centralne, wierzył w ich zwycięstwo i dobrowolnie obwijał się — niby bluszczem — około próchniejących tronów „mocarzy centralnych“, drugi, który obejmował od początku całość ziem polskich, twierdził, że najlepsze „rozwiązanie centralne“ nie jest dla narodu całego tak korzystne, jak najgorsze rozwiązanie przeciwne, gdyż to da nam przynajmniej zjednoczenie i oświadczał, że z zaborcami Polski nigdy nie pójdziemy dobrowolnie, chyba tylko pod przymusem.

Na krótko oszołomił się Lwów wojną i już od września 1914 był najwybitniejszym środowiskiem polskim — poza całym zaborem pruskim — stojącym wytrwale na stanowisku, że tylko pokonanie i rozbięcie mocarstw centralnych może być dla rozwiązania sprawy polskiej korzystne, że wszelkie jakiegokolwiek bądź łączenie sprawy polskiej z temi mocarstwami jest dla pomyślnego rozwiązania sprawy naszej mniej korzystne, bo może być dla niej zgubne. Lwów prawie w całości swej, z wyjątkiem

nielicznych jeno grup politycznych, był od początku zdania, że korzystne rozwiązanie całej sprawy polskiej może nastąpić tylko w łączności i porozumieniu z mocarstwami zaprzyjaźnionymi (ententą). Lwów ni chwili nie wątpił, że tylko te mocarstwa wyjdą zwycięzko z wojny światowej, że one odniosą tryumf ostateczny i zupełny.

Nie mogę tu poruszyć wszystkich motywów i sposobów postępowania. Wspomnę jeno o nadzwyczaj ożywym wpływie, jaki Lwów wywierał na całą prawie Polskę. Tu bowiem po raz pierwszy na terenie całych państw centralnych obliczono naukowo czas i szybkość zużywania rezerw i o dziwo, obliczenia te sprawdzały się z matematyczną prawie ścisłością, choć czynione przez niewojkowego.\*) Kiedy w dalszym rozwoju wypadków wojennych nawet t. zw. Królestwo chwiać się zaczęło, cyfry przywiezione ze Lwowa natchnęły znowu wielu do wytrwania i kontynuowania jedynie celowej i rozumnej polityki.

Stąd — ze Lwowa wyszła również myśl pierwsza rehabilitacji zaboru austriackiego i po długich mozolnych staraniach doprowadziła wreszcie do znanej uchwały z 28 maja 1917. Wkrótce jednak wielu zaczęło ją *różnie* interpretować.

We Lwowie wydawano i tajnie drukowano ulotne przyczynki, dokumenty i tajne pisma.

Szalone wydawało się dla ludzi niewtajemniczonych w mechanizm nowoczesnej wojny postępowanie, nakazujące zachować spokój i wiarę w zwycięztwo wobec postępów ofenzywnych państw centralnych. Kiedy u wielu wywoływały one zwątpienie, chęć rewizji programu politycznego, we Lwowie wierzono, że ten niepowstrzymany pęd Niemców naprzód przyspieszy ich wyczerpanie i sprowadzi ostateczną klęskę.

Nie pomyłono się. Pomyłono się jedynie w czasie, kiedy ostateczne rozwiązanie miało nastąpić. Przyspie-

---

\*) „Wojna światowa w świetle cyfr i wpływ rezerw Kongresówki na dalszy jej przebieg” — rzecz wydana tajnie i opracowana przez prof. D-r. Stefana Dąbrowskiego.

szyły je bowiem czynniki, których przewidzieć i rozumowo umotywować było trudno.

Stąd ze Lwowa wreszcie wyszła myśl i akcja zorganizowania nieenkaenowych sił wojskowych polskich na końcową rozgrywkę wojny światowej, a początkowy żywot własnego państwa. Niestety, myśl ta wyszła nieco zapóźno, by planowo oddziaływać na rozwój wypadków w całym państwie polskim, na szczęście nie zapóźno dla pomyślnego rozwiązania sprawy i kresów południowo-wschodnich w ogólności, a Lwowa samego w szczególności.

Organizacją tą były Polskie Kadry Wojskowe, które stworzyć i którymi kierować mnie polecono.

---

## KWESTJA UKRAIŃSKA I PRZYGOTOWANIA DO ZAMACHU PRUSKO-AUSTRJACKO UKRAIŃSKIEGO.

Próchniejąca od wieku Austrja, hołdująca stale zasadzie divide et impera w tym celu, by zdusić i unieszkodliwić ruch wolnościowy polski, stworzyła i rozogniła dwa w Galicji ruchy, na szeroką zakrojone skalę. Jeden — to szatański ruch szelowski na zachodnią obliczoną Galicję, drugi we wschodniej połaci kraju — ruch ruski, wywołany i rozogniony w tym samym okresie.

Od tego czasu stale popierał Wiedeń ruch ów, szczególnie silnie w momentach, gdy Polacy stawali się dla Austrji groźni, gdy wysuwali nowe żądania wolnościowe, lub narodowościowe.

W ten sposób z wyznania religijnego, modlącego się jeszcze za naszej pamięci w cerkwiach swoich bardzo często w języku polskim (śpiew kościelny, różańce, kazania) stworzono w drugiej połowie XIX w. osobny naród.

Wprawdzie nie miał on języka literackiego, nie wiedział jak siebie nazwać, ani do jakiej wspólności państwowej i narodowej się przyznać, mimo to zaczął się uważać za naród. Nazywany na miejscu przez siebie i nas Rusinami uważał się początkowo — w głowach prowodyrów swoich — za rosyjski—ruscki—w swym odłamie zwanym Świętojurcami. Ponieważ odłam ten ze względu na bliskie koneksje swoje z Moskalami stawał się coraz to niebezpieczniejszy, zaczęto przy wybitnym współudziale pewnych stronnictw polskich wytwarzać i budzić i popierać tych, którzy akcentowali odrębność narodu tego, a nie uważali siebie, jak pierwsi, za szczep Wielkorosyjski.

Ten drugi odłam nazywał się przez długie czasy ruskim (przez jedno s), Rusinami. Nagle pod koniec XIX w. znalazł dla siebie jako narodu nową właściwą nazwę — jakiej nie znała historia tych ziem — nazwę etymologicznie z polskiego wziętą — Ukraińców i Ukrainy. Stworzone dla nich osobne szkoły, do których włączano przymusem całą młodzież grecko-katolicką (wyznaniowo) dały im wkrótce kadry inteligencji rozagitowanej, która niebawem opanowała znaczną część spokojnego ludu ruskiego nieprzebierającą w środkach agitacją, szaloną nienawiścią do wszystkiego, co polskie.

Chcąc zaś uwieńczyć swoją akcję szkolną, stworzeniem ostatniej kuźni dyplomów rozpoczęli u początku XX w. gwałtowną, nieprzebierającą w środkach walkę o utrakwizację wszechnicy lwowskiej. Nie chodziło im w walce tej o własną świątynię wiedzy narodowej — proponowano im bowiem osobny uniwersytet, jeno nie we Lwowie — ale o odebranie „Lachom“ ciężką i mozolną pracą ich ojców zdobytego narodowego wiedzy dobytku.

W wir tej walki, która stała się polityczną w całym tego słowa znaczeniu, została wciągnięta lwowska młodzież akademicka, która stawać musiała w obronie — nie raz krwawej — swej almae matris — matki, duchowej żywicielki. Znalazła gorące oparcie i poparcie całego społeczeństwa lwowskiego i znacznej części polskiego.

Walka ta zawsze i ciągle przez Ukraińców wszczynana — to demolowanie auli i niszczenie obrazów, to walka stopniująca się w narzędziach swych od polan przez noże, toporki do rewolwerów, które oglądać musiały zaciszne, choć walące się mury lwowskiej Wszechnicy.

Walka ta toczyła się aż do wojny światowej z nieślabnącą energją, uświadomiła całą społeczność lwowską o celach i drogach Ukraińców, połączyła ją z borykającą się młodzieżą polską, nastroiła ją wojennie.

Dwa odłamy Rusinów galicyjskich pierwszy zwany później Starorusinami lub Moskalofilami i drugi ukraiński — znalazły wkrótce swoich możnych i hojnych protektorów poza terytorjum austriackie. Byli nimi Rosja i Prusy-Niemcy.

Wszyscy, którzy krytycznie obserwowali „narodowy ruch ukraiński“ w ostatnich dwu lat dziesiątkach, wszyscy, którzy z nim współżyć musieli, widzieli i jasno zdawali sobie sprawę z potajemnych nici idących wprost do Berlina, a stąd do Wiednia. Nie wszyscy w Polsce, bo nawet nie wszyscy we wschodniej Galicji dawali się przekonać niezbitym zdawało się argumentom. Dopiero wiązka oryginalnych dokumentów, ogłoszonych przez red. Krysiaka tuż przed wybuchem wojny światowej, a zawierających długie spisy wcale wydatnych kwot z Berlina asygnowanych, przekonała wielu z najbardziej łudzących się Polaków. Ciężkie gromy wojenne przytłumiły w polskiej pamięci te fakta, a bezrozumnie i bezdennie głupie, krwiożercze postępowanie władz wojskowych austriackich wobec ludności całej Galicji — tak polskiej, jak i ruskiej — nawróciło znowu część społeczności polskiej do poprzednich ułudnych na ruch ukraiński zapatrywań.

Dopiero pokój brzeski, przyznający „Ukrainie“ — jak satyrycznie ale dobrze się wyrażono — wszystkie ziemie polskie, w których choćby jeden procent prawosławnych się znajdował, dopiero tajny traktat o podziale Galicji — zawarty w tymże „pokojuwym“ traktacie, czy obok niego — otworzył oczy wszystkim najtwardziej niewierzącym. Pokój ten, pod dyktandem krzyżackiego zawarty gada, postawił znowu wszystkim jasno sprawę tajemnego, wzajemnego związku, obliczonego i skierowanego nie na podniesienie nacji jakiejś, ale jedynie i wyłącznie na szkodę naszą. Nie o stworzenie nieistniejącego narodu ukraińskiego chodziło wszystkim z tej zacnej trójcy Berlina, Wiednia i Moskwy. W nich działała jedynie nienawiść ku nam i chęć szkodenia nam. Tak tylko da się wytłumaczyć ta szalona i niezrozumiała nienawiść ukraiństwa, ku nam. Przecież za to im *placeno*.

O politycznych i dynastycznych konszachtach ukraińskich na terenie Wiednia i Berlina nie będę pisał obszerniej.

Znane są te rzeczy i nie należą do pracy niniejszej bezpośrednio. Wiadomo wszystkim, że odkomenderowano członka nienasyconego domu cesarskiego do stania się



ukraińcem i to jakby na ironie naszą bezpośredniego potomkã tego, któremu dawniej już kazano stać się polakiem, a obecnie oficjalnie nawet pchano na tron polski. „Ukraińiec“ ten, arcyksiążę Wilhelm, znany pod nazwą Wasyla Wyszywanego, strojący się w wyszywane koszule huculskie, przy poparciu renegata polskiego a lwowskiego metropolity miał torować dalszą drogę przywiązania do domu miłościwie panującego, lub w razie konieczności sam zasiąść na stolcu lwowskim. W bezsprzecznie i przyniatająco polskim grodzie, w powiecie o większości rzymsko-katolickiej i polskiej ludności — stolica ukraińsko-habsburska. Wszystko zaś ad maiorem Borussiae gloriam.

Gwałtowne, genialne uderzenia Focha, rozpoczęte w lipcu 1918, odwróciły szybko obraz bojowy całej czteroletniej wojny. Cofać zaczęły się Niemcy, wyczerpane czterokrotną swą ofensywą. Ale jeszcze silne, potrafiły przeciwstawiać się i wywoływać szalone zmagania wielomilionowych armii.

Dla wielu, dotychczas jedynie „silnie wierzących“, były to pierwsze zapowiedzi i niezbite podstawy ostatecznego, chlubnego zwycięstwa Ententy, a rozgromu zbirów centralnych.

Różni różnie określali czas jego przyjscia. W sierpniu 1918 jeszcze przypuszczano, że zmagania te przetrwają zimę i w roku następnym dopiero przywdzieją się w realne kształty\*).

Fochowski, mistrzowski taran walił uporczywie dalej w niezdobyte zdawało się twierdze i umocnienia niemieckie, łamał i kruszył je w coraz to nowem miejscu, powodując nieprawdopodobne hekatombys wojsk niemieckich.

W miarę upływu tygodni zbliżał się dla wszystkich widocznie i gwałtownie szybko upragniony, a szczęśliwy koniec wojny.

---

\*) Porównać można późniejszą — już po zawieszeniu broni — mowę Lloyd George'a w angielskiej izbie gmin z okazji odznaczenia Focha.

Uderzenie bałkańskie — odpadnięcie Bułgarii i Turcji dopełniło reszty.

Równocześnie wzmożyły się trudności wewnętrzne w żandarmskich dotychczas Niemczech i rozpadającej się od dawna Austrii. Rozgowsy ich — wrześniowe i październikowe — telegraficzne — z Wilsonem są widomym i ciągle potęgującym się znakiem, że wkrótce ujrzy ich świat cały na kolanach.

Wówczas to — w pierwszej połowie października — gwoli ratowania Austrii i wymignięcia się od twardych dla niej warunków wilsonowskich odżyły wśród sfer rządzących austriackich idee stare — odroszone swego czasu energicznie przez naszych Smolków, Zyblikiewiczów i innych aż do ostatnich przedwojennych czasów, idee przebudowy Austrii na podstawach narodowościowych. Miał powstać zlepek sfederowanych — pod jednym „błogosławionem“ berłem zwyrodniałych Habsburgów żyjących narodów, wchodzących dotychczas w skład państwa centralistyczno-biurokratycznego.

17 października ukazał się po długich konferencjach z posłami parlamentarnymi wszystkich narodowości, a wbrew woli wielu nacji manifest cesarski Karola, zapowiadający, że każdy naród ma utworzyć na własnem terytorjum własne państwo, że mają utworzyć się rady narodowe z posłów poszczególnych narodowości i t. d.

W odniesieniu do nas manifest zapowiadał, że nie przesądza w żadnym kierunku połączenia się polskich terytorjów austriackich z niepodległym polskim państwem. (Patrz dodatek № 1).

Pół wieku wcześniej możeby to pomogło i uratowało Austrię, dziś już było zapóźno. Dziś manifest ten był jeno nieprzemyślanym zupełnie, zdenerwowanym krokiem „nerwowego“ z powodu tłoczących się wypadków rządu i cesarza austriackiego, przewożącego swe lary w 70 wagonach z miejsca na miejsce.

Jakżeż bowiem wyobrażano sobie tę „nową Austrię“ razem z „państwem ukraińskim“, do którego nie miano

mieć żadnego połączenia, gdyż ziemie polskie odstępowano „wolnej i niepodległej Polsce“?

Aeroplanami nie zamierzano chyba komunikować się z nową swoją dzielnicą. Krok ten da się jedynie wytłumaczyć jako szatańska chęć ginącej już Austrii zaszachowania „austriackich“ Polaków Ukraińcami, zatrzymania zachodnio-galicyjskich ziem polskich pod „błogosławionymi rządami austriackimi“. Miłe i ładne słowa, lecz szatańskie plany.

Spółeczeństwo polskie—z wyjątkiem nielicznych jednostek, posłowie polscy i „rząd warszawski“ stali na stanowisku, że Austria winna oddać Polsce całą Galicję, gdyż całą od Polski zabrała. Załatwienie sprawy ukraińskiej będzie rzeczą polskich czynników państwowych i politycznych.

Tu trzeba szukać przyczyny konszachtów habsburgsko-ukraińskich, chęci zatrzymania jeśli niecałej to przynajmniej znacznej części Galicji, stworzenia ewentualnie przez „Tyrolczyków Wschodu“ pomostu między Habsburgami a Ukrainą naddnieprzańską.

Czy akt ten zadowolił Ukraińców? Stanowisko posłów ukraińskich i ich konferencje czy zastrzeżenia wobec czynników rządowych w Wiedniu nie odkryte dotychczas. Archiwa rządowe jeszcze zamknięte. Przyszli badacze wynajdą tam niewątpliwie wiele cennego dla nas materiału. Stanowisko społeczeństwa ukraińskiego da się odzwierciedlić z pism i uchwał zebrań.

Spróbujmy je naszkicować! Uchwyciło je jasno i niedwuznacznie „Diło“ (organ ukraińskich nacjonalnych demokratów) w dwu artykułach w № 238 z 19 października. Jeden redakcyjny p. t. „Prowizoryczny akt“ po wyliczeniu strat, jakich wymagałoby od Ukraińców przyjęcie manifestu (rezygnacja z osiągnięcia narodowej jedności, połączenie z państwem, które z wojny wychodzi wprost bankrutem i t. d.) zapowiada, że można się zgodzić na to wszystko pod warunkiem, że „państwo austriackie niezwłocznie i raz na zawsze za pomocą realnych gwarancji położy kres polskiemu zwierzchnictwu nad ukraińskimi

ziemiami Chełmszczyzny i Galicji wraz z tak zwaną Łemkowczyzną". Jakie to miały być one realne gwarancje klaruje w następnym artykule p. t. „Czego chcemy" p. O. N. (Osyp Nazaruk). Chodzi więc im o to, by oddano natychmiast do ich wyłącznej rozporządzalności wojsko i administrację. Przy pierwszym żądają: wydzielenia Ukraińców ze wszystkich formacji, złączenia ich w osobnych ukraińskich oddziałach i rozmieszczenia na ukraińskim terytorjum, nadto oczyszczenia pułków wschodnio-galicyjnych z obcych (naturalnie polskich) elementów, przeniesienia Ukraińskich Siczowych Strzelców niezwłocznie do Lwowa i t. d. Jak zobaczymy w dalszych rozdziałach austriacka Komenda naczelna (A. O. K.) spełniła skrupulatnie wszystkie powyższe żądania. (Patrz dodatek № 2).

Już na trzy dni przed ukazaniem się manifestu zwołano na 18 października do Lwowa „Ukraiński Ustanowczy Zbory“, a na 19-ego zjazd „notablów“ wszystkich ukraińskich partji Galicji i Bukowiny. Na pierwszym utworzono „Ukraińską Nacjonalną Radę“, która miała stać się „konstytuantą tej części ukr. narodu, która żyje w austr.-węg. monarchji“ i „miała prawo i obowiązek wykonać w chwili jaką uzna za odpowiednią imieniem ukr. narodu jego prawo samostanowienia i postanowić o państwowej bytności wszystkich ziem ukr.“ i „przedsiębrać wszystkie postanowienia i kroki o charakterze reprezentacyjnym, ustawodawczym i administracyjnym, by wprowadzić w życie poprzednie“. (Patrz dodatek № 3).

Na drugim ogłoszono uroczyste „państwo ukraińskie“, w skład którego wchodzić mają wszystkie ziemie ukraińskie monarchji austr.-węg. Z Galicji powiaty na wschód od Sanu, a ponadto powiaty górskie zach. Galicji (Łemkowzczyzna) aż po Piwniczną. (Patrz dodatek № 4).

W uchwałach powyższych bije w oczy brak jakiegokolwiek wzmianki o przynależności i łączności państwowej tej „Ukraińskiej Derżawy“. Można było coś niecoś wnioskować z usunięcia się od uchwał i z „zajawy“ Wityka (na placu św. Jura) wzywającej „do walk za zjednoczoną

ukraińską republikę“ ukr. socjalistów. Wyjaśnienie nastąpiło wkrótce.

Wówczas już bowiem, w czasie zebrań onych wiązała prowodyrów ukraińskich umowa z cesarzem Karolem, której przed własnym narodem wyjawić nie chcieli, lub obawiali się wyjawić. Fałszywa polityka ukraińska na dwie strony.

Wskazywały na to wiadomości o telegramie Hughe-sowym, idącym wprost z kancelarii gabinetowej do Kościa Lewickiego w czasie obrad z 18 października.

Ciekawie określiła uchwały galicyjskie ukraińska „Robotnicza Gazeta“ organ „Głównego Narodowego Sojuza“ pozostającego jak wiadomo pod prezesurą Winniczenki. Wyrzuciwszy „zakordonnym ziemiakom“ oportunizm, lojalność i łączenie się z tem, co już nie istnieje, pisze:

„My ne torhajemoś wże formy prawlinnyj majbutnoj ukraińsko-halickij derżawy. Wona obijdena chytro i tut pachne jakimś nowym tronom pid skiptrom kotrohoś z mołodich Habsburgów“. („Diło“ № 246 z 29/10).

Dla jakich celów poszli Ukraińcy na tę grę podwójną, na krótką obliczoną metę? Znowu oddam głos ukraińskiej gazecie tym razem „Ukraińskiemu Słowu“, które w № 250 z 31 października pisze w artykule p. t. „Rozstrzygnięcie zbliża się“: „...Gdyby ukraińska rada narodowa była ogłosiła przyłączenie do Ukrainy, to ułatwiłoby to znacznie stanowisko Polakom, bo w razie ogłoszenia przez nich przyłączenia Galicji do Polski, zagarnęliby tyle kraju, ileby tylko mieli siły w swej biurokracji, a austriacki urząd jako likwidator dotychczasowych stosunków, nie miałby żadnego specjalnego interesu bronić ziemi ukraińskiej dla państwa ukraińskiego przed polskim państwem. W sytuacji wytworzonej rozumną uchwałą U. N. R. Polacy muszą postępować ostrożnie i poczynić cały szereg przygotowawczych kroków. I oni je czynią...“ Do powyższego, jasnego sprecyzowania celów nie potrzebujemy nic dodać

Z którym z austriackich czynników państwowych zawierali Ukraińcy tę umowę? Z odpowiedzialnym rządem, czy z nieodpowiedzialnym cesarzem, który stojąc na czele

armji miał do dyspozycji całą A. O. K. Odpowiedź obciąża debet polityki dynastycznej i wojskowej. Rząd bowiem Hussarka, austriackiego prezydenta ministrów, raczej skłaniał się ku naprawie błędu Czernina w pokoju brzeskim, a minister spraw zagranicznych Burian jeszcze w dniu 18 października oświadczał, że „uważa za najodpowiedniejszą linię Bugu, jako granicę między Polską a Ukrainą“. Wkrótce jednak padli obaj, a „likwidacyjny gabinet Lammascha“ miał wedle „Dila“ (№ 252 z 5/11) powziąć 31 października uchwałę, że rząd nie pozwoli na rozciągnięcie polskiej władzy na „ukraińskie ziemie“, ponieważ przyznaje nacji ukraińskiej równe prawo do stworzenia samodzielnego państwowego organizmu. Zamach ukraiński organizowały od początku i przeprowadzały czynniki wojskowe, które otrzymywały odpowiednie rozkazy od A. O. K. Z nią znosiła się niemal wyłącznie U. R. N. Tam więc było to środowisko nieodpowiedzialne wszelkich przeciw polskości zamachów; to środowisko jedynie mogło dać się wodzić za nos Ukraińcom i nie połapać się na ich podwójnej, a obłudnej grze. Stwierdza to jasno w „Dile“ (№ 248 z 31/10) późniejszy ukraiński dygnitarz Dr. Baran w artykule p. t. „Wideń czy Kiiw“, że „Wideński derżawni kruhy i nimecka presa zrozumiały sej nowotwir (państwo zach. ukr.) jak probu ratowania Awestrii, czemu niehto publiczno ne zaperecziw...“

Ukraińska Rada narodowa w uchwałach swych z 19/10 wezwwała w punkcie III wszystkie narodowe mniejszości, żeby ukonstytuowały się i niezwłocznie wysłały swych przedstawicieli do U. R. N. Czy wezwanie to odpowiadało ich tendencjom tolerancyjnym, czy też było tylko ogniem sztucznym, fajerwerkiem w świat puszczonym?

Nie załatwia się chyba spraw tak ważnych między dwoma narodami, na jednej ziemi mieszkającymi w formie wniosków wiecowych, ale poprzedzają je zwykle i w całym świecie pertraktacje uprawnionych czynników stron obu. Tu tego nie było, ni przed, ni po powzięciu uchwał.

Przeciwnie, wszystko od pierwszej chwili wskazywało na to, że Ukraińcy dufni w austriacką i w własną siłę zbrojną usiłować będą zamachem załatwić sprawę przynależności państwowej tych ziem. Roi się w tych czasach przedlistopadowych w pismach ruskich od wezwań do zbrojenia się, do przygotowań na decydującą chwilę.

Jakie zaś będzie ich stanowisko wobec Polski i Polaków, na ziemiach tych równie od wieków zamieszkałych, nie mogło dla nikogo ulegać wątpliwości. Odezwania „Dila“ „Procz z Polsczeju“, rady „Ukraińskiego Słowa“ (№ 241 z 20/10), by Polacy nie żyli więcej krwią ich, wysprzedawali się i szli na zachód, artykuły ziejące nieopisaną, wściekłą nienawiścią do wszystkiego co polskie, powinny były upewnić wszystkie czynniki polskie, że tu rozstrzygnięciu jedynie miecz, rozstrzygnięciu walka na śmierć i życie.

Mając tedy przez parlamentarnych posłów ukraińskich przygotowaną umowę z Habsburgami i austriacką komendą naczelną (A. O. K.) przygotowuje się U. R. N. do objęcia rządów w Galicji wschodniej. Ponieważ wie, że w „ukraińskim“ kraju nie pójdzie to gładko, chce wprzód zapełnić go wojskiem austriackiem, złożonem z ukraińskich i niemieckich elementów „najlepszej jakości“. Wystosowuje tedy pismo do A. O. K. w którem nie prosi — a w jednym tylko miejscu proponuje — ale żąda stanowczo i kategorycznie wypełnienia wyliczonych wojskowych żądań U. R. N.

Pismo to zamieszczone w całości w dodatkach (Patrz dodatek № 5.) powtarza ogólnie sformułowane żądania Barana i żąda przeniesienia jaknajszybszego formacji wojskowych austriackich do Galicji wschodniej, oczyszczenia ich uprzedniego z elementu polskiego i czeskiego, zabrania wojskowych Polaków z Galicji wschodniej i t. d. i t. d.

Z pułków czysto ruskich żąda po jednym batalionie, z innych po jednej kompanji, gdyż oddziały tak wybrane muszą zawierać najlepsze jednostki ukraińskie.

Austriackie A. O. K. zaczęło spełniać skrupulatnie wszystkie powyższe żądania i użyło całego aparatu woj-

skowego, by Ukraińców, pupilów swych przygotować jak najlepiej do czekającej ich walki.

Najpierw podam te fakta współdziałania, które znane nam były przed zamachem ukraińskim. Sprytnie pracowała trójca szanowna i w takim ukryciu, że aż do zamachu niczego pozytywnego nie można było się dowiedzieć ani o dniu zaczęcia, ani o sposobie planowanej akcji. Dokumentów czy aktów, bezpośrednio na to wskazujących nie dostaliśmy w ręce nasze. Zdobyliśmy je dopiero potem; bardzo cenne u ks. Kamińskiego z Budna, najcenniejsze w aktach IV-tej Komendy generalnej i naturalnie w aktach konsulatu pruskiego.

Już we wrześniu zaczęły do nas do Lwowa przychodzić wiadomości, że opuszczające Galicję Wschodnią oddziały prusko-niemieckie, zostawiają chłopom ruskim i popom obficie broń i amunicję. Wiedzieliśmy o kilku utworzonych składach i spróbowaliśmy dowiedzieć się przez dobrze podstawione jednostki, jak na to zapatrzyć się będzie żandarmerja i władze wojskowe austriackie. Po porządnym nosie, jaki dostał jeden z komendantów żandarmerji za zbyt gorliwe, a nieuprawnione śledzenie za bronią, wiedzieliśmy, czego spodziewać się mamy.

Nic dziwnego, że mnożyły się te składki, że specjalnie w pobliżu Lwowa były one przeobfite. Pozytywnie przez własnych szpiegów stwierdziliśmy składki takie w Zboiskach, Laszkach, Sołonce i t. d. Równocześnie ze Lwowa mimo przeobfitej policji wojskowej t. zw. miejskiej i garnizonowej mogli Ukraińcy przewozić wozami wcale nieumiejętnie przykrytymi broń i amunicję. Jedną z takich stacji rozdzielczych stwierdziliśmy przy pomocy stałego czuwania skautów w mieszkaniu Dr. Barana na ul. Wyspiańskiego. Późniejszy ukraiński dyrektor policji zbroił ludność tak obficie, że np. w przeciągu 24 godzin 6 wozów wyładowanych wyjechało od niego. Skąd brał Baran uzupełnienia do swego składu, nie udało nam się naonczas stwierdzić.



(Wiadomości te zbierał skrupulatnie i mając przydzielonych skautów stwierdzał ppor. W. Dajczak).

Urzędowy wgląd miałem w zaopatrywanie w broń, amunicję, a szczególnie karabiny maszynowe pułków ruskich we Lwowie stacjonowanych.

Działo się to zawsze na skutek rozkazu A. O. K. przeznaczone niby dla formacji marszowych. Nadzwyczajnie hojnie gospodarzyły tu władze wojskowe austriackie, w sposób niespotykany dotychczas, kiedy różne formacje miesiącami kołatać musiały o nową broń lub uzupełnienie K. M.

O uzupełnienia te troszczyło się A. O. K. choć nie leżało to w jego kompetencji. Broń dla oddziałów w kraju przydzielać winno Min. Spr. Wojsk.

Jeszcze więcej dała do myślenia nadzwyczajna troska A. O. K. o wyćwiczenie, wyekwipowanie i uzbrojenie „grupy Wasylowej”. Umyślnego generała tam posłano, który zarządził pospieszne uzupełnienie braków. Rozkazy co do broni i amunicji przez referat amunicyjny przejść musiały, stąd raport cały do A. O. K. dostał się w nasze ręce. Grupa ta stała w południowo-wschodniej Galicji na Pokuciu i na Bukowinie, a składała się z ukraińskich legionów, strzelców siczowych baonów pokuckich, później hajdamackich i t. d.

Przypadkowo dowiedziano się (z powodu wyrzekania na niewyspanie) że tejże samej nocy, kiedy obradowała U. R. N. zbudzono i wzywano do Hughesa wprost z kancelarii gabinetowej oficera sztabu gener., który sam jedynie po wyrzuceniu wszystkich mógł odebrać depeszę. Trwała ona 4 godziny i po natychmiastowej konferencji z generałem-komendantem, powiódł ją osobiście do Kościoła Lewickiego. Treści naturalnie nie wybadano, ale wnioskować można było, wiele z kilkakrotnych umyślnych dyskusji w odpowiedni sposób toczonych z odnośnym oficerem.

Od zapalającego się w dyskusji i puszczającego niebacznie barwę wyżej wspomnianego oficera sztabu gen., który lubił orjentować się w sprawie polskiej, później

ukraińskiej, w kilku dyskusjach można było coś niecoś o planach i zamiarach A. O. K. wyciągnąć.

Wiedzieliśmy o nakazanie przegrupowaniu wojsk, szczególnie grupy Wasyla, o pospiesznym ściąganiu do Galicji Wschodniej wszystkich kadr piechoty, artylerji i t. p. Ze zdania zaś rzuconego w wysokim rozdrażnieniu: „Probiert's nur mal was anzufangen, da bekommts ihr solche Prügel“, można było śmiało wywnioskować, że wydano już odpowiednie zarządzenia wojskowe dla wszystkich oddziałów wojskowych. „Hier wird es Ukraine werden“ nie pozostawiało wątpliwości o nakazanym z góry kierunku akcji.

„Grupa Wasyla“ Legion Ukraiński został rozkazem A. O. K. z 25/10 (№ 48788) przeniesiony w całości do obszaru na południe od Dniestru. Tym samym rozkazem zniesiono co do niego wydany swego czasu (w r. 1915) zakaz werbunku, przeniesiono kompanię uzupełniającą do Lwowa i pozwolono na utworzenie we Lwowie stacji poborowej.

Rozkaz A. O. K. o ściągnięciu całej artylerji wschodnio-galicyskiej pospiesznymi transportami, kazał przypuszczać o zbliżaniu się decydującego momentu.

Rozkaz wagonowania dla grupy Wasyla na 30 października kazał obliczać początek około 4 listopada.

Kręcący się zbyt licznie po Lwowie oficerowie legionu ukraińskiego wskazywali na to, że święci się coś. Częste stosunki ich i ukraińskich cywilnych prowodyrów z oficerami austrijackimi i *pruskimi* dużo dawały do myślenia. Zwróciły również uwagę częste pijatyki w gronach takich o zażyłych stosunkach, zaczynające się dość późno w noc. Po posiedzeniach i naradach zapijali widocznie sprawę.

Osobisty adjutant komendanta miasta Mayer-Mallego poległy w początkowych zaraz bojach członek P. K. W. por. Kamiński również wiele cennych choć drobniejszych dostarczył nam przyczynków. Najważniejszą była dla nas wiadomość o osobnej konferencji z komendantem wojskowym gen. Pfefferem o dyspozycjach alarmowych. Z tej wiadomości przypuszczaliśmy, że muszą być osobne róż-

kazy do wystąpienia całego garnizonu lwowskiego, w razie jakichkolwiek kroków naszych.

Dostarczane nam przez niego spisy oficerów przybywających do Lwowa wykazywały ogromną ilość nazwisk lub imion ruskich. Wszyscy z najrozmaitszych formacji i pułków z różnych austriackich frontów zjeżdżali nagle tak licznie pod koniec października na urlopy do Lwowa.

W której z wojskowych władz austriackich we Lwowie naonczas ulokowanych zbiegały się nici kierownicze w przygotowaniu tej akcji austriacko-ukraińskiej, spróbujemy teraz orzec. Czy namiestnik gen. Huyn, czy komendant wojskowy (Militärkommandant) gen. Pfeffer czy dowódca 4 generalnej komendy gen. Goiginger? Wiadomo, że Huyn wypierał się i ręczył nawet słowem. Internowany później w Krakowie gen. Pfeffer, również kategorycznie oświadczał, że o niczem nie wiedział. Komendant miasta Mayer-Mally wystosował pismo do polskiej komendy we Lwowie, w którym ręczy słowem, że nie miał uprzedniej o zamachu wiadomości. Temu uwierzyć można, bardzo bowiem podrzędną spełniał rolę i piastował funkcję.

Władzę wojskową w Galicji wschodniej sprawowały dwie niezależne od siebie (równorzędne) instytucje wojskowe, a to w t. zw. Hinterlandzie, sięgającym naonczas po linię Złoczowa, komenda wojskowa (Militärkommando) pod wodzą gen. Pfeffera i w t. zw. szerszym okręgu wojennym (weiteres Kriegsgebiet) od linii Złoczowa na wschód z dołączeniem całej Bukowiny i części Wołynia IV-ta komenda generalna pod wodzą gen. Goigingera.

Kto zna skrupulatność władz austriackich w zachowywaniu i ścisłym przestrzeganiu wzajemnych kompetencji, musi przyznać, że wszystkie zarządzenia wojskowe na tych dwu terenach działały się napewno za wiedzą i zgodą każdego z komendantów.

Gen. Huyn—jako namiestnik całej Galicji z władztwem wojskowym kraju, ani z zarządzeniami wojskowymi nie miał nic wspólnego. Możliwe więc, że do urzędu jego t. j. do namiestnictwa galicyjskiego nie przychodziły *urzędowo* zawiadomienia o odnośnych zarządzeniach wojsko-

wych. Może także z obawy przed polskimi urzędnikami, których stamtąd wyrugować nie mogli.

Stwierdzamy więc dotychczas wyłącznie na podstawie rozumowania, że o zarządzeniach wojskowych na zachód od Złoczowa *musiał wiedzieć* gen. Pfeffer, na wschód od tej linii gen. Goigigner. Że więc było ich dwu, którzy równorzędnie—każdy na podległym sobie terytorjum—zarządzenia A. O. K. wykonywał, stawiał naturalnie wnioski w myśl dyrektyw i t. d.

Stan ten jednak *musiał* być niewygodny dla lwowskich Ukraińców, czy z powodu ciągłych konieczności konferowania z *dwoma* władzami, czy też może — co nieprawdopodobne — z powodu trudności czynionych im przez jedną z nich, skoro w warunkach Ukraińskiej Rady Narodowej przedstawionych A. O. K. zamieścili osobny punkt, żądający skoncentrowania całego kierownictwa w IV-tej kom. gener.

„Dla jednolitego prowadzenia akcji wojskowej proponuje się komendę generalną № 4, której pod względem taktycznym mają podlegać komendy lwowska i przemyska“.

Chcieli więc mieć na przyszłość z jednym tylko do czynienia i to prawdopodobnie z takim, który odpowiadał im lepiej ze względów rzeczowych. Ponieważ wszystkie te warunki — w długich 7 punktach wymienione — zostały przez austriacką A. O. K. spełnione względnie zaczęły być wypełniane, niektóre z nich na *telegraficzne* rozkazy, można przypuszczać z pewniem prawdopodobieństwem, że i ten wypełniony został.

Nie znaczyłoby to wtedy, że Goiginger miał prawo zarządzać w rejonie Pfeffera bez jego uprzedniej wiadomości na podstawie swoich jedynie rozkazów, lecz że gen. Pfeffer został co do pewnej sfery zarządzeń wojskowych na swym obszarze podporządkowany gen. Goigingerowi i w myśl jego życzeń na jakichś „odprawach“-konferencjach *musiał* sprawy te normować we własnych rozkazach na własnem terytorjum i z wykonania mel-dunki składać.

Wynik rozumowania tego da się streścić natępująco: Obaj musieli być poinformowani i przygotowywać „narodowy” ruch ukraiński równorzędnie. Czy jeden z nich zagrał w myśl pragnienia Ukraińców na pierwszych skrzypcach niewiadomo, w każdym razie prawdopodobne.

Nieinternowanie ich obu przez Ukraińców, mowa Pfeffera na zebraniu oficerskim, wzywająca podwładnych oficerów do ofiarowania usług Ukraińcom świadczą aż nadto wymownie o dwu tych zbirach, wykonywujących polecenia swej A. O. K.

Szczególnie ciekawe i wiele mówiące było zachowanie się gen. Pfeffera i całej jego komendy wojskowej. Początkowo oddał władzę naznaczonemu przez U. R. N. pułk. Marynowiczowi, później zawarł z U. R. N. umowę, że komenda wojskowa urzęduje dalej po dobraniu mężów zaufania U. R. N. i w zupełnej zgodzie, a na spółkę z nimi stara się o zachowanie ładu i spokoju (!) w kraju. Ponieważ jednak wielu oficerów nie chciało tak urzędować, zwołał osobne zebranie oficerskie, na którym przekonywał ich o potrzebie urzędowania, o zgodzie ze złożoną przysięgą i t. d. Na skutek tej mowy zgłosiło chęć pozostania w służbie ukraińskiej 11 oficerów (z kilkuset obecnych). Sprawozdania z tego zebrania umieścili: Kurjer Lwowski Nr. 514 z 7/11 i „Diło” Nr. 252 z 5/11. (Patrz dodatek № 6).

Zupełnie zaś nie miał skrupułów w interviewie z redaktorem „Lemberger Zeitung” (ogłoszonym w № 596 z 2/11) w którym oświadcza, że „skieruje swą główną uwagę na to, by proces przemiany (!) nie pociągnął za sobą żadnych złych następstw dla publicznego bezpieczeństwa”, że „będzie się starał wojskiem, które ma jeszcze do rozporządzenia (oddziały styryjskie i węgierskie) przeszkodzić wykroczeniom i rabunkom”.

Dla czyjego dobra dzać się to miało obecnie po zamachu ukraińskim, nie potrzeba podnosić.

Postaramy się teraz przedstawić właściwych promotorów zamachu ukraińskiego na podstawie dokumentów,

które dostały się w nasze ręce i wiadomości niezbitie stwierdzonych.

Zaczniemy od najgłówniejszego z nich, od Prus. Więc obdarzanie przez oddziały bronią ludności wyłącznie ruskiej, obecność pruskich oficerów przed a więc w czasie przygotowania, a oficerów i żołnierzy w czasie walki (bateria na Wysokim Zamku obsługiwana wyłącznie przez Niemców), moc uzbrojenia, ekwipunku i mundurów pruskich w wojsku ukraińskim, jawne organizowanie pomocy na Ukrainie naddnieprzańskiej a wreszcie całą działalność lwowskiego konsula pruskiego, dokumentami stwierdzić się dająca, jak organizowanie sotni hajdamackich, przysyłanie do nich oficerów i żołnierzy niemieckich, wystawianie paszportów ze szczególnem zaznaczeniem celu podróży i t. d.

Nikt chyba nie zechce przypuszczać, by to wszystko działo się bez wiedzy Berlina, i nie na jego rozkaz.

Drugim z przekonania Ukraińcem przygotowującym zamach na polskie ziemie, to austriackie A. O. K. ze swym wodzem na czele. Nagła troska A. O. K. o broń i amunicję dla oddziałów marszowych (co podkreślam nie leżało w jego kompetencji), troska o grupę Wasyla, przegrupowanie wojsk takie, by oddziały ruskie w Galicji się znalazły, nieznanej treści cesarski telegram Hughesa do Kościa Łewickiego, warunki Rady ukraińskiej co do objęcia władztwa ukraińskiego w Galicji wschodniej, spełnienie ich wszystkich z ogromnym pośpiechem, niektórych nawet telegraficznie, skierowanie wszystkich kadr i pułków ruskich do Galicji wschod., pospieszne transportowanie całej artylerji wschodnio-galicyskiej, dyrygowanie grupy Wasyla pod Lwów (30 października) i t. d.. Czy nie dość?

Czy trzeba jeszcze przytaczać inne dowody? Czy trzeba wyliczać setki austriackich oficerów (niemców) służących od początku w wojsku ukraińskim? Lub zaopatrywanie w broń i amunicję, obfite, o czem Lwów najlepsze da świadectwo, bo długo to odczuwał na własnej skórze. Dokumenty tej zbożnej roboty zdobyte we Lwowie wydano

dla zachodu w osobnej broszurce francuskiej (Documents rutheno-ukrainiens). Do niej tedy odsyłam ciekawych.

Tacy to „Ukraińcy“ przygotowywali na ziemi polskiej narodziny państwa ukraińskiego, mając w swym ręku cały aparat administracyjny i wojskowy, mając sztaby, wykonujące w mig ich polecenia, gromadząc odpowiednie wojsko i zbrojąc je obficie we wszelkie środki techniczne, wydoskonalone znakomicie w wojnie światowej.

Praca ta odbywała się jawnie prawie, przy współdziałaniu całego aparatu wojskowo-państwowego, a z drugiej strony garstka szaleńców przygotowywała odparowanie zamachu, pracując z ukrycia i tajemnie, ponieważ najmniejszy krok fałszywy — to stryczek lub kula w łeb dla wielu i ewentualnie udaremnienie czy uniemożliwienie całej kontrakcji.

Nakoniec odpowiem jeszcze na pytanie, ile i jakie siły wojskowe zgromadzono we Lwowie?

Trzy ukraińcami przepelnione pułki piechoty, a to 15 p.p. i 19 obr. kraj. i 41 p.p. czysto ukraiński, 30 batalion strzelców, 3 t. zw. Asistenzbataliony — jeden czysto wiedeński, drugi styryjski i trzeci czysto madziarski, a więc „najwierniejsze“ i dla przyszłych ewentualnych przeciw nam rozkazów najposłuszniesze, dwa Ukraińcami przepelnione bataliony wartownicze, a nadto moc żandarmerji (kilkunastu tylko w niej Polaków), przeszło dwa tysiące t. zw. policji garnizonowej, oddziały wojskowych bezpośrednio od IV-ej komendy generalnej zależnych, 1000 wojskowej policji, t. zw. miejskiej, która w całości Ukraińcom wydatnie pomagała. Dalej przeszło 1000 oficerów austriackich w sztabach jedynie pracujących prawie wyłącznie Niemców. Sumarycznie siły te, które już były we Lwowie, przedstawiały cyfrę przeszło 20.000, z tego *około 12.000 samych Ukraińców.*

Do tego doliczmy dążąca już do Lwowa grupa Wasyla, składająca się z 3.000 z górą dobrze uświadomionych i rozagitowanych Ukraińców, kilkanaście kadr pułków piechoty i kilkanaście baterji zapasowych wraz z działami,

spieszących z całej Austrii do wschodniej Galicji *na rozkaz A. O. K.* spodziewanych tu na początkach listopada.

Wszystko w zwartych oddziałach wojskowych, nie rozleciało bandy. Łatwe więc do użycia wojskowego. Uzbrojone w środki obronne i techniczne znakomicie.

Kiedy zamierzali Ukraińcy dokonać zamachu? Wedle zarządzeń wojskowych sądząc, dzień ten miał wypaść między 4 a 8 listopada. W tym terminie dopiero mogli mieć we Lwowie znacniejszą część dyrygowanych tu pułków ruskich. Z tym terminem zgadzałyby się także zarządzenia U. R. N., która zwołała na dzień 1 listopada do Lwowa zjazd powiatowych organizatorów, a na 6 listopada organizacyjne zebrania po powiatach w celu przeprowadzenia powiatowych i gminnych organizacji U. R. N. (Patrz „Dziło“ № 246 z 29/10).

Po przeprowadzeniu tej organizacji i ściągnięciu wojska, mieli zamiar dopiero zacząć. Dlaczego krok swój przyspieszyli?

---



## PRZYGOTOWANIA POLSKIE.

Nie pozostała głuchą i obojętną polska społeczność na wyliczone w poprzednim rozdziale przygotowania austriacko-ukraińskie. Już dawno przedtem i zupełnie niezależnie od sprawy ukraińskiej czyniono cały szereg przygotowawczych kroków do objęcia rządów na całym terytorjum państwa polskiego, do przeciwstawienia się zbrojnego państwu centralnym i do przepędzenia okupantów z ziem polskich. Przygotowania te czynione przez wszystkie stronnictwa polityczne miały przyoblec się w formę realną w odpowiednim, korzystnym dla nas momencie wojny światowej. Nie zamierzam przedstawiać ich tu nawet w najogólniejszym zarysie.

Zrozumiałe, że przygotowania podobne i wcale silne czyniono również na terenie państwa austriackiego, tak na ziemiach polskich okupowanych, jak i zabranych przez Austrię.

Obejmowały one zakresem swoim ludność cywilną, a różne jej istniejące i nowo zakładane organizacje szerzyły się wśród wojska zaborczego, tak w oddziałach o większych skupieniach Polaków, jakoteż wciągając pojedyncze polskie osoby.

Organizacje te tworzone dla ostatecznej rozprawy z wrogiem śmiertelnym, dla ostatecznej rzeczywistej walki o Polskę. W miarę rozwoju wypadków wojny światowej tym energiczniej kończono prace przygotowawcze. W miarę orjentowania się w konszachtach austriacko-ukraińskich, tym jaśniejszą, tym powszechniejszą stawała się świadomość, że tu czeka nas walna o polskość i Polskę roz-

prawa. Nie spuszczając więc z oczu całości spraw państwowych Polski, wyteżano wszystkie siły, by tu na miejscu—w całej Galicji wschodniej—należycie i godnie rozwiązać sprawę polską, by zapewnić jej niewątpliwe, ostateczne zwycięstwo.

W rozdziele niniejszym wspomnę o tych jedynie przygotowaniach, które miały związek ze sprawą ukraińską, lub objawiły się w jakimkolwiek sposób w czasie walk polsko-ukraińskich.

Dla przygotowań tych trudna była sytuacja we Lwowie. Z jednej strony cały aparat austriackiej soldateski, czyniący skrupulatnie wszelkie zarządzenia dla najmłodszych swych pupilów, ściągający dla nich zewsząd oddziały zbrojne i wyborowe, przygotowujący dla nich wyekwipowanie techniczne i amunicję i bacznie czuwający, czy po stronie przeciwnej nie dzieje się cośkolwiek dla nich groźnego. Z drugiej strony garstka ludzi—jednostek bez oddziałów zbrojnych, bez możliwości choćby półjawnego ich przygotowania.

Stąd jasne i zrozumiałe, że praca wszelka musiała się odbywać w podziemiach, ciągle przykryta mrokiem rzeczywistej tajności, w stałej trosce o to, by przez przedwczesne wykrycie nie utrudniono akcji całej, nie narażono sprawy polskiej na nieuchronne przegranie.

W rozlokowanych w „Galicji wschodniej“ oddziałach wojska austriackiego nie było ani jednego polskiego, nie było ani jednego o większym skupieniu Polaków. Te bowiem skrupulatnie i planowo usuwano w myśl żądań U.R.N.

Praca więc musiała spocząć przedewszystkiem i wyłącznie na tajnych, polskich, wojskowych organizacjach. Dwie były ówczśnie tajne organizacje wojskowe na terenie całej Polski działające. Jedna to niby „tajna“—wszak każde niemal dziecko o niej wiedziało—Polska Organizacja Wojskowa, P. O. W. krótko zwana, wraz z organizacjami od siebie zależnymi, druga młodsza i rzeczywiście tajnie utrzymana, Polskie Kadry Wojskowe.

Pierwsza rozszerzana energiczniej po znanym „kryzysie“ w r. 1917 skupiała byłych legjonistów z I Brygady t. zw.

Piłsudczyków, a rekrutowała się zpośród młodzieży lewicowej i t. zw. niepodległościowej. Duchowym — acz nie rzeczywistym — jej kierownikiem był po uwięzieniu Piłsudskiego pułk. Rydz-Śmigły.

We Lwowie dość lichy i niewojskowo przedstawiała się ta organizacja. Dopiero po zmianie komendy okręgowej, (na kilka tygodni przed zamachem ukraińskim) zaczęła żyć życiem bujniejszym i bardziej wojskowym. Nowy dowódca okręgu por. Ludwik de Laveaux, ruchliwy i energiczny, potrafił w krótkim przeciągu czasu uchwycić w karby członków organizacji tak, że przedstawiała ona wcale pokazną siłę militarną, z którą należało się liczyć. W bliskim z nią kontakcie i zależną od niej była inna organizacja pod nazwą „Wolność“, skupiająca w swym gronie przeważnie oficerów w armji austriackiej służących — organizacja słabiutka, we Lwowie kilkunastu zaledwie licząca członków. Organizacją niewieścią P.O.W. kierowała p. Bujwid Trzebiecka. Naturalnie jako organizacja tajna nie pozwalała P. O. W. obcym wglądać w swoje stosunki organizacyjne. Przedstawienie to moje krótkie i nieścisłe być może. Duchową rolę odgrywał w organizacji tej we Lwowie por. Dr. Świtalski. Znając go z dawniejszych czasów jako jednostkę wybitną i wysoko intelektualnie stojącą, a widząc ciągle z nim konferencje domniemanych członków P. O. W. przypuszczano, że gra rolę kierowniczą politycznie. Czy trafnie odgadywano, dziś pewnie powiedzieć nie mogę.

Drugą organizacją wojskową tajną, na terenie całej Polski, działającą, były Polskie Kadry Wojskowe. Założone w r. 1918 miały za zadanie skupić wojskowe jednostki polskie, w armiach zaborczych służące, zorganizować wojskowo zdolne siły w społeczeństwie polskim i przygotować je na ostateczną, decydującą walkę z centralnymi zaborcami, stworzyć polską siłę zbrojną bezpośrednio po powstaniu Państwa Polskiego. Skupiały one w sobie tych wszystkich, którzy od początku wojny światowej żywili, lub nabrali w czasie jej trwania przekonania, że interes narodowy polski nie pozwala walczyć przy boku zaborców [Polski, że właściwymi wrogami Polski są i muszą

być państwa centralne, przeciw którym winien stanąć cały naród w zwartym i zgodnym obozie wojennym. Niestety!...

Ponieważ naród cały żywił odpowiednie przekonania wedle ugrupowań w stronnictwach politycznych, stąd i w odpowiednich organizacjach wojskowych znajdowali się ludzie o pewnym światopoglądzie politycznym. Tak w P. K. W. gromadzili się zwolennicy wszystkich stronnictw narodowych, galicyjscy ludowcy odłamu Piasta, w „Królestwie“ zwolennicy Koła Międzypartyjnego i całe bez wyjątku Poznańskie. Wiadomo która strona znalazła większość w narodzie. Ludzie związani w jakikolwiek sposób z N. K. N. stanowili w społeczności polskiej w r. 1918 szaloną mniejszość. Coraz więcej jednostek i ugrupowań politycznych, widząc błędną, a dla narodu zgubną politykę N. K. N. i czynników legionowych utwierdzało się w swych przekonaniach, lub przechylało się w stronę czynników narodowych.

O sposobie organizacji słów kilkoro. Poza komendą główną, utworzoną początkowo tylko częściowo, powołano do życia komendy dzielnicowe, które znowu zająć się miały komendami powiatowymi i ziemskimi. Organizacja samych sił wojskowych postępować miała systemem dziesiątkowym w ten sposób, że tworzyć je wolno było tylko tym przyjętym do organizacji, którzy odnośny rozkaz otrzymają. Regulowanie komendy i tworzenie jednostek wojskowych i bojowych wyższych było rzeczą odpowiedniego dowództwa, a polegało na systemie trójkowym. Zrozumiałe, że organizacja tworzona na terenie, w całości prawie przez państwa centralne zajętem, a składająca się z oficerów i żołnierzy, pozostających w znacznej mierze w czynnej służbie zaborców, musiała być tajną i bardzo ścisłą, czuwającą pilnie nad doborem osób i nad wzajemnym zakonspirowaniem, idącym tak w górę jak i równorzędnie. Chodziło bowiem o najdalej idące ograniczenie możliwej i prawdopodobnej „wysypki“.

We Lwowie funkcjonowały komendy: ziemska dla całej „wschodniej Galicji“, powiatowa dla powiatu lwowskiego i główna. W miarę postępu przygotowań ukraiń-

skich zorganizowano komendę miasta Lwowa dla walk w samym Lwowie.

Na terenie organizacji i na zewnątrz występowałem pod skrótem nazwiska jako Czyński.

Nie potrzebuję dodawać, że obie powyższe organizacje tak P. O. W. jak i P. K. W. miały poza członkami, ściśle w ramach swoich zorganizowanymi, cały szereg sympatyków, lub ludzi będących pod wpływami poszczególnych członków, miały sympatje w całych stronnictwach politycznych, wedle odpowiadającej im politycznej linii wytycznej, miały wyłączny, decydujący lub pewien tylko wpływ w różnych organizacjach obywatelskich, społecznych, zawodowych i narodowych, zależnie od ich zabarwienia politycznego, zależnie od wpływów, stanowiska i zdolności poszczególnych członków, będących lub planowo wciąganych do odnośnej organizacji wojskowej.

W kalkulacjach wojskowych i wojennych nie można było pominąć byłych legionistów. Oficerów byłych legionów wraz z podchorążymi przebywało ówczśnie we Lwowie około 60. Część z nich, z dawnej I brygady (Piłsudskiego) należała do P. O. W. Wśród reszty panoowało ogromne rozbiecie ideowe. Organizacji wspólnej, wojskowej w ścisłym tego słowa znaczeniu nie posiadali. Istniało jedynie jawne, humanitarne stowarzyszenie „Wzajemnej pomocy byłych legionistów“, którego nazwa mówi o celu.

Drugą ideową wśród nich grupą to grupa nazywająca się sama: „resztki Polskiego Korpusu Posiłkowego z r. 1918“, który zakończył tak tragicznie swój niechwałebny żywot. Nie należeli do niej wszyscy byli członkowie P. K. P. Grupa ta, pozostająca pod duchowym kierownictwem przebywającego we Lwowie pułk. Sikorskiego i stąd przez innych „Sikorczy“ zwana, stanęła po znanym październikowym orędzii Rady Regencyjnej\*) na jej

---

\*) Orędzie do Narodu Polskiego z 7 października i osobny dekret o objęciu przez Radę Regencyjną zwierzchniej władzy nad wojskiem polskim i zmianie znienawidzonej rotę przysięgi.

platformie, złożyła jej przysięgę i oddała się na jej usługi. Nazwali się wtedy szumnie „Wojskiem Polskim“, i utworzyli własną komendę placu pod kap. Kamińskim. Po bezsensownym nowym „orędziu“ Rady Regencyjnej z 12 października (Patrz dodatek № 7) wzywającym wszystkich oficerów i żołnierzy do Warszawy pod sztandary Wojska Polskiego, usłuchali i tego — groźnego dla nas na miejscu — wezwania i zaczęli wysyłać zwolenników swoich do stolicy. Temu musiano przeciwdziałać ze wszelkich stron.

Wreszcie pułk. Sikorski tuż przed wyjazdem swoim ze Lwowa zamianował (31 paźdz.) dowódcą bataljonu uzupełniającego kap. Tatara-Trześniowskiego i uzyskał od władz miejskich jako pomieszczenie dla niego szkołę Sienkiewicza. Batalion ten miał tamże wieczorem 31 października *12 ludzi*, a gdy ściągnięto wszystkich swych zwolenników, podskoczyła cyfra ta do 32. Było to maksimum tej grupy. Grupa ta słabiutka, nie mająca oparcia w społeczeństwie z powodu potępionego już przez całe społeczeństwo stanowiska Rady regencyjnej, której ona bezwzględnie się poddawała, gromadziła zwolenników stronnictwa „Polskiej“ lub „Postępowej Demokracji“.

Dalsza część byłych legionistów, żyjąca niezorganizowana, to resztki pierwszej brygady nieprzyjętej lub niechcącej należeć do P. O. W. i resztki P. K. P. przeciwstawiające się silnie grupce poprzedniej. Nazywać ich będziemy niezorganizowanymi legionistami. Ideowo stała przeważna część z nich na stanowisku ówczesnym gen. Hallera bezwzględnej walki z państwami centralnymi. Z nich rekrutowała się pewna część członków P. K. W. W celu pobudzenia ich do organizacji na miejscu przybył w nocy na 31 października do Lwowa osobny wysłannik gen. Hallera kap. Boruta-Spiechowicz. Grupa ta miała w swym gronie kilka bardzo wybitnych indywidualności wojskowych, że wymienię tu tylko kap. Dr. Jakubskiego, majora Śniadowskiego, kap. Pierackiego. Wzajemny stosunek tych grup objawił się jaskrawie na posiedzeniu odbytym 26 października w sprawie przysięgi Radzie regencyjnej. Krótkie spra-

wózdanie z tego umieszczono w ówczesnych dziennikach lwowskich. (Patrz dodatek № 8).

Cyfrowo rozbita grupa b. legionistów dałaby się zamknąć w liczbie sześćdziesięciu. P. O. W. lwowskie szacowałem naocznie na 3 do 4 setki—jak się później okazało nieco za wysoko, w P. K. W. zaś przekroczono 21 października piątą setkę zaprzysiężonych we Lwowie.

To były siły wojskowe, na które w kalkulacjach zajęcia i obrony Lwowa można było ewentualnie liczyć.

Z ramienia tych wszystkich organizacji wojskowych istniały i funkcjonowały we Lwowie osobne biura „podróżne”, wystawiające wojskowe dokumenty różnym dezertersom z wojsk państw zaborczych, skompromitowanym legionistom, lub chcącym uniknąć służby austriackiej i t. d. Biura te wysyłały naocznie (sierpień, wrzesień) ludzi przeważnie na Ukrainę, do Hallera jak się to nazywało, przez różne stacje graniczne. Jedno z biur takich wykryte zostało przez władze austriackie. W P. K. W. zaś dzięki możliwości wystawiania sprawiedliwych, urzędowych rozkazów otwartych funkcjonowało biuro dobrze, z tą jedynie różnicą, że nie wysyłało nikogo na dalekie tułaczki, lecz lokowało ich za urzędowymi urlopami, czy zwolnieniami—naturalnie pod zmienionymi nazwiskami—po folwarkach i miastach galicyjskich, czy okupacji austriackiej, z obowiązkiem, zajęcia się organizacją P. K. W.

Na chlubę wszystkich wyżej wymienionych organizacji podnieść się godzi, że żadna z nich nie myślała o kapitulacji, że wszystkie przygotowywały odpór zbrojny. Zrozumiałe, że wyczuwając jedynie naocznie przygotowania te, nie będąc jednak jako nie należący do tychże organizacji bezpośrednio o tym poinformowany, nie mogę przytoczyć wszystkich przygotowań poszczególnych organizacji. Będzie to rzeczą ich właściwych i odpowiedzialnych kierowników.

Ja mogę tu omówić jedynie przygotowania organizacji której przewodziłem i o których bezpośrednie mam wiadomości. Podkreślam jeszcze raz, że mówię tylko

o tych, które mają bezpośredni związek z przyszłym zamachem ukraińskim.

Organizacja wybitnie narodowo czującego społeczeństwa, mającego w tym czasie w całości orientację przeciwcentryalną, nie przedstawiała zbyt trudności i poza nakazaną i konieczną ostrożnością, szła szybko i sprawnie. Praca nasza postępowała w dwojakim głównie kierunku, na froncie w organizowaniu polskich oficerów i żołnierzy w polskich przede wszystkim formacjach i organizacja w kraju w dwu znowu kierunkach idąca, z podziałem na siły bojowe i obywatelskie. We wschodniej Galicji druga organizacja poszła dobrze; liczebnie jednak wszędzie słabą była. Bo i ktoś pozostał dla organizacji bojowej na terytorjach kilkakrotnie ewakuowanych, w których wszystkich ledwo zdolnych pod broń pobrano i kilkakroć przebijano. Oddziałów wojskowych polskich zupełnie nie było, a nielicznych Polaków planowo usuwano. Mimo te trudności wkrótce mieliśmy we wszystkich powiatach jądra organizacyjne, z których kierowano pracą po powiecie. Z zasłużonych w późniejszych bojach organizacji takich wymienić trzeba organizację drohobycką, przemyską, złoczowską i tarnowską. O Lwowie samym wspominałem już poprzednio. Obecnie dodam jedynie słów parę o organizacji powiatu lwowskiego. Dublany silną stanowiły dla nas placówkę, załogując pod Lwowem dwie baterie (Sokolniki i Rzęsna polska) dały nam kilka jednostek, powiat zaś przyczynił się znacznie lepiej. Rozumiał chłop polski konieczność i potrzebę, a zorganizował go pod Lwowem znakomicie ranny później w walkach lwowskich chor. Nekrasz.

Z zachodnio-galicyskich wymienię w pierwszym rzędzie krakowską, która zasłużyła się wybitnie przy organizowaniu odsieczy i tarnowską, rzeszowską, nowosądecką i jarosławską, z których każda ma swoją kartę zasługi.

Niezbyt zaznaczyła działalność swą organizacja warszawska, więcej natomiast lubelska, skąd wyszły pierwsze zdecydowane porywy odsieczy.



Z późniejszej działalności i pomocy w walkach polsko-ukraińskich chlubnie wybiła się radomska i częstochowska.

Ścisłą nawiązano łączność z organizacjami wojskowymi polskimi w Rosji i Francji przez organizację kijowską, która była nam także pomocną przy organizacji bojowych sił polskich wśród okupacyjnej armii austriackiej. Przy pomocy D-ra Węgrzynowskiego, a po wysłaniu tamże por. Świeżawskiego stworzono w kilku pułkach polskich poważną liczebnie organizację. Wybitnie zaznaczyła się w działaniu późniejsza organizacja w 90 p. p. i 1 pułku ułanów \*).

Równocześnie z organizowaniem sił bojowych postępowała praca wśród społeczności starszej cywilnej. Dążono więc do stałego kontaktu i uzyskiwano „wpływy” w różnych stowarzyszeniach i organizacjach ogólnych jak Sokół, Harcerz, Organizacje narodowe, różne stowarzyszenia niewieście, wreszcie zawodowe, z których najwybitniejszą, z organizacją kolejarzy łączyły nas bardzo bliskie stosunki, jak dalej stowarzyszenia rękodzielnicze Gwiazda, Skala, w końcu organizacje robotnicze.

Ponadto poszczególni członkowie P. K. W. tworzyli w myśl otrzymanych rozkazów organizacje bojowe i wojskowe młodzieży szkół zawodowych, średnich i wyższych. Organizacje te rozwijały się nader szybko i sprawnie funkcjonowały. Najwybitniejszą wśród nich rolę odegrała młodzież akademicka. Powołano wśród niej do życia —

---

\*) Nawiasowo dodam o przygotowaniach naszych co do rewolty 1 p. ułanów. Pułk odkomenderowany z Ukrainy na front serbski czy włoski miał przejeżdżać przez Podwołoczyska od 1 listopada. Z wysłannikami pułku (rotm. Dembiński) omówiliśmy pod koniec października plan działania. Z chwilą przyjazdu do Lwowa czy do Chodorowa (bo nie wiedzieliśmy, którędy pójść transporty) miał pułk w całości po aresztowaniu sztabu pułkowego odmówić posłuszeństwa, wywagonować i ulokować się odpowiednio w zbrojnej podstawie. Niestety, transporty przyszły do Podwołoczysk z pewnym opóźnieniem. Władali już tam Ukraińcy, którzy rozbroili nawet pierwszy transport. Reszta zaś przebiła się drogą okrężną do Lublina i dalej do Polski.

za staraniem członków P. K. W. — na ogólnym zebraniu młodzieży (13 paźdz. w Czytelni Akademickiej) Akademicki Komitet Wykonawczy, który już dnia następnego przystąpił do organizowania „Straży Akademickiej”. W obu tych organizacjach przewodzili i decydujący wpływ mieli członkowie P. K. W. Do obu powołano także przedstawicieli innych kierunków politycznych i organizacji tajnych. W Straży Akademickiej pracowali więc zgodnie z poprzednimi członkowie P. O. W. (Winiarski) i tam szukać należy pierwszego zetknięcia się i pierwszej współpracy obu organizacji tajnych.

Osobna, zaszczytna wzmianka należy się harcerstwu polskiemu. Zorganizowane znamienicie, karne, przy stałym kontakcie z kierownikami pozwalało liczyć pewnie na wszystkich swych członków. Pewne, że wszyscy spisywali się później prawdziwie po bohatersku. Pracował na jej terenie w potrzebnym nam duchu poległy później „Pekawiak” śp. Grodyński Jerzy.

Obok sił wojskowych należało przygotować organizacje ludzi starszych, lub niezdolnych do służby frontowej, któreby objęły w chwili potrzeby straż i troskę o bezpieczeństwo publiczne na tyłach wojska, uwolniły nam od tej służby niezbędne do innych czynności jednostki bojowe, zapewniły ład i bezpieczeństwo zupełne, a stanowiły zarazem rodzaj rezerwy, jaką użyć można w ostatecznej sytuacji. Po długich pertraktacjach z różnymi czynnikami — w pierwszym rzędzie z Wydziałem Związku Sokołów i związku Organizacji narodowych — rozpoczęto i w tym kierunku bardzo energiczną robotę. Tak to mogła pojawić się już pierwszego dnia walki ona „Straż Obywatelska”, która rozwinąwszy się znakomicie po dobraniu różnych przymiotników — najpierw miejska potem małopolska — tak cenne i przeogromne oddała usługi w czasie całego trwania walk polsko-ukraińskich i po ich ustaniu. Początek jej powstania określić trzeba pierwszą połową września. W tym czasie bowiem powstały pierwsze jej oddziały we Lwowie i na „prowincji”.

Ludzi zdolnych do broni wszędzie było mało, uzbrojenie zaś ich przedstawiało się słabo i natrącało na ogromne trudności. Przy pomocy kolejarzy, członków organizacji, udało się pchnąć pewną liczbę karabinów na prowincję. Zaopatrzenie Lwowa w broń szło trudniej. Z jakimi trudami było to połączone, nie warto dziś opisywać. Każdy jednak zda sobie sprawę z tego, kto widział liczne i gęste posterunki policji wojskowej t. zw. Garnisonspolizei po ulicach Lwowa. Przygotowanie w urzędowych magazynach IV-tej komendy generalnej znacznych zapasów we Lwowie poszło dość łatwo. Niewykonanie kilku rozkazów, wstrzymanie pocichu wszelkiej wysyłki broni na zachód, „austriackie oszczędności“ t. zw. Ersparnisse i t. d. powiększały szybko zapasy nasze. Trudniej uzyskano zgodę dowództwa na ściągnięcie wszystkich zapasów ze wschodniej Galicji, z Besarabii, Wołynia (Włodzimierz Wołyński, Kowel) i Lublina do Lwowa. Wykonywano to początkowo na własną rękę. Wreszcie uzyskano po bardzo długich staraniach rozkazy ściągania amunicji „zdobyczej“ z Ukrainy. Tymczasem było do rozporządzenia w magazynie mnie podległym we Lwowie przeszło 12000 karabinów, 15 k. m. i grubo ponad 2000000 amunicji. Ponadto drugi znacznie większy magazyn rosyjskich karabinów, dział i amunicji armatniej i karabinowej w Skniłowie z amunicją karabinową (około 10 milionów), armatnią, z działami i karabinami (8 tysięcy). Liczyć na to było można dopiero po opanowaniu magazynu po zamachu. Chcieliśmy jednak już przedtem mieć ludzi uzbrojonych w mieście. Rozdawanie i wydawanie przy warcie, oficerach i zarządzie magazynów niemiecko - ruskim nie było rzeczą łatwą. Udało się jednak wydać kilkadziesiąt różnym oficerom „na pamiątkę“ lub jako ciekawe wzory obce. Chcieliśmy to jednak zrobić na większą skalę i z własnego magazynu rozdawać członkom organizacji. Choć się nie udał ten żarcik, opiszę go jednak dokładniej. Obficie Austrija zaopatrywała naonczas w broń pułki ruskie we wschodniej Galicji rozlokowane. Przyszedł więc pod magazyn wagon z 1000 nowiusieńkich karabinów bez żadnych

dokumentów wojskowych i kolejowych. Gdyśmy się w tym zorientowali, postanowiliśmy skorzystać z tego. Dostał więc por. Garbień odpowiedni rozkaz, przygotował szybko lokale, na „magazyn“ (mleczarnia rudecka i fabryka Tlenu po połowie) miał oficerów-szoferów-woźniców i żołnierzy ładujących i eskortujących. Chodziło jeszcze tylko o furmanki czy auta pożyczone na kilka godzin ale bez ludzi, którzyby mogli się z tym wygadać. Plan był prosty: zajeżdża z żołnierzami oficer, pokazuje dokument, że wagon do jego pułku należy, ładuje na wozy i wio.

I na wstyd dla Lwowa — a jestto jedyny zarzut, jaki wobec niego podnoszę — nie znalazł się we Lwowie nikt, nawet żadna instytucja, do której się zwracano, któraby chciała pożyczyć na kilka godzin wozu czy auta bez żadnej zresztą odpowiedzialności. Gwarancję pieniężną za całość, zwrot i t. d. dawaliśmy. Jedne odmawiały wprost, inne naradzały się przez kilka dni i tak upłynął ostatni tydzień października. Dopiero w czwartek 31 października obiecał nam Surówka, że na sobotę 2 listopada wystara się o auto u hr. Skarbkowej i przyśle je z Rudek. Autem tym wtedy jeździli w Rudkach Rusini, a karabiny należały już także do nas. Ale jakże inaczej traktować i prowadzić można było obronę, gdyby te karabiny w czwartek choćby były w mieście. Udało się nadto uzyskać asygnatę na 2000 karabinów, które również zwieść miało auto powyższe. Z karabinów tych obiecano 1000 sztuk dla Sokoła na uzbrojenie tworzonej po cichu milicji.

By skończyć z bronią określeć cyfrowo jej ilość. Otóż wszystkie organizacje posiadały w mieście w dniu 1 listopada 64 karabinów najrozmaitszych systemów. Amunicji do nich, pożał się Boże.

Nie mieliśmy trudności finansowych przy organizacji P. K. W. Dzięki bowiem prywatnej ofiarności znanej rodziny hr. Skarbków, mieliśmy zapewnione milionowe kredyty.

Trzecim kierunkiem przygotowań, w którym szły nasze starania, było dążenie do skoordynowania akcji wojskowej wszystkich organizacji. Celem i dążeniem naszym było dojście do jednej komendy w myśl wymagań mili-

tarnych. Gdyby się to dopiero nie udało, wynaleźć jakiś sposób skoordynowanego i zgodnego współdziałania wszystkich grup. W tym celu zwróciliśmy się za pośrednictwem hr. Skarbka do pułk. Roji w Krakowie. Dostaliśmy od niego list do lwowskich legionistów i kap. Kamińskiego, polecający i doradzający zgodne współdziałanie w akcji obronnej. Do ówczesnego komendanta P.O.W. pułk. Rydza-Śmigłego wysłaliśmy osobnego kurjera (por. Eustachiewicza). Niezależnie od tego szukaliśmy łączności i porozumienia na miejscu. Doskonale nam w tym pomogło utworzenie jawnej organizacji akademickiej, gdzie zeszli się poraz pierwszy i wspólnie do kierownictwa wybrani zostali przedstawiciele P. O. W. i P. K. W. Na konferencji, którą odbyłem z przedstawicielami tego komitetu w mieszkaniu hr. Skarbka około połowy października, doszliśmy do zupełnie zgodnych rezultatów i wtedy mogłem poprosić przedstawicieli P. O. W. o to, by kierownik ich organizacji na terenie lwowskim zechciał się ze mną zobaczyć i wejść w pertraktacje. Jakoż wkrótce — a było to tuż przed 20 października zgłosił się do mnie w lokalu P. K. W. (Romanowicza 9) por. de Laveaux, komendant okręgu wschodnio-galicyjskiego P. O. W. Po krótkiej z nim konferencji nazначyliśmy osobną w mieszkaniu moim (Senatorska 7). Pierwsza z nich odbyła się w środę 23 października. P. O. W. reprezentował wspomniany komendant i chorąży Kron, pseudonim Zbych, P. K. W. ja. Ostro i zawzięcie stawiał tam sprawę chor. austr. Zbych — mocno impulsywny charakter i zacięta jednostka. Dzięki jednak roztropnemu i rozumnemu stawianiu sprawy przez por. de Laveaux udało się w wielu punktach dojść do zasadniczego zbliżenia. Konferencje te kontynuowaliśmy potem dalej. Odbyło się jeszcze 3 posiedzeń (2 u mnie, jedno w „Szkockiej“). Wynikiem ich było bardzo znaczne zbliżenie się dwu tych najsilniejszych organizacji wojskowych z jednej strony, z drugiej zaś postanowienie zwołania większego zebrania kierowników wszystkich organizacji i niezorganizowanych legjo-

nistów na dzień 31 października (czwartek). Decyzja co do tego posiedzenia zapadła we wtorek 29 października,

Równocześnie z pertraktacjami z P. O. W. prowadziliśmy pertraktacje z wszystkimi innymi czynnikami wojskowymi (z kap. Kamińskim prowadził Skarbek i Dubanowicz, z Dr. Jakubskim i Śniadowskim Dr. Browiński). Przypuszczalnie rokowało z nimi także P. O. W. Propozycja wspólnego zebrania wyszła od por. de Laveaux. Odbyło się ono w mieszkaniu majora Śniadowskiego (Łyczakowska 16) o godz. 6 wiecz. Trwało do 9. Na zebranie to przyniesiono pierwsze niesprawdzone wieści o dokonanym rozbrojeniu legionistów w koszarach 15 p. p.

Burzliwe było zebranie. Zdawało się przez pewien czas, że nie tylko nie doprowadzi do ogólnego zbliżenia, ale że nawet rozbije dokonane zbliżenia grup poszczególnych. Rozważniejszym i spokojniejszym jednak elementom udało się wkońcu opanować i umitygować zebranie. Nieprzejednane stanowisko zajmował i nieustępliwie występował od początku kap. Kamiński. Argumenty jego w skrócie następujące: „On reprezentuje „wojsko polskie“, które nikomu poddać się nie może, bo nie pozwalają na to regulaminy. Komenda placu „wojska polskiego“ ma już swój plan obrony i prosi tylko wszystkich o współpracę i poddanie się pod jej komendę. Proponowanej koordynacji „wojsko polskie“ również nie uznaje za potrzebną i wojskowo dobrą“. Żadne nie pomagały argumenty. Przez cały czas dyskusji zabierał kap. Kamiński głos kilkakrotnie (o ile się nie mylę ze sześć razy) i za każdym razem recytował bez opuszczeń i poprawek podany wyżej skrót. Dodać muszę, że ze wszystkich zebranych on jeden jedyny uważał siebie za „wojsko polskie“; wszyscy inni nie chcieli i nie mogli w nim uznać jedynego przedstawiciela armii polskiej, a odzywali się o nim jako o „tak zwanym wojsku polskim“ lub „nieprawnie arogującym sobie tytuł W. P.“ Było to bezwzględne stawianie własnej kandydatury przez „aut ja aut nikt inny“. Nikt z obecnych nie chciał pójść pod tę komendę poza wnioskodawcą.

Dyskusja szła w trzech kierunkach: o potrzebie jednej komendy wspólnej i obowiązującej dla wszystkich, o możliwości skoordynowania akcji grup poszczególnych w razie, gdyby do pierwszego nie udało się dojść, po trzecie o sposobie wyboru czy poddania się pod komendę i króciutko o osobach. Zaproponowano z pewnej strony „wojskowe” załatwienie sprawy komendy, wedle którego najstarszy rangą (maj. Śniadowski) obejmuje dowództwo. Poza wnioskodawcą nie było jednak oświadczeń co do tego rozwiązania. Proponowany kandydat nie wyjawiał swego zdania.

Pod koniec długiej i nużącej dyskusji oświadczył por. de Laveaux, że w walce grożącej na terenie Lwowa i wschodniej Galicji poddaje P. O. W. ze wszystkimi organizacjami pod wyłączną komendę dowódcy P. K. W. Do czasu walki poddanie to nie wyklucza wyłączności organizacyjnych obu tych organizacji, lecz ofiaruje wzajemną współpracę w przygotowaniu i spełnianiu rozkazów, dawanych jemu dla całej organizacji. Pod tę komendę oświadczył również chęć pójścia kap. Pieracki, reszta nie wypowiedziała się, lub nie zostawiła wątpliwości (jak kap. Kamiński) nie poddania się.

Wynik zebrania nazwać można szczęśliwym. Doprowadził bowiem dwie najsilniejsze, prawie wyłącznie nad całym materiałem bojowym panujące organizacje do jednego dowództwa, jedynie korzystnego rozwiązania ze względów wojskowych. Przygotowania do obrony poszłyby teraz znacznie raźniej, gdyby był dany czas po temu. Niestety, wkrótce, prawie bezpośrednio po tym zebraniu trzeba już było przystąpić do akcji właściwej, do działań bojowych.

Protokół z historycznego zebrania tego w całości załączony w dodatkach (patrz dodatek 9).

Pod koniec rozdziału tego wspomnę jeszcze o innych przygotowaniach, prowadzonych jednak już nie przeze mnie, jako nie chcącego i nie mogącego się zbytnio afiszować. Mam tu na myśli przygotowania, że je tak nazwę, polityczne, prowadzone przez Cieńskiego, Próchnickiego,

Skarbka, Stahla, Dubanowicza, Kasznicę i Dąbrowskiego, a mające na celu doprowadzenie polskich czynników politycznych i miejskich do zgodnego działania. Prowadzili więc pertraktacje z przedstawicielami stronnictw politycznych i reprezentami miasta. Pozytywniejszego nie dały one rezultatu, któryby objawił się w jakiejś chęci czy dążności zapobieżenia. Doprowadziły jednak do tego, że już 1 listopada rano, a więc bezpośrednio po zamachu ukraińskim, mógł powstać i ukonstytuować się Polski Komitet Narodowy, grupujący reprezentantów *wszystkich* partii politycznych, z zadaniem wspierania i współpracy z wojskową akcją obronną.

---



## WŁASNY PLAN DZIAŁANIA.

Plan działania, jaki należało obmyśleć, nie mógł polegać na efektownych momentach, choćby nawet bohaterkiej śmierci, lecz musiał liczyć się z realnymi, fizycznymi i duchowymi warunkami, powinien i musiał dążyć do ostatecznego zwycięstwa naszego w całej Galicji wschodniej. Nie wolno nam było przez nieopatrzne działanie zaprzepaścić przeszło półtora miliona Polaków we wschodniej Galicji, nie powinniśmy byli z drugiej strony wyłać niepotrzebnie choćby jednej kropli krwi polskiej.

Przypuszczać należało, że cały, ślepy impet Ukraińców zwróci się najpierw przeciwko stolicy kraju, Lwowowi, że tu trzeba będzie najpierw rozegrać i wygrać walną z nimi bitwę, by potem ponieść zwycięskie sztandary po całym kraju. Przy wszystkich możliwościach planu własnego musieliśmy najpierw myśleć o Lwowie, musieliśmy najpierw z nim się załatwić.

Nie wolno nam było rozpraszać szczupłych sił własnych.

Ba, gdybyśmy byli mogli jawnie lub bodaj półjawnie przygotować się do walki orężnej, nie bylibyśmy — jak Ukraińcy — potrzebowali poparcia władz państwowych. Zwycięstwo byłoby napewne nasze i bezwzględne. Niestety, wojskowe władze państwowe, cały aparat wojenny i wojskowy, wydoskonalony tak znamienicie w czteroletniej wojnie światowej, działał tu z wrogiem naszym. Jego sprawę uznał za swoją i razem z nim chciał zwyciężyć. Śledzono także bacznie wszelkie przygotowania strony polskiej. Stąd liczne rewizje w październiku.

Jedna tylko wydała częściowy rezultat. Tajność i skrupulatność przygotowań wszelkich bardzo była wskazana. Jeden krok nieopatrny lub przedwczesny mógł całą, naszą, świętą sprawę na niewątpliwy szwank narazić.

W pierwszej tedy części planów naszych musieliśmy zająć lub zdobyć Lwów. Dla tej części działania teoretycznie-wojskowo rzecz rozważając, sprawa przedstawiała się prosto: ofenzywa albo defenzywa z przejściem do pierwszej w odpowiednim momencie. Na stosunki miejscowe tłumacząc te wyrazy, należało rozważyć następujące drogi postępowania:

- a) uprzedzić Ukraińców i opanować przed nimi miasto
- b) zacząć akcję rozbijania wzajemnego i walki równocześnie z nimi.

c) przyjąć odpowiednie ugrupowanie defenzywne, pozwalające przejść natychmiast, czy później do ofenzywy.

Innych rozwiązań nie było. Nie było bowiem jednej żywej duszy we wszystkich organizacjach polskich, która by twierdziła, że nie można podejmować walki w takich warunkach. Owszem odpór zbrojny musiał być dany, musiał być kontynuowany możliwie najdłużej, by jak najdłużej dokumentować przed światem, że miejscowa—tubylcza ludność broni się przed gwałtem, zadany przez państwa centralne, z drugiej strony, by długim tym odporem zachęcić, ewentualnie zmusić naród polski do zajęcia się tą walką i przyjscia z pomocą młodzieży za kraj polski ginącej. Choćby wszystkim zginąć przyszło, uważaliśmy, że na gwałt zbrojny zbrojnym tylko protestem odpowiedzieć możemy. Krew przelana i kurhany bohaterów upomną się o sprawiedliwość dziejową prędzej czy później.

Przyjrzymy się więc możliwym drogom postępowania po kolei i zbierzemy argumenty, które przemawiały za każdą z nich czy przeciw.

Uprzedzić Ukraińców można było dwojaką drogą: pierwszą — niby legalną, albo z góry idącą, wykonaną w ten sposób, że odpowiedni przedstawiciele władzy polskiej galicyjskiej czy warszawskiej (a więc Polskiej Ko-

misji likwidacyjnej, czy Rządu Warsz.) zjawiają się we Lwowie i obejmują z rąk władz naczelnych (z ich wolą lub bez) władzę. Przedstawicielom tym udzielamy oparcia militarnego. Drugą, że samo wojsko—więc polskie organizacje tajne—opanowują rząd, miasto, rozbrajają wojsko i t. d. czyli opanowanie z dołu.

W pierwszym wypadku mamy za sobą nieocenione plus, jakie nam daje ta niby legalność postępowania. Możemy przy odpowiednim przeprowadzeniu i równoczesnym opanowaniu wszystkich władz naczelnych, zjawić się u nagromadzonych we Lwowie wojsk z ramienia władzy naczelnej, lub może nawet z nią razem i zarządzić rozbrojenie, uregulowany wyjazd do domu, czy internowanie pewnej części. Liczyliśmy się z tym, że i w tym wypadku przyszyłoby do walki, wszak wśród wojsk tych był pewien, znaczny procent uświadomionych czy rozagitygowanych Ukraińców, był znaczny procent ruskich oficerów. Ale ten sposób dawał nam tę jedną wielką korzyść, że wykluczał możliwość zwrócenia się przeciw nam wszystkich wojskowych oddziałów niemieckich, węgierskich i przedstawicieli tych narodowości w innych oddziałach, że dawał nam prawdopodobieństwo rozpuszczenia ze zgromadzonych sił ruskich znacznej czy znaczniejszej części do domu, czy internowania ich (mam tu na myśli tę część Ukraińców, która miała wojny dosyć i która mając do wyboru pójście do domu albo walkę za Ukrainę wybrałaby raczej to pierwsze) że dawał nam wreszcie pewność walki, nie z całymi, zwartymi oddziałami wojskowymi, lecz z jednostkami czy kupą jednostek z każdego oddziału, sformowanych ad hoc w mieście. Słowem dawał nam tę nieocenioną wyższość, że w wojsku, nagromadzonym przeciw nam zjawiamy się jako władza wojskowa i opanowujemy je, a mając tylko część pewną przeciw sobie, mamy ją w grupach luźnych w wojsku lub w mieście tworzonych i pospiesznie ściąganych.

Liczyć się trzeba było ponadto z tym, że akcję taką można było zacząć i musiało się ją ukończyć przed przyjściem grupy Wasyla, by mając w mieście spokój, móc

jej dać odpór i rozbić ją poza miastem. Walk wewnątrz miasta i równoczesnego ataku dobrych sił ruskich z zewnątrz nie wytrzymamy zapewne.

W drugim wypadku tj. przy opanowywaniu od dołu sytuacja znacznie gorzej dla nas się przedstawia. Tu spotykamy się od razu ze zwartymi oddziałami wojskowymi, z których część (ruska) będzie chciała się bronić, druga część jako zwarta jeszcze i pod komendą swoich oficerów pozostająca, będzie mogła się bronić. Mamy więc przeciw sobie całe wojsko we Lwowie zgromadzone. Czy potrafimy je pokonać przed przyjściem Wasyła? Pomijam już kwestję, czy A. O. K. przygotowujące tak skrupulatnie ten zamach wydało czy nie rozkazy wszystkim oddziałom wystąpienia przeciw nam.

Czy więc wydzierżym w takim wypadku?

Liczyć się należało z tym, że nie wolno nam się dać pokonać, skoro my zaczynamy, gdyż wtedy przegrywamy nie tylko wojskowo ale i politycznie.

Przegrana militarna w tym wypadku równoznaczna z utratą Lwowa i całej wschodniej Galicji i to utratą zdaje się bezpowrotną.

Politycznie przedstawianoby sprawę następująco: Polacy chcieli opanować terytorjum i kraj ruski. Ludność miejscowa nie dała się jednak zgwałcić i sprawiła im lanie, jak się patrzy. Tak zrozumiałaby i zagranica. Dodam zaś, że był to okres punktów Wilsona, kiedy wszyscy byli zdania, że teraz zapanuje tylko sprawiedliwość bezwzględna. Czy ona byłaby wówczas za nami? Jak wyglądałaby sprawa Galicji wschodniej na kongresie pokojowym, gdybyśmy byli gwałcicielami, gdybyśmy pierwsi za broń schwycili i militarnie przegrali. Po obecnych perypetjach, kiedy jednak cała sprawiedliwość i wszystkie racje po naszej stronie, łatwo wyobrazić sobie.

Zapytam jeszcze, czy ludność Polski, czy i ludność samego Lwowa stanęłaby za nami tak jednolicie i w całości i tak nas poparała, gdybyśmy pierwsi „zgnębić chcieli naród, broniący swego równouprawnienia, swego prawa do życia na wspólnej ziemi“. Tak początkowo przed-

stawiały nawet naszą świętą walkę polskie i w Polsce wydawane pisma pewnych obozów.

Było to dla nas naonczas niewątpliwe, że zacząć możemy pierwsi, ale *musimy* wtedy wygrać. Nie wolno nam wówczas dać się pokonać, ponieważ wtedy tracimy wszystko, kraj i miasto polskie, tracimy moralnie i politycznie.

Trzeba więc było jeszcze zdecydować, czy możemy wygrać, czy i jakie szanse przemawiają na naszą korzyść. To było najtrudniejszą naonczas kwestją, której zdecydowanie wiele trudu kosztowało. Dziś po przewalczeniu tej walki można przytaczać dziesiątki argumentów cyfrowych i rozumowych, dziesiątki dowodów sprawdzonych, ale *naonczas samo rozumowanie, zimne i spokojne, obliczanie i pewna intuicja* mogły przemawiać za takim lub owakim rozwiązaniem.

Rozstrzygnąłem wtedy następująco: Przy zaczęciu z góry mamy pewne szanse wygrania, przy zaczęciu z dołu stawiamy wszystko na jedną kartę, gramy o banque i prawdopodobnie przegramy. Trzeba nam więc, ściągając jak najprędzej tworzącą się P. K. L. do Lwowa i z nią razem uprzedzić Ukraińców. Z dołu nam zacząć nie wolno, skoro mamy inne jeszcze rozwiązanie nie tak hazardowne. Hazard ten zbyt był kosztowny, bo półtora z górą miliona ludności polskiej i kilkadziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych polskiej ziemi.

Za tę decyzję pełną odpowiedzialność ponieść muszę i spokojnie ją przyjmuję.

Wiem, że są dziś jeszcze ludzie, którzy z przekonania, czy innych względów czynią mi z tego powodu zarzuty, wiem, że są nawet tacy - może naiwni tylko, którzy twierdzą, że uprzednie zaczęcie przez nas nie kosztowałoby nas ni jednej kropli krwi, że więc ta tak obficie przelana krew najlepszych synów Polski spada wyłącznie na mnie.

Czy mam się bronić, czy mam przemawiać pro domo mea? Nie, nie uczynię tego.

Przebieg późniejszych operacji daje tyle dowodów każdemu nieuprzedzonemu, że ja na nie wskazywać nie potrzebuję.

W drugiej sytuacji: zacząć rozbrajanie równocześnie z Ukraińcami, możliwy sposób postępowania następujący: Przygotowuje się odpór zbrojny we wszystkich czy poszczególnych jeno obiektach (koszarach) i z chwilą gdy Ukraińcy zaczną rozbrajanie gdziekolwiek, znajdują taki odpór, który kończy się ich rozbrojeniem z większą czy mniejszą walką.

Nie można było ani przyjąć go odrazu, ani też odrzucić a limine. Należało zbadać dokładnie wszystkie momenty i zależnie od nich dopiero postąpić. Pomijam konieczny wymóg równoczesności, gdyż w razie uprzedzenia Ukraińców staje się on postępowaniem omówionym w poprzednich kilku ustępach tj. rozbrojeniem z dołu.

Należało obliczyć, na kim w poszczególnych koszarach można się było oprzeć, jaki jest tam stosunek Ukraińców i jakich sił własnych potrzeba, by rozbrojenie to gładko przeprowadzić, dany obiekt koszarowy we własnym utrzymać władaniu. Należało dalej uwzględnić i moment strategiczny w utrzymaniu obszaru tego, to znaczy czy daje nam to pewne korzyści strategicznie w dalszych operacjach, czy jest do utrzymania łatwy lub trudny, czy też staje się tylko ciężarem, pochłaniającym niepotrzebnie własne siły.

Śmiesznie małe cyfry dało nam skrupulatne rozejrzenie się za Polakami w oddziałach wojskowych we Lwowie stacjonowanych. Dochodziliśmy w niektórych do ułamka procentowego zaledwie. Rusinów czy Ukraińców wszędzie moc ogromna. Trzebaby więc wszędzie przeprowadzać to rozbrojenie własnymi siłami, z zewnątrz, rozbrojenie nie band, rozlatujących się do domów, jak w całej Polsce wkrótce się to dziać zaczęło, ale oddziałów wpiskowych, przygotowujących się wszak do walki. Czy w takiej sytuacji dalibyśmy wszystkim odrazu radę? Jeśli można było wybierać poszczególne jeno koszary i te

rozbroić, decyduje wówczas moment strategiczny wyłącznie.

Łatwe więc np. do obrony były koszary 15 p. p. to znaczy nie wymagały uwięzienia zbyt wielkich sił, by je przed wszystkimi możliwymi atakami obronić. Dużych sił i na rozbrojenie i na utrzymanie wymagała Cytadela, znakomity zresztą obiekt obronny, ale bronić go trzeba ze wszystkich stron pokązną tyralierą. Koszary Piotra i Pawła i Jabłonowskich wymagały do swej obrony — po gładkim ich opanowaniu — po paręset ludzi; ze wszystkich stron bowiem można zbliżyć się do nich łatwo, a dużo ogromnych, rozrzuconych budynków nie ułatwia obrony. Z innymi koszarami podobnie. Licząc się dalej z obroną, musiało się uwzględnić możność zaopatrzenia broniącej się załogi w żywność i amunicję. Magazyny amunicyjne zaś jeden na dworcu, drugi w Skniłowie. Jak i które im tam dostarczyć, jeśli całego nie zajmiemy miasta. Skoro zaś poświęcimy odrazu po paręset ludzi na jeden obiekt, czym zdobywać miasto.

Jak postępować mogło rozbrajanie takie, a z drugiej strony jak małych sił potrzeba było, by osaczyć załogę w budynku źle obranym, dam jeden przykład. Baon węgierski ulokowany w szkole Konarskiego, osaczony już przez nas zupełnie, oświadczał buńczucznie: „bronić się będziem do ostatniej kropli krwi, broni nie złożym“. Dziesięciu chłopców odpowiednio sprytnie rozlokowanych wystarczyło, by z budynku tego nikt nie mógł wytknąć nosa. Spuszczali prędko z tonu węgrowie, kiedy głód zaczął dobierać się do nich. Tu mogliśmy sobie pozwolić na to, ponieważ budynek leżał już w środku naszego terenu operacyjnego. Lecz gdyby trzeba go było zdobywać — co robić — poświęcić kilkuset na atak wątpliwy, czy odejść. Przy rozbrajaniu, mając na barkach i tyłach walki w mieście, na dłuższe obleganie trudnoby przyszło się zdecydować.

Wystarczających sił własnych nie było na opanowanie wszystkich koszar. Wybrać zaś jedno z nich i wsadzić tam odrazu wszystkie rozporządzalne siły własne, mogło stać się zabójcze dla dłuższego naszego oporu.

Zdecydowałem się poświęcić jedną grupkę ludzi na koszary 15 p. p. Kwaterowało tam około 80 legionistów, w tej liczbie kilku członków P. K. W. Wydałem więc im dyspozycję, by bacznie czuwać i z chwilą gdy Ukraińcy szykować się będą do rozbrojenia, oni spróbowali ich rozbroić, lub choćby w części koszar zbrojny im stawić opór. Tymczasem pierwsze wiadomości o pierwszym rozbrojeniu właśnie stamtąd przyszły, a wysłane patrole w okolicę (do wnętrza dotrzeć już po 9 godz. nie mogły) meldowały o zupełnym spokoju. Tak prędko poszło rozbrojenie w koszarach, w których my mieliśmy najsilniejsze oparcie wewnątrz, gdyż i tych legionistów i najwyższy ze lwowskich procent Polaków.

Tu należy propozycja P. O. W. opanowania koszar Piotra i Pawła. Ze względu na ustawioną tam odpowiednio przez członków P. O. W. — wartę, może udałoby się to mimo czujności ukraińskiej. Lecz cóż dalej? Gdzie i czym opanować resztę koszar? Na obronę zaś ich 400 ludzi wcale nie dużo, a kim i jak pilnować tych parę tysięcy (powyżej 3000) rozbrojonych i internowanych. Do miasta w ręce ruskie chyba ich nie wypuścimy. Jak zaś bronić obiektu przed atakami z zewnątrz, mając wewnątrz tylu internowanych i to w pewnym procencie rozagitowanych i zdecydowanych na wszystko. Czym i jak ich żywić, skąd amunicję, jeśli walka w mieście się przeciągnie i dość prędko całego nie opanujemy miasta.

To też osobiście nie mogłem się na to zgodzić i zwracałem nawet do P. O. W. o poddanie się pod moją komendę, twierdząc: „róbcie sami, jeśli chcecie“. Ja z P. K. W. inną pójde drogą, a może wtedy pomogę wam więcej z zewnątrz, niż pchając teraz wszystko razem z wami do środka koszar tak nieszczęśliwie położonych.

Przechodzę wreszcie do trzeciego możliwego sposobu postępowania. Przeprowadzić go należało w ten mniej więcej sposób. Siły rozporządzalne obecnie lokuje się w mniejszych ilościach w odpowiednio obranych punktach miasta tak, by obrona obiektu nie przedstawiała zbyt wielkich trudności z jednej strony, z drugiej, by poszcze-



gólne te punkta oporu—reduty przedstawiały pewne korzyści strategiczne same dla siebie, albo też z uwagi na cały plan we wzajemnym stosunku. Reduty te zachowują się defenzywnie, aż do odpowiedniego momentu, w którym poszczególne czy pewna ich grupa przejść będą miały do wspólnego ataku. Muszą być one tak dobrane, by można ich użyć albo do planowo-wojennego działania, do walki regularnej, albo do walki ulicznej, równoczesnej w całym mieście, gdyby pokazał się odpowiednio korzystny dla nas moment.

Równocześnie już w czasie tej walki organizuje się dalszych ochotników i tworzy z nich wzmocnienia osłabionych redut, nowe reduty, lub rezerwy na nową walkę, na nowe jej podsycanie.

Tymczasem prowadzić akcję rozkładczą w armii ukraińskiej, czekać na rozlatywanie się oddziałów i związków taktycznych z chwilą rozpuszczania ich do ataków i wychodzenia z rąk oficerów.

Korzyści rozwiązania tego następujące: Dając nam możliwość przejścia każdej chwili do ataku, nawet pierwszego zaraz dnia, nie zmusza nas grać od razu *va banque* i albo wygrać albo przegrać, lecz pozwala nam kontynuować obronę taką tygodniami czy miesiącami w najniekorzystniejszych nawet dla nas warunkach. W razie złamania oporu w którejś z istniejących już redut, czy wszystkich walczących, pozwala wzniecać nowe ogniska oporu, a nawet w razie niemożności prowadzenia walki we Lwowie, w razie wyparcia nas zeń—przypuśćmy—wszczynanie walki w okolicy, czy nawet przenoszenie jej po całej wschodniej Galicji.

Sposób ten dawał nam ogromne korzyści polityczne: Ukraińcy przy pomocy państw centralnych chcą zawładnąć ziemią polską. Ludność miejscowa broni się i broni miesiącami. Wogóle podtrzymujemy wysoko i krwią własną dokumentujemy, że terytorjum to sporne, że kongres musi nim się zająć i musi załatwić po naszej myśli, ponieważ inaczej my tego nie uznamy, lecz dalej walkę toczyć będziemy. Łamanie pokoju, sprawiedliwości, wszczynanie walki, to wszystko przemawiać będzie przeciw

Ukraińcom, a za nami, wszystkie powyższe i względ słuszności i poświęcenia.

Liczyliśmy się także z tym, że walka taka prędzej czy później rozpali cały nasz naród, który pospieszy nam z pomocą skuteczną. Nie przypuszczaliśmy jednak niestety, że aż tak długo, aż do maja właściwie na nią przyjdzie czekać. Ale choćby i dłużej, my wytrwalibyśmy. Zrozumieliśmy później dopiero, że wyleczyć wprzód trzeba było naród nasz i nasze czynniki państwowe.

Miał jednak ten sposób postępowania i swoje ujemne strony, a więc wojskowo ważne wypuszczenie inicjatywy z ręki swojej (choćby tylko do odpowiedniego momentu) nieubiegnięcie przeciwnika, trudność kierowania, wreszcie konieczność zdobywania i atakowania całego miasta.

Choć walka nigdy byłaby nas nie minęła, zawsze miasto trzeba było najpierw zdobyć, dawał nam ten sposób te korzyści jeszcze, że pozwalał naprzód dobrze szczyrbić atakującego nieprzyjaciela (tysiące musiałby poświęcić na zdobycie każdej z redut) a co najważniejsze uniezależniał zupełnie nas i naszą akcję od jakichkolwiek posiłków ukraińskich przyszłych, czy dążących do Lwowa. W tej akcji nie groźna nam byłaby grupa Wasyla, choćby ona i 100.000 wynosiła ludzi. Podczas gdy w każdej innej poprzedniej zgniotłaby nas, gdyby przyszła prędzej, zanim załatwimy się w całym mieście, zanim opanujemy całkowicie miasto wewnątrz i ubezpieczymy się należycie od zewnątrz. Jakżeż inaczej przedstawia się przy tym postępowaniu nawet sprawa przegranej. Ulegli—ale pod przemocą prusko-austriacką. Ludność miejscowa nie pogodziła się z nią jednak i nigdy nie pogodzi.

Z rozmysłu zająłem się obszerniej tym problemem i przytoczyłem wszystkie argumenty za i przeciw, które wtedy u mnie decyzję spowodowały, po pierwsze, aby czytelnik sam mógł się w nich rozpatrzyć; po drugie, aby zyskał pojęcie, jak szalenie trudno było tu powziąć jakąkolwiek decyzję i jaką odpowiedzialność na swoje wziąć barki. Łatwo dziś przychodzi pisać o tym, kiedy doświadczenie walk minionych okazało trafność planu, trudniej

i zaprawdę boleśnie było myśleć o tym przedtem i rozważyć tak, by ni jedna kroplą krwi drogiej nie poszła na marne, by nie zaprzepaścić całkowicie, nie wpakować w wieczne jarzmo niewoli kraju, miasta i ludu polskiego.

Wzdrygam się jeszcze dziś na te katusze, jakie przechodziłem naówczas. Wszak dla zimnej rozwagi zdawało się sytuacja beznadziejna. Nie było nadto człowieka, którego choćby można było o radę spytać.

Trudno, wziąłem decyzję tę na barki swe i wedle najlepszej woli i wiedzy starałem się ją powziąć. Jeśli zbłądziłem, kamieniem w siebie rzucić każdemu pozwolę.

Plan ten, w skróceniu naturalnie, przedstawiłem na małym zebraniu polityków (w mieszkaniu D-ra Dąbrowskiego) nie pomnę już w poniedziałek czy środę t. j. 21 czy 23 października. Zaczęło się ono o 11 w nocy. Wtedy przedstawivszy argumenty, postawiłem sprawę jasno: zjawi się władza polska, obejmujemy z góry, nie zjawi się, pozwalamy Ukraińcom opanowywać wszystko i postępujemy w myśl ostatniego sposobu. Na opanowanie z dołu i opanowanie częściowe koszar pójść nie mogę. Nie mogę bowiem i nie wolno mi zagrać w hazard przy tak wysokiej stawce. Wolalbym, by było rozwiązanie pierwsze możliwe i o przyspieszenie przyjazdu władzy polskiej ich prosiłem. Zgodzili się na to wszyscy i wtedy to poszły odpowiednie sztafety do hr. Skarbka.

Niestety P. K. L. nie przyjeżdżała i nie przyjechała.

Należało wreszcie zdecydować, w której części miasta i jak rozmieszczamy nasze reduty. Sprawa ta zależała od najrozmaitszych czynników, które uwzględnić należało, jak:

- 1) strategiczne położenie Lwowa i jego poszczególnych dzielnic.
- 2) sposób zabudowania poszczególnych części miasta i wiążąca się z tym ściśle możność operacji wojskowych tak defensywnych jak ofensywnych.
- 3) zaludnienie poszczególnych dzielnic—przewaga elementu polskiego z jednej strony, a z drugiej skupienie

elementu wojskowego już będącego w szeregach organizacji i mogącego do nich wpłynąć w chwili zaczęcia walki.

4) rozmieszczenie austriackich koszar wojskowych i stosunki narodowościowe w nich panujące, nadto wiążąca się z tym ściśle możliwość dłuższego lub krótszego ćwiczenia, organizowania i uzbrojenia zbierających się własnych oddziałów.

5) położenie linii kolejowych i dworców.

6) rozlokowanie austriackich magazynów materiału wojennego i wojskowego, jak broń i amunicja, cały materiał techniczny, saperski i taborowy, telefoniczny, samochodowy, ubraniowy itd. wreszcie warsztaty wojskowe (austriackie) i cywilne, które w danej chwili zająć można.

7) możliwość zaopatrywania miasta i wojska w żywność i rozmieszczenie magazynów żywnościowych.

8) położenie wsi podmiejskich i przedmieść i ich stosunki narodowościowe (o większości polskiej czy ruskiej) i ludnościowe (ile i jakiego ochotnika dać mogą).

Wszystkie powyższe względy przemawiały za zachodnią i północną połacią miasta. Tam też zrobiliśmy naszą podstawę operacyjną i ulokowaliśmy większość sił własnych. Ponadto w bliskości koszar i ważnych obiektów we wschodniej połaci miasta rozlokowaliśmy mniejsze oddziały, by móc odpowiednio je użyć przy sprzyjającym momencie wojskowym i korzystnych dla nas warunkach.

Jako reduty wybrać należało budynki, do obrony najłatwiejsze i wymagające jak najmniejszych sił. Nie mogły to być kamienice zamieszkałe przez rodziny, trudniej koszary wojskowe. Nadawały się do tego dobrze szkoły i różne urzędy publiczne.

Z obsadą ich nie można się było zbyt spieszyć, by nie zwrócić uwagi austriackich władz wojskowych.

Przedstawienie dalszego planu działania i sposobów własnego postępowania przy najrozmaitszych, możliwych ewentualnościach nie wchodzi w zakres niniejszego rozdziału. Zaznaczę jedynie, że był on gotów i dokładnie musiał być wyczelowany przed zamachem ukraińskim.

Choć krzyżowały go w drobnych przejawach różną okoliczności, w całości swej znalazł dobre zastosowanie aż do ostatecznego zdobycia miasta.

Tymczasem codziennie prawie przychodzą wiadomości, jedno zdawało się najpewniejsze, inne zmienne i tchórzliwe: „*dziś robią Ukraińcy zamach*“, lub „*Ukraińcy opanowali już to a to*“. I takich zamachów przeżyliśmy w październiku cztery, aż znowu rozległa się po raz piąty 31 października wieść: „*Ukraińcy opanowali już koszary 15 pp.*“ Wysłane patrole stwierdziły z ulicy spokój, a jeden z dzielnych patrolowców (śp. Battaglia) wdartszy się w środek koszar, życiem to przypłacił i dogorywał w brzuch ranny w koszarach bez naszej wiedzy.

Dyrektor policji, Polak, grał spokojnie w kasynie miejskim w karty i ręczył szerszej publiczności—nie nam,— że spokój wszędzie zupełny, że pogłoski o zamachu bezsensowne, zdradzają tylko zdenerwowanie polskie i z niego jeno swój początek biorą.

Taki był „pekawiacki“ plan działania. W zasadniczej jeno jego postawie wspominałem o nim członkom P.O.W. na drugiej, wspólnej konferencji.

Czy mieli oni własny plan działania i jaki? Wyjawili go dopiero 31 października. Chcieli oni wonczas—w ciągu nocy, rozbroić 19 pułk strzelców w koszarach Piotra i Pawła. Przypuśćmy, że udałoby im się to. Lecz na pytanie, co dalej, dość mętne, niezbyt przemyślane dawali odpowiedzi. Wsadzić tam bowiem paręset ludzi i internować kilkanaście setek to jeszcze łatwo, ale bronić on obiekt przed prawdopodobnymi atakami, znacznie trudniej. A czym żywić tych wszystkich ludzi i skąd brać dla nich amunicję, po wyczerpaniu będącej tam na składzie. Zapewne inaczej przedstawiałaby się sprawa, gdyby można było rozbroić wszystkie koszary. Lecz na to nawet oni sami nie widzieli sił odpowiednich, możliwości, ni sposobu. Tembardziej teraz, kiedy Ukraińcy opanowali już prawdopodobnie koszary 15 p.p. Działanie więc według ich planu byłoby w tej sytuacji tworzeniem nowej reduty—najniekorzystniejszej i w najgorszym miejscu, a wymagałoby w danej chwili

użycia w tym jednym miejscu prawie wszystkich sił rozporządzalnych.

Twierdzono później (patrz Kron i Łapiński „Listopad we Lwowie“) że popołudniu 31 października otrzymała P. O. W. od swych władz organizacyjnych rozkaz natychmiastowego, czynnego we Lwowie wystąpienia. Nic o tym na onczas nie mówiono i nigdzie nie wystąpiono. Wysłano jedynie późną już nocą mały oddziałek (kilkunastu ludzi) pod wodzą kap. Wiktora (Kopcia Ludwika) do Rzeszy Polskiej celem rozbicia i opanowania załogującej tam baterji, która kilka dni temu przyjechała z Serbji a pozostawała pod komendą kap. Ładzińskiego Tadeusza. Ponieważ łączyło się to z planem naszym, posłaliśmy tam członkom P. K. W. rozkaz wspólnego z nimi działania i opanowania baterji.

Co planowała grupa P. K. P. z r. 1918 pod wodzą pułk. Sikorskiego w kilku dalszych opowiem słowach. 30 października odbył pułk. Sikorski konferencję z prezydentem miasta, na której wedle późniejszych opowiadań D-ra Stesłowicza zapewniał, że niema żadnych powodów do jakichkolwiek obaw i niepokoju, że wszystko już zarządzone na ewentualne uniemożliwienie zamachu ukraińskiego i t. d. Choć w ten sam desęć twierdził kap. Kamiński, który zresztą jedyny nie wierzył zupełnie w możliwość zamachu ukraińskiego—na wspólnym naszym posiedzeniu 31 października, nie dowiedzieliśmy się o nich zupełnie poza tym, cośmy już wiedzieli t. j. że mają w szkole Sienkiewicza „batalion zapasowy“ z 12 ludzi i że utrzymują słabiutkie, nieuzbrojone pogotowie (z kilku ludzi) w lokalu swej komendy placu (przy ul. Akademickiej).

Z późniejszego, pisemnego raportu kap. Trześniowskiego wnioskować można, że mieli nakazane umieścić w dniu 1 listopada w mieście małe pogotowie w ratuszu i otrzymać broń rzekomo zdeponowaną dla nich tamże. Broni tej nie było tam zupełnie, a 1 listopada silnie dzierżyli ratusz ukraińcy.

Zresztą 31 października wyjechał pułk. Sikorski ze Lwowa, a kierownictwo tej grupy zostało w rękach kap. Kamińskiego.

Czynniki oficjalne polskie—miejskie, krajowe i polityczne—nie poczyniły żadnych przygotowań, nie miały — zdaje się—żadnego planu działania.

---

## NOC WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH.

(z 31/10 na 1/11 1918).

Na posiedzeniu u majora Śniadowskiego nazaczyłem jeszcze jedno na noc tę posiedzenie o godz. 10 w Polskim Domu Akademickim. (Senatorska 1) celem przedstawienia planu działania i omówienia zaszłych ewentualnie wypadków ukraińskich, po zbadaniu ich przez wywiadowców obustronnych P. O. W. i P. K. W. Punktualnie zeszliśmy się tam w małym pokoiku Wydziału Czytelni Akademickiej. Długo czekać musieliśmy na powrót wywiadowców. Urzędowało tam od kilku dni stałe pogotowie P. K. W. P. O. W. zarządziło na tę noc zbiórkę tamże. Ponieważ odbywała się tam także wieczornica Zjazdu młodzieży niepodległościowej z całej Polski, rojno i gwarno więc w nim było. Na dziwny ton składały się tany w wielkiej sali Czytelni, rwetes i harmider na korytarzach, jak wśród rozbawionej młodzi, czasem oręż po wejściu w dom, z pod peleryny wyciągany zastuknął, a tu w małym pokoiku narady decydujące—może—o całej przyszłości tej ziemi. Może zupełnie tak, jak w widzeniu weselowym Mistrza...

Gdym wszedł w te mury naonczas po kilku latach tułaczki wojennej po raz pierwszy, mnie, który byłem przy narodzinach domu tego osobiście od pierwszych niemal bezplanowych projektów aż do urzeczywistnienia marzeń naszych i zaludnienia go dzielną, ówczesną młodzieżą akademicką, przyszły mnie wtedy na myśl słowa: „Nie bądź szopką Wyśpiańskiego“.

Przypadkowe to skojarzenie może, lecz jakżeż, o przebóg, podobne...



Po krótkim przedstawieniu mych planów działania, tylko gwoli koniecznego zorientowania przyszłych podkomendnych, debatowano długo nad kosztarami Piotra i Pawła, którąto propozycję stawiał komendant okręgowy P. O. W. por. de Laveaux. Stanowisko moje wyłuszczyłem poprzednio.

Omówiliśmy dalej sposób uregulowania komendy i zgodnego na przyszłość działania i przygotowania — o ile nie dojdzie jeszcze dziś do zamachu ukraińskiego. Stało na tym, że rozkazuję od dziś organizacji całej—jako takiej przez jej władze właściwe, nie wchodząc osobiście w nią. Od chwili zaś rozpoczęcia akcji rozkazodastwo moje rozciągać się będzie wprost na wszystkich członków organizacji.

Przyszły teraz meldunki wywiadowców: „W koszarach 15 p. p. zupełny spokój. Wszedł do środka Battaglia i dotychczas nie wyszedł“. — „Wszędzie indziej spokój zupełny“. — „W koszarach Piotra i Pawła dużo oficerów i to takich, których rzadko się tam widywało“ i t. d.

Niepewność moja, czy dałoby się tak haniebnie podejść tych 80 legionistów z 15 p. p. Nie do wiary. No, zobaczmy, my przygotowani.

Małe wahanie, czy już w nocy nie opanować magazynu amunicyjnego. Jeśli Ukraińcy dziś jeszcze nie zaczną, wszystko wykryto i na zawsze udaremniono.

Celem naocznego uwidocznienia połączenia się naszych dwu organizacji zarządziłem, że pogotowie w Domu Akademickim i patrolowanie stąd miasta będzie utrzymywane naprzemiennie przez P. O. W. i P. K. W. Dziś przez P. O. W.

Dalsze więc krótkie już rozkazy: „Pogotowie baczność i czuj duch!“ Wszelkie meldunki do mnie; trzeci stąd dom! Reszta spać; lecz poczynić przygotowania i być gotowym na mobilizację na każdą godzinę!“

Po drugiej opuszczaliśmy pokoiczek mały. A tu mazur z hołubcami „raz do koła“ rżnie w sali czytelnianej, że aż dom się trzęsie.

Zaszedłem jeszcze na piętro, do mego pogotowia z P. K. W. Właśnie melduje łącznik swój powrót z pogo-

towia na Janowskim i z Domu Techników. „Wszędzie spokojnie i wszystko w porządku“. Zwolniwszy ich więc z dalszego czuwania, kazałem zostawić jeno „tych od mobilizacji“, a reszcie pójść spać. „Prześpijcie się chłopcy“, rzekłem „bo może ostatnia to noc wasza“.

Większość jednak pójść wolą na tany, a któżby przypuszczał, że na drugi już dzień dwu z nich będzie zabitych a trzech dogorywać w szpitalu ciężko rannych. Za nimi poszedł wkrótce komendant pogotowia onego por. Kamieński.

A no „wojna nie matka, ludzi nie żywi, ale ludzi z werwą i humorem przyhołubia“.

Trzecią trzydzieści wskazywał zaledwie zegarek, gdy zadzwonił dzwonek w mieszkaniu moim. Otrzymałem meldunek następujący: „Ukraińcy wyruszają z koszar na opanowanie miasta“. W minutach kilku byłem już w Domu Akadem. i w „Imię Boże“ rzekłszy, przystąpiłem do akcji i działania. Mobilizacja obu organizacji, rozkazy do redut treści: „Napadnięci bronić się! Tymczasem zdobywać broń!“ rozdział po redutach ludzi i karabinów—a było ich, jak powiedziałem, aż 64 najrozmaitszych systemów, od Werndla nieśmiertelnego zacząwszy i t. p. znane czynności wojenne.

W trakcie przychodzą meldunki. Jako jeden z pierwszych: „Baon i 2 kompanie karabinów maszynowych zajęły rynek. Rusini obsadzają ratusz. U wylotów ulic do rynku po 1 K. M.“ a dalej „Kompania z 6 K. M. na odwach“. To samo poczta itd itd.

Dziwiłem się zaiste, jak sprawnie i planowo funkcjonowało to u Ukraińców. Widocznie dobrych musieli mieć instruktorów, którzy każdy ruch obliczyli z nimi na minutę. Dziw formalnie zbierał, gdy się miało przed oczyma kolejny porządek obsadzania gmachów publicznych, rządowych i prywatnych (z tych banki przedewszystkim). Następnie przyszła kolej na obsadzanie ulic. Większe biwaki w dobrze wybranych budynkach, na kilka ulic przeznaczone; z nich wysyłało patrole po dwóch i ronda po 8 do kilkunastu, nierzadko pod wodzą oficerów. W koszarach obfite rezerwy, wszystko w ostrym pogotowiu, część bi-

wakuje na podwórzach, gotowa każdej chwili do wymarszu. Wkrótce zjawiają się na ulicach miasta samochody, uzbrojone w herojów z najeżonymi karabinami i karabinem maszynowym pośrodku. Ukraińcy zataczają karabiny maszynowe na piętra kamienic i wieżycy miasta, gwoli obstrzału ulic.—Stanowiska wybrane znakomicie.

Co obsadzili ukraińcy? Wszystko, a więc: wszystkie gmachy wojskowe, rządowe, autonomiczne i miejskie, banki, większe place, ulice itd. Nie obsadzali jedynie gmachów, zajętych przez węgrov i niemców austriackich. Wiedzieli zapewne, że ci są ich sprzymierzeńcami.

Tymczasem u nas postępowała mobilizacja. Zachwycony byłem i wzruszony, gdy od kierowników mobilizacyjnych P.K.W. kap. Jerzego Grodyńskiego, przy współpracy ppor. Wawrzyńca Dajczaka i Dr. Lesława Węgrzynowskiego, zacząłem otrzymywać meldunki: „sekcje X. Y. Z. wzmocniły obsadę Domu Techników, trzy sekcje weszły do szkoły Sienkiewicza, pluton Kułakowskiego obsadził koszary na Janowskim i szkołę Kordeckiego itd. Pogotowie Sokół Macierz, reszta czeka na dalsze rozkazy, brak jeszcze tylu i tylu“. Zapewne ułatwioną mieli pracę, mając dokładne plany na dłuższy czas przedtym, mimo to dokonali pracy nadzwyczajnej, nieocenionej.

Gorzej nieco szła mobilizacja w P.O.W., choć bez winy jej kierowników. Musieli bowiem dopiero teraz naginać się do wymogów nowego dla nich planu i odpowiednio rozdzielać swych członków. Jak długo jeszcze sam komendant por. de Laveaux zajmował się tym, szło jako tako. Kiedy jednak w parę godzin później zaniemógł, sprawa poszła gorzej. Część członków znalazła się, lub dostała przydziały dopiero na drugi dzień. Podkreślam: bez winy organizacji, a raczej z winy stosunków i braku czasu przerobienia swego planu mobilizacyjnego.

Zjawił się wkrótce por. de Laveaux. Polecilem mu wcielić cały sztab—całą komendę P.O.W. do mej komendy, by razem, zgodnie i do pewnego stopnia równorzędnie pracować dla wspólnego celu. Wtedy padło po raz pierwszy słowo—ale nie wiem z czyich ust—„Naczelną

komenda W. P. we Lwowie“ na oznaczenie tej wspólnej, najwyższej komendy. Ponieważ każda z organizacji miała swoją komendę, trzeba było tę, nad nimi stojącą, jakimś przymiotnikiem oznaczyć. Przyjął się wyraz tamten odrazu i stale był odtąd używany. Nie warto by o tym wspominać, gdyby nie różne późniejsze zarzuty, wyrzuty, niedowierzania, ba nawet gnębienia osób i zaprzeczania sprawy.

Rozkaz wysłania 20 członków P. O. W. do szkoły Sienkiewicza bliżej jeszcze omówię. Dla systemu redut naszych gmach szkoły tej był jednym z najważniejszych. Ważny — bardzo ważny z powodu bliskości dworca i wspomnianego już tylekroć magazynu amunicyjnego. Punkt obsadzony jednak za słabo z jednej strony (32 ludzi zaledwie) z drugiej przez oddział, którego spełniania rozkazów nie można było być pewnym. Oddział ten w całości i jedyny należał i zaliczał się do znanego nam już „Wojska polskiego“ kap. Kamińskiego, który — jak wiadomo — komendy wspólnej nie uznał. By więc wzmocnić go, by dostać go w swoje ręce, bez względu na to, jak się ludzie zachowają, posłałem tam 20 P. O. W. i nieco więcej P. K. W. Zarządzenie konieczne, bo wkrótce tego samego dnia jeszcze padły tam słowa: „Co my mamy słuchać jakiejś komendy naczelnej.“ Znalazły jednak natychmiast należytą odprawę wśród żołnierzy na miejscu.

Zarządziłem dalej zbiórkę półtorej setki P. K. W. i tyleż P. O. W. w kościele św. Elżbiety. Zadaniem ich było opanować magazyn amun. i wziąć go silnie w swe władanie. Komendantem wyprawy tej miał być por. Brzezowski Ludwik, dla którego wystawiłem kartę, polecającą oddać mu magazyn. Był to znak umówiony z zarządcą magazynu. Polecilem dać mu tę kartę, gdy się zgłosi i konieczne instrukcje. Tymczasem, w czasie mej nieobecności, nie czekano na tamtego, lecz wyznaczono na komendanta tej akcji kap. Rożena i jemu dano kartę i rozkaz. A ten pokpił gruntownie. Obeznanego ze stosunkami i położeniem magazynu amunicyjnego, znakomitego fachowca, por. Brzezowskiego, gdy się zgłosił w myśl instrukcji osobiście po rozkazy, zbyto niczym. Zdezo-

rientowany nie czekał na me przyjsie, lecz chwycił za karabin i stanął do walki. Dlaczego tak zrobiono?

Zdawszy więc komendę por. de Laveaux, jako memu zastępcy, wyszedłem sam na miasto, by naocznie zorjentować się w sytuacji w mieście i zależnie od niej powziąć ostateczną decyzję. Chodziło teraz przedewszystkim o rozstrzygnięcie: Walka w całym mieście, czy planowa ofensywa z rełut wychodząca, czy tylko defensywa na razie.

Ostatni raz jeszcze musiałem przejść katusze rozważania i decyzji, by potym zależnie od niej wziąć się już tylko do wyężonego działania.

Wyszedłem z komendy około siódmej, kiedy ustępowwały ostatnie cienie złowieszczej i brzemiennej w następstwa nocy, a zbliżał i świtał dzień ponury, dzień, jakiego nie zażył jeszcze Lwów w swych dziejach.

Zamiast odpowiedzi na pytanie, dlaczego Ukraińcy przyspieszyli zamach, przytoczę w dodatkach półoficjalny artykuł Ukraińskiej Rady Narodowej, zamieszcza on w „Dile“ (№ 251 z 3 listopada), w którym w niedołężny sposób usprawiedliwia swoje postępowanie i daje dokładny przebieg obsadzenia miasta przez „ukraińskie wojska“. (Patrz do-datek 10).

Zajęcie miasta i brak jakiegokolwiek przeciwdziałania ze strony wojskowych komend austriackich, brak jakiegokolwiek starcia z oddziałami i wojskami austriackimi, jest klasycznym, typowym przykładem współdziałania planowego z Ukraińcami wojskowych władz austriackich. Wszak mieli cały szereg straży, wart i pogotowi (Bereitschaft), wszak mieli liczne i wyborowe oddziały obcych narodowości, wszak mieli ułożone różne „Alarmdispositionen“ na wypadek rozruchów i zamieszek w mieście, a mimo to odbyło się wszystko „planowo i bez strzału“.

Ba nawet komenda austriacka wojskowa (Militärkommando) już tego samego dnia urzędowała dalej, przyjąwszy tylko w skład swój „mężów zaufania U. R. N.“ i miała dbać „na spłku z ukraińskimi wojskami pro uderżanie ładu i poriadku w misti“. (Dilo № 251 z 3/11).

## DZIEŃ WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH.

Chłodny, ponury dzień listopadowy wstawał powoli i późno, jakgdyby nie chciał, jakgdyby wzdrygał się zobaczyć zmienione do cna oblicze polskiego odwiecznie Lwowa. Posępny dzień, w którym tradycja od wieków każe myśleć o umarłych i im wspomnienia poświęcać, jakżeż inne, jakżeż odmienne przynosił uczucia. Nie poznał się Lwów w swej nowej szacie. Na ratuszu pięć przeogromnych „sino żółtych praporów“, wszystkie koszary i budynki państwowych władz podobnie ustrojone, a na ulicach czern obficie krąży—czern w tysiące idąca, w karkadki ustrojona, pozdrawiająca się głośno i z tupetem słowem „harazd“. By to słowo po ulicach miasta mogło rozbrzmiewać, by panoszyć się mogła czern tak liczna, a mimo to niepewna i trwożliwie się oglądająca, poustawiano przeobficie, niby srogie memento, karabiny maszynowe—nowiuteńkie „Schwarzlose“. Każdy z nich do strzału gotów, u każdego z podajnika zwiesza taśma pełna naboju. Z rynku osiem ulic prostych wychodzi, u wylotu każdej z nich stoi złowrogi taki trójnog. Przecz jeszcze na wieży ratuszowej żołnierzy widać, a przez balustrady szarzeją znowu podobne kształty. Na Placu Ducha, przed odwachem pół kompanii karabinów maszynowych, na teatrze, w foyer, znowu podobne widzi się lufy na Wały hetmańskie skierowane. Z drugiej strony tychże samych Wałów z rusztowania niewykończonych kamienicy widać skierowane w południowym kierunku na plac Marjacki i ulicę Akademicką, cztery potworki takie. Tu pod „Georgem“, kilkadziesiąt stamtąd kroków zaledwie, dalsze dwa szczerzą swe pyszczki na plac Halicki i Bernadyński i św. Jana z Dukli, co już raz miał Lwów ocalić. Tam, w komendzie korpuśnej i tu w komendzie miasta, znowu

ruch ogromny. To dalsze pogotowie z równie groźnymi narzędziami śmierci. Tam znowu poczta, w cztery takie piskłeta zbrojna, ustawione wylotami na wszystkie dojazdowe do niej ulice.

Dość wyliczania tego! Zaiste, miesiące pracować musiały austriackie fabryki, by tyle wytworzyć podarków dla pupilków swych najdroższych.

Objechałem pół miasta (tramwaj w górę kursował jeszcze), zaglądnąłem spieszenie w drugą połowę, licznie w koszary zbrojną i przekroczyłem z kopę w liczeniu karabinów maszynowych, naocznie oglądanych. Wtedy, spenetrowawszy wszystkie ich siły, zorjentowawszy się w rozlokowaniu ich, powziąłem decyzję ostateczną, walki regularnej, defensywno-ofensywnej. Bronić się, a po odparciu ataku samemu atakować i zdobytą przestrzeń ubezpieczać natychmiast. Oto zasada przyszłej walki.

Ciężki spadł mi kamień z serca i głowy.

W szczęśliwym położeniu wodzem byłem bowiem obecnie, mogąc w bezpośrednim oglądaniu i sumowaniu sił nieprzyjacielskich zastanawiać się nad najlepszym, najprędszym ich zgnieceniem. Gdy tak słabe ich strony sumowałem, nagle: „stij, ruki w werch“ i trzech drabów bagnety w pierś skierowało moją. Srogie przekleństwo z mej strony i po długich ceregielach skończyło się zabraniem rewolweru z kieszeni.

Lwów polski, ten oficjalny i nieoficjalny, spał twardo i długo tej nocy. Spał „snem sprawiedliwego“, nie mając sam żadnych wrogich zamiarów i nie przeczuwając nic złego. Późnym rankiem dopiero zaczęły wyglądać przez okna tu i ówdzie zaspane oblicza, ciekawe zapewne poznać przyczyny niezwykłego na ulicach turkotu. Nie chciał nikt wierzyć temu, co z okna widział, gdyż wkrótce wybiegał na ulice i pragnął się przekonać na własne oczy i własne uszy, że nie śni, lecz jawę widzi. Nadzwyczajnie szybko i prędko zaroily się ulice od tłumów nieprzejrzanych, które biegały po wszelkich zakątkach miasta, by sprawdzić, gdzie i jakie stoi wojsko, by stwierdzić, skąd i jaka zwiesza chorągiew.

Dziwne zapewno wyda się to każdemu, jak dziwnym wydało się mnie wówczas, że, po minach sądząc, mało który z chodzących brał te sprawy tragicznie, mimo ogromnego natłoczenia żołdactwa ruskiego, mimo przeobfitego ich uzbrojenia. Większość, ale to bardzo znaczna większość t. zw. publiczności, traktowała humorystycznie i z sarkazmem przechodzące patrole ruskie. Padały obfite i głośnie docinki, poprawiano niektórym karabiny, nieprzepisowo niesione, spychano ich z chodników na ulice itd. itd.

Uważano to za szopkę jakąś, czy maskaradę karnawałową, mimo gęsto padających już naonczas po ulicach strzałów rozbestwionego hajdamactwa ruskiego. W zakłopotanie—zdaje się—wprawiłby go każdy pytaniem, dlaczego strzela. Czy „na wiwat“, czy z fantazji, lub dla dodania sobie otuchy, czy z wrodzonej dzikości, czy z obawy, czy z pijaństwa wreszcie—trudnoby było mu dać odpowiedź. Mnie tymbardziej. Bo jakież wynaleść powód strzałów w tłum ludzi — niewiast przeważnie — wychodzących spokojnie z katedry po nabożeństwie, bo czymże uzasadnić strzały wzdłuż ulic dawane do ludności spokojnej, nieprzedsiębiorącej żadnej akcji wojennej, bo dlaczegoż strzelali z samochodów i wieżyc miejskich—dociec niepodobna.

Zaczerwieniły się jednak obficie bruki Lwowa już od pierwszych strzałów, polała się niewinna krew polska w kilku miejscach, a obfite jej ślady—oglądane ze zgrozą i przejęciem — dawały przedsmak ukraińskich w mieście polskim rządów. Rozpoczęły długą litanję nowej martyrologji polskiej, litanję w setki idącą, niewinnie, bez celu i bez sensu jakiegokolwiek pomordowanych.

Nie pustoszały mimo to ulice Lwowa. Wtedy po raz pierwszy patrzyłem na to brawurowe aż do przesady bohaterstwo ludności miejscowej, wtedy po raz pierwszy powziąłem dla ludności tej cześć. Wzmagala się ona potem szybko i doszła w czasie całych ośmiomiesięcznych bojów do najwyższej skali napięcia.

W powrocie do lokalu komendy naczelnej wydałem jedno hasło bojowe. Ujrzawszy dążącego w stronę ul. Ro-



manowicza pojedynczego żołnierza ruskiego, kazałem go „sprzątnąć”. W mąg z nim się załatwiono. To było podjęcie rzuconej nam w twarz rękawicy zbrojnej. To był pierwszy trup ruski—ale żołnierza uzbrojonego; zemsta za kilka już naonczas polskich niewinnych, zemsta za przełaną już w kilku punktach niewinną krew polską. Błyskawicą rozleciało się hasło to po mieście, sprytnie go wszędzie wykonywano. Utworzono w tym celu w mieście ukraińskim osobne dwie kompanje lotne, króre znakomicie „załatwiały sprawę.” Komendantami ich byli podch. Wieleżyński, drugiej ppor. Zych. W tej zbierał pierwsze swe laury śp. ppor. Olechowski Marjan. Ilu ich w ten sposób poszło, niewiadomo. Wiem że w pierwszym już dniu mieliśmy z tej akcji kilkadziesiąt karabinów. Ten sposób walki trwał przez całych trzy tygodnie. Dwa fakta takie opisało „Dziło” (w № 252 z 5/11) w notatce p. t. „Jak wojują Polacy”. Warto z nią zapoznać się w całości. (Patrz Dodatek 11). Do mistrzostwa doprowadzili go szczególnie ci młodzi—najmłodszy prawie—uczniowie szkół średnich, którzy potrafili zręcznie się zacząć, a później, jak koty, jednym skokiem sprawę załatwić—i zniknąć. (Nie mogła tego zrozumieć „naczelna komenda ukraińska” i sądziła, że trupy te pochodzą z rąk żołnierzy polskich, przebranych w mundur ukraiński i kręcących się wśród ukraińskiego wojska. Taką „żałobę” pisemnie przesłała do polskiej komendy naczelnej w drugiej połowie walk naszych. Otrzymała odpowiedź, że „żaden żołnierz polski nigdy nie ubrał i nigdy nie ubierze stroju, ni kokardki ukraińskiej. My walczymy otwarcie, z podniesioną przyłbicą i z wojskiem uzbrojonym jedynie).

W lokalu komendy, przeniesionym tymczasem na poprzedni mój rozkaz do mieszkania D-ra Wekslera na Fredry 9 III p., znalazłem się przed godz. 9. \*) Rwetes tu

\*) Ppor. Kron w dziełku swoim p. t. „Listopad we Lwowie”, twierdzi, że w czasie mej nieobecności naradzano się nad utworzeniem wspólnej komendy. Obrad takich nie było w tym czasie. Obecni w lokalu komendy wspólnej członkowie komendy P. K. W. niczego podobnego nie zauważyli. Czy wiadomość ta ma być

panował duży. Znakomicie urządzono jedynie straż i zabezpieczenie dowództwa. Zauważyłem tu wówczas starą mitralję włoską, własność P. O. W.—Miała 25 strzałów jedynie.

Przyszły już pocieszające meldunki o zaopatrywaniu się w broń poszczególnych redut, a więc załogi szkoły Sienkiewicza u żandarmów na rogatce gródeckiej, a więc rozbrojenie baterji austriackiej w Rzęśnie Polskiej i t. d. Brak jeno jeszcze było meldunku co do opanowania magazynu amunicyjnego na dworcu.

Zapyta zapewne niejeden, w jaki sposób można było utrzymać tę ścisłą i stałą łączność między komendą, a oddziałami. Przy wybitnej pomocy D-ra Wyrzykowskiego przygotował już uprzednio Jerzy Grodyński wybornie skautów lwowskich do tej czynności. Stanęli oni do pracy wczesnym rankiem, mając główną swą kwaterę w dniu tym w Sokole Macierzy (ul. Zimorowicza), kilku z nich było stale przy komendzie, jako łącznicy. Otrzymawszy karteczkę z rozkazem, oddawali ją w Sokole, a stąd gnali niby wicher na miejsce przeznaczenia. Nigdy oni nie zawiedli. Rozdzielono też wówczas po kilku z nich na poszczególne reduty. Stanęły do tej służby nadto niewiasty polskie, a więc skautki pod kierownictwem p. Opieńskiej i niewiasty z różnych organizacji kobiecych, w pierwszym rzędzie Ligi kobiet. Zorganizowała je znakomicie nieco później p. Aleksandra Zagórska. Pierwsze kurjerki polskie zjawily się w służbie już koło południa dnia tego i wytrwały w niej przez cały czas walki. Mimo najcięższych bojowych sytuacji przedostawały się stale przez fronty bojowe, przeprowadzały ochotników na „polską stronę“, przynosiły nieocenione wiadomości, sprytnie w sza-

---

ówczesnym „pium desiderium“ ppor. Krona, czy też część pewnych członków lub cały zarząd P. O. W., mając obecnie zapewniony magazyn amunicyjny, chciał nowej komendy, czy też jest to wszystko ukutym ex post fałszem, trudno rozsądzić. W każdym razie, o tym dowiedziałem się dopiero z wspomnianego dziełka. Po powrocie moim do lokalu nie było wogóle jakiegokolwiek debatowania nad sprawą komendy, lub jakichkolwiek wątpliwości.

tach pozaszywane. Współpraca ta, ogromnie ważna i ogromnie dla nas cenna, wykazała nadzwyczajną narodową wartość niewiasty polskiej. Tych kilka słów niech im będzie za to podzięką. Jedna z nich, śp. Felicja Sulimirska, znalazła nawet śmierć szczytną, a chlubną, kładąc życie swe młode w ofierze i służbie dla najświętszej sprawy.

Bojowymi zajmę się teraz czynnościami i rozkazami komendy naczelnej. Pierwszym z obecnie wysłanych rozkazów był rozkaz do Domu Techników, mianujący kometantem obu pogotowi — P. O. Wiaka Wasilewskiego i nakazujący, by zdobywszy broń, uzyskał połączenie ze Szkołą Sienkiewicza. W brawurowym wypadzie na Technike, w dzień biały, w mieście przez Ukraińców gęsto obsadzonym i często patrolowanym zdobywa chor. Wasilewski z dwudziestu kilku technikami broń—od rannych i chorych odbieraną—i unosi bezcenne te skarby do niezdobytej już teraz reduty. Szybciej jeszcze i sprawniej wykonywa część drugą rozkazu i przepędziwszy mniejsze patrole ruskie, uzyskuje połączenie ze Szkołą Sienkiewicza i ubezpiecza pierwszy front polski. W ten sposób około południa sformował się pierwszy front ciągły we Lwowie, pierwszy front naprawdę polski po wielu — wielu latach. Po latach niewoli pierwsza to walka na ziemiach polskich i za Polskę.

Te ruchy i te walki ściągnęły na te dwie pierwsze reduty uwagę kręcących się gęsto po mieście patroli ukraińskich. Czasowo o kilkanaście minut prędzej zjawił się patrol taki, złożony z 50 ludzi pod Szkołą Sienkiewicza, drugi nieco słabszy próbował pokusić się o Dom Techników. Oba gładko odparto i przepędzono, skąd przyszły. Otucha po zwycięskim boju rozpiera chłopców. Szkoła Sienkiewicza miota się po pobliskich ulicach, Dom Techników kusi się o zdobycie koszar wuleckich z zamiarem zdobycia broni. Przedwcześnie jednak.

Wpleść tu muszę dotychczasowe działania ze Szkoły Sienkiewicza. Zgromadzeni w nocy w kilkunastu, nad ranem wzmocnili się swymi zwolennikami i powiększeni z rozkazu mego przez członków P. K. W. i P. O. W.

Spieszyli do nich nadto—jak do wszystkich redut—ochotnicy z najbliższej okolicy jak i z całego miasta. Nad ranem pod wodzą por. Feldsteina wpadli do posterunku żandarmerji u roгатki Grodeckiej, gdzie, położywszy stawiającego opór komendanta, opanowali kilkanaście Werndli i kilka pistoletów. Chłopczyna maleńki, ustrzelwszy z ukrycia auto ukraińskie, pomógł im zdobyć zeń kilka tym razem „Mannlicherów“. W domu przy ul. Szeptyckich, gdzie stał drobny oddział austriacki, zdobyli znowu kilkanaście. Tak rósł oddział w ludzi i karabiny. Na nich uderzył około godz. 11 pierwszy ukraiński patrol, oni pierwsi skrzyżowali z nim swą broń palną. I skrzyżowali dobrze.

Ostateczny rozdział sił zmobilizowanych, tworzenie i uzupełnianie dalszych redut, zostawienie znaczniejszej rezerwy w śródmieściu (kilkanaście dziesiątek P. K. W.) na podtrzymanie upadających redut, lub tworzenie nowych w razie upadku którejkolwiek z walczących, jak niemniej na operacje własne lub nieprzyjacielskie, organizacja ochotników, dość tłumnie zgłaszających się do walki i wojska polskiego, oto dalsze czynności bojowe komendy naczelnej.

Utworzono w Sokole biuro zaciągu do wojska polskiego (kierownictwo jego objął w dniu 2 listopada kap. Wit Sulimirski), które bezwzględnie zabrało się do pracy, pod ukraińską władzą, rozpuściło biegaczy po ulicach, ściągających dzielnie chętnych, a przekonywujących mniej chętnych. Dodano mu do pomocy mężów znających dzielnice pewne. Tym sposobem utworzono biura dzielnicowe. Więc na Łyczakowie urzędował Dr. Marcełi Prószczyński, na Żółkiewskim i Zamarstynowskim Piotr Panek, w dzielnicy V Dr. Kazimierz Panek i kap. Drobniewicz itd. Ochotnie stanęli do tej pracy prezes Czarnik i Dr. Wyrzykowski, a później nieco D-rowie Szpor, Ogórek, Opieński, Panek, Paleolog, Przewirski. Biuro to przenoszono kilkakrotnie; byli bowiem na jego tropie Ukraińcy. Pomimo to doskonale sprawowało swe funkcje przez cały

trzytygodniowy czas bojów. Podkreślam—ciągle po stronie ukraińskiej.

W tym czasie dostał nagłący rozkaz ppor. Wawrzyniec Dajczak rozpoczęcia swej pracy. Przygotował już przedtym „biuro propagandy“, a to pozytywnej wśród własnych i negatywnej wśród nieprzyjaciela. Dobrał sobie wytrawnych w tym kierunku ludzi. Teraz musiał w myśl rozkazu poświęcić się pracy wyłącznie negatywnej, skupić wszystkie wysiłki, by rozstroić przeciwnika, by zmniejszyć różnymi dostępnymi drogami jak najbardziej jego siły. Znowu najwyższe słowa pochwały należałyby się jemu za znakomite wywiązanie się z nałożonego nań trudnego zadania. Umiejętnie dobierali się oni do wszystkich oddziałów, w których choćby na chwilę nie było oficerów, mieli swoich agitatorów we wszystkich koszarach, wydali odezwę, którą rozrzucili w tysiącach egzemplarzy. Przy tej pracy znowu niewiasta polska wzięła swój laur. Na skutek ich pracy nie trzeba było długo czekać. Okazała się ona już w dniu drugim, a w trzecim osiągnęła swój punkt kulminacyjny, kiedy jeden z nich zrobił się zawiadowcą magazynu mundurowego i każdemu—który do domu chciał iść—nowusieńki wydawał mundur.

Do akcji wywiadowczej na terenie ukraińskim użyto w całości oddziału wywiadowczego P. O. W. pod przewodnictwem por. Kubina i własnego z P. K. W. Później, około połowy walk listopadowych, podporządkowano wydział ten kap. Sulimirskiemu. Wiele wspaniałych usług oddały tu także niewiasty polskie.

Zorganizowanie ostateczne placówek naszych na Żółkiewskim (kap. Dr. Jakubski, później por. Tomaszewski) Zamarstynowie i Hołosku, w Dublinach, gdzie powierzono teraz dowództwo nad zorganizowanymi tam P. K. W. i P. O. W., por. Ajdukiewiczowi, w Sokolnikach i w Kozielnikach, to dalsze czynności komendy naczelnej.

Równocześnie trzeba było przyjąć kilkuset zgłaszających się ochotników, między nimi byli kap. Pieracki i Boruta-Spiechowicz, obaj zasłużeni później w obronie ponad wszelkie pochwały—i niemniej różnych innych interesantów,

czy takich, którzy przychodzili „z dobrą radą“, trzeba było wysłać gońców z rozkazami i wiadomościami na zachód, należało również przestać uzupełnienia rozkazów w ogniska wschodnio-galicyskie. Na objeździe znajdował się ś. p. Stan. Grabski, który miał wprawdzie wyraźne dyspozycje, lecz uzupełnić trzeba je było obecnie. Poszły one do nich treści następującej: „Łączyć się z P. O. W. Uzyska się w ten sposób siły odpowiednie i odpowiednio uzbrojone, zaczynać na własną rękę. Nie będzie dość sił, organizować się dalej i czekać na nasze zbliżenie się. Wtedy bezpośrednio na tyłach ruskich bezwzględnie zaczynać“.

Do Krakowa z wiadomościami i odpowiednimi rozkazami dla P. K. W. wyjechał, a raczej wyszedł, porucznik Bobek, dawniej organizator Drużyn Bartoszewych, obecnie P. K. W. w zachodniej Galicji. Przybył on właśnie dzień przedtem do Lwowa z raportem i po dalsze rozkazy.

Do Królestwa wyjechał już 24 października na objazd ognisk P. K. W. por. Eustachiewicz. Miał on ze sobą odpowiednie dyspozycje na wypadek zamachu.

Ukraińcom należało uniemożliwić wszelkie połączenie z prowincją. W tym celu polecono przerwać wszelkie przewody telegraficzne i telefoniczne i zburzyć w odpowiedniej od Lwowa odległości tory kolejowe. Z pierwszej czynności wywiązał się znakomicie P. O. Wiak kap. Kudelski, który patrolami swymi poprzerywał wszystkie druty naokoło Lwowa, a nadto dostał się do obsadzonej przez Ukraińców poczty i poprzecinał wszystkie kable połączenia miastowego i międzymiastowego. „Czynności kolejowe“ wykonały również dobrze odnośne patrole P. K. W.

Zbyt liczne i częste odwiedziny różnych osób w komendzie naczelnej zaniepokoiły właścicieli mieszkania o „całość Komendy“. Grzecznie nas wyproszono. Trzeba było więc znowu zmienić lokal, tym razem na Romanowicza 9, gdzie w mieszkaniu pod firmą „Biuro naftowe D-ra Longchamps'a i Spółki“ miałem dawno siedzibę P. K. W.

Zaniepokojony zaczynałem być poważnie brakiem meldunku od kap. Rożena. Wysłałem więc oficera umyślnego, by stwierdził, co się tam koło Elżbiety dzieje i z roz-

kazem natychmiastowego zaczęcia, jeśli tego dotychczas nie uczyniono.

Sam zaś, wezwany na posiedzenie zawiązującego się Polskiego Komitetu Narodowego, musiałem znowu zdać komendę czasowo, tym razem w ręce D-ra Węgrzynowskiego i kap. Baca, i udać się do Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.

Oblicze miasta nie wiele zmieniło się przez ten czas, krom tego chyba, że liczniej obecnie samochody jeździły, gęściej strzały padały po ulicach, nawet tam, gdzie nie było żadnych walk ni powodu do strzelaniny. Częściej też widziało się teraz wśród żołdactwa ruskiego twarze, świadczące o użyciu czy nadużyciu alkoholu. Pojawiły się również ogromnych rozmiarów afisze ruskie, które załącze w dodatku. Pierwszy to manifest ukraińskiej Rady narodowej z zawiadomieniem o objęciu rządów we wschodniej Galicji, drugi „charczowoho uriada“ (urzędu gospodarczego) zapewniający żywność wszystkim, którzy spokój zachowają, trzeci zaprowadzający stan oblężenia i sądy doraźne, podpisany przez atamana Witowskiego. (Patrz dodatek Nr. 12).

Na posiedzeniu reprezentowane były wszystkie stronnictwa polityczne—z wyjątkiem socjalistów, którzy dopiero popołudniu tego samego dnia zjawili się na drugim posiedzeniu w mieszkaniu marszałka Rajskiego (plac Akademicki 4). Musiałem zebrany przedstawić sytuację militarną, prawdopodobny przebieg walki i akcji całej, z grubsza moje plany operacyjne i t. d. Długa rozwinęła się nad nimi dyskusja, która zakończyła się formalną uchwałą, jednogłośnie powziętą: „P. K. N. uchwała wesprzeć wszystkimi środkami rozpoczętą akcję wojskową, w odpowiedzi na brutalny zamach ukraiński, wita z radością dokonane połączenie się polskich organizacji wojskowych i wzywa wszystkich zdolnych Polaków pod broń. Za komendanta naczelnego uznaje Czesława Mączyńskiego, za jego zastępcę por. Stanisława Nilskiego-Łapińskiego“. Uchwałę tę postanowiono ogłosić afiszami. Z powodu trudności natury technicznej stać się to mogło dopiero

4-go, gdy mieliśmy własną drukarnię. Historycznie tu jednak należy, tu wspomnieć się o niej godzi. (Patrz dodatek № 13).

Imieniem wojska złożyłem zapewnienie, że uznajemy P. K. N. za odpowiedzialny czynnik polityczny, za rząd miejscowy, nadmienając, że polityczna strona sporu i walki polsko-ruskiej pod ich wyłączną podpada kompetencję, że wojsko w tym kierunku w jakikolwiek sposób oddziaływać nie chce i nie może.

Zdziwi się czytelnik — z wojskowością nieco obeznany — ustanowieniem komendy naczelnej nie na modłę wojskową, przez wyznaczenie komendanta i jego zastępcy. Zdziwi się zapewne jeszcze więcej, gdy dodam, że stało się to na mój wniosek. Muszę więc wyjaśnić tę sprawę w kilku słowach. W łączących się organizacjach wojskowych P. O. W. i P. K. W. byli, historyczną koleją rzeczy, zwolennicy pewnych przeciwstawiających się bloków stronnictw politycznych. Mało zaś było elementu, któryby stał na stanowisku, że w wojsku stronnictw być nie powinno, że wojsko służy *narodowi*; nigdy stronnictwom służyć mu nie wolno. Wprawdzie w ostatnich czasach Austrii nastąpiło między blokami tymi politycznymi pewne zbliżenie; tym ostrożniej należało postępować. Musiano od początku pilnie baczyć, by postępować wobec wszystkich jak najlojalniej, by nigdzie nikogo nie majoryzować, by nie podrażniać nikogo w jego zapatrywaniach politycznych, lub w jego przynależności organizacyjnej. Wierzyłem, że powoli wciągnie się, przyzwyczai i przekona większość. Stąd obsadzałem wszystkie stanowiska równomiernie, lub, jak w referacie prasowym, reprezentantami wszystkich stronnictw. Stąd wcieliłem całą komendę P. O. W. w skład komendy naczelnej, rozdzielając funkcje równorzędnie, lub równomiernie z P. K. W. — naturalnie biorąc należyty wzgląd na uzdolnienie — stąd wbrew przepisom i modle wojskowej zaproponowałem utworzenie stanowiska zastępcy komendanta. Na nie miałem zamiar powołać komendanta okręgu P. O. W. por. de Laveaux, lecz z powodu choroby jego zwróciłem się do D-ra Świtalskiego, by zaproponował innego z P. O. W. Jego propozycja — por. Ła-



piński—została przyjęta bez wahania, choć nie znałem do tej pory kandydata.

[Ponieważ nie zajmę się kwestją tą więcej w tej części pracy niniejszej, dodam tu jeszcze, że zjednoczenie to szło doskonale. Początkowo boczono się nawzajem — szczególnie ci więcej zaawansowani w życiu politycznym, boczono się z różnych stron, nawet mnie nie dowierzano, urządzano konspiracyjne pogadanki, ale później powoli zaczęło to ustępować, a wspólna praca, wspólne trudy i odpowiedni duch doprowadziły do idealnej zdawało się jedności. Dopiero z chwilą, gdy Lwów uzyskał połączenie z zachodem i gdy zawiął wiatr inny z Polski, dopiero wtedy zepsowało się. Wtedy zaczęło znowu przypominać sobie, do jakiej to ja partji należę, jakimi ludźmi się otaczam i t. d. i t. d. Ale, co z największą przyjemnością tu podnoszę, mała, bardzo mała jeno część poszła wtedy za nimi, większość, ale to znaczna większość z nich, pozostała w wojsku, które od początku chciało być wojskiem narodowym, dążyło do tego, stało się nim i pierwsze na ziemiach polskich od pierwszej chwili swego powstania, *zjednoczyło* najrozmaitsze byłe formacje].

Drugą sprawą, szeroko omawianą na tymże posiedzeniu, była przyszła taktyka, przyszły sposób wojowania. Rozgadali się tu członkowie komitetu obszernie i choć godzili się wszyscy na system reutowy i uznawali go za jedynie dobry przy tym stosunku sił, radzili jednak uczynić główną podstawę operacyjną nie w zachodniej, lecz wschodniej części miasta, nie na Nowym Świecie lecz na Łyczakowskim. Twierdzili, że tam lepiej będzie, bo ma się za sobą polskie gminy (Winniki, Biłki obie itd). ma się w nich pewne silne oparcie. Argumenty co do magazynów amunicyjnych, magazynów i dużych zapasów żywnościowych, głównego dworca, uniemożliwiającego Ukraińcom korzystanie ze wszystkich prawie linii kolejowych, nie przemawiały do ich przekonania.

Choć ze wszystkich organizacji wojskowych polskich nikt nie zawahałby się prowadzić walki bez względu na jakiegokolwiek bądź stanowisko społeczeństwa starszego czy

jego części i walka ta byłaby poszła swoim trybem — zapewne może z większymi trudnościami, mimo to uchwała, popierająca akcję wojskowo-wojenną, była dla nas bardzo cenną. Tym cenniejszą, że powzięta przy zupełnym zjednoczeniu wszystkich polskich stronnictw politycznych. I P. P. S., bowiem nieobecne jeszcze na tym posiedzeniu zjawilo się na popołudniowym, a dnia następnego zgłosiło zupełny swój akces. Za dokonaniem uprzednio zjednoczeniem wojskowym poszło w tak krótkim odstępie czasu zjednoczenie stronnictw politycznych, które we Lwowie przetrwało długie czasy. Dziś jeszcze niema między nimi — tam na miejscu — różnic, jeśli chodzi o zasadnicze sprawy byłej wschodniej Galicji. Działo się to w tym samym czasie, kiedy roznamietnienie partyjne dochodziło chyba do zenitu w wielu krajach europejskich, wśród których Polska nie na ostatnim pozostawała miejscu.

Do P. K. N., do którego weszło także całe prezydjum miasta, początkowo pod przewodnictwem Tadeusza Cieńskiego, później Dr. Adama, wchodzili: Bądryński, Dąbrowski. Dubanowicz, Stahl, Próchnicki, Głazewski, Stesłowicz, Neumann, Włodzimirski, Wereszczyński, Laskownicki, Szczyrek, Obirek, Löwenherz, Klinger, Świtalski i w. i.

Na to posiedzenie — a było to tuż przed 2 godz. — zjawił się kap. Rożen z meldunkiem, że magazynu amunicyjnego nie zajął dotychczas, ponieważ „nie miał ludzi“, że pertraktował z Węgrami celem złożenia przez nich broni (baon ulokowany w szkole Konarskiego), że ci odmówili, oświadczając, że tylko przed siłą ustąpią, że wreszcie w tłum mężczyzn, kręcących się koło kościoła Elżbiety, dali Ukraińcy kilka salw i że rozpoczęła się tam i trwa teraz formalna bitwa. Zdaje się, że nie potrzebuję opisywać mej wściekłości. Więc jakto — ludzi nie było na zajęcie magazynu, przed którym dwa posterunki jeno stały, dwu starych „Landsturmistów“ — a w którym czekał zarządca na oficera, z kartką moją przybyć mającego, a równocześnie był tłum ludzi na placu zbornym, tłum, który na strzały ukraińskie odpowiedział regularną walką. Zresztą zapytałem go jeszcze, czy zgłaszali się do niego i meldowali

ci a ci, wyliczając mu kilka nazwisk oficerów, dowódców plutonów i dziesiątek z P. K. W. „Zgłaszali”—odparł—„i mówili, że mają tylu a tylu ludzi *tu w tłumie*, ale tych ludzi nie widziałem”. Zaiste, zdębiałem, a nie wiedząc, co podziwiać—naiwność czy niepoczytalność, dodałem: „Chcieliście więc, by Wam tych ludzi ustawić w dwurząd i przy zwrocie głowy meldować. Jeśliście mieli obawy, trzeba było oddać kartkę pierwszemu lepszemu z tych, co się meldowali i powiedzieć, co ma robić, a byłoby to już dawno zrobione. Więc, jakto tam rozwinęła się—z powodu głupoty Waszej walka, a Wy—naznaczony komendant tych ludzi, opuszczacie to miejsce. Jeśli nie zawładniecie zaraz magazynem, pod sąd Was oddam”.

Jak później stwierdzono, o tej porze nie obsadzili jeszcze Ukraińcy magazynu, uczynili to dopiero koło 3 godz. W kościele zaś Elżbiety i na placu Bilczewskiego było zebranych przeszło pół tysiąca. Poza dyrygowanymi tam bowiem członkami organizacji zjawili się wielu ochotników. Wystarczyło dać jedynie hasło do akcji, a byliby sami zrobili. Wszyscy oni czekali na rozkazy, a tu komendant—o którym na specjalne moje pytanie twierdzono, że nadzwyczaj dzielny—złakł się. Gdyby był przynajmniej z tymi ludźmi zajął ten punkt ważny (jedyne połączenie miasta z dworcem), jeszcze możnaby mu darować. Tymczasem ludzie czekali od wczesnego rana na rozkazy, a nie rozumiejąc celu przysłania ich tu, sarkali jedni, inni rozchodzili się po sąsiednich redutach, inni wreszcie nawet do domów. W walce, która się tam wywiązała, zaczętej przez Ukraińców, zepchnięta została część w stronę szkoły Sienkiewicza, część w ulicę Barską i na Błonie.

Wybiegłem więc z posiedzenia i podążyłem do Sokoła, by wydać dalsze rozkazy. Znowu rozległo się „stij” na Akademickiej, tym razem jeden był tylko. W Sokole poleciłem Grodyńskiemu wysłać bezwłocznie setkę P.K.W. z rezerwy, celem zajęcia magazynu bez oglądania się na dalszą akcję Rożena. Wrazie, gdyby magazyn był już przez Ukraińców zajęty i nie dał się łatwo opanować, w szkole

Sienkiewicza czekać na dalsze rozkazy. Poprowadził tę setkę poległy później ppor. Wolak.

Niestety, magazynu nie udało się już zająć. Postanowiłem więc zdobyć go, choćby popioły jego, byleby nie służył Ukraińcom.

Przygotowano tedy akcję planową, koncentryczną na następny ranek. Naturalnie w łeb wzięty plany na dzień 1 listopada, połączone ze zajęciem magazynu.

Tymczasem meldunki, jakie nadeszły w czasie mej nieobecności, nader były pomyślne.

Organizacja sił zbrojnych w domu Techników i szkole Sienkiewicza pomyślnie postępuje. Zdobyto dwa auta, w tym jedno uszkodzone, miano już wozy z prawdziwymi końmi, pierwsze tabory wojska polskiego. Z Sokolnik miły przyszedł meldunek o opanowaniu baterji i ukryciu dział i t. d. Dwa było jeno nieprzyjemniejsze meldunki. Pierwszy z Rzęsny Polskiej, meldujący, że z powodu braku ludzi — 19 było ich tylko — nie można ustrzec dużych magazynów żywnościowych i mundurów przed rabunkami i drugi dotyczący szkoły Sienkiewicza. Wkrótce po moim odejściu przyszedł stamtąd meldunek, że „kap. Trześniowski leży zupełnie nieprzytomny“. Wysłał więc Węgrzynowski kap. Pierackiego z rozkazem objęcia komendy. Co też uczynił. Nie miałem powodu do niezadowolenia z tej zmiany osób — pod względem wojskowym. Był to jednak incydent niemiły, gdyż po pierwsze odstępował od planowanego przeze mnie sposobu postępowania, po drugie chciałem zająć kap. Pierackiego w sztabie.

Otrzymał więc teraz kap. Trześniowski odemnie następujący rozkaz: „Uda się z kilkunastu ludźmi do Rzęsny Polskiej, obejmie tam komendę, zabezpieczy wieś i zdobyć w *armatach, broni i materiale*, prześle połowę karabinów z odpowiednią amunicją, dziś jeszcze, do szkoły Sienkiewicza, zorganizuje wieś i stworzy tam kadrę wojsk polskich. Wyćwiczenie tylko bojowe—jak najbardziej przyspieszone. W miarę postępu akcji naszej w mieście nawiąże łączność“.

Przy tymto rozkazie miały paść słowa „co my mamy słuchać jakiejś tam komendy naczelnej“, ale po odpowiedniej admonicji kap. Pierackiego i przy postawieniu dobrej większości załogi rozkaz spełniono. Miał jednak przejść ze szkoły Sienkiewicza przez t. zw. Lewandówkę, poszedł ten oddział—z 32 złożony—drogą okrężną, koło kościoła Elżbiety, ul. Na Błonie, Janowską. Przebił się, choć po drodze poturbowany nieco. 60 karabinów, przykrytych z amunicją na wozie odesłał kap. Trześniowski tą samą drogą przy słabym konwoju. Naturalnie dostał się on w ręce ruskie. Ci odesłali go również, przy dwu jeno strażnikach, ul. Janowską w dół „do miasta“.

Tymczasem oddział Abrahama, który już miał rozkaz do akcji na dzień następny i jako wzmocnienie znalazł się w tym czasie na ul. Janowskiej, opanował z kolei ten sam wóz koło kościoła św. Anny.

Do komendy przyszedł naprzód meldunek o złapaniu przez Ukraińców wozu. Trzeba więc było natychmiast naprawić przez malutkich skautów to, co zepsuł wojskowy. Wysłano ich pół kopy do Rzęsny, a ci drogą najkrótszą, wspomnianą powyżej, dostali się tam, zabrali, co im kazano i nie uroniwszy ni jednego naboju, ni karabinu, tą samą drogą donieśli do szkoły Sienkiewicza. Gdzieś koło godz. 3 nad ranem byli z powrotem.

Inną mniejszą grupkę skautów wysłano w tym samym celu do opanowanych przez nas baterji w Sokolnikach. Ci mieli trudniejsze zadanie, ponieważ i szkoła kadecka i koszary wóleckie obsadzone były przez Ukraińców. Również bez szwanku donieśli do domu Techników, co im kazano.

Inni wreszcie — tym razem starsi, z wojskowymi na spółkę—przenieśli „z miasta“, wymijając zrećźnie moc patroli ukraińskich, karabiny zdobyte dnia tego, lub darywane (było i takich kilka).

Kap. Wiktor (Kopeć), wróciwszy z Rzęsny, otrzymał rozkaz obsadzenia częścią reduty z. Kozielnik stacji radio-telegraficznej (koło Zubrzy) i puszczenia jej w ruch.

Znowu trzeba mi było udać się na posiedzenie P. K. N. Po powrocie stamtąd można było wreszcie zająć się rozdziałem funkcji między poszczególnych członków komendy naczelnej. Organizacja bowiem komendy P. K. W. była inną od komendy P. O. W. Złączenie więc ich ranne nie zajęło wszystkich należycie. Wielu, szczególnie z P. O. W. nie wiedziało, co ma robić. Obecnie każdy otrzymał dokładnie określony zakres czynności. Zjawił się obecnie także por. Łapiński i pierwsze wrażenie zrobił bardzo korzystne.

Gwoli swobodniejszego przyszłego poruszania się „przedzierzgnąłem się w cywila“, tym razem jednak wbrew utartemu i często powtarzanemu przysłowiu „z młodszego brata“. Skonstatowałem przez całe trzy tygodnie, że źle jest być największym w rodzinie.

Drugi — odrębny — ogrom pracy, dokonany w dniu tym, to praca agitacyjna wśród własnego społeczeństwa. Kierownictwo jej objął obecnie Stan. Widomski i w tym charakterze wszedł w skład komendy nacz. (Później objął funkcje t. zw. komisarza cywilnego, z oddzielnym referatem politycznym). Należało bowiem społeczeństwo lwowskie nastroić na odpowiednią bojową nutę, należało wytłumaczyć wielu konieczność walki, wielu zachęcać i przekonywać do wstępowania do wojska, do chwytania za broń.

Pierwszym środowiskiem, do którego poszła akcja nasza, to obradujący właśnie zjazd młodzieży niepodległościowej. Po krótkiej dyskusji uchwalił on rezolucję, wzywającą do walki, przerwał obrady i w całości do broni pospieszył. Wspaniały to objaw, kiedy przedstawiciele młodzieży akademickiej z wszystkich dzielnic Polski, z wszystkich jej miast większych, chwytają za broń, by obronić atakowaną polskość grodu kresowego. Wysoko krok ten świadczy o młodzieży naszej, tym wyżej, gdy się doda, że wszyscy oni prawie byli ranni, że w krwi ich, wspólnie na brukach Lwowa przelanej, połączyła się rzeczywiście i po raz pierwszy Polska cała. Godzi się przekazać potomności nazwiska ich. Oto one: Katelbach, Jankowski, Denhof-Czarnecki, Majorowicz, Rembieliński,

Drozdowski, Dap, Lenartowicz, Bruner, Lipiński, Hiller, Nekrasz, Arnold, Skarzyński, Pstrokoński.

Tenor odezwy wydanej przez nich podany w dodatkach. (Patrz dodatek Nr. 14).

Przedtym, przy organizowaniu starszej młodzieży szkół średnich (od lat 17), a obecnie przy wciąganiu jej w szeregi, oddał sprawie niepomierne usługi D-r Józef Browiński, znakomity również skarbnik P. K. W. od pierwszej chwili ich zawiązania.

Odbył się nadto szereg w dniu tym zebrań w różnych organizacjach, obywatelskich, rękodzielniczych i ich młodzieży (Skala, Gwiazda), oraz robotniczych. W pierwszym rzędzie podnieść tu należy wydatną współpracę lwowskiego Sokoła Macierzy. Konferencja, odbyta z Wydziałem Sokoła II i Organizacji narodowej VI okręgu, doprowadziła do zupełnej zgody i wytyczyła linie postępowania dla starszego obywatelstwa w rejonie obronnym.

O jednym znowu nieudanym fakcie wspomnę osobno. Postanowiono nie pominąć w tej akcji kolejarzy. Rozesłano więc członków P. K. W. rekrutowanych z kolejowców, celem ściągnięcia ich na zebranie takie do kina Grażyna na godz. 3 popoł. Chociaż obeszlili oni wielu i wielu obiecywało solennie swe przybycie, nie zjawił się tamże nikt—literalnie nikt,—poza zapraszającymi. Poza zorganizowanymi już przedtym w organizacjach wojskowych, szczupłutka jeno liczba narodowo czujących stanęła w szeregi. Tym wyżej ceniliśmy ich, a było wśród nich kilku w wieku powyżej lat 50.

Znaczniejszy zastęp ich oddał nam ogromne usługi w innym kierunku i pracował nadzwyczajnie z prawdziwym zaparciem się i pogardą życia, o czym jednak później. Bojowo zawiedli, a liczyliśmy na bardzo znaczne wśród nich zastępy. Armia ich we Lwowie samym liczyła tysiące i przeważnie z Polaków była złożona.

Służba tramwajów miejskich, do której zwrócono się przy czynnym współudziale dyr. Tomickiego, stanęła od razu w znacznej mierze w szeregi,

Wiele natomiast znaleźliśmy zapłału i zrozumienia wśród członków Zjednoczenia narodowego, zwołanych na do-  
roczny zjazd, odbyć się mający w tym dniu. Pewna ich  
liczba zaciągnęła się natychmiast w szeregi, inni rozjechali  
się z rozkazami i dyspozycjami naszymi po wschodniej  
Galicii, a wszyscy prawie przyrzekli swój współudział w dal-  
szej robocie organizacyjnej, lub w walce, rozpocząć się  
mającej po powiatach. Napomknę jeszcze o gońcach,  
wysyłanych do wojsk austriackich, na właściwej Ukrainie  
stojących, do tamtejszych polskich tajnych organizacji woj-  
skowych, a szczególnie do wspomnianego już wyżej 1 p.  
ułanów, który dnia tego miał zawitać do Podwołoczysk.  
Otrzymał rozkaz, by pułk zdążyć i przebiegać się do Lwowa.  
(Zmiana ta rozkazu nie doszła do pułku).

Z rozmysłu i z pełną świadomością celu, choć może  
wbrew przepisom literackim, ująłem działania komendy  
nacz. w formę godzinnej prawie djarjusza, podnosząc  
również nieudane zamierzenia. Uczyniłem to w tym celu  
między innymi, by pokazać i utrwalić, z jak niezwykłą  
trudnością rozpoczynać przyszło nam walkę. Mimo to  
wszyscy dobrej byli myśli i nikt nie wątpił w szczęśliwe  
jej zakończenie. Dowodem choćby dyspozycje, dnia tego  
wydane, a obejmujące całe terytorjum wschodniej Galicii.

Tymczasem Ukraińcy opanowali dnia tego militarnie  
całe jej terytorjum. Podziwiać można było, skąd tylu na-  
brali żołnierzy, skąd wystawili i trzymali w pogotowiu,  
w każdym mieście i na każdym wschodnio-galicyskim  
dworcu tylu oficerów, którzy, wtajemniczeni poprzednio  
załatwili sprawę wszędzie dnia tego, wszędzie o tej samej  
niemal godzinie. Nigdy nie ceniłem wysoko zdolności or-  
ganizacyjnej wojska austriackiego. W przygotowaniu jednak  
tego zamachu wysilili się rzeczywiście dla swych pupilków.

Na jedną prawie modłę odbywał się zamach, we  
wszystkich miejscowościach. Wszędzie zjawiał się, około  
godz. 9 rano, w starostwach i urzędach austriackich oficer  
z oddziałem wojska i gronem naznaczonych kierowników  
i urzędników i obejmował władzę w imieniu „Zachodnio  
Ukraińskiego Państwa“. Nie zapomnieli szczególnie nigdzie



o urzędach podatkowych, napelnionych w tymże dniu; nie przeoczyli też ni jednego dworca kolejowego. Wszędzie mieli gotową załogę wojskową, która rozbrajała opornych, wszędzie wystawiali natychmiast strażę własne, policję, milicję i t. p.

W gminach miejskich i wiejskich własne zaprowadzili zarządy, gdzie nie mieli ich przedtym, zostawiając na wielu posterunkach żydów. Szkoły polskie zamknęli na całym terytorjum.

Do urzędników i nauczycieli Polaków zwracali się z cyrografami do podpisu, ślubującymi wierną służbę państwu ukraińskiemu.

Jak wobec tego zachowało się społeczeństwo polskie i urzędnicy-Polacy? Ci ostatni—poza bardzo nielicznymi wyjątkami—odmówili wszędzie współpracy; urzędowali gdzieś przez czas pewien sędziowie, ale gdy zażądano od nich ferowania wyroków „w imieniu Ukrainy“, wycofywali się kolejno. Gros kolejarzy odmówił bezwzględnie współpracy; pracowały jedynie nieliczne jednostki przez pierwszych dni parę. Gdy jednak dotarły do nich wieści o bojach lwowskich, gdy zobaczyli, że pracują przeciw braci własnej, ciężko z wrogami o wolność walczącej, ustępowali i oni po kolei od pracy. Odmówili więc pracy nie tylko wszyscy urzędnicy i podurzędnicy Polacy, ale wszyscy robotnicy warsztatowi, ogrzewalniani i liniowi wstrzymali się solidarnie z całym narodem polskim od czynnego popierania Ukrainy. Wytrwali w tym oporze bezwzględnym wszyscy, przez całych długich miesięcy kilka, mimo głodu i chłodu, mimo nędzy własnej i swoich, mimo srogich niejednokroć katuszy, mimo szatańskich zaiste podszeptów i pokus. Stanęli jak mur i wytrwali wszyscy w oporze, bez względu na przekonania i przynależności partyjne. Czi prawdziwej nabierało się dla tych męczeńskich bohaterów naszych, gdy przychodziły z różnych stron gońce z wieścią o mordach i męczarniach, o puchlinie i śmierci głodowej wielu „opornych“, lub dzieci ich maluczkich (np. w Stryju), zapewniając równo-

częście, jednym tchem, że mimo to trwają wszyscy w oporze i pracy nie podejmą.

Pracowali jedynie Rusini i prawie wszyscy Żydzi — z wyjątkami na palcach zaledwie policzyć się dającymi.

Za urzędnikami naszymi stanęło wałem całe bez wyjątku społeczeństwo polskie. Chłop polski, czy rzemieślnik, czy inteligent, robotnik, czy karmazyn, wszyscy opowiedzieli się przeciw, wszyscy jednogłośnie stanęli za Polską i własną do Niej przynależnością, wszyscy wspierali się i pomagali sobie wzajemnie. Dziesiątki lat wytężonej pracy narodowej i oświatowej nie uświadomiłoby, nie zjednoczyłoby tak wspaniale warstw tych wszystkich, jak uczynił to dokonany zamach ukraiński.

Przez za broń nie chwycili i nie stanęli do walki? Broni tej nie mieli, lub w tak śmiesznie małych ilościach, że wspominać o nich nie warto. Oto tragedia narodu, silnie czującego. Przytym wszędzie odrazu występująca przemoc i przewaga z jednej strony, a zimna rozwaga z drugiej, powstrzymywały od niebacznego, nieroztropnego wystąpienia. Wszędzie jednak organizowano się, wszędzie zbierano i przygotowywano broń i wszędzie silnie wytężano słuch w stronę Lwowa, czy nie zbliża się już pogłos wojenny ku ich stronie, czy nie tętnią już kopyta „polskiej usarji“. Czekali pół roku daremnie w katuszach i cierpieniach; umierali tysiącami z głodu i zarazy, lub ohydnie, zwierzęco mordowani, ale nie zwątpili. I ci, co ginęli i ci, co żyli trupom podobni, i ci w dostatkach wiejskich opływający wierzyli, stale i wytrwale, że ziemia to polska, do Polski należeć musi. Kiedy wreszcie surmy bojowe zaczęły przybliżać się do nich, wszędzie chwymano za broń na tyłach przemożnego i przeważającego jeszcze wroga. Co stanowiło dla nich najsroższe katusze? Nie obozy internowanych „Kosaczowa“ gdzie trzecia część przeszła musiała życie oddać, nie śmierć i mordowanie bliskich i najbliższych, ale wieści obficie i urzędownie przez Ukraińców rozszerzane, „że Lwów już padł“. Myśl, że Lwów, ta jedyna nadzieja ratunku dla nich, Lwów — ten jedyny symbol walczącej naonczas polskości, Lwów — ta twierdza,

dzierżąca wysoko sztandary niepodległej i do życia powstałej Rzeczypospolitej Polskiej, w całości w rękach ukraińskich, ta myśl sprawiała im największe cierpienia moralne. Słyszałem to od wielu, bardzo wielu i z pod strzechy wieśniaczej i z miast i miasteczek polskich.

Z ognisk wschodnio-galicyjskich porwał się do walki jedynie Borysław, pod wodzą por. Szczepanowskiego. Chwyciły tam jedynie za broń kadry P. K. W., nie znalazłszy szerszego poparcia wśród pewnej grupy politycznej. Cierpiąc na braki broni i amunicji, otaczani przeważającymi siłami, po kilkudniowym, bohaterskim oporze, przebili się na zachód i sformowawszy tam—w Sanockim—nowe grupy, z powrotem na wschód uderzyli. Rozpoczęli ciężkie i długotrwałe zmagania od strony Chyrowa.

Inaczej znowu zachował się Przemyśl. Ten do stołu naradnego zasiadł i do ugody z nimi doszedł. Lecz w dwu dniach poznał, co warta z Ukraińcem ugoda. Tam, gdzie pokpiły jenerały z szefami sztabu i t. d. tam znalazła się grupka bohaterska, która zachęcana, a nawet nieoficjalnie kierowana przez księdza (Panasia), odpór stawiała zbrojny, ale już po drugiej — po zachodniej stronie Sanu. Miasto samo, miasto właściwe, pod ukraińską znalazło się władzą. Dni dziesięć jeno jęczało w niewoli.

Scharakteryzowanie nastrojów wśród społeczeństwa ruskiego trudną, syzyfową prawie byłoby pracą. Inteligencja „popi i popowicze“ stanęli w całości prawie po ukraińskiej stronie. Elementy mniej, średnio, albo zupełnie i ewykształcone, wysunięte obecnie na wysokie stanowiska i godności „uradników“ zażartymi musiały być ukraińcami. Wsie rozagitowane, a tumanione rajem i podziałem ziemi pańskiej, ziemi polskiej, dla polskiego przeznaczonej chłopu, opowiedziały się za nimi. W wojsku szczególnie elementy młodsze doprowadziły do krańcowości okrucieństwa i mordy, „hulanie i grabież“. Ci za walką byli. Była zapewne i część z przekonania walcząca, szczególnie opracowana dobrze grupa Wasyła. Element zaś starszy, chłopski, ten rozważniejszy i ten wojny dosyć

mający, nie chciał za „Wkrau-inu \*)“ walczyć, tym mniej pragnął za nią ginąć. Ten, trzymany w oddziałach zwartych, pędzony przez oficerów i żandarmów i osobne oddziały „usaków“ (U. S. S. ukraińcy siczowi strzelcy) karabinami maszynowymi, szedł do walki i ginął pokotem za sprawę sobie obcą. Byli i tacy, którzy po łatwy—wedle ich spodziewania—łup szli z ochotą, ginąć nie bardzo chciało się im jednak. Był to element najgorszy i najstrasliwszy dla ludności polskiej na tyłach armji, dla jeńców, internowanych, a wreszcie i dla ludności ruskiej. Nastrój wojowniczy, szczególnie po wsiach, ustępował prędko. Dostały się one jednak w twarde ryzy i w ciężkie karby terroru „wolnego państwa“ i przymuszane dawały rekruta. Trzymał się on, jak długo starczyło terroru, jak długo bał się karabinów z tyłu. W walce—szczególnie pokonany,—rozbiegał się, dezertował, póki znowu nie został złapany przez żandarmerję, która plagami, szczodrze rozdzielanymi, usiłowała mu wpoić miłość do państwa ukraińskiego i zrozumienie jego potrzeby. Były i takie jednostki—choć niezbyt może liczne—które uważały tę walkę za bratobójczą, gdyż polak i rusin (w ich rozumieniu, są to jedynie dwa różne wyznania) żyć muszą w zgodzie na jednej ziemi.

Rozbitki dawnej t. zw. partji staroruskiej, później moskalofilskiej, byli przeciwni Ukrainie, gdyż, wedle ich zdania, Rosja tam tylko do gadania mieć może. Stanowisko ich zmieniło się zasadniczo później, kiedy przyłączenie Galicji do Ukrainy uważali za pierwszy etap dostania się jej pod władztwo „matuszki, czy białego cara“. Początkowo okoniem stanęli i odmówili współpracy w urzędach.

Były wreszcie jednostki ruskie, (wyznaniowo), które narodowo po polskiej stanęły stronie i wstąpiwszy do wojska polskiego, czynny wzięły udział w walce.

---

\*) Od słowa „ukraść“. Nazwa szeroko po wsiach czysto ruskich dawana „nowemu państwu“. Etymologii bowiem nazwy ich narodowości nie ustalono jeszcze w głowach prowodyrów. Nazywano ją urzędownie „Ukraina“ i „Wkraina“. Z tego ostatniego słowa i z czynów urzędników i wojska ta przeróbka chłopów wzięta swój początek.

Tymczasem Ukraińska Rada Narodowa obradowała nieustannie.

W „rządzie ukraińskim“ bezhołowie i chaos. O skoordynowanej pracy nie było mowy. Zarządzeń, wydawanych przez wyższych, niżsi nie słuchali. Każdy wydawał rozkazy na własną rękę.

Wśród członków U. R. N. panował wojowniczy nastrój. Rozważniejsi, ale bardzo nieliczni, z troską patrzali na czyny dokonane, z troską patrzyli w przyszłość. Przygłuszeni i przytłumieni zostali przez ogół. Zachłanność ukraińska rzuciła się, z pomocą Niemców, na ziemię niewątpliwie polskie, miast odbierać od nich i budować Ukrainę tam, gdzie ona istnieć mogła. Zachłanni na ziemię, w których stanowili nawet mniejszość bezwzględna, postawili wszystko na jedną kartę, nawet cały swój do osiągnięcia możliwy byt państwowy. Motywem ich postępowania bowiem kierowała nie miłość „własnego narodu“, ale nienawiść do nas, podsycana pieniędzmi i kierowana ręką prusko-austriacką.

W tym samym czasie, kiedy kierownicy ukraińscy obejmowali austriackie urzędy państwowe, ich dzieci rozdane zaciągały się w szeregi polskiego wojska i za świętą dla nich sprawę życie łożyły w ofierze \*).

Czy przy takim pomieszaniu rodzin, czy po tyloletnim wspólnym pożyciu na jednej ziemi, nie było innej drogi do porozumienia, jak przez walkę? Czy koniecznie łać się musiała krew drogocenna, której dość chyba utoczyła nigdy nienasycona hydra niemiecka.

Dążność do zgody i zgodliwego ułożenia współżycia przyszłego, dążność szczerą do zaspokojenia wszystkich oświatowych, kulturalnych i narodowych wymagań ruskich, panowała wszechwładnie we wszystkich obozach polskich.

---

\*) Mam tu na myśli dzieci byłego dyrektora lwowskiej „poczty ukraińskiej“ Popowicza, którego syn i córka w polskim walczyli obozie. Syn, dzielny i wysoce utalentowany młodzian, próbujący nieźle pióra swego w poezji, poległ w ogrodzie jezuickim.

Przy sprawiedliwym dla obu stron rozgraniczeniu wzajemnych państwowych interesów (znana granica równowagi), mogłoby przyjść nietylko do przyjaznego załatwienia wszystkich spornych kwestji. Dążność ta jednak była jednostronną—tylko po polskiej stronie — nie znachodząc żadnego równoważnika po stronie przeciwniej, po stronie ukraińskiej. Przyczyną tego: wyłączne poddanie się ślepej nienawiści, podsycanej z Wiednia i Berlina od lat tylu, zaślepienie w potęgę protektorów swoich i zachłanność na ziemi, które nigdy nie należały do jakiejś Ukrainy, zachłanność na ziemi niewątpliwie i o większości polskiej.

Wyciągnęli ręce zachłanne po ziemię niewątpliwie polskie i Polsce się należące wedle wszelkich zasad sprawiedliwości. Pierwsi wyciągnęli miecz z pochwy, podstępnie opanowawszy miasto i kraj, niewinną ludność mordować zaczęli. Na walkę, walka tylko mogła być odpowiedzią, na wyciągnięty oręż ukraiński trzeba było wyciągnąć z pochew oręż polski.

O ile w obozie ukraińskim walka ta była celem jedynym ujarzmienia ludności polskiej, wymordowania jej (autentyczne powiedzenie) lub pozbawienia wszelkiej możliwości życia narodowego, to po stronie polskiej walka ta od początku — i to z naciskiem podnosząc—była uważana za środek do upamiętania Ukraińców, do wtłoczenia im w zaślepienie mózgi, że ludność polska tu żyje od wieków, a oni ułożyć z nią muszą zgodne współżycie. Słowem, wynik walki—pomyślny dla nas—miał się stać początkiem pertraktacji zgodnych i obustronnych. Takich celów wobec ludności ruskiej, jakie żywili Ukraińcy wobec ludności polskiej, nikt nie miał w obozie polskim. Niestety, do opamiętania nie doszli Ukraińcy nigdy w czasie walk, nie doszli nawet dziś jeszcze.

Na zakończenie rozdziału tego, zamykającego pierwszy dzień walki i przygotowań do niej, podam szkic naszej sytuacji militarnej.

## ZADUSZKI.

Karygodne, w nieudolności, czy innych „przymiotach” przyczynę swą mające, niezajęcie magazynu amunicyjnego, pomieszało nam pierwsze plany, i mogłoby dać powód do depresji, lub zwątpienia. Władanie zaś tymi zapasami przez Ukraińców powiększało znacznie, i tak już skrupulatnie przygotowane ich środki obronne. Musieliśmy więc zdobyć magazyn. Zdobyć za wszelką cenę, choćby zostać zeń miały tylko gruzy i popioły, byle nie służył im, jeśli już my nie będziemy mogli z niego czerpać. Powodu do rozpaczyny nie było. Mieliśmy bowiem na dalszym planie drugi, również obficie zaopatrzone, magazyn z amunicją i bronią rosyjską, w Skniłowie, który można będzie opanować. Do akcji tej należało ściągnąć wszystkie rozporządzalne karabiny.

Zdobycie wstępnym bojem silnie obsadzonego magazynu było niemożliwe, lub conajmniej zbyt trudne, bez równoczesnego opanowania całego kompleksu zabudowań dworca głównego. Plan więc działania był następujący: Porucznik Abraham skierowany został z miasta z całym P. K. Wiackim oddziałem swoim do reduty na ul. Janowskiej. Wzmocni ją, przejdzie do akcji i uderzy od ulicy Janowskiej na zabudowania głównego dworca (ogólny kierunek: główna hala), ubezpieczywszy się odpowiednio od strony dworca Kleparowskiego. Połowa grupy por. Kułakowskiego uderzy z ulicy Kordeckiego, przez ul. Na Błonie, na kompleks ogrzewalni, usiłując za wszelką cenę zapanować lewym skrzydłem nad trójkątem ulic: Na Błonie, Grodecka, i dojazd do dworca (tzw. Kopytkowe). Chodziło przytym o równoczesne odcięcie dworca od miasta. Po rozwinięciu się walki dwu tamtych grup uderzy połowa grupy ppor. Wolaka, posłanej z Sokoła Macierzy

do Szkoły Sienkiewicza, na magazyn amunicyjny, a po zdobyciu zabezpieczy go od strony reszty dworca (magazynów żywnościowych). Przygotowane tabory z reduct czynnych (Szkoła Sienkiewicza, Dom Techników) wywożą bezwzględnie, choćby z płonącego magazynu, co tylko można i stworzą u siebie zbrojownię.

Szkoła Sienkiewicza uzyska połączenie z grupą z ul. Na Błonie. W tym celu wzmacni ją Dom Techników, oddawszy do jej użytku znacznie większą część swych karabinów. W miarę postępu akcji w stronę dworca, mieli kap. Bastyr i por. de Beaurrain opanować lotnisko grupą przez siebie stworzoną, ubezpieczyć je i zająć się przygotowaniem aparatów do lotów. Przy akcji na dworzec miał ten oddział współdziałać od strony północno-zachodniej.

Dla czytelników, nieobeznanych ze strategią, muszę dać wyjaśnienie, dlaczego, chcąc zdobyć magazyn, kazano atakować dworzec ze strony wprost przeciwnej.

Chodziło bowiem o zwrócenie uwagi nieprzyjaciela w tamtym kierunku, a więc odciągnięcie tam znacznie większych jego sił, a zarazem o możliwą ochronę magazynu przed podpaleniem, wraz z zajęciem go nagłym, a niespodziewanym uderzeniem.

Ponieważ zarówno ten, jak i dalsze plany komendy nacz. na dzień ten powzięte, wymagały bliższego czuwania nad ich wykonaniem, przeniesiono stanowisko komendy na ul. Nabelaka 43 (do mieszkania członka komendy, por. D-ra Aleksandra Rutkowskiego) i ulokowano ją przed frontem własnym. Przejście kilkudziesięciu ludzi (komenda, łącznicy i t. d.) odbyło się bez jakiegokolwiek szwanku.

Akcja główna na dworzec nie rozpoczęła się jednak z pierwszym brzaskiem, jak nakazano. Przyczynę tego wyjaśnić należy. U por. Abrahama zjawiał się wysłannik „Komendy Wojsk Polskich” (kap. Kamińskiego), czy bawiący tam przypadkowo jej przedstawiciel i oświadczył, że komenda W. P. nie nakazała tego ataku. Por. Abraham, nie zorientowany jeszcze w różnicy między Komendą W. P. a Naczelną Komendą W. P., wstrzymał akcję; jed-



nakże, nie dowierzając wysłał łącznika z wyrzutami do Komendy, od której otrzymywał wszystkie dotychczasowe rozkazy. Tymczasem por. Kułakowski, nie mogąc doczekać się zaczęcia akcji na prawym swym skrzydle, rozpoczął akcję sam. Zwróciwszy przez to większość sił ukraińskich na siebie, borykał się bardzo ciężko. Znaczne poniósł straty przy forsowaniu ulicy Na Błonie i parkanu kolejowego. Teraz dopiero, nie doczekawszy się jeszcze powrotu łącznika, a widząc sąsiada w ciężkim położeniu, uderzył por. Abraham i uderzył znakomicie. Rozpoczął uderzeniem tym szereg swych brawurowych czynów, które wyniosły go na czoło wszystkich listopadowych obrońców Lwowa.

Śmiałym wypadem, na zdobytym poprzedniego wieczora aucie ciężarowym, o załodze 6 chłopców obsadza por. Abraham po krótkiej walce dworzec Kleparowski, a równocześnie rzuca główne swe siły wzdłuż toru kolejowego Lwów—Podzamcze, w kierunku hali głównej. Na słaby początkowo napotkawszy opór, posuwa się szybko naprzód. Ukraińcy skierowali bowiem główne swe siły już przedtym przeciwko por. Kułakowskiemu. Obecnie, zmuszeni wpierw do przegrupowania sił, przerzucili wszystkie rozporządzalne wojska w celu powstrzymania lawinowego ataku por. Abrahama. To znów ułatwiło atak por. Kułakowskiemu, który, korzystając z osłabienia sił nieprzyjacielskich na swym froncie, zdołał sforsować parkan i zając silną pozycję na Kopytkowym. Zawzięta w dalszym ciągu rozwiązała się walka o posiadanie ogrzewalni i hali dworca głównego. Tymczasem, tuż przed 10, uderza trzecia grupa od strony szkoły Sienkiewicza (ppor. Wolak) na magazyn i zdobywa go bez strzału, atakiem na bagnety. Zdobywa go całkowicie i prawie w nietkniętym stanie. Ukraińcy zabrali stamtąd kilkanaście tylko skrzynek amunicji i, niestety, wszystkie karabiny maszynowe. Trzeba było widzieć, jak skwapliwie rzucili się teraz przygotowani chłopcy do przenoszenia i ładowania karabinów i amunicji na wozy, czekające u wylotu gościńca kulparkowskiego w ul. Grodecką. Nie odstraszał i nie przerażał ich grad kul, jakimi

Ukraińcy zasypywali całą okolicę, strzelając z poddasza bliskich stamtąd magazynów żywnościowych.

Małeństwa te, zręcznie i zwinnie przemyskając pomiędzy i pod stojącymi tam wagonami, unosiły szybko te bezcenne dla nas skarby. Czynność tę kontynuowały dzielne chłopcy aż do 4 listopada bez przerwy i zaopatrzyli przeobficie wszystkie reduty. Magazyn i dworzec bowiem można było utracić — jakto na wojence bywa. Potrzeba usunięcia tych zasobów była tym większa, ponieważ Ukraińcy, cofając się z magazynu, podpalili sąsiednie, o kilkadziesiąt zaledwie kroków odległe, olbrzymie składy żywnościowe Banku rolniczego. Pożar ten, przez trzy dni szalejący, a potem tlejący się jeszcze tydzień, poważnie zagrażał amunicji naszej.

Opowiadano później, z jaką uciechą, z jakimi okrzykami rzucono się w domu Techników na pierwszy wóz, który zajechał tam tuż po 10 z nowusienkimi „Mannlicherami” i amunicją. Chłopcy całowali tę broń, ponieważ znali jej wartość, gdyż jej nie mieli. Całowali ją tym goręcej, gdyż na każdym karabinie błyszczał bagnet wyostrzony. Było czas najwyższy na uzbrojenie znacznych zastępów ludzi, którzy dotychczas nie posiadali broni, czas był najwyższy, gdyż niebawem rozpoczął się tu szalony atak ukraiński.

Od tej chwili rozbrzmiał po Lwowie całym okrzyk: „Broni i amunicji mamy dosyć, ludzi mało” i brzmiał długo — może aż za długo...

Wróćmy jednak do dalszych walk o dworzec. Grupa południowa, w poczuciu, że: najlepszym ubezpieczeniem zdobytych magazynów może być tylko dalszy atak, pokuśla się trzykrotnie, *bez rozkazu*, o zdobycie dalszych części dworca czerniowieckiego, zwracając się szczególnie ku austrjackim magazynom żywnościowym. Ale wysiłki te pozostały na razie bez skutku, pomimo znacznych strat własnych. Jedyny zysk tego opanowanie kilkuset wagonów, przeważnie z żywnością, którą zaczęto pospiesznie zwozić do redut.

Dalsze dwie grupy borykały się długo jeszcze i zacięcie z przemożnym nieprzyjacielem. Wypierały go krok za krokiem. Krytyczną była chwila, gdy, koło godz. 11, ruszył nieprzyjaciel do ataku na całej linii, od strony miasta. A więc, co nas tej chwili obchodzi, ul. Janowską, Kordeckiego, Grodecką, w górę. Atak ten rozciągnął się i dalej na południe, na szkołę Sienkiewicza, a szczególnie silny i bardzo planowo, a dobrze przeprowadzony, na dom Techników. Nasi, atakujący dworzec, nie upadli jednak na duchu. Miast linię tyraljerską zagęszczając w ostatnich fazach ataku, musieli ją uszczuplać, ażeby wzmocnić ubezpieczenie tyłów. Broniąc się tam dzielnie, zdobyli na wrogu pierwszy karabin maszynowy, a w kilkanaście minut i drugi. Ataku na dworzec nie przerwali. Brawurowo prowadzeni przez swego rozkazo — i imienia-dawcę „Abrahamczycy“, opanowali po 2 godz. pop. wejście do głównej hali. Równie świetnie postępująca naprzód grupa por. Kułakowskiego zajęła znaczniejszą część budynków ogrzewalni.

Ukraińcy na dworcu, napiejęani ze wszech stron, pragnęli cofnąć się w stronę miasta. Lecz jakież było ich zdumienie, gdy od Kopytkowego przywitał ich nieoczekiwany ogień. Machali zrazu chustkami, myśląc zapewne, że to ich własni towarzysze do nich strzelają. Ale ogień nie ustawał. Był to dzielny oddział, bo nie podniósł rąk do góry, lecz zwróciwszy się wprawo, obsadził utrzymane jeszcze przez nich budynki dworca towarowego. Stąd próbowali przebić się na zachód, lecz i tam zastali drogę zamkniętą, przez grupę „magazynu amunicyjnego“.

W tej sytuacji, kiedy Ukraińcy gotują się do beznadziejnego dla nich oporu, przy ogromnej łunie pożarów, przez nich samych wznieconych (zapalili kilkanaście wagonów, kilka składów, między innymi skład Banku rolniczego), a polskie oddziały, mimo znacznych strat własnych, do dalszego ataku — rozdzielił i powstrzymał ich rozkaz zawieszenia broni.

Odkładając na później przedstawienie tej kwestji, opiszę obecnie dalszy ciąg walk o dworzec, aby dopro-

wadzić do końca ten obrazek zaciętych i krwawych bojów.

Szeregi zdobywających sił polskich, przerzedzone z powodu znacznych strat i odciągnięcia części wojska, na tyły zagrożone, stały na pozycji od godz. 3 po poł., z bronią u nogi, gotowe do strzału i wyczekujące niecierpliwie zdobyczy, która nie mogła ich minąć. Czekano z niepokojem na godz. 6 wiecz., o której miało się zakończyć zawieszenie broni, by uderzyć ze świeżymi siłami. Liczono już, ile to karabinów maszynowych się zdobędzie (a było ich kilkanaście sztuk) cieszą się, jakie to straty poniosą od nich „karaimy“.

Nagle, około godz. 5, przy silnym już zmroku, ale jeszcze w czasie trwającego zawieszenia broni, otwierają Ukraińcy ogień na grupę magazynową, a w parę minut później zgęszczoną tyralierą uderzają w kierunku hali głównej. Przebiwszy się w ciemności, nikną między mnóstwem wagonów i znikają w kierunku na nieobsadzone jeszcze lotnisko. Niewiadomo było, czy do domu poszli, czy tamtędy do swoich dzielnie się przebili. Spodziewanej i obliczanej zdobyczy—nie było.

Po otrzymaniu meldunku o napadzie ogniowym Ukraińców, uważając to za złamanie zawieszenia broni, wysłał kap. Pieracki, dowódca szkoły Sienkiewicza, na własną rękę oddział osobny na pomoc, ewentualnie na zdobycie dworca. Oddział ten, prowadzony ostrożnie choć po mistrzowsku, zajął bez walki dworzec około godz. 9\*).

Z kompleksu dworca urządzono w ciągu 3 listopada osobny odcinek, z zadaniem obrony na zewnątrz.

W tym czasie, na całym terenie dworca szalał pożar, podłożony przez Ukraińców w kilkunastu miejscach. Szaleli i ludzie - szakale, czy ludzie - rabusie. Przeciw obu

---

\*) Ogłoszone w komunikacie IV kom. nacz. sprostowanie co do właściwego zajęcia dworca, zamieszczone zostało w dobrej wprawdzie wierze, ale i zarazem błędnie, z powodu nieświadomości redagującego, a w czasie nieobecności mej w komendzie, na skutek pisemnego meldunku, który wpłynął w tymże dniu.

żywiółom było się na razie bezsilnym. Przystąpiono do organizacji straży przeciw obydwu. Własna straż pożarna (miejska, jako odcięta linią frontu, przybyć nie mogła) przystąpiła do pracy 4-go i po dwudniowych nadludzkich wysiłkach zlokalizowała wreszcie żywiół pożaru. Zorganizowana straż druga, w postaci odrębnej milicji kolejowej, długo jeszcze nie mogła, czy nie chciała dać sobie rady, mimo wzmocnienia jej przez osobną żandarmerję i mimo nadludzkich wysiłków kap. Bartła, komendanta technicznego dworca i profesora techniki lwowskiej. Żołnierz walczyć musiał w linii i odpierać gwałtowne w tym czasie ataki wroga.

Nie do pozazdrosczenia była rola dowódców grup, którym kazano atakować dworzec, obsadzony przez siły przynajmniej pięćkroć ich przewyższające, gdy wśród tej walki otrzymali meldunek, że równocześnie atakowani są od tyłów. Należało więc z jednej strony atakować, a z drugiej się bronić; z obu stron przed znacznie przeważającymi siłami. Przytym odległość frontów obydwu wprost w przeciwnie strony skierowanych, wynosiła zaledwie kilkaset metrów.

Przecz nie upadli na duchu. Przecz nie zaprzestali ataku. Nie było, zdaje się, jeszcze wojska na świecie, któreby wytrzymało w podobnej sytuacji. Nie zawahał się jednak żołnierz lwowski ni sekundy, nie zawahałby się, choćby wiedział, że żywa nie ujdzie dusza, gdyż każdy ślubował, lub jak w P. K. W. przysięgał, że: „śmierć za ojczyznę uważać będzie za najwyższe szczęście“. Każdy chciał walczyć i zwyciężyć, lub zginąć, ale nigdy nie poddać się, nigdy się nie cofnąć.

Oslabiono więc linię atakującą, a wzmocniono linię atakowane. I odparto wszystkie ataki. I te od strony cmentarza żydowskiego, i te idące ulicami Janowską, Kordeckiego i Grodecką w górę. Po ich odparciu przechodzili nasi kolejno do kontrataku, a następnie do pościgu. Posunięto się prawie do ulicy Bema, jednej z najbardziej wstawionych w dziejach obrony Lwowa i tu zdobyto ciężką ofiarą pierwszy karabin maszynowy.

Por. Abraham nie pozwolił prześcignąć się na długo, i poszedł z maleńką grupką do szalonego kontrataku na wroga, w otwartym polu i na przeważające siły. Brawura zrobiła swoje. Atakujących przepędzono, a przytym drugim można się było poszczycić karabinem maszynowym.

Żołnierzom serca rosły na wieść o tych zwycięstwach. Podnieceni i rozżarci parli wszędzie naprzód, a tam w „ukraińskim“ Lwowie radzono nad... zaprzestaniem krwi rozlewu i... zawieszeniem broni.

Natomiast żołnierz ukraiński, pędzony do bezpłodnych ataków, a przytym—już nie dziesiątkowany, ale—jeśli tak rzec można—strójkowany lub nawet zdwójkowany—chronił swe cenne życie, uratowane z czteroletniej przeszłości zawieruchy wojennej i rzucał masami karabiny.

Atak ukraiński, skierowany na odcinek frontu szkoły Sienkiewicza, a rozwijający się wzdłuż ulic Polnej, Sadownickiej, Listopada, gładko i bez znaczniejszych strat własnych odparto. Ulice proste—jakby sierpem rzucił—mogą atakować choćby w tysiącach. Tym lepiej; o tyle ich mniej będzie, a nam amunicji starczy. I tu dzielna drużyna, pod również dzielnym dowództwem, ppor. Starcka Wilhelma, przeszła do kontrataku i przesunęła front swój naprzód, aż po ulicę Leona Sapiehy. Stąd połączyła z Kopytkowym.

Znacznie, bez porównania trudniejszą miał robotę dom Techników, przy odparciu skoncentrowanego na siebie ataku ukraińskiego. Sprzyjał tu przeciwnikowi teren, dogodniejsze były dlań ulice o wielkiej liczbie ogrodów i wolnych placów. Atak nieprzyjacielski szedł tu wzdłuż ulicy Potockiego i Nabelaka. Odpierał go tu jeden z najdzielniejszych P. O. W., podchorąży Wasilewski. Równocześnie postępował atak od cytadeli i remizy tramwajowej jarem wprost na dom Techników wychodzącym. Odpór mu tu stało trzech maluczkich chłopaczków, zostawionych u wylotu jaru, jako zabezpieczenie lewego skrzydła następnej grupy. Wreszcie najsilniejszy atak od koszar i wzgórz wólczych idący, któremu główne, prawie wszystkie siły trzeba

było przeciwstawić. W otwartym, pełnym jarów, rozpadlin i zagłębień terenie zawsze jest niebezpieczna masa, przewyższająca znacznie obrońców, a pchana do ataku bezlitośnie. Tu okrywał siebie i swój oddział nieśmiertelną sławą por. Kamieński, mając takich znamienitych kompanów na tym skrzydle, jak P. K. Wiak Brzeżowski i P. O. Wiak Dzieduszycki. Całością dowodził tu wytrawnie i znakomicie por. Bujalski.

Kiedy Ukraińcy rozwinęli się na polach wóleckich, nastąpił silny i doskonale poprowadzony atak na nich z flanki i od tyłu następnej reduty, utworzonej dnia poprzedniego ze Straży Akademickiej, pod dowództwem ppor. Nowaka-Przygodzkiego. Oddział ten uderzył na nieprzyjaciela z kamienicy naprzeciw remizy tramwajowej. Wypad wsparty kontratakami obrońców, doprowadził do rozpadnięcia atakujących i czasowego zajęcia koszar w óleckich.

Zażarta zawrzała walka na ulicach wyżej wspomnianych. Wątpię, czy jakakolwiek komenda miała kiedy sposobność oglądania i brania udziału w bitwie tak, jak ówczesna komenda nacz. która znalazła się właśnie w samym środku między linjami. Praca łączników mimo to nie ustawała. Wszystkie ataki ukraińskie krwawo odparto. W kontrataku puszczono się za nimi w pościg. Po uciążliwym i długotrwałym ścieraniu się dotarto i tu do ulicy Leona Sapiehy i zajęto budynek szkoły Marji Magdaleny, w którym osobną w tej chwili utworzono redutę.

W tym momencie walki zastało ich zawieszenie broni.

Przebiegły komendant ukraiński posłał wspomnianym już jarem silny pluton, około 60 chłopów liczący, na obejście i podejście reduty, której z frontu zdobyć nie mógł. Idzie więc 60 młojców w nieregularnym dwuszeregu, a trzech wcale niedużych obrońców, doskonale zaczajonych, czeka z zimną krwią, jakgdyby setki podobnych bitw mieli za sobą. Na bliską przypuścili ich odległość, nie, o wiele sto kroków przenoszącą i nagle, jak nie otworzą ogień z szybkością nieprawdopodobną, a prze-wybornym skutkiem, jak nie zaczęną prażyć. — Dusza

rosła na widok spustoszenia, jakie sprawili w szeregach ukraińskich. Oślupiał zrazu komendant oddziału ukraińskiego, ale, zorientowawszy się, zaczął wydawać komendy w prawdziwie ukraińskim języku jak: „Schwarmlinie rechts“, a potem kilkakrotnie: „Vorwärts“. Ale mołojcy, nie zrozumiałwszy może komendy, woleli wybrać rów, choć wzdłuż linii strzału idący i biegnąc nim, szukać ocalenia dla swych ciał grzesznych. Pozostawili jednak na placu przeszło połowę. Meldowano 34. w zabitych i rannych.

Po załatwieniu się z akcją główną na tym odcinku oddział akademików, pod wodzą ppor. Nowaka-Przygodzkiego, z reduity remizowej, nawiązał łączność z grupą Wasilewskiego, prąca wciąż naprzód. Oczyszczenie z resztek ukraińskich tego rejonu poszło im jak z płatka. Nasi doszli jak lawina do ulicy Kopernika i przez ulicę Zofji Chrzanowskiej uzyskali połączenie ze szkołą Marji Magdaleny. Poszli jednak dalej dzielni chłopcy i przystąpili do brania szturmem Cytadeli. Zdobyli jeden bastjon (od strony remizy) i tu właśnie doszło do nich „zawieszenie broni“. Wściekali się uczestnicy tej walki i stale później twierdzili że w tym rozpędzie byliby zapanowali nad całą Cytadelą, bo „karaim już wiał“. Może i mieli rację...

Uwolnią mnie czytelnicy od przedstawienia nastroju komendy nacz. i mej własnej psychy w momencie, gdy dotarł do niej zmęczony, zziębnięty i blady Dr. Stahl, w towarzystwie dwu ukraińskich oficerów. Obarczony mandatem zawiadomienia komendy o zawartym trzygodzinnym zawieszeniu broni, rozpoczynającym się od godz. 3, przyjął na siebie ten ciężki obowiązek, który spełniając, musiał trzykrotnie przechodzić przez walczące linje, gdzie ogień ni na sekundę, nie ustawał, by dopytać się i dojść wreszcie do miejsca komendy nacz. Nieobznajmiony z przepisami wojskowymi ogłaszał w czasie przechodzenia przez front o zawartym zawieszeniu broni. Zaco o mało życia nie postradał. Dotarł do nas o godz. 2 min. 45 popołudniu ten zwiastun złowrogi, choć bez żadnej osobistej, prywatnej w nim winy, przeciwnie człek o poświęceniu i zasługach wielkich, i zwiastował nam okrutną nowinę. Nie pomnę drugiego



w mym życiu momentu, w którym byłbym tak wzburzony, tak do cna przejęty, jak w tym właśnie. Trząsłem się cały i jak w febrze zadać mogłem kilka koniecznych pytań D-rowi Stahlowi. Krótki moment wahania: przyjąć nie przyjąć—lecz trudno...

Wczasy zawieszenia broni miały się toczyć dalej rokowania o rozejm i uregulowanie zgodnego współżycia. Postawiłem więc tylko pewne zastrzeżenia, których później, po zorjentowaniu się w sytuacji politycznej w P. K. N., nie mogłem w całej rozciągłości podtrzymać (ugoda do 6 zawartą być musi i opuszczenie przez Ukraińców wszystkich budynków publicznych) i... rozkaz o zawieszeniu broni wydałem.

Na cóż się przyda roztrząsać dziś pytanie: „coby było, gdyby tego nie było“. Bezcelowe i bezprzedmiotowe byłoby to postępowanie. Celu niema, bo nic już nie można poprawić, ni odmienić; bezprzedmiotowe, któż bowiem może twierdzić, że stałoby się to i owo, że osiągnęlibyśmy to lub tamto. Na wojnie wydać wyrok, że to dziś zdobędę, lub tamto osiągnę—trudno. Najwięksi wodzowie nierzadko się mylili. Nie mogę dziś, jak nie mogłem wówczas, powiedzieć napewno, dokądby doszła lawina polska w tym dniu. Prawdopodobne, że bylibyśmy poszli jeszcze dalej. A może... Któż raczy wiedzieć? „Różnie na wojence bywa“.

Jedno jest pewnikiem, że gdyby udało się naonczas opanować Cytadelę i zgryść ten później nie do zgryzienia orzech, przebieg walk lwowskich wziąłby inny obrót.

Chociaż nie chcemy zajmować się rozbiorem powyższego pytania, musimy zdać sobie sprawę z faktycznego położenia obu stron walczących o tę godzinie.

Dla Ukraińców moment ten był krytycznym z wielu względów. Po pierwsze ofenzywa ich, zakrojona na zbyt szeroką skalę, nie mogła być bez odpowiednich środków łączności i nie była w każdym jej stadium należycie kierowana. Szczególnie, jeśli chodzi o wzajemne współdziałanie poszczególnych grup. Nie wiem, czy zarządził taką ofensywę z nieznamości praw wojennych, czy z dumy bezdennej, by w tym dniu bezwzględnie skończyć „z ban-

dami polskimi“ (ich wyrażenie) i ogłosić światu, że „Lwów cały w ich ręku i spokojny“ (co też zresztą w tym dniu zrobili \*). Dość, że wyczuwało się i widziało brak ogólnego i mocnego kierownictwa w akcjach ich poszczególnych grup. Znaczy to w języku wojskowym, że każda grupa, wysyłana zapewne z rozkazem zajęcia, czy oczyszczenia pewnej części miasta, lub pewnych ulic, szła naprzód, pchała masami oddziały do beznadziejnego częstokroć ataku, biła się nierzadko bardzo dzielnie, jednakże, albo nic nie wiedziała o swych sąsiadach, albo nie wiedziała, co się w danym momencie u nich dzieje. Stąd zawsze któraś z nich, a raczej później wszystkie po kolei, odsłaniały, czy wystawiały na szwank swe skrzydła. To znowu znakomicie potrafił wykorzystać inteligentny, z zapalem walczący żołnierz polski. Choć sam w znacznej mierze bez doświadczenia, ba nawet bez jakiegokolwiek wykształcenia bojowego, jednak prowadzony doskonale przez oficerów, na równi z nim walczących z karabinem w ręku, chciał i umiał znaleźć się wszędzie bojowo górami.

Strategicznie i taktycznie nie cenię wysoko tego ataku ukraińskiego, nie postawię go za wzór—chyba za wzór, jak nie powinien być wykonany. Nie znaczy to jednak, bym lekceważył go naonczas, a nawet, bym lekceważył go dziś jeszcze. Masa i przewaga była wszędzie i znacznie po ich stronie, a w poszczególnych grupkach przewyższała nasze siły dziesięciokrotnie. Można było ulec, a mała pociecha ulec od ataku, prowadzonego niestrategicznie, czy nietaktycznie.

Lecz dzielna bohaterska grupka obrońców nie przerażała się niczym. Widziano żołnierzy polskich, mających spuchnięte barki od licznych strzałów, nie mogących ruszać prawą ręką od zbyt częstego otwierania niepraktycznego i nieekonomicznego zamku mannlicherowskiego. Nie wspomnę o takich, którzy mieli spuchnięte twarze, szczególnie po prawej stronie, lub którzy na zębach szwank ponieśli.

---

\*) Patrz „Ukraińskie Słowo“ z 2 listopada.

Następowały te masy wrogów—z własnej ochoty, czy z przymusu—dobrze, w niektórych miejscach bardzo dzielnie. Kilkakroć rozwijano się do ataku, posyłano w kilku liniach masy, które parły naprzód mimo strat znacznych. Atakom, czy kontratakom mocny stawiali opór. Zewsząd trzeba ich było dopiero wyrzucać.

Mimo to atak ukraiński nie udał się. Przyniósł im tylko fiasko zupełne, wszędzie utratę terenu własnego i wszędzie znaczne—bardzo znaczne straty. Straty te liczyliśmy na grube setki.

Te ogromnej wagi czynniki moralne mogły zadecydować o dalszych walkach na najbliższych kilka godzin. Wiadomo każdemu który coś niecoś miał z wojną do czynienia, lub zdala choćby powąchał prochu, że najkrytyczniejszym moralnie jest moment, gdy po nieudaniu się ataku własnego, ruszy przeciwnik do kontrataku, na mocno przerzedzone linie. Wtedy prędko rezerwy ściągać trzeba, a nawet rezerwami zastępować dotychczasowych wojów. Myśmy do tego kontrataku przeszli na całej linii, wszędzie osiągnęliśmy znaczne sukcesy i wszędzie wstrzymał nas nie wróg, lecz rozkaz—zawieszenia broni.

Poniesione zbyt liczne straty również nie podniosły moralnej wartości żołnierza ukraińskiego. Oddziaływały one ujemnie, nader ujemnie nawet na oddziały, stojące wysoko moralnie i ideowo. Przecież w ukraińskim wojsku był pewien procent (nie będę go określał ni cyfrowo, ni stosunkowo) żołnierzy, którzy mieli dość wojny i chętnie poszliby do domu, był pewien procent takich, którzy pragnęli jedynie wziąć jakąś „pamiątkę na drogę“, byli i tacy, którzy chętnie żyliby i rabowali w Ukrainie, lub do bezbronnych strzelali, lecz ginąć za Ukrainę nie po smaku im było. Jak więc oddziaływały na tych wszystkich te liczne i krwawe ofiary, łatwo zrozumieć.

Dodajmy do tego: brak opieki nad wyżywieniem żołnierza (byli tacy, którzy od pierwszego rana nic jeść nie dostali), niezorganizowanie zmiany służby, (trwało wielu już drugi dzień na posterunkach bez zmiany) itd.

Wynikiem tych wszystkich przyczyn, a w pewnej mierze jeszcze wynikiem akcji ppor. Dajczaka było, że od rana dnia tego wzmógł się „exodus“ Ukraińców ze Lwowa. Pojawił się objaw ten dnia poprzedniego, ale sporadycznie, w tym dniu wzmógł się znacznie, a pod wieczór i dnia następnego do ogromnych doszedł rozmiarów. Meldunki nasze z rogatek miejskich bardzo były pocieszające. Zostawiał początkowo tu i ówdzie karabin poszczególny żołnierz i wymykał do domu, później czyniły to mniejsze oddziały—szczególnie bez oficerów zostawione, a potem—właśnie na początek zawieszenia broni—przybrał ruch ten rozmiary masowe. Mogę tu przytoczyć pewne cyfry. W czysto ukraińskich koszarach Jabłonowskich wydano 1 listopada przeszło półpięta tysiąca porcji obiadowych, 2-go już 3000 z małym przyczynkiem, 3-go zaś tylko około 600. W innych może było lepiej, choć ubytek wszędzie był znaczny. Cyfr stamtąd nie mam.

W powstrzymaniu, opanowaniu tego ruchu i zastąpieniu braków przez przybyłą 3-go grupę Wasyla oddało zawieszenie broni Ukraińcom znaczne usługi.

Mieliśmy w tym dniu wiadomości i meldunki o odmawianiu posłuszeństwa przez całe oddziały do walki posyłane, o rzucaniu broni, a nawet o rewoltach, choć na małą jeszcze skalę.

Jakie zaś korzyści przyniosło nam zawieszenie broni? Jednym słowem można odpowiedzieć na powyższe pytanie: żadnych. Przeciwnie ogromne szkody, które każdy łatwo ocenić może, zsumowawszy te wszystkie korzyści, jakie odniósł przeciwnik.

Wprawdzie ponieśliśmy wcale bolesne i dotkliwe straty, mimo to jednak nie powstrzymano nas dotychczas w pędzie naprzód. W boju zaś każdy moment trzeba wykorzystać; inaczej bowiem gotów nigdy nie wrócić. Możliwość uporządkowania oddziałów naszych była zbyt małym plusem, by poważnie mogła wchodzić w rachubę.

Dlaczego więc zgodziłem się w takiej sytuacji na zawieszenie broni? Dużo było motywów nie wojskowych, lecz raczej politycznych. Z tego powodu nie będę mówił

o nich. O dwu napomknąć jeno mogę, a to utrzymanie jedności całego obozu polskiego i porwanie dla obrony całej polskiej społeczności, nie tylko przez toczącą się walkę, która zawsze podnieca i rozgrzewa, ale i przez wykazanie naoczne, że obcą jest chęć zgody Ukraińcom, choćby na najbardziej sprawiedliwych, na najśluszniejszych warunkach z naszej strony opartej.

Liczyliśmy się z tym, że długotrwałą będzie wojna i że musimy natchnąć świętym bezgranicznym zapalem cały polski Lwów. Osiągaliśmy to nie odrazu, lecz powoli.

O 3 godz. pop. rozpoczęło się zawieszenie broni i trwało do godz. 2 pop. dnia następnego.

Z nieudałych akcji bojowych muszę znowu szerzej omówić sprawę niezajęcia lotniska. Kap. Bastyr i por. de Beaurrain otrzymali, jak wspominałem wyżej, rozkaz zawładnięcia i ubezpieczenia lotniska w miarę postępu akcji por. Abrahama. Zebrali więc odpowiedni oddział i oczekiwali na terenie grupy por. Abrahama na posunięcie się jego akcji, by rozpocząć swoją w korzystnym momencie. W tymto oddziale zjawił się osobiście kap. Kamiński i oświadczył wobec całego oddziału, że komenda W. P. nie nakazywała i nie myśli zajmować lotniska, że to bezcelowe itp. Na takie dictum  $\frac{2}{3}$  oddziału por. Beaurraina rozeszło się, wymyślając na gospodarkę komendy. Mając teraz za szczupłe siły (3 ludzi) nie mógł por. de Beaurrain wykonać zadania i lotnisko nie zostało zajęte w tym dniu. Na meldunek o tym komenda nacz., mając pewne podstawy do przypuszczeń, że i czasowe wstrzymanie akcji por. Abrahama wyszło również osobiście od kap. Kamińskiego, a nie mogąc ścierpieć podobnego postępowania na terenie akcji ze zrozumiałych powodów, wydała rozkaz aresztowania kap. Kamińskiego. W razie gdyby zechciał stawiać opór i nie chciał udać się spokojnie do komendy nacz., aresztujący miał prawo zrobienia użytku z broni palnej, choćby potym bezpośrednio musiał sam zrobić to sobie. Dostał odpowiedni rozkaz na piśmie i miał go osobiście wykonać kap. Bac.

Do aresztowania nie doszło jednak. Przed spotkaniem się bowiem tamtych obydwu, zeszedłem się ja przypadkowo z kap. Kamińskim po ukraińskiej stronie i wyjaśniłem mu „tak na rozum“, do czego może doprowadzić jego postępowanie.

Radziłem mu, by wziął sobie Trześniowskiego ze wszystkimi tymi, którzy zechcą z nim pójść i objął jeden z istniejących odcinków, albo zajął nowy i prowadził tam akcję samodzielnie, albo w myśl obopólnego porozumienia.

Oznajmiłem mu nakoniec, że wydałem rozkaz aresztowania go i prosiłem, by spokojnie udał się z aresztującym do komendy nacz. gdyż inaczej itd. Na to kap. Kamiński oświadczył mi i zaręczył słowem, że nie będzie się więcej mieszał do rozkazodawstwa, że on umywa ręce, a zato odpowiedzialność spadnie na mnie i t. d.

Wobec tego cofnąłem rozkaz aresztowania, a kap. Kamiński zwinął swoją Komendę W. P. i cofnął się w zacisze domowe na dni kilka, dopóki i jego nie ogarnął animusz wojenny.

Rankiem dnia tego mieliśmy w akcji na terenie Lwowa 176 karabinów, nie licząc nb. tych, które zostały poza Lwowem (Rżesna, Dublany, Sokolniki i t. d.). Ukraińców cyfra nie zmieniła się zbytnio, gdyż uciekła im wprawdzie pewna część żołnierzy, przyszło zato wielu ochotników (ukraińskie gimnazja i t. d.). Od godz. 10, t. j. po zdobyciu magazynu amunicyjnego, liczba karabinów u nas przekroczyła 12000. Naturalnie żołnierzy nie mieliśmy nigdy tylu, przez cały ciąg bojów lwowskich.

Szczupłymi tymi siłami osiągnięto sukcesy takie, że przestrzeń, zajęta przez wojska polskie, powiększyła się kilkanaście razy, a front przebiegał o godz. 3 dnia tego w następujący sposób: Od hali głównego dworca, poprzez dworzec Kleparowski, wzgórze na północ ul. Janowskiej (oba cmentarze) i schodził Janowską, aż do ulicy Bema, stąd przez Kordeckiego, Leszczyńskiego i plac Bilczewskiego na ul. Leona Sapiehy, dalej przez Zofii Chrzanowskiej na Kopernika, stąd częścią Kadeckiej ponad elektrownię skręcał na zachód i wzgórzami wóleckimi i kul-

parkowskimi (między Kulparkowem a Lwowem) dochodził do gościńca gródeckiego. Tu w okolicy rogatki gródeckiej obejmował część dworca Czerniowieckiego koło magazynu amunicyjnego i tu łączył się przy Kopytkowym z początkiem.

To było w dniu tym „polskie miasto“, zamknięte ścisłym frontem, gdzie żołnierz ukraiński mógł znajdować się tylko jako jeniec. Plan miasta warto pokazać czytelnikom na osobnym szkicu.

Poza tym frontem polskim znajdowały się w dniu tym reduty: czynne t. j. takie, które mając główne zadanie defenzywne, mogły zachowywać się także ofenzywne i przedsięwziąć mniejsze akcje, a to w Rzęśnie polskiej, Sokolnikach i Kozielnikach, ponadto, jako t. zw. eksponowana placówka, Koszary wóleckie, zdobyte tuż przed zawieszeniem broni i reduty czysto defenzywne i w pogotowiu do akcji ciągle trzymane na Zamarstynowie i Żółkiewskim, w Hołosku, Dublanach, a z drugiej strony Sokół Macierz, Dom Akademicki i Łyczaków. Nieznaczna ilość rezerw dopełniała reszty.

Z akcji bojowej dnia tego wydano pod wieczór pierwszy komunikat polski. Pisany na ulotnych kartkach, nie powielony w ilości wystarczającej, został tak zaczytany, że nie dochował się z niego ani jeden egzemplarz.

Na zakończenie opisu akcji bojowej w tych pierwszych dwóch dniach listopada winienem dać bodaj krótką ocenę militarnego zachowania się Ukraińców. Jak można było przewidzieć przed rozpoczęciem zamachu ukraińskiego, skoncentrowali oni wszystkie swe siły w śródmieściu, wyteżyli całą swą uwagę na militarne zabezpieczenie go i wszystkich ważniejszych budynków rządowych. Stąd dopiero wysyłali patrole o różnej sile, które przechodziły przez resztę miasta. Dzielnice, w których znajdowały się koszary, były mocno obstawione i silnie patrolowane; dzielnice inne prawie nieobsadzone i słabo patrolowane. Jedyną taką dzielnicą była właśnie ta, w której ulokowano pierwsze polskie reduty czynne. Oto dalszy powód, dlaczego wybrano i wybrać musiano z polskiej

strony tamte okolice. Chodziło o to, by mieć czas i możliwość spokojnego zorganizowania oddziałów obronnych.

Nie połapali się w tym Ukraińcy i pierwszego dnia nie wiedzieli zupełnie, gdzie koncentruje się opór polski. Dopiero, gdy pierwsze ich patrole zostały przyjęte i odparte ogniem od szkoły Sienkiewicza i domu Techników, zaczęli baczniejszą zwracać w tamtą stronę uwagę. Kiedy zaś wieczorem spotkali się z ogniem i na ul. Janowskiej, postanowili prawdopodobnie generalnym atakiem przełamać opór, nie wiedząc naturalnie, że gdyby im się to udało, opór przeniósłby się w inne miejsca i w inne re-duty. Taka jest geneza ataku ukraińskiego, przedsięwziętego 2 listopada.

O jakimś froncie ukraińskim nie można jeszcze mówić pierwszego listopada. Nie było go. Patrolowali tylko gęsto główniejsze arterje komunikacyjne, zostawiali w znacznym stosunkowo spokoju na uboczu leżącą dzielnicę szóstą.

Front polski zaistniał natomiast już w południe 1 listopada. Zawierał on kilka ulic i uliczek, obsadzonych placówkami, poza które nie mógł przejść żaden patrol, ni żaden żołnierz ukraiński.

W ciągu drugiego listopada zmienia się powyższa sytuacja powoli. Początkowo obstawiają Ukraińcy mocnymi placówkami, ale w dość dalekiej odległości, stwierdzone re-duty polskie. Potym, około godz. 11, zaczynają generalny atak. Odparci i ścigani byliby się może opamiętali nie prędko. Opór znaleźlibyśmy tylko w stałych obsadach ukraińskich. Tymczasem, wstrzymani przez zawieszenie broni, daliśmy im możliwość prawidłowego zorganizowania frontu. Rzecz ta dokonała się właśnie w ciągu 2 i 3 listopada. Od tej chwili musimy już mówić o dwu naprzeciw siebie stojących frontach, polskim i ukraińskim. Odległość ich różna w różnych miejscach.

Po stronie zewnętrznej miasta nie było jeszcze teraz obsadzonej obustronnie linii. My mieliśmy tam wybraną linję obronną, na której umieszczono placówki ubezpiecza-



jące. Ukraińcy zbierali tylko bandy chłopskie (np. Skniłów. w lesie Biłohorszczy i t. d.), które pchali później do ataku,

Ciekawym, bo może znajdują się i tacy, muszą przedstawić jeszcze w ogólnych zarysach dalsze czynności organizacyjne komendy nacz.

Na pierwszym miejscu — choć nie z powodu ważności — postawię stworzenie w dniu tym osobnej komendy samochodowej. Kilka aut zdobyto na Ukraińcach, kilkanaście zajęto w magazynach. a raczej w warsztatach poaustriackich, przy ul. Na Błonie, kilka przywieziono z różnych instytucji polskich. Wymieniona sekcja miała się więc zająć zorganizowaniem toku służby, wozów i szoferów, naprawą i remontem. a wreszcie ściągnięciem reszty aut, znajdujących się jeszcze we Lwowie.

Wozy podzielono w ten sposób, że każda reduta czynna otrzymała 1 osobowy i 2—3 ciężarowe. Ostatnie służyć miały raczej do celów taktycznych, na przerzucanie sił i rezerw, bezpośrednie użycie w walce i t. p.

Wtedy także wydano dyspozycje do budowy auta pancernego. Zabrano się energicznie do przygotowań tak, że właściwa robota rozpoczęła się już nazajutrz zrana.

Władzę nad zdobytym materiałem telefonicznym oddano w ręce osobnej sekcji (najzasłużeńsi w niej: por. Maślanka i ppor. Daszyński) i polecono przystąpić bezwzględnie do zorganizowania służby łączności. Czy nie można było być przyjemnie zdumionym, kiedy następnego dnia funkcjonowały ważniejsze linje, a w kilku dniach dalszych liczba stacji osiągnęła nieprawdopodobną cyfrę kilkudziesięciu czynnych. Dla laika wyda się to może drobnostką, fachowiec uzna ogromny wysiłek energii, skoro zważy, że stworzono to z niczego: Trzeba bowiem było zebrać dopiero ludzi, wyćwiczyć ich (bo nikt nie miał o tym pojęcia) i wybudować linje. Do obsługi central i aparatów tyłowych użyto później znaczną ilość pocztowców i telefonistek, którzy chętnie i ochoczo stanęli do służby i oddali sprawie ogromne usługi.

Jak z nieba zgłosił się w tym dniu w kom. nacz. inny ochotnik do W. P. docent politechniki, Lutze-Birk.

Dawny towarzysz „działań rewolucyjnych“ z r. 1905 nie mógł wysiedzieć w domu, słysząc wszędzie odgłosy walki. Niezadowolony był jednak, gdy „twardy rozkaz“ kazał mu pozostać przy jego fachu i zorganizować warsztaty rusznikarsko - artyleryjsko - samochodowe, przyjąć robotników i jak najszybciej puścić w ruch zakłady. Najpierw dla naprawy karabinów maszynowych i dział. Sprawił się dzielnie i następnego dnia wrzała robota w jego warsztatach. Na brak jej nie mógł się nigdy użalać, a robił rzeczy nadzwyczajne.

Inną pracę musiał wziąć na barki swe członek kom. nacz., por. Browiński. Odbił on cały szereg konferencji z członkami Organizacji Narodowej VI okręgu, Sokoła II i t. d., szczególnie z prof. Oziębłym. Rezultatem konferencji tych było, że jeszcze tego dnia pojawiła się na ulicach „polskiego miasta“ w służbie milicyjnej znaczna liczba poważnych i starszych obywateli, którzy zwolnili zajętych w tej służbie dotychczas żołnierzy. Rozpoczęto również starania celem zorganizowania osobnego komitetu, któryby ujął w swe ręce sprawę milicji, zabezpieczenie rozdziału żywności i t. d. Poszło to dość gładko i już następnego dnia rozpoczął urzędowanie Komitet obywatelski VI okręgu m. Lwowa, z ramienia którego odbijano w drukarni wojskowej odezwy, wzywające do wstępowania w szeregi, składania datków i t. d. (Patrz dodatek Nr. 15). Równocześnie milicja obywatelska wydała zarządzenia, normujące życie w obleżonym mieście. (Patrz dodatek № 16).

Na tych konferencjach wyłonił się także projekt wydawania osobnego pisma. Po referacie D-ra Browińskiego zgodziłem się na nie, jednak pod pewnymi warunkami, mianowicie: że nie zaangażuje komendy naczelnej ani mnie w jakimkolwiek kierunku, że więc pismo nie będzie wychodzić z ramienia wojska, lecz z ramienia istniejącej już, czy stworzonej ad hoc organizacji obywatelskiej, lub zespołu prywatnego, że nie będzie poruszało żadnych spraw partyjno-polit. ani z tego punktu widzenia zagadnień narodowych oświećtało, że zamieszczać będzie w sprawach

wojska tylko notatki nadesłane z referatu prasowego, że treść jego podawana będzie do uprzedniej cenzury tegoż referatu i t. d.

Zgodziłem się użyzyć dla pisma drukarni wojskowej, którą właśnie w tym dniu obejmował podchor. Sikorski w imieniu wojska polskiego. Była to drukarnia Chęcińskiego (L. Sapiehy 77), w której za czasów austriackich wychodziły: „Lemberger Zeitung“, „Depesza“ i „Ukraińskie Słowo“.

Intenzywnie pracował wśród kolejarzy i władz kolejowych inż. Wiśniewski. Rezultatem jego akcji było przyśpieszenie ze strony organizacji kolejowych p. Kozubskiego, jako łącznika do komendy nac. Zażądał on, by wszystkie życzenia komendy do kolejarzy przechodziły przez niego, że kolejarze sami dołożą starań, by jak najsilniej dopomóc wojsku polskiemu. Z aplauzem dużym przyjąłem tę gotowość patriotycznej służby i wydałem mu, jako członkowi komendy naczelnej, następujące polecenia: zorganizowanie milicji kolejowej; przygotowanie warsztatów ogrzewalnych, robotników kolejowych i materiału do budowy auta i pociągu pancernego. Dzielni kolejarze wywiązali się doskonale z nałożonego zadania. Nad pierwszym rozpoczęła się praca nazajutrz, nad drugim w dniu 4 listopada.

Wielkie i przykre trudności mieliśmy z rannymi w tym dniu. Była ich spora liczba. Nie mając we własnym ręku żadnego szpitala, musiano zwrócić się do pomocy społeczeństwa i utworzyć w różnych punktach zajętego przez nas miasta, stacje opatrunkowe i posiłkowe w mieszkaniach prywatnych. Trudność ta chwilową była tylko, gdyż z chwilą zbliżenia się do Techniki mogliśmy tam lokować rannych. (Pełnił tu służbę przez długi jeszcze czas lekarz austriacki, Niemiec, D-r Hildersheimer, chirurg, który od wielu cierpień uwalniał dzielnie naszych najdzielniejszych).

W służbie samarytańskiej oddały wojsku polskiemu nieocenione usługi niewiasty polskie, które stanęły chętne, a ochoczo do tej ciężkiej pracy od pierwszej chwili

walk. Spełniały ją z poświęceniem, nieznającym granic i z lekceważeniem życia. Wobec takiego nieprzyjaciela, jakim byli Ukraińcy, musiały i one spłacać obfity haracz krwi, mimo chroniącego je krzyża czerwonego. Kilka z nich otrzymało rany, a kilka poniosło śmierć chlubną i zaszczytną.

Zaprowiantowaniu oddziałów i redut naszych poświęcić jeszcze muszę słów kilka. Pierwszego dnia walki przedstawiało się ono mizernie. Komenda nie mogła złemu zaradzić, nie mając ni prowiantów, ni naczyń, ni personelu wyszkolonego. Wiedzieliśmy, że po zajęciu dworca poprawi się sytuacja, ale do tej pory należało jakoś przetrwać. Znowu podnoszę z prawdziwą przyjemnością pomoc skuteczną, jaką otrzymaliśmy w tej mierze od niewiast polskich. Na pierwszy odgłos walki stanęły one w poszczególnych redutach do pracy ciężkiej i żmudnej. Znosiły prowianty ofiarowane, pozabierały z okolicznych domów największe garnki, rozpały — jak w domu Techników — „kilometrowe“ ogniska w ogrodzie, obstawiły je setką rozmaitych wymiarów garnuszków i niebawem podały zgłodniałym rzeszom ciepłą strawę. Praca ta nie była wcale lekka, jak to z opisu wygląda. Żadnych przyrządów, żadnego naczynia, brak opału i brak zupełny odpowiednich kotłów. Największe zaś z zarekwirowanych, czy ofiarowanych garnków, były kilkulitrowe garnuszcзки, a tu głodnych i nakarmić się mających setki.

Nieprzyzwyczajone do pracy przy takich ogniskach, okopcone, osmolone, szczególnie te „podkuchenne“, które nad ogniem pieczę dzierżyły, z opalonymi włosami i poczerwienionymi oczyma, bo wiatr dymem i płomieniem rzucał na wsze strony, krzątały się jak mrówki i spełniały z rozkoszą i radością dobrowolnie przyjęty obowiązek.

Domowe ogniska polskie nie pozostały również w tyle, pragnąc okazać swą życzliwość dla żołnierza polskiego. Stojącym więc na placówkach i wedetach żołnierzom wynoszono co chwila z różnych okolicznych domów różne przysmaki i smakołyki. Sprawiało nam to nieraz dość kłopotu, gdyż prawie zawsze znalazło się przytym coś „na roz-

grzanie". Po kilku dopiero apelach ustał ten rozgrzewający proceder—może z powodu wyczerpania zapasów.

Dzielnie musiały się spisywać i jedne i drugie, jeśli już pod wieczór 1 listopada skauci, wysłani do wszystkich redut z wędlinami i chlebem, (tyle tylko mogła im dać w dniu tym komenda nacz.), omal nie wrócili z darami tymi z powrotem. Zewsząd meldowali: „mówili, że nie głodni i nie chcieli brać". Po raz pierwszy chyba w wojsku słyszało się podobne meldunki.

Mogliśmy być spokojni o wyżywienie po zdobyciu dworca i ogromnych magazynów w austriackich „Fassungsstellach" i po zajęciu w tym dniu (2 listopada) austriackiego magazynu żywnościowego i piekarni przy Janowskiej, a na koniec miejskich magazynów żywnościowych i wielkiej ilości wagonów prywatnych. Trzeba było tylko zorganizować ten ogromny dział pracy wojskowej. Na razie polecono redutom, zamkniętym przez front polski, zwozić zapasy i urządzać własne magazyny. Chodziło o samowystarczalność ich w razie odcięcia lub przerwania frontu.

Rozkaz zorganizowania intendantury otrzymał kap. Grodyński. Człowiek niezwykłej energii i pracowitości, rzutki i przedsiębiorczy, o wyjątkowym zmyśle organizacyjnym, stworzył w krótkim przeciągu czasu organizację, świetnie i szybko działającą nawet w najdrobniejszych kółeczkach. Chcąc zrozumieć i pojąć ogrom dokonanej pracy, należy wziąć pod uwagę, że kap. Grodyński nie miał do dyspozycji ludzi wyuczonych, czy wyszkolonych, ba, co gorsza, że i sam fachowcem nie był i ani jednego nie znalazł fachowca. Wszystko zależało od doboru i wyszkolenia, ludzi przeznaczonych do tworzenia, a raczej improwizowania złożonych bardzo mechanizmów organizacyjnych, wszystko trzeba było z niczego dopiero stworzyć. Czas nie czekał, ciągły bój trwał, rosły własne szereg i powiększała się w dziesiątki tysięcy liczba ludności cywilnej, którą we wszystko zaopatrzyć należało. Jeśli później, w odezwie P. K. N., czytamy zdanie: „gdy po tamtej stronie linii bojowej, pod rządami polskimi...

zapewniono dla wszystkich mieszkańców środki żywności — to nie było to wcale gołosłownym frazesem, ale rzeczywistą, istotną prawdą. Nie mało zaś trzeba było trudu i pracy, a zarazem prawdziwego zaprawdę talentu organizacyjnego, by te wszystkie kółka i kółeczka z niczego stworzyć i w ruch puścić, by na czas ściągnąć i zabezpieczyć środki żywności, by wyżywić pół miasta i wyżywić i ubrać wojsko.

Nie są te słowa zwykłą chwalbą pośmiertną dla poległego później przyjaciela, słowa te są jeszcze zbyt słabe, by oddać istotny ogrom zasługi organizatora \*).

Tymczasem przemykali ochotnicy z całego Lwowa na polską stronę. Stworzono więc dla nich przy reductach kadry osobne i ćwiczono ich w obchodzeniu się karabinem.

Powoli, może za powoli, podnosiła się temperatura bojowa Lwowa, długiego, może za długiego, czasu trzeba

---

\*) Pozwolą mi czytelnicy, że w formie przypisu rzucę jeszcze kilka słów poświęconych przyjacielowi. tak dla scharakteryzowania jego idealnej duszy, jak i nastrojów, które panowały w P. K. W. Obarczony tą pracą, nie chciał zrazu jej przyjąć, prosząc o przydział frontowy, ponieważ chciał koniecznie wziąć udział tylko w orężnej rozprawie z wrogiem. Musiałem aż użyć słowa „rozkaz“. Faktycznie bowiem nie widziałem innego człowieka któryby mógł podołać temu ogromowi pracy. Kilkakrotnie, przy referatach codziennych, prosił mnie jeszcze ś p. káp. Grodyński, o to jak o łaskę, aż otrzymał zakaz poruszania tego tematu i słowo „jak zdobędziemy Lwów cały“. Długo czekał na swoją referatową kolej, dnia 22 listopada. Po referacie, z miną uradowaną (któż się wtedy nie cieszył) i w postawie na baczność: „melduję i t. d. a pan komendant słowa nie cofnie“. „Dobrze — odparłem — oddasz intendaturę i pójdiesz“. Za długo dlań trwało oddawanie. Prosił jeszcze kilkakrotnie, czy nie mógłby zostawić oddawania zastępcy swemu. Ale niczego nie zyskał. Wreszcie, po zupełnym i prawidłowym oddaniu, rozradowany i szczęśliwy poszedł na front, jako dow. komp. 8/38 p. strz. lw. Poszedł i pierwszego dnia walki i swego tam pobytu ciężko ranny dostał się do niewoli ukraińskiej i zginął bez wieści. Wszelkie poszukiwania, umyślne później rozkopywania grobów długi czas pozostały bez skutku. Opowiadali tylko mieszkańcy wioski że przy drodze leżał przez tydzień trup polskiego kapitana strasznie zmasakrowany.

było do zrozumienia, że jedynym wyjściem — walka na śmierć i życie.

Równocześnie szły liczne depesze iskrowe ze Lwowa na zachód, do Ojczyzny i Polski, do Przemyśla i Krakowa. Z pierwszym rozmowa nie szła, z drugim doskonale. Przesłano więc wiadomości o położeniu we Lwowie do polskich władz wojskowych i cywilnych. Wojskowe prosiło o odpowiedź. Tymczasem próbowano rozmowy z Paryżem. Zaczęto, ale coś potym popsowało się. Przy uruchomieniu stacji znowu skauci maleńcy duże oddali usługi, przenosząc dwa razy (2 i 3) benzynę z apteki Mi-kolascha. Z obsadzonego i obstawionego patrolami ukraińskimi Lwowa przenieśli kilkadziesiąt litrów benzyny na rozmowę iskrową z dawną stolicą Polski.

---

## PERTRAKTACJE.

O stanowisku społeczeństwa polskiego i różnych objawów myśli politycznej polskiej wobec rozwijającej się w ostatnich dwu dziesiątkach lat kwestji ukraińskiej, nie będę mówił. Podniosę jeno, że stanowisko to było niejednolite, bo sięgało od popierania wszelkimi siłami polskimi młodego ruchu ukraińskiego, częstokroć ze szkodą własnego interesu narodowego, poprzez najrozmaitsze odcienia, aż do pilnego i bacznego czuwania nad tym, by nowy ruch nie rozwijał się kosztem polskich interesów narodowych i państwowych. Ostatnie zrzeszenia polityczne, które częstokroć stawiały opór niesłychanej zachłanności ukraińskiej, walcząc z nimi o duszę chłopu polskiego, zwane były przez Ukraińców „rusinożercze“. Należały do nich—jak wiadomo—partje t. zw. Podolaków (konserwatystów wschodnio-galicyskich), Zjednoczenia i Narodowych Demokratów. Inne partje trzymały się różnych zasad w ustępstwach swoich i swoim ustosunkowaniu się do nowego ruchu.

Wszystkie natomiast nie chciały i nie pragnęły zaprowadzić, czy zawładnąć nad ludem rusińskim zamieszkałym w t. zw. wschodniej Galicji, lub pozbawiać go znacznych swobód narodowych kulturalnych i t. d. Nie chciały tylko dopuścić do tego, by lud polski—rzymsko-katolicki—stał się pastwą nowego ruchu. Niebezpieczeństwo to nie urojone. Były czasy, w których było bardzo bliskie i rzeczywiste.

W stanowisku społeczeństwa polskiego w drugiej połowie października wobec sprawy ruskiej był jeden wybitny rys wspólny wszystkim stronnictwom. Żadne z nich nie chciało dokonać jakiegokolwiek „gwałtu“ na Rusinach, wszystkie pragnęły dojść z nimi uprzednio do zgodnego



ułożenia wspólnych warunków życiowych na ziemi, wspólnie od wieków zamieszkałej, a rozstrzygnięcie przynależności państwowej tej ziemi zostawić porozumieniu się czynników państwowych polskich i przedstawicieli miejscowej ludności ruskiej, lub decyzji kongresu pokojowego. Innymi słowy chodziło o ułożenie we wspólnych naradach sposobu tymczasowego zarządu krajem, mieszanym narodowościowo, zależnie od stosunku procentowego, stopnia kultury i t. d., a potem dążyć zgodnie do rozwiązania kwestji państwowej przez samych interesowanych, lub przy pośrednictwie czy rozjemstwie osób trzecich w tym wypadku kongresu pokojowego.

Łudziło się wielu, że może dojść do takiego porozumienia, przy odpowiednio szerokim postawieniu sprawy wzajemnego uprawnienia obu narodowości i wspólnego udziału ich w rządach.

Nie liczyli się widocznie z tym, że, zanim dojść może do porozumienia, należy przedewszystkim okazać z obu stron dobrą wolę i również obustronne zrozumienie i przyznanie, że kraj ten zamieszkują dwie narodowości, że obie są tam tubylcze od wieków.

Te dwie podstawowe przesłanki zgody istniały powszechnie wśród całego społeczeństwa polskiego; nie było ich jednak zupełnie wśród przedstawicieli partji ukraińskich (od „nacjonalno-demokratycznej“ aż do socjalistycznej włącznie). Podobnie jak ich mistrzowie głosili niedawno z trybun parlamentarnych, że w Niemczech niema Polaków, a są tylko: „Prusacy, mówiący po polsku“, tak i Rusini, jako nieodrodni tamtych uczniowie, poszli dalej jeszcze i twierdzili, że w Galicji Wschodniej są tylko: „Ukraińcy łacińskiego obrządku“. Rzadko zaś dało się słyszeć zdanie, że są: „Ukraińcy polskiego języka“.

Czy mogło więc dojść do zgody, kiedy jej chęć po jednej jeno była stronie?

Tymbardziej, kiedy Ukraińcy dufni w pomoc wszechwładnych naonczas na wschodzie protektorów swoich, myśleli jedynie o gwałcie, zadanyim potęgą i mocą militarną.

Wybrali więc drogę gwałtu, i zadali go w nocy, jakby wstydząc się czynów i postępków swoich.

Zasadniczo, o ile chodzi o samą potrzebę układów jednolite przedtym stanowisko społeczeństwa polskiego rozbiło się, po dokonanym zamachu ukraińskim, na kilka znacznie się różniących odcieni. Jedni byli zdania, że teraz rozstrzygnie tylko walka sama; inni, że trzeba pokazać siłę własną i pod jej groźbą rozpocząć pertraktacje; inni; że trzeba ich najpierw pokonać, a co najmniej ze Lwowa wyrzucić, a potem godzić się i pertraktować; inni wreszcie mniemali, że i obecnie pertraktacjami da się wszystko osiągnąć. Podkreślam tu tylko zdania typowe, omijając istniejące pośrednie między nimi.

Powinienbym przedstawić także stanowisko moje, jako w pewnej mierze przynajmniej miarodajnego czynnika naówczas. Nie uczynię tego jednak. Rzeczowo znał je tylko jeden z przyjaciół moich, biorący stały udział w pertraktacjach; w formie krótkiej uwagi dowiedział się o nim instruowany na pertraktacje por. de Laveaux.

Formalnie wybrano drogę, zdaje mi się, jedyną, naprawdę sprawie pożyteczną, doprowadzenia rozbieżnych kierunków myśli polskiej do jednego mianownika, to jest przekonania wszystkich naocznie, że pertraktacje z Ukraińcami nie doprowadzą do niczego, gdyż oni zgody słusznej, zgody sprawiedliwej nie chcą.

Pertraktacje takie nie szkodziły naszemu celowi militarnemu, określone bliżej w jednym z poprzednich rozdziałów. Zaczęto je więc i toczono przez cały czas walki.

Dochodziły za to do mnie z pewnych stron głosy: „zdrada“ i t. p. wyrażenia z historycznych dziejów Polski.

Niejednolite formalnie, co do potrzeby pertraktacji, stanowisko społeczeństwa polskiego stałoby się jeszcze bardziej zróżniczkowane, gdyby chodziło o rzeczową stronę układów, t. j. o oznaczenie sumy prerogatyw czy uprawnień, mających się udzielić Ukraińcom. Tu, by pertraktacje osiągnęły cel swój i doprowadziły do jednolitego zasadniczo frontu społeczeństwa polskiego, należało sta-

nać na gruncie, możliwym do przyjęcia dla wszystkich. Wybrano tedy grunt zupełnego, obustronnego równouprawnienia i tymczasowości, aż do definitywnego załatwienia przynależności państwowej.

Niebezpieczna, bardzo niebezpieczna, była to gra. Zdawaliśmy sobie sprawę z jej grozy, lecz grać ją w całości musieliśmy. Były zresztą remedia na wypadek, gdyby układy na szkodę narodu zaczęły się obracać. Wstęp ten był konieczny, gwoli należytego zrozumienia przez czytelników całego przebiegu pertraktacji polsko-ukraińskich.

Po podstępnyim opanowaniu miasta, Ukraińcy widząc, że własnym aparatem administracyjnym, ani własnymi środkami nie potrafią wyżywić miasta dwustutysięcznego, co prędzej lub później doprowadzić musi do katastrofalnego dla nich stanu, zwrócili się do wiceprezydenta miasta D-ra Filipa Schleichera, prowadzącego dział aprowizacyjny, by objął swe funkcje pod ich egidą. Schleicher, jeden z nielicznych żydów-polaków, dla stanowiska którego każdy cześć mieć musi, odmówił kategorycznie, zaznaczając, że jedynie razem z całym prezydjum może objąć urzędowanie. Wobec tego zwrócili się Ukraińcy jeszcze w dniu 1 listopada, do prezydenta miasta D-ra Stesłowicza Władysława, by z nim omówić możność powrotu prezydjum miasta do urzędowania. Ten zwrócił im uwagę, że prezydjum miasta może objąć swe czynności pod następującymi warunkami:

1. uwolnienie magistratu od załogi wojskowej i usunięcie karabinów maszynowych;
2. pozwolenie na swobodny dostęp do biur magistratu wszystkim urzędnikom i publiczności;
3. pozwolenie na używanie wewnętrznego telefonu;
4. w miarę możności pozwolenie na funkcjonowanie miejskiego tramwaju;
5. pozwolenie na zebrania Rady miejskiej;
6. zdjęcie z wieży ratuszowej chorągwi ukraińskich.

Na tym samym posiedzeniu U. R. N. (1 listopada o godz. 5-ej wieczorem) na którym miał składać sprawozdanie z powyższych pertraktacji D-r Fedak, prowa-

dzący je z ramienia U. R. N. zjawił się, marszałek krajowy Niezabitowski Stanisław, z kilku członkami galic. Wydziału Krajowego z propozycją zaprzestania rozlewu krwi bratniej i szukania drogi wzajemnego porozumienia. Przyjęty wyniośle przez byłego podwładnego swego, D-ra Iwana Kiweluka, otrzymał marszałek odpowiedź, streszczającą się w słowach: „Niech gorące głowy polskie złożą broń, a spokój zostanie natychmiast przywrócony“. Mimo to prowadzono tam dalej dłuższą dyskusję, której tok znajduje się w dodatkach, wedle wyciągu z „Dila“ (Nr. 251 z 3/11. Patrz dodatek—17).

Po ukończeniu debat uchwaliła U. R. N. że „w sobotę (2 listop.) zbiorą się o godz. 10 członkowie Wydziału krajowego i przedstawiciele zarządu miasta Lwowa i delegacja U. R. N. dla pertraktacji celem przywrócenia normalnego życia“. Do narad tych delegowano z ramienia U. R. N. D-ra Kćścia Lewickiego, D-ra Włodz. Ochrymowicza, D-ra Mich. Łozińskiego, D-ra Sydora Hołubowicza, Aleks. Barwińskiego i D-ra Lwa Hankiewicza.

Tymczasem P. K. N., dowiedziawszy się o tych pertraktacjach, zażądał czynnego w nich udziału, co też osiągnął. Posiedzenie wspólne odbyło się o naznaczonej porze w budynku Wydziału krajowego. Ze strony polskiej brali w nim udział: Niezabitowski, Pilat, Bernadzikowski, Dąmb-ski — z ramienia Wydziału krajowego; z ramienia zarządu miasta: Stesłowicz, Chlamtacz, Schleicher, Neumann; z ramienia P. K. N. Adam, Jurasz, Mikołajski, Stahl.

Nad delegatami ukraińskimi czuwał metropolita Szeptycki.

Zaczęto naprzód mówić o uregulowaniu całości kwestji polsko-ukraińskiej w całej Galicji wschodniej. Nie szło to jednak. Skierowano tedy dyskusję najpierw na uregulowanie sprawy Lwowa, sądząc, że po zrobieniu tu pierwszego kroku pójdzie gładziej i tamta sprawa. W chęci zaprzestania krwi rozlewu i jako podstawa ugody „cywilnej“ musiało nastąpić zawieszenie broni i pertraktacje o rozejm wojskowy. W czasie nich, lub później, miały się toczyć pertraktacje o ustalenie zarządu miasta. Za-

strzeżono w pertraktacjach wojskowych obecność obu naczelnych komend i zawarto trzygodzinne zawieszenie broni, naznaczając termin zejścia się na pertraktacje rozejmowe. Wybrano nadto osobny komitet—po dwunastu z obu stron—który miał prowadzić układy cywilne i zrehabilitować odezwę, mającą się ogłosić na wypadek dojścia do skutku rozejmu.

Obowiązek zawiadomienia polskiej komendy naczeln. o zawieszeniu broni włożono na D-ra Stahla.

Tak doszło do pierwszego zawieszenia broni początkowo od godz. 3 pp. do 6 wiecz. Rozpocząć obrady rozejmowe miano o godz. 5 w Izbie handlowej i przemysłowej.

Udałem się więc naprzód na posiedzenie P. K. N. do Towarzystwa kredytowego ziemskiego (komendę naczeln. musiano przenieść obecnie, by ją mieć bliżej, do domu Towarzystwa pedagogicznego, gdzie ulokowano ją w redakcji Szkoły. Wśród frontu polskiego zostawiono część pewną, która zająć się tam miała wykonaniem poleceń organizacyjnych). Choć w warunkach zawieszenia broni zastrzeżono swobodny ruch w mieście dla ludności cywilnej, miano sposobność poznać, jak Ukraińcy dotrzymują warunków ułożonych.

Wobec P. K. N. wystąpiłem bardzo stanowczo przeciw decydowaniu kwestji wojskowych bez uprzedniego porozumienia się, lub zasięgnięcia zdania komendy nacz. Wyjaśniłem, jakie szkody wyrządzono nam przez zawieszenie broni w obecnym momencie, a jakie korzyści przyniesiono Ukraińcom. Zastrzegłem się, że w podobnym wypadku na przyszłość nie uznaję załatwień spraw wojskowych, powziętych bez komendy nacz. Dowodziłem, przytym, że, o ile nie pragnę, by w państwie polskim wojskowość załatwiała, lub mieszała się w jakiekolwiek sprawy polityczne, jednak równocześnie muszę stać na stanowisku, że kwestje wojskowe nie mogą być przez polityków załatwiane, bez uprzedniego porozumienia się z uznanymi władzami wojskowymi. Strona polityczna kwestji polsko-ukraińskiej jest więc wyłącznym atrybutem

P. K. N., ale w kwestjach wojskowych nie może nigdy więcej zapaść jakakolwiek decyzja—choćby czasowa—bez komendy nacz.

Stanowisko to znalazło należyty oddźwięk wśród członków P. K. N. i miło mi przyznać, że nie powtórzyło się od tego czasu ni razu jednostronne rozstrzygnięcie kwestji wojskowych, nawet najdrobniejszych.

Poinformowawszy się dalej o dotychczasowych pertraktacjach i o stanowisku poszczególnych grup P. K. N., udaliśmy się do Izby handlowej. Z ramienia P. K. N. wyznaczono do tych pertraktacji D-ra Leonarda Stahla i D-ra Klingera.

Ukraińcy spóźnili się na nie. Przyszli tuż przed szóstą. Z ich ramienia zjawili się: ataman Witowski, komendant, D-r Perfecki i Cegielski. Pierwszą naszą czynnością musiało być przedłużenie kończącego się o godz. 6 zawieszenia broni. Przedłużono je znowu na trzy godziny, t. j. do 9 wiecz. Naturalnie do kilku oddziałów naszych i ukraińskich dotarła wiadomość o tym zapóźno. Odbłyły się więc w międzyczasie mniejsze potyczki.

Po krótkiej dyskusji formalnej skłoniono Ukraińców, jako tych, którzy pierwsi prosili o zawieszenie broni, do przedstawienia swych propozycji. Gdyby sprawa nie była zbyt poważną, uśmiechy się można przy formułowaniu z ich strony ich warunków. Więc: „złożenie broni przez oddziały polskie, uznanie formalne suwerenności „ukraińskiej derżawy“, oddanie wszystkich magazynów i ekwipunku wojennego i t. d. i t. d. W zamian za to „gwarantowali *spokój*“ w mieście Lwowie, godzili się na stworzenie milicji obywatelskiej (polsko-rusko-żydowskiej) pod ukraińską komendą i powrót dotychczasowego prezydium miejskiego do urzędowania, ale po uzupełnieniu go przez wiceprezydenta ukraińca. Ponieważ uważałem za wystarczające podanie takich warunków do publicznej wiadomości, chciałem zaprzestać dalszych rokowań, zaproponowawszy jeno Ukraińcom, by pomyśleli jeszcze o „starożytnym jarzmie“. Pożegnaliśmy się wszyscy grzecznie i ja wyszedłem. Ostatni wychodzący, D-r Klinger,

wdał się jeszcze w jakieś rozmowy z nimi, a rezultatem ich było poproszenie nas ponownie o przedstawienie warunków polskich.

Myśli ich główne nie odbiegają wiele od ostatecznie ustalonych warunków rozejmu, choć ustąpiliśmy w kilku punktach.

Dodam tu jeszcze, że pertraktacje, w dniu tym toczono, dotyczyły tylko miasta Lwowa. Że więc i rozejm wojskowy odnosić się miał tylko do Lwowa. Poza nim można się było bić.

Ciekawie wyglądałoby zapewne, gdyby doszło do tego rozejmu. Musiano się jednak zastosować do życzeń obustronnych czynników politycznych. Celem ich miało być na razie uniknięcie walk we Lwowie. Czy na długo?

Dyskusja nad postawionymi warunkami trwała długo. Miejscami w dość ostrym tonie toczona, zakończyła się ustaleniem pisemnym podanych przez stronę polską warunków w następującym brzmieniu:

1. Wojska obustronne opróżniają natychmiast budynki publiczne i prywatne, z wyjątkiem tych, w których znajdują się kasy, a których ubezpieczenie aż do powstania milicji utrzymuje załoga dotychczasowa, ze względu na odpowiedzialność pieniężną. Wielkość ubezpieczenia reguluje się z wojskowego punktu widzenia uznana potrzebą ubezpieczenia. Pierwszych 50 ludzi stworzyć się mającej straży obywatelskiej obejmuje służbę bezpieczeństwa na ratuszu, którego do tego czasu nie uważa się za budynek o charakterze kasowym.

2. Czuwanie nad wszelkimi obiektami publicznymi w mieście, jak również nad porządkiem i bezpieczeństwem publicznym w mieście oddaje się mającej powstać milicji obywatelskiej, której stworzenie obejmie komitet ukraińsko-polski z tym, że pierwszych 50 ludzi dla służby na ratuszu złoży najpóźniej do 10 godzin po podpisaniu rozejmu, poczym straż ta oddaje się pod wyłączne rozkazy prezydium miasta.

3. Wojska ukraińskie i polskie, jawnie i prawnie, we wzajemnej od siebie niezależności, w przydzielić się ko-

misyjnie mających koszarach i placach w dalszym ciągu się tworzą i organizują. W tym celu przeprowadzony zostanie, na porozumieniu opartej, podział budynków i obiektów poaustriackich na zasadzie równości.

4. Dla ujęcia i opanowania ewentualnie powstać mogących rozruchów rabunkowych, którychby milicja opanować nie była zdolna, ustanawia się komendę z 2 oficerów, po jednym z obu narodowości złożoną, która wojskom swoim wyda rozkazy, na porozumieniu oparte.

5. Ważność niniejszego rozejmu wchodzi w życie dnia 3 listopada 1918 o godz. 2 w południe, a obowiązować on będzie obie strony przez dni 10 t. j. do dnia 13 listopada 1918 godz. 2 pop. z mocą wszystkich postanowień prawa międzynarodowego, z prawem obustronnego wypowiedzenia na 24 godzin przedtym t. zn. przed godz. 2 w południe 13 listopada. W razie niewypowiedzenia rozejmu przez żadnego z kontrahentów przedłuża się go w ciągu 24 godzin ostatnich t. j. przed godziną 2 popoł. d. 13 list. na tych samych, albo ewentualnie nowo skonstruowanych warunkach, na dalszych dni 10.

Ukraińscy delegaci zgadzali się (?) na nie osobiście, twierdzili jeno, że nie mogą zgodzić się na ich podpisanie, bez zapytania o zdanie U. R. N. Szczególnie chodziło im o uzupełnianie wojsk i nieuznanie suwerenności ukraińskiej przez wojska polskie. Proponowali, by nie umieszczać tych punktów w ugodzie, że można je uważać za przyjęte „tacitu consensu“ itp. Strona polska nie chciała ustąpić, zdając sobie sprawę z ogromnego znaczenia widocznego ich umieszczenia w warunkach rozejmowych i zrozumiawszy grę ukraińską.

Wreszcie poprosili Ukraińcy o pozostawienie im możliwości zapytania o zdanie U. R. N. i uzyskanie jej aprobaty. Trudno się było nie zgodzić; przedłużono więc zawieszenie broni na dalszych godzin dwanaście t. j. do 2 godz. pop. dnia 3 listopada. Przedtym bowiem, w czasie dyskusji, przedłużono przed 9 godz. na dalsze trzy godziny, a przed 12 na — zdawało się ostateczne — 2 godziny.



Zawarowano jedynie, że odpowiedź ukraińska musi być o tej porze w polskiej komendzie nacz. i że w razie braku odpowiedzi rozpoczynają się kroki wojenne. Dodano, że odpowiedź może brzmieć jeno „tak lub nie“. Do dalszych zmian jakichkolwiek polska strona nie jest skłonna, gdyż przedstawione warunki zawierają minimum żądań.

Tuż przed godz. 2 rozeszliśmy się w zgodzie i spokoju, by za dwanaście godzin rozpocząć znowu walkę. Poinformowano jeszcze o wyniku układów prezydum miasta, oczekujące w jednym z przyległych pokojów, i udać się musiano do P. K. N., celem uwiadomienia o pertraktacjach i omówienia sytuacji na przyszłość.

W jednym z pokojów dyrekcji Tow. kredytowego ziemskiego zebrany był Komitet prawie w całości. Osiwiali w służbie publicznej i narodowej ludzie siedzieli w najrozmaitszych pozycjach na krzesłach i skracali czas czekania w objęciach Morfeusza. Po przedstawieniu im naszych warunków, wychodzących z założenia idealnej równości obu narodów i warunków ukraińskich, niemożliwych do przyjęcia dla nikogo, widziało się w dyskusji dalszej cudowną, wspaniałą, a tak dla nas potrzebną jedność.

Omawiano później stanowisko polskie, zając się mające w dalszych, ewentualnych pertraktacjach, przyczym powoli znajdowało zrozumienie zdanie, że jedynie walka rozstrzygnąć może. Wreszcie dyskutowano nad życzeniami moimi, przedstawionymi Komitetowi i nad sposobami ich realizacji. Dobrze nad ranem zostawiłem ich dalej na drzemkę, sam zaś wróciłem do komendy nacz.

Tu wrzała praca nad chlebem i herbatą (z wędlin zostały jeno ślady skórek) dostarczonymi przez jakieś litościwe osoby. Znalazła się jeszcze i „dla komendanta“ ostatnia kromka chleba i napój herbaciany. Błogosławiono za to dobrych ludzi.

Przy dalszej więc pracy organizacyjnej spędzono resztę czasu w „ukraińskim Lwowie“ i około godz. 10 przeniesiono się po raz ostatni do „polskiego“ miasta.

Ulokowano się w salach rysunkowych Techniki, przy ul. Nabelaka 14.

Z prac załatwionych po tamtej stronie godzi się podnieść jeszcze uzupełnienie personelu sanitarnego i powierzenie szefostwa sanitarnego D-rowi Węgrzynowskiemu, omówienie z kapt. Witem Sulimirskim i innymi czynnikami dalszej akcji werbunkowej, pogadanki z przedstawicielkami Pań (z różnych zrzeszeń) i wreszcie odkomenderowanie reszty rezerwy (30 ludzi) „na górę“, dyrygowanie z Dublan połowy obsady do Lwowa (przez Rzesnę Polską) i t. d.

Zapyta ktoś może o nastrój ludności — tej z ulicy — i jej pogląd na zawieszenie broni. U znacznej części uciecha, że palba karabinowa ustała, że można przejść się znowu po Akademickiej. Większość była przekonana, że do nowej walki już nie przyjdzie i że nastąpi zgoda. Rzedły jednak u wielu miny na wiadomość o warunkach ukraińskich. Orjentowano się z nich, że trzeba będzie dalej walczyć. Nie wszyscy jednak wyciągali z tego konsekwencje. Widziało się mnóstwo jeszcze zdrowych, silniejszych i lepszych od wielu takich, którzy ledwo dawali sobie radę tam „na górze“ z karabinem. O przekonanie ich o obowiązku narodowym proszono przedewszystkiem różne organizacje niewieście.

U Ukraińców zaś radziła przez całe dnie U. R. N. W mieście, przez nich „rządzonym“, szalał terror żołdactwa. Rewizje z rabunkami po domach, strzelanina do okien i po ulicach do ludzi niewinnych i bezbronnych.

Powiększyło zgrozę powszechną wypuszczenie na wolność wszystkich więźniów z „Brygidek“ i więzienia sądowego przy ul. Batorego, razem około 500 ludzi, a wśród nich wielu genialnych w kradzieży i rabunkach.

Pojawiła się wreszcie na murach odezwa polsko-ruska, ustalona na wypadek dojścia do skutku rozejmu, a ogłoszona przez Ukraińców samodzielnie, gwoli zdezorjentowania społeczeństwa polskiego mimo, że nie przyszło do rozejmu. Rzeczywiście, odezwa z podpisami ludzi znanych i wybitnych, wysoce dla narodu zasłużonych, mogła

wywołać nieporozumienie w polskim obozie. Podstępny krok zawiódł jednak. Rozrzucana dziś właśnie masami odezwa P. K. N. i wiadomości, szybko od ucha do ucha się rozchodzące, unicestwiły chytry plan ukraiński. Odezwę tę warto przytoczyć. (Patrz dodatek 18).

O trzy na drugą dostała polska komenda naczelna wiadomość, że U. R. N. odrzuca polskie warunki rozejmu „ze względu na polityczne prejudykaty zawarte w punkcie 3 i 4“.

---

## „GRUPA WASYLA“.

Zawieszenie broni wykorzystano w obozie polskim na organizację sił bojowych w każdej z osobna redut i na wyćwiczenie nowozaciecznych. Nie ustawała gorączkowa praca.

Pojawiły się widome oznaki pracy intendatury w postaci jeżdżących po placówkach polskich kuchni polowych, przystąpiono na wszystkich odcinkach do organizacji działu gospodarczego. Zaprawdę serce rośnie na widok tej przeogromnej, mrówczej pracy, dokonywanej z zapalem, nie spotykanym chyba w dziejach.

Niestety, ogólna liczba ochotników nie była taką, na jaką można było liczyć. Postanowiono więc ogłosić i zarządzić pobór przymusowy. Szef referatu politycznego Widomski otrzymał obecnie polecenie przygotowania poboru, zorganizowania władz poborowych itd. Zdawaliśmy sobie sprawę, że przeprowadzić pobór będzie można jedynie w tej części miasta, która znajduje się pod wyłącznym władztwem wojska polskiego, przypuszczaliśmy jednak, że pod wpływem tego ogłoszenia zgłosi się do wojska wielu z „ukraińskiego“ Lwowa. Czy słusznie?

Z dalszych prac organizacyjnych, dokonanych w dniu tym przez kom. nacz. muszę wspomnieć o następujących: Por. Krynicki otrzymał wówczas rozkaz zorganizowania jaknajspieszniej polskich ułanów, koniecznych nam dla akcji pozamiejskich. Wśród nader trudnych warunków, przy zupełnym prawie braku koni, wywiązał się znakomicie z nałożonego nań zadania i już w trzy dni później brali udział w walce polscy ułani. Początkowo pod nazwą „Wilków“, uzupełnieni później osobnym szwadronem karabinów maszynowych, zorganizowanym na rozkaz ko-

mendy nacz. przez podp. Nittmanna (pseud. Michał) dokazywali cudów kawaleryjskich i dali godny początek osobnemu później pułkowi.

Godziło się również pomyśleć o taborach, licząc się z potrzebą opuszczenia Lwowa za wrogiem, czy z konieczności przed wrogiem.

Potrzebne one były dla załatwiania dowozu prowiantów, amunicji itd. Powołano więc do życia w dniu tym dowództwo taborów, kierownictwo których objął major z b. armii austriackiej Siarkiewicz. Zachorował wkrótce—bo nazajutrz— a pracę jego objął zastępczo por. Mazur. Rozdzielenie odpowiedniej ilości wozów po wszystkich redutach, stworzenie kolumny prowiantowej, amunicyjnej i sanitarnej komendy nacz., rekwizycja potrzebnych koni dla taborów i artylerji, oto ogrom prac, dokonany w lwiej części w kilku dniach zaledwie.

Początkowo złączono z taborami opiekę nad zdrowotnością „koni polskich” i stworzono przy nich szefostwo weterynaryjne (objął je Czech, starszy lekarz weter. z wojska austriackiego). Później oddzielono je w osobny referat. Opieka ta była tym pilniejszą, że zachodziła poważna obawa rozszerzenia się nosaczyny. Leczone bowiem w austriackim szpitalu (koło placu powystawowego) konie chore ktoś złośliwy rozpuścił. Czyżby Ukraińcy? Szpital ten dotychczas znajdował się w ich rejonie.

Zapyta ktoś może, skąd brano konie dla wojska w mieście, koni pozbawionym—szczególnie w tej dzielnicy. Ot, kilkadziesiąt znaleziono koni różnych mniejszych formacji austriackich, rozkwaterowanych po prywatnych stajniach w tej dzielnicy, niewiele zarekwirovano prywatnym właścicielom, wychodząc z założenia, że pierwsze na wojnie potrzeby wojskowe, część ofiarowali właściciele na własność wojsku polskiemu, częściej pożyczali je na nieograniczony czas, z górą setką koni zdobyto poprzedniego dnia w koszarach wóleckich, również tyle pod wieczór dnia tego w koszarach trenu. Reszty dostarczali nam dzielni chłopackowie—zwani dotychczas pospolicie ulicznikami. Wyszukiwali więc konie rządowe w mieście „ukra-

ińskim“, lub zaciągali się na woźniców w wojsku ukraińskim i w odpowiednim momencie wyjeżdżali za miasto. Stamtąd, kołując, dostawali się do „polskiego Lwowa“ i wjeżdżali doń z miną, jakiej chyba nie miał żaden rzymski tryumfator. Za to żądali tylko pochwały, że dobrze zrobił, lub sprytnie podszedł „karaima“. Byli nawet tacy, którzy częściej powtarzali proceder powyższy. Dzięki tym wszystkim źródłom przekroczyła wkrótce liczba koni naszych cyfrę pół tysiąca. Mieliliśmy wtedy wystarczające tabory, mogliśmy załatwiać wszystkie sprawy wojskowo-przewozowe, było w co zaprząć baterje, była konnica własna i szwadron lotny K. M. Jednym słowem byliśmy zdolni do wymarszu każdej chwili, do wymarszu z dosyć znaczną ilością prowiantu i amunicji.

Władztwo nad zdobytymi materiałami wybuchowymi w magazynach na Janowskim oddano w ręce członka P. K. W. poległego później w marcu podpor. Jana Olechowskiego. Wykształcony znakomicie teoretycznie i praktycznie w tym fachu, założył osobną sekcję „P“ (pirotechniczną), która wkrótce zaczęła dokazywać różnych cudów. Polecono mu nadto „stworzyć i wyćwiczyć“ oddział minierów.

On także zajął się naprawą minierek (miotaczy min), zdobytych w magazynie amunicyjnym. Wkrótce, otoczony gronem wybitnych ludzi, doprowadził do nieprawdopodobnych rezultatów. Zdobyte minierki bowiem to same lufy, do których trzeba było budować podstawy i łożyska. Wnet zaczęły wychodzić gotowe do strzału minierki z osobnych warsztatów (robotnicy do nich zgłosili się ochotnie z pośród kolejarzy i robotników cywilnych i pracowali wytrwale przez kilka miesięcy. Niektórzy nie przyjęli nawet wyznaczonej im osobnej gratyfikacji). Po wyćwiczeniu żołnierzy wzięły udział w boju minierki pod koniec drugiego tygodnia walk.

Wreszcie w czasie zawieszenia broni załatwiono ostatecznie sprawę z Węgrami, w szkole Konarskiego zamkniętymi i pilnowanymi wybornie przez ppor. Starka. Dumni, oświadczaży kilkakrotnie, że broni nie złożą; obec-

nie, nie mogąc wychylić nosa już drugi dzień ze szkoły, gdy im głód zaczął dokuczać, wysłali parlamentarzy, z którymi ubito sprawę prędko i zgodnie. Własność prywatną i ekwipunek cielesny biorą ze sobą, dostają nadto pewną ilość żywności (porcje rezerwowe na trzy dni) i opuszczają bezwzględnie miasto w kierunku zachodnim. Broń i ekwipunek wojenny zostawiają. Wkrótce opuszczała miasto długa kolumna czwórkowa, licząca prawie tysiąc chłopów. Nam zostało tyleż karabinów, amunicji dotacja jednodniowa i nieźle zaopatrzone magazyny podręczne.

W szkole Konarskiego rozlokował się natychmiast „oddział Starcka” wygodnie. Zrobiono z niej obecnie osobną redutę z odcinkiem frontu miejskiego, utrzymanym dotychczas przez tę grupę (od Techniki po ul. Gródecką). Tu znowu założono bezwzględnie magazyn broni, amunicyjny i żywnościowy.

Każdy z dotychczas powstałych oddziałów dostawał pewną ilość ludzi, zorganizowanych przedtym w organizacjach wojskowych. Nimi wykonać miał pewne zadanie. Oni stanowili ten konieczny ośrodek dla przyszłych ochotników. Brakło już ludzi dla potrzebnego nam w tej chwili oddziału ostatniego, który miał objąć obronę miasta od północy. Odnośnie do „grasującego” tam w tej chwili Abrahama były plany skierowania go wyłącznie w kierunku miasta. Należało więc dla łączności między nim a Rzęsną stworzyć osobny oddział. Mieszkańców tych ostatnich dzielnic, por. Walerjanowi Sikorskiemu, zgłaszającemu się obecnie do W. P. dano takie mniej więcej polecenie: „Stworzyć oddział i objąć odcinek od Kleparowa, (niezajętego jeszcze przez nas) do Rzęsny”. Rozkaz został wykonany co do joty. Dziwnie wyglądał jeno ten oddział, bo złożony z samych „maluczkich”, którzy nie mieli czasu jeszcze przewyższyć wzrostem karabinu, ale był to oddział wyborowy i dzielny, jak dzielny był jego komendant. Oddział, złożony prawie wyłącznie z mieszkańców stron owych, stąd często kleparowskim zwany, odznaczał się stale we wszystkich dalszych bojach.

Dla bojowych zamierzeń naszych, mających się rozpocząć z uderzeniem godz. 2 pop. wydano następujące zarządzenia: Dla grupy Kułakowskiego, posunięcia się „w dół” o ile możliwości aż po kościół św. Anny. Dla grupy Abrahama udzielania pomocy dla tamtej grupy i łączenia z nią. Dla grupy Starcka przesunięcia linii zależnie od posunięcia się grupy środkowej, opanowanie w każdym razie góry św. Jura. Abraham miał nadto nawiązać łączność stałą z Rzęsną Polską. Ponadto dla kadry w Rzęśnie, która przekroczyła w tym czasie półtorej setki — dyrygowano tam bowiem jeszcze 2 list. połowę członków z Dublan — wydano następujący rozkaz: „Kap. Trześniowski z połową kadry i wszystkimi *działami* przejdzie bezpośrednio po nawiązaniu łączności z Abrahamem do Lwowa i zamelduje się w komendzie nacz.”. Następca jego por. Świeżawski będzie się starał nawiązać łączność z grupą dworca głównego.

Nie potrzebuję uzasadniać bliżej ostatniego rozkazu. Chodziło o wciągnięcie eksponowanej dotychczas reduty w obręb frontu polskiego, przewiezienie pewnie i bezpiecznie armat i stworzenie we Lwowie samym potrzebnej rezerwy na czekające nas ciężkie walki, by użyć jej na wzmocnienie opadającej ze znużenia garstki obrońców. Rozkazy zaś do akcji miejskiej miały na celu poprawę linii własnej i uczynienie jej bardziej odporną i obronną. Trzymanie bowiem frontu wzdłuż ul. Sapiehy, niekorzystne dla obrony i ataku, wymagało sił znacznych do obsady.

Por. Bieńkowskiemu z dziesiątką jedynie ludzi polecono zająć niezwłocznie szkołę kadecką i przygotować w niej nową, czynną redutę.

Z kwestji osobistych w komendzie nacz. podnieść muszę obarczenie w dniu tym obowiązkami szefa sztabu por. Dr. Antoniego Jakubskiego. Organizację sił przy reducie zamarstynowskiej objął po nim podch. Tomaszewski. Nie objął jeszcze dobrze swych funkcji Jakubski, a już prosił o zwolnienie, bo „poprzytykał” się z Łapiń-



skim. Nie dostał zwolnienia, a o pracy jego i ogromnej jej wydajności wiele trzebaby mówić.

Skoro więc przyszła odpowiedź ukraińska o nieprzyjęciu warunków rozejmu, zapanowała radość w obozie żołnierskim polskim. Świadczyła ona korzystnie o wyrobionym animuszu wojennym; stanowiło to pozytywny czynnik, na którym można było budować i opierać się na przyszłość.

Z uderzeniem drugiej rozpoczął akcję Kułakowski. Osiągnął łatwo całą ulicę Bema, po bardzo zaciętej dopiero walce wdarł się w kompleks zabudowań koszar, zwanych dotychczas im. Ferdynanda. Opanował w ich kompleksie część magazynów i wszystkie stajnie. Głównego jednak budynku mieszkalnego koszar, ogromnego i solidnie zbudowanego domu dwupiętrowego, nie zdołał zająć. Rozpoczął się o niego bój krwawy i zawzięty, bój trwający dni długich i ciemnych nocy osiemnaście.

W kilku „kolumnach” — w rzeczywistości grupkach po kilkunastu ludzi — ruszyła grupa Starcka. Po krótkiej walce zdobyła plac i zabudowania św. Jura. Główną akcją od strony ul. Szeptyckich i Teresy kierował tu por. Wiczyński, od strony Techniki por. Listowski.

Niepokojące wiadomości przyszły od strony Cytadeli i zajętego przez nas bastjonu, wskazujące na gotujący się stamtąd atak ukraiński.

Nagle przed zmierzchem doszedł meldunek Bujalskiego, któremu 2 listopada oddano dowództwo domu Techników, treści: „Na Persenkówkę zajechał pociąg — około 30 wagonów — z którego wyładowują wojsko”. Wkrótce potem podobny meldunek drugi i trzeci, ciągle o nowym pociągu.

Wiedzieliśmy, co to znaczy, przypuszczaliśmy i słusznie, że to „grupa Wasyla”, grupa dobrze wyćwiczona, znakomicie uzbrojona, z którą przyjdzie stoczyć śmiertelny bój. Skąd i gdzie uderzą? Czy wytrzymają nasze słabe i mocno spracowane wojska?

Brakło czasu na zastanawianie się nad tymi brzemennymi pytaniami, bo oto z drugiej strony, od dworca głównego meldują, że wysłane patrole stwierdziły obecność znaczniejszych sił w lesie Biłohorszczy. Czy mam jeszcze dla skompletowania obrazu dodać o niepokojącym meldunku Abrahama.

Wystarczy to zapewne, gdy się zważy, że sama grupa Wasyla przewyższała nasze siły kilkakrotnie ilościowo. Jaka zaś byłaby przewaga po ich stronie, gdyby się uwzględniło wyekwipowanie techniczne. Tam każdy żołnierz w hełmie stalowym — niewidziany to sprzęt u nas; tam u każdego w zanadrzu granaty ręczne, my mamy ich sztuk piętnaście i to trzymamy jak relikwie pod osobnym zamknięciem; tam pełno karabinów maszynowych, u nas sześć dopiero zdobywczych, na całym rozmieszczonych froncie.

Pierwszy zasępił nas Bujalski swym meldunkiem, ale i pierwszy pocieszył. Wkrótce przysłał meldunek, że jeden baon, wyładowawszy na Persenkówce, udał się w kierunku miasta. To samo powtórzył raz jeszcze. Choć wkrótce meldował znowu o nowych siłach, pokazujących się od strony południowej, nie odebrał nam nadzieji, że wytrzymamy.

Od strony miasta nie boimy się tak bardzo ataków nawet siczowników i ukraińskich legionistów. Po poprawieniu tam frontu naszego, dokonany obecnie w całości, łącniej utrzymują się chłopcy. Zresztą sam rozdział sił nieprzyjacielskich dla nas był korzystny. Ponadto przewaga jest groźną, ale tylko w walce polowej.

Wobec niej nie znaczy wiele nawet bohaterski opór garstki małej. Taką byłaby walka na odcinku wóleckim. Gdyby więc tam uderzyli w całej swej masie? Może uderzą, może poprowadzili ich tylko na nocleg?

Tymczasem pyta o rozkazy Wiktor, komendant placówki przy stacji radiotelegraficznej, na północ od Zubrzy, a południe od Persenkówki. Jakąż można mu było dać odpowiedź, jak tylko „bronić się, a stację w razie potrzeby zniszczyć”. Każda chwila zyskana jest dziś dla

nas drogą, każde rozdzielenie mas na oddziały drobniejsze—nieocenione. Dzielny kapitan spełnił dzielnie rozkaz. Trzy ukraińskie kompanie rozwinąć się musiały na oddział, liczący 15 samych bohaterów. Każdy z nich wiedział i był przekonany, że tu śmierć go czeka pewna, ale żaden nie zawahał się złożyć życia w ofierze, gdyż widocznie tak trzeba, kiedy taki dano rozkaz. Otaczani ze wszystkich stron, sami w okopach dobrze zbudowanych nie marnowali amunicji. O duchu ich świadczą słowa rannego ciężko bohatera: „Komendancie, jaka szkoda, że nie mogę dalej walczyć“. Był nim Smerek, młodziutki, piętnastoletni zaledwie uczeń gimnazjalny i lwowski harcerz. Okupił jak najdrożej życie swe, oto ich cel jedyny. Połowa legła trupem, dalszych kilku przy życiu, ale niezdolnych do walki, reduta zaś broni się dalej i nie słabnie jej ogień.

Aż nadeszła chwila najcięższa dla żołnierza walczącego, chwila której lepiej nie dożyć. Ostatnie magazyny wsadzono w karabiny, ostatnie wkrótce padną strzały. Nie wywieszono mimo to „białej flagi“. Czekano spokojnie, aż podejdzie wróg tak blisko, że żadnego nie zmarnują strzału. Kiedy on, ośmielony spokojem, zaniechał ostrożności bojowych, nagle — „w samą gębę“ niejako—dostał ostatnich dwadzieścia pięć strzałów. Zdobył redutę z pięciu obrońcami, z których trzech rannych broniło się jeszcze, trzech ciężiej rannych dogorywało, a reszta—najszcześliwsza już zastygła. Zdobył redutę po półtorej godzinie walki, walki dlań krwawej.

Zdziwił się wróg nieprzejednany, ujrawszy tak szczupłą garstkę obrońców. Zaczął liczyć swych rannych i zabitych i naliczył wielu. Znosił ich długo na dworzec w Persenkówce i naładował rannymi pełnych trzy wagony.

Miał czołem uderzyć przed bohaterstwem nieopisanym, on, wyzuty z wszelkich uczuć ludzkich i żołnierskich, kolbą liczył młodociane ich kości, ręką kasał święte ich oblicza.

Poznał, ile będzie go kosztować upragnione zdobycie Lwowa. Do wszystkich redut poszły bowiem rozkazy podobne. Wszędzie kazano się bronić do upadłego, do

tchu ostatniego, choćby po otoczeniu zewsząd. Wiedziano w komendzie naczelnej, że wszędzie wypełniony będzie ten rozkaz skrupulatnie. Kazano się wstrzymać od akcji ofenzywnych i wydzielić możliwie największą ilość rezerw. Trzymać je w pogotowiu do rozporządzenia własnego i komendy nacz.

Znowu melduje Bujalski, że silny oddział nieprzyjacielski przeszedł w kierunku Kułparkowa. Zewsząd chcą nas wziąć, atakiem równoczesnym ze wszystkich stron.

Wtym nagle strzelanina pod oknami lokalu komendy. Wszystko, co żyło, wybiegło przed dom i część pod wodzą Jakubskiego przeszła do ataku wzdłuż ul. Nabelaka. Oto silny wypad z Cytadeli przełamał słabiutkie tam linie nasze i wdarł się dość głęboko w miasto polskie. Od strony remizy niepokojące strzały i tam nieprzyjaciel atakuje. Zarządzony z domu Techników kontratak w tamtym kierunku wraz z drugą mniejszą częścią komendy nacz. naprawił i tam sytuację, przywrócił w zupełności pierwotne linie po długotrwałej walce, miejscami na bagnety. Bastjon jednak utracono.

Były to jeno pierwsze krople dżdżu przed srogą, czekającą nas nawałnicą, przed którą ogląda się trwożnie wszelkie stworzenie i umyka w bezpieczny zakątek. Czyż wstydzić się godzi, że i nas ogarnął niepokój i wżerały się w mózg pytania: „Skąd uderzą główną siłą?” „Oprzemy się?” „Czy wytrzyma natarcie żołnierza dobrze wyćwiczonego i dobrze uzbrojonego żołnierz niewyćwiczony i srodze utrudzony?” Wszak dla wielu z nich czwarta to noc, spędzona w trudzie i znoju, strażowaniu i czatowaniu, miast w śnie błogim i dobrze zasłużonym.

Widziałem więc — obchodząc linie, wedety i czujki — postacie, oparte o mur czy drzewo z tyłu, a z przodu o karabin i... śpiące snem sprawiedliwego; znalazłem w kilku miejscach na miejscu wedety karabin porzucony, a właściciel jego poszedł, czy też „mama go zabrała” na sen i odpoczynek należny. Niczym to wszystko w porównaniu z tym, co ujrzyć musiałem w miarę zbliżania się ku dworcowi i ul. Gródeckiej. Tam ci wszyscy, któ-

rzy pełnili służbę razem z milicją, dziwne jakieś mieli miny. Wszyscy nadmiernie weseli i.... „rozgrzani“. Skąd, gdzie i jak? Dojść można było łatwo do źródła „krynicznego“ na dworcu Czerniowieckim.

Przed opisem tego, co się tam działo, wolę złamać pióro. Gorzał dworzec od dwu dni. Płomień nie tylko nie przygasał, lecz szerzył się powoli. Jam zaś, dostawszy wiadomość od jednego z milicjantów kolejowych w znanym każdemu, — czkawkami przerywanym tonie: „Obywatelu... tam... jest... wódka... i... koniak“, miast skorzystać z zachęcającego zaproszenia, kazałem—może rozpaczą głuchą targany.... podsycić pożar na nowo. Buchnął pod niebiosą same nowy słup ognia, ognia jasnego, niebieskawego i oświetlił twarze i ludzi, którzy znaleźć winni miejsce swe raczej w cieniu chłodnawym.

Wyszedłszy cało z opresji oburzonego tłumu, potknąwszy się kilkakrotnie na „ciepłych trupach“, pognąłem dalej, by sprawdzić, jak wygląda linia nasza. Ochłonełem, gdy ujrzałem, że „miara nie zbyt przebrana“, że u wielu nawet „miara ściśle dochowana“. Lecz czy na długo, czy życzliwe dusze nie dostarczą im dalszych, nowych podniet. Wydano odpowiednie rozkazy dowódcom, kazano mieć baczne i czujne oko tak na nieprzyjaciela przed frontem, jak i gorszego może „wroga“ — z tyłu i wzmocniono oddziały, broniące kompleksu dworcowego. Liczba załogi doszła w ten sposób do 50 prawie obrońców.

Oczekiwany atak ukraiński uderzył na nich przed północą i uderzył, biorąc za osłonę własną tłumy t. zw. „Heimkehrerów“, powracających do dom jeńców, żołnierzy, ba nawet niewiast i dzieci. Pędził je przed sobą, jak dzikie, rozhukane stado. Po chwilowym zamieszaniu, jakie wywołał ten „podstęp“ niepraktykowany, a godny wynalazców, zwarła się silnie własna linia bojowa i rozpoczęła krwawy, morderczy ogień na sprawców. Lecz cóż pomoże i na jak długo bohaterski opór, gdy przemoc tak znaczna—atakujących około 500—gdy i własnych ciał obrońców nie chronią pancerze przed zjadliwymi ukąszeniami pocisków złośliwych. Rzednieje linia obrońców — która nigdy nie

była gęstą i pod naporem wrażym musi się cofać. Walka bowiem była nad wyraz trudną. Początkowo poza terenem dworca, później między mnóstwem stojących na torach wagonów, wreszcie oparła się grupka obrońców w głównej hali. Zaczynał słabnąć uporczywie odpierany atak frontowy, tracił pierwszy swój impet, nagle podsycił go na nowo flankowo wymierzony atak świeżych sił ukraińskich, świeżo przybyłych, czy w rezerwie trzymanyh dotychczas. Rozwinął się jak huragan i w dobrym między wagonami ukryciu podsunął się na bliską, bardzo bliską metę.

W tym momencie zjawia się zdrada, znana z dziejów broń kozacka i ruska. Oto natłoczone w poczekalniach tłumy niby bezbronnych „Heimkehrerów“ rozpoczynają ogień na obrońców od tyłu. Nawet to nie odebrało ducha bohaterskim szeregom. Zwróciło się przeciw nim kilku, zwrócono tam nawet karabin maszynowy i próbę ataku stłumiono szybko w zarodku. W tych walkach wewnętrznych pokojowych znalazł bohaterską swą śmierć dzielny P. O. Wiak, chorąży Kolbuszewski Wład.

Gwałtowny ogień karabinowy obrońców i atakujących, nieprzerwane granie kilkunastu karabinów maszynowych (naszych—polskich dwa tam jeno było), a na tym tle huk rzuconych granatów ręcznych były wymownym świadectwem, że reduta broni się jeszcze, broni dzielnie i po bohatersku. \*

Nagle o przebóg, ogień raptownie ustaje. Jeszcze kilka pojedynczych strzałów i... cisza zalega zupełna, a złowroga.

Nie trzeba czekać na meldunki przy takim zaprzestaniu ognia. W małym pokoiczku przy ul. Grunwaldzkiej (tam bowiem ulokowała się „na stałe“ komen. nacz. w lokalach, jakby dla niej stworzonych) zrozumiano tę ciszę i natychmiast wydano zarządzenia do... kontrataku na dworzec. Musiał tedy oddać pewną część swych ludzi Abraham i borykający się ciężko z wrogiem Kułakowski, ogołocono część frontu Starcka, poszło nieco ze szkoły

Sienkiewicza, poszła i mniej potrzebna część komendy naczelnej. Razem niewiele ponad kopę żołnierza.

Nigdy dotychczas nie błogosławiłem tak w myśli wynalazców samochodów, jak wówczas. Zaiste, w piętnastu może minutach ukończono przygotowania, rozstawiono na wskazanych miejscach wojsko i rozpoczęto huraganowy kontratak. Od strony dworca Kleparowskiego grupka, od ogrzewalni i kopytkowego druga, silniejsza od poprzedniej, a najsilniejsza od strony rogatki gródeckiej i magazynu amunicyjnego.

Ostąpił Ukrainiec, gdy nagle z boku i od tyłu — wprost od swoich — otrzymał nowy silny ogień. Szczególnie liczny z boku od dworca czerniowieckiego. Tam bowiem siły wojskowe polskie otrzymały nowy, a niespodziewany sukces.

Oto ci, którzy strzegli jako milicja kolejowa dworca towarowego, i ci, którzy znaleźli się tam bezprawnie, i ci, którzy siebie tylko sycili, i ci, którzy sakwy i kieszenie własne napelniali i ci wreszcie, którzy tam pokładli się na „konieczny“, a dobrowolny spoczynek nocny, ci wszyscy uzbrojeni rzucili się bez komendy wojskowej, a strategicznie i taktycznie jak najlepiej, na spoczywającego i zbierającego się wroga. Nie bitwa, ale rzeź prawdziwa, choć kulami jeno sprawiana, zaczęła się od tej pory. Wzdłuż długich kolumn wozów kolejowych rozwinęli Ukraińcy, prażeni ślicznym, prawidłowym ogniem z czystej flanki, zaczęli ratować się ucieczką. Wschód nieboskłonu czerwieniał już dobrze, gdy ostatnie umilkły strzały.

Garstka obrońców — nietkniętych pociskami zostało 18-tu — przebiegła dumnie, a z miną prawdziwych zwycięzców poboju całe i zaciągnęła ostatnie placówki tam, gdzie dnia poprzedniego trzymała straż nad polskością polskiego grodu.

Na opuszczone w nocy pod wpływem powyższego ataku lotnisko wrócili obecnie — po wzięciu na własną rękę bardzo czynnego udziału w kontrataku na dworzec — po raz drugi „lwowscy“ lotnicy i pod wodzą kap. Bastyra — najdzielniejszego chyba lotnika i mechanika w je-

dney osobie — rzucili się teraz gorączkowo do dalszej pracy przy montowaniu poniszczonych aparatów. Chciało się ich ścisnąć wszystkich, gdy tego samego dnia wieczorem zameldowali w komendzie nac., że aparat gotów do startu, drugi wkrótce będzie, trzeci w ciągu dnia jutrzejszego i t. d.

Jeszcze podczas szalejącej na dworcu walki zajęła nań maszyna z Persenkówki z dziesięcioma ukraińskimi parlamentarzami i kapt. Wiktorem, który był u nich w niewoli. Z grupy Waśyla wysłano ich i nie pouczono, zdaje się, jak mają postępować. W niepraktykowany chyba nigdzie sposób zwracali się wprost do żołnierzy polskich, ich prowadzących i do dowódców placówek z przedstawieniami beznadziejnego oporu i radami ochronienia od zguby drogiego wszystkim — im także — miasta. Kap. Wiktora wzięli ze sobą, zobowiązawszy go wprzód do powrotu, by jako naoczny świadek ich potęgi przedstawił ją bezstronnie i ratował ludzi i miasto od niechybnej zaguby. Komendant reduty — złamany może na duchu z powodu zbytnej przewagi wroga i przelicznych procentowo strat własnych — zawarł z nimi zawieszenie broni lokalne, nie zasiągnąwszy upoważnienia komendy nac., nie złożwszy jej odpowiedniego meldunku.

Oto przyczyna przerwy w strzelaniu.

Kontratak polski zagarnął licznych jeńców, a wśród wojsk własnych ukraińskich parlamentarzy. Odstawiono ich teraz do komendy nac., gdzie dłużej próbowali wymowy na przedstawienie beznadziejności oporu, strat, jakie poniesie przez to nieszczęsne miasto, a poniesie na próżno, gdyż do wieczora oni — U. S. S. — będą panami całego miasta.

Wyjaśniono im w komendzie nac. co należało i ulokowano jako jeńców w myśl odpowiednich przepisów konwencji hagskiej dla wszystkich obowiązującej. (art. 34 konw. z dn. 18/10 1907).

Kapt. Wiktor zaś wracać zamierzał do niewoli. Pismnym rozkazem z 6 list. wyznaczono go na komendanta Rzęsny polskiej.



Nie ucihła jeszcze walka o dworzec, gdy w warsztatach jego ogrzewalni rozpoczęła się gorączkowa „praca pokojowa”. Od wczesnego ranka stanęli tłumnie do pracy patriotyczni i narodowi robotnicy, przeważnie kolejowi i wspólnie z inżynierami mozolili się nad najspieszniejszym wykonaniem pociągu pancernego. W polskich warsztatach miał powstać własnymi siłami pierwszy polski pociąg bojowy, konieczny nam tak na obronę i zdobycie Lwowa samego — z powodu opisanych już kierunków linii kolejowych — jak i na walkę ruchomą we wschodniej Galicji.

Wojskową komendę nad dworcem objął od tego dnia kap. Majewski.

Długo zbierano i liczono pozostałych na dworcu Ukraińców. Naliczono ich 330 „leżących” na polu walki t. j. zabitych i ciężko rannych.

Mozolną miał noc Kułakowski na nieśmiertelnej od tego dnia ul. Bema. I na niego runął bowiem atak ukraiński, zaczęty czasowo nieco później od ataku na dworzec. Łączność ich wzajemna i cel wspólny — jasny dla fachowców. Wzięcie dworca we dwa ognie i zdobycie go za wszelką cenę, byle odciąć nas od podstaw operacyjnych.

Bohaterski dowódca odparł jednak wszystkie ataki nocne.

Kiedy cisza zapanowała na dworcu, Ukrainiec zrozumiał ją jako zwycięstwo nasze i skierowawszy tu nowe siły, rozpoczął atak trzeci, najsilniejszy. Zaczął się on około godziny 10 rano.

Ciężka rozwinęła się walka. „Odbili” Ukraińcy kilka stajen z zajętych przez nas obiektów koszar Ferdynanda, zajęli nawet z powrotem budynek austriackiej komendy uzupełniającej, lecz po zaciętej walce, trwającej z niesłabnącą siłą, a małymi przerwami aż do wieczora dnia następnego, musieli wreszcie ustąpić do głównego budynku koszarowego. Dowodził tu bowiem znakomicie „prawdziwy bohater”, za którego przewodem szczupła załoga dokazywała cudów.

Mamże opisywać tę walką zaciętą i zawziętą, walkę, w której nie było pardonu, bo go być nie mogło, walkę, w której niewiele strzałów „poszło na marne“. Wszak blisko siebie, nieomal pierś w pierś, walczyli. Nieopisana brawura szła tu w paragon z najwyższym bohaterstwem. Grupka „zwarjowanych Lachów“ rzucała się do ataku, lub w kontrataku na kilkunastokroć liczniejsze siły wraże. Brawurą ich brała. Często liczono więcej trupów nieprzyjacielskich, niż wynosiła własna grupa atakująca.

Od wieczora oświetlono im pole walki. Zapłonął jasno budynek komendy uzupełniającej i czerwienił swym blaskiem rozplomienione twarze walczących.

Czy nie wspomnieć osobno wspaniałej odpowiedzi komendanta, gdy go pytano, czy utrzyma swą linię po osłabieniu sąsiedniego odcinka: „Utrzymam się tu i wytrzymam, a jeśli koniecznie trzeba będzie, mogę jeszcze oddać nieco własnych ludzi“. Odpowiedź dana w czasie walki, walki sił bardzo nierównych, gdyż z jednej — naturalnie polskiej — strony niewiele ponad pół setki, a z drugiej setek kilka. Szacowano Ukraińców tu prawie na cztery setki.

Taki bo też to był komendant, który samoczwart rzucał się na plutony nieprzyjaciół, zbrojne w karabiny maszynowe i położywszy kilkunastu trupem, władał najcenniejszą dla nas bronią.

Równocześnie z nim zaatakowali Ukraińcy Abrahama i rozwinęli się nań od północy. W piorunującym jednak wypadzie flankowym, od strony cmentarza Janowskiego, „zwinął“ wspaniale ich linie i wkrótce kierował dalszą obroną z „Góry Stracenia“, góry, która jemu i jego podkomendnym przyniosła najbardziej zasłużone i prawdziwie odpowiadające miano „Straceńców“. Duchy katowanych i wieszanych na tym miejscu bohaterów, Wiśniowskiego i Kapuścińskiego, musiały się radować na widok takiego młodego pokolenia.

Walka o dworzec, prowadzona przez Ukraińców z trzech stron, zakończyła się walnym zwycięstwem naszym. Na dalszym froncie w środku miasta zaczął próbo-

wać wróg sił naszych. Chciał je wprzód zbadać i gęsto wysyłał patrole. Zdziwił się zapewne, gdy ujrzał wysuwające się tu naprzód grupy nasze, mimo, że tam wszędzie naokół srożyła się walka. Tu kap. Łodziński (Korwin), władający od dziś (t. j. 4 list.) dzielnie w szkole Konarskiego, chciał zrobić sobie „dobry początek”. Wsporniale przesunął swe linie w ogród Jezuicki i opanował dyрекcję kolejową — zmienioną niezwłocznie w redutę, — której żadna z siostrzyc lwowskich nie będzie potrzebowała się wstydzić. Zaczął się w niej urządzać na długi pobyt por. Rogoziński, który niebawem zluzował w dowództwie Sochockiego.

„Gorączka”, znamienity oficer Wasilewski, nie wytrzymał spokojnie w tym huk. Zagrała w nim krew żołnierska od walki, naokół toczonej i runął ul. Sykstuską i Kopernika w dół. Poszedł samorzutnie i nie zatrzymał się aż po wzięciu ruskiego seminarjum duchownego, budynku, graniczącego podwórzem z pocztą. Tu atak stanął. Poczty mimo usiłowań nie zdołał zająć. Jak zaś oddziaływał zapal i bohaterstwo „chłopców”, do ataku idących, na przypadkowych widzów, niech świadczy fakt, że dwu z nich — jeden wojskowy w „waffenrocku”, drugi cywilny w cylindrze — przyłączyli się do nich i wzięli udział w ataku i dalszej walce bez zmiany stroju swego. Jeden z nich — naturalnie wojskowy — wybił się już w czasie ataku na dowódcę i objął dowództwo Seminarjum, które zamienił w kilka dni później na ciężką i sławną pocztę.

Przez szereg domów między ulicą Sykstuską, a Kraszewskiego wyrównano front z ogrodem Jezuickim.

Trudne były te ataki. Ulice proste, jak sierpem rzucał. Atakujący, prażeni nadto — w ulicy Kopernika — z boku, z Cytadeli, parli naprzód mimo straty znaczne. Z drugiej strony, wzdłuż drugiego kompleksu domów szedł z „maszynką” po dachach poległy później „specjalista” od zdobywania karabinów maszynowych Zborzyl-Mirecki i prażył wroga z góry, jakby z nieba — sam niewidzialny.

Na ten nowy front rzucili się Ukraińcy do kontrataku. Atakowali kilkakrotnie i wytrwale, lecz skutku nie odnieśli.

Miał nieznaczną pracę obronną w godzinach popołudniowych dnia tego wsławiony później Boruta-Spiechowicz, obecny dowódca szkoły Sienkiewicza. Odparł ich łatwo, bez znaczniejszych strat własnych. Zresztą udzielał w ludziach i materjale pomocy słabnącym siłom Bujalskiego. Sam ich nie miał za wiele, gdyż wkrótce poddano pod jego komendę jako dowódcy grupy i dworzec, gdzie musiał wzmocnić zbyt słabą obsadę.

W szkole Sienkiewicza objął rej najstarszy z kolei kap. Baczyński.

Nakoniec zostawiłem opis walk odcinka, na którym zaczęły się one najwcześniej i trwały najdłużej. Myślę o odcinku pierwszym por. Bujalskiego, który gospodarzył w domu Techników. Przed swoim frontem miał dwie eksponowane reduty. Jedna, to zajęte 2 list. koszary wóleckie, druga, tworząca się od 3 list. popołudniu, przesławna później szkoła kadecka.

Ukraińiec zaatakował tu rano 3 list. — mimo trwającego jeszcze zawieszenia broni — koszary wóleckie i zdobył je, wyparłszy szczupłą stamtąd naszą załogę. Niezwłocznie dyrygowano ppor. Dębickiego z plutonem na zdobycie ponowne koszar. Udało mu się to — wkrótce po upływie zawieszenia broni.

Rozpętała się długotrwała i uporczywa walka o posiadanie koszar. Natychmiast bowiem przeszli Ukraińcy do kontrataków. Mimo odparcia kilku (czterech) piąty, późną już nocą dokonany, zdobył ubezpieczenie południowe koszar (akcyzy budynki) i posunął się znacznie naprzód skrzydłami swymi. Przed dziesięciokrotną przewagą cofnął się Dębicki na wolne pole, na północ od koszar i tu noc przetrzymał w walce.

Otrzymał więc nowe wzmocnienie (10 Dublańczyków) i w kontrataku 4 list. rano zdobył koszary — po raz trzeci z rzędu. Na nic się zdał kontratak ukraiński. Koszary utrzymano. Władztwo nad nimi oddano obecnie por. Dzeduszyckiemu.

Rozwścieczony Ukrainiec przypuścił z południa gwałtowny atak na cały odcinek I, od Cytadeli aż hen po Kulparków.

Prawidłowa, regularna zawrzała tu teraz walka, w której ogromna przewaga wroga dotkliwie uczuć się dawała, ponieważ była to walka przeważnie polowa, na terenie falistym. Cofnięto się znacznie, zbliżono się niemal aż pod dom Techników, frontu jednak przerwać nie dano. Trzymał się Dzieduszycki w koszarach, zewsząd niemal otoczony, trzymał się front cały, walczył i nie zmniejszał siły, ni napięcia ognia, choć liczba obrońców spadła w czasie walk bardzo znacznie.

Gnał więc na autach pod wieczór 4 list. ppor. Starck ze swym plutonem ze szkoły Konarskiego, skierowany do kontrataku. W ciągu walk nocnych, do rana następnego (5 list.) trwających, odzyskano z powrotem utraconą linię, przesunięto ją nawet naprzód i nawiązano łączność z koszarami.

Nowy silny atak ukraiński uderza na koszary, rozgromia obronę naszą i front przerywa.

Nowy kontratak polski oddziałkami, z frontu całego ściągniętymi i nowe zajęcie koszar, tym razem po raz ostatni. Pozostały odtąd trwale w polskim władaniu. Dowodzili w nich po kolei Dzieduszycki, Zakrzewski, Brzezowski.

Nie ostygły tu jeszcze lufy karabinów, nie zaprzestano tu jeszcze od strony wschodniej walki, gdy pokazuje się nowe sklarowane ognisko ataku. Ruszył tym razem nieprzyjaciel do ataku z Kulparkowa całego i zagarnął w mig lewe skrzydło Boruty.

Zawładnął wylotami ulic i wdarł się częściowo w miasto. (ul. Listopada i sąsiednie).

Do srode spracowanego Abrahama musiano się zwrócić, który w obecnym momencie w spokoju po całodzienniej, nużącej walce, badał patrolami północne przedpole własne, skąd groźne otrzymywał wieści.

Mimo zbierających się chmur groźnych musiał stać tu posiłki. Zjawił się sam z oddziałkiem na aucie, wyrzucił wroga z miasta, przywrócił linię pierwotną i pom-

knął w myśl rozkazu dalej na akcję.... zaczepną, wspólnie z Borutą.

Mimo odrzucenia nieprzyjaciela i zaprzestania przezeń ataków, mimo ogromnego zmęczenia żołnierzy naszych nie mogliśmy spocząć tej nocy (z 5 na 6), musieliśmy uprzedzić groźnego dla nas wroga. Dostaliśmy już bowiem niepokojące wiadomości o gromadzeniu się nieprzyjaciela przed naszym frontem zachodnim, od strony Kulparkowa, Skniłowa i Zimnej Wody. Były to nowe posiłki ukraińskie, ściągane z pod Sambora, Rudek, Gródka i t. d. i skierowane tu wprost do ataku na nas.

Posiadanie przez nich dworca Kulparkowskiego i części toru Lwów-Stanisławów ułatwiało im sytuację w czasie ataku, utrudniało obronę naszą.

Należało więc poprawić swą linię. Przyszła teraz kolej na szkołę Sienkiewicza.

Siły tamtejsze, zbyt słabe do nocnego ataku należało wzmocnić. Znowu nastąpiło wyciąganie z różnych, odcinków, najmniej zagrożonych, lub najmniej zmęczonych.

Czy były wówczas we Lwowie takie?

Błyskawicznymi poszliśmy uderzeniami. Abraham, operujący na lewym skrzydle Boruty, zajął wówczas dworzec Kulparkowski, sam Boruta opanował zręcznie wały toru kolejowego i przesunął odpowiednio dalej na zachód ubezpieczenie dworca. Wkrótce załatwiono się z tym, wyrównano i poprawiono ładnie linię własną i uczyniono ją odporniejszą na spodziewany atak, na który nie trzeba było zbyt długo czekać. Nastąpił bowiem prawie bezpośrednio. Abrahama musiano zabrać stąd na gwałt z powrotem.

Zawrzała tu znowu gorąca walka i trwała do samego zmierzchu 6 listopada. Główne uderzenie skierował Ukraińiec początkowo w kierunku na dworzec Czerniowiecki, a kiedy szala zaczęła się przechylać stanowczo na naszą stronę, uderzył silniej na drugim skrzydle na dworzec Kulparkowski, przerzucając tam wszystkie swoje rezerwy. Na nic mu się zdał ten sprytny manewr. Odparto go i tu, jak na całej linii. Boruta w umiejętny rzucił się pościg

i rozbił zupełnie siły jego. W walce tej otrzymała chrzest ogniowy lwowska kawalerja. W pościgu oddała nieocenione usługi.

Wtedyto wciągnął Boruta definitywnie w obręb frontu lwowskiego przedmieścia lwowskie tamtejsze, jak Sygniówkę, Lewandówkę, organizowaną od 1 listopada przez por. Marksa, Bogdanówkę itd., a oczyścił w przedpolu zostawiony Kulparków.

Zawarte zawieszenie broni nie wstrzymało ni na sekundę walki w tej stronie. Atak skierowany głównie na odcinek V (front zewnętrzny), rozszerzył się koło południa aż po szkołę kadecką. W całości jednak został odparty.

Szarzał zaledwie śliczny ranek 7 listopada, gdy rozpoczęła się prawidłowa, regularna walka na odcinku Bujalskiego (dom Techników). Na całej linii przeszedł wróg do ataku, od parku Kilińskiego, aż hen poza Kulparków. Objął nasze odcinki pierwszy i część piątego i koncentrycznym uderzeniem usiłował złamać linie polskich obrońców.

Zdecydowany atak wyborowych sił ukraińskich parł od wschodu—na odcinek Bujalskiego tedy. Atak w sile około tysiąca ludzi, znakomicie zbrojnych, dobrze wyćwiczonych.

Odpór miało im dać 170 małych, lecz duchem wielkich żołnierzyków polskich.

Zagrały karabiny maszynowe i zwykłe; liczniejsze, grubo liczniejsze były one po stronie ukraińskiej i grały długo i złowrogo. Po stronie polskiej wzięło udział w tej walce 4 karabiny maszynowe, połowa ogólnej naszej liczby z krwawo zdobytych. Dano dość długi odpór atakującemu nieprzyjacielowi w koszarach wóleckich, powstrzymywano go długo w poszczególnych domkach i willach na Wólce. Stąd cofnąć się musiano na wyznaczoną uprzednio właściwą linię obronną. Rzedniała i ona i załamywała się tu i ówdzie w toku dalszej walki, ale nigdzie nie pękła. Po mistrzowsku kierował nią tutaj por Bujalski.

Żądał rezerw najmniej 200, gdyż inaczej „nie ręczył za całość odcinka“, dostał z trudem i obawą z innych

odcinków wyciągniętych 30, ale w obronie samej nie zwątpił na chwilę, nie stracił potrzebnej „krwi zimnej“.

Troska o linię frontu, troska o amunicję, troska o licznych rannych, których nie było czym, ni kim znieść, musiała spoczywać w owym czasie na głowie dowódcy. Wyćwiczonych w tych funkcjach oddziałów, automatycznie i samorządnie niejako działających, nie było *jeszcze* w tym czasie. Mimo to wszystko walka przebiegała prawidłowo, niczego nie brakło w czasie niej żołnierzowi.

Mdlały ciała i ręce obrońców, a nie słabło napięcie walki. Schowało się za chmury śliczne rano słońce listopadowe, jakby patrzeć nie chciało na dobywane nadludzko ostatnie siły obrońców. Deszcz począł siomrzyć, ale nie zmoczył prochów w zapalach. Kilkakrotnie zrywani do „szturmu“ Ukraińcy, znajdowali palny odpór, lub spotykali się ze zręcznym uniknięciem i wyminięciem „ciosu ostatecznego“. Z nowej linii, z nowego wzgórza, czy za nowym jarem znowu grały karabiny z niesłabnącą—zda się—siłą. Dla nich nowe podsuwanie się i pełzanie i nowy „szturm“. Liczba wyniesionych z pola walki obrońców polskich zbliżała się już do trzeciej ćwierci setki, a nie zauważyłoby najwprawniejsze ucho jakiegoś osłabienia, czy zmniejszenia napięcia ognia polskiego. Znowu wyrzało na chwilę wielkie, czerwone słońce zachodu i skryło się prędko, ujrzawszy tę samą, co i przedtym walkę. Nie odczuło ciepłych promieni jego i nie zobaczyło go już wielu z tych, którzy wesoło nań rano patrzyli.

Tężały i mnożyły się w dziesięciokroć siły obrońców — jedynie moralne; nie stropili się, gdy w pewnym momencie walki otrzymali ogień od tyłu i prawej strony. Zgięli nieco linię i bronili się dalej. Nie pytali, skąd i z jakiej przyczyny ten ogień.

Ot dobre pół kompanii, około 100 ludzi, przełamało placówkę, do szkoły Sienkiewicza należącą i zwróciło się przeciw ich linii, którą od tyłu mieli jak na dłoni. Pochwyceni jednak natychmiast od sprawiedliwej flanki przez kap. Borutę — „wyjechali“ prędzej, niż przyszli. Jeni w znacznie uszczuplonej liczbie.



Nie oglądali się trwożliwie w lewo, choć usłyszeli gwałtowny ogień od „Cytađeli“. Wiedzieli, że tam „strachu nie znający“ por. Mond odeprze „śpiewająco“ wypad nieprzyjacielski.

Wreszcie przy zbliżającym się zmierzchu zerwali się znowu Ukraińcy do ataku, tym razem ostatniego. Linie ich prażone z przodu, częściowo wzięte w ogień flankowy przez czekającą na ten moment i do kontrataku wzmocnioną szkołę kadecką, zaczęły rzednąć i łamać się, a po kilku chwilach cofać.

Nie spoczęli obrońcy na laurach świetnej obrony. Oni ruszyli teraz na całej linii do kontrataku, jak gdyby siły ich były świeże i niestrudzone. Prowadzeni z jednej strony przez por. Dzieduszyckiego, z drugiej przez ppor. Starcka, a w środku przez por. Brzezowskiego przeszli w kontrataku w pościg szalony i za jednym zapędem zawładnęli z powrotem opuszczanym tak po mistrzowsku terenem. Posunęli się nadto dalej i wyrównali linię obronną ze szkołą kadecką.

Do tej linii szkoła kadecka — koszary wóleckie przesunięto obecnie front polski.

Szyfową zaiste byłoby pracą zliczenie, ile ładunków wystrzelił w płomiennym dniu onym każdy z „naszych chłopców“. Może nie wieleby brakło, gdybyśmy ocenili je na połowę skrzynki na jednego. Ile z nich było celnych, niewiadomo. Widziano jednak i meldowano później, że nie starczyło dwu, stojących na Perzenkówce pociągów, by wywieść rannych ukraińskich. Zgadzałoby się to z prawdopodobnymi obliczeniami wedle stosunku do rannych naszych żołnierzy w roli czystych obrońców. Myśmy w stratach bolesnych, a krwawych zbliżali się na tym odcinku do setki. Jeńców przyprowadzono nam stąd sporo, i powiększono o trzy ilość posiadanych karabinów maszynowych.

Opuściliśmy front miejski 4 list. pod wieczór. Czy spokój na nim panował?

Przyszła noc ciemna, lecz i ona nie wróciła zmęczonym żołnierzom i umęczonemu miastu spokoju. Walki

zazarte, walki na całej wewnętrznej (od strony miasta) linii, szczególnie zacięte przy koszarach Ferdynanda, trwały, lub wybuchały co chwila przez noc całą.

Skończyła się noc druga, wstał jasny, słoneczny dzień drugi (5 listopada), nie zaznaczyła się w walce przerwa. Przeciwnie, z nastaniem dnia rozgorzała walka wzmocniona na nowo. Ataki ukraińskie na Seminarjum, kilkakrotnie w ciągu dnia powtarzane, odparte, ba co więcej do zaciekle bronionej poczty wdarł się nasz szczupły oddziałek i opanował część parteru. Na piętrach górnych bronili się Ukraińcy dalej. O zdobywaniu ich „szturmem“ nie można było myśleć. Postanowiono wziąć nieprzyjaciela głodem. Tymczasem skoordynowany z nocnym atakiem zewnętrznym atak „z góry“ zmusił nas z powrotem do opuszczenia poczty. Tylko nie zobaczyliśmy opuszczających. Zginęli wszyscy, lecz nie w łykach niewoli.

Ciężką miał również pracę na całym odcinku swego frontu kap. Korwin-Łodziński, dowodzący obecnie szkołą Konarskiego. Dwukrotnie (rano i wieczorem) szli Ukraińcy do ataku poprzez ogród Jezuicki. Po zaciętej, rannej walce krwawo odparci. Za drugim razem załamała się poważnie nasza linia. Skierowany do kontrataku ze Szkoły Sienkiewicza wpadł na aucie ciężarowym tak, jak przybył na pomoc, w sam środek walki ppor. Świtelnicki i podjechał aż pod dyрекcję policji, rozbijając zamknięty tam oddział ukraiński granatami ręcznymi. Dotarł potem na plac Smolki, wzniecając szalony popłoch wśród Ukraińców, którzy zaczęli się wycofywać już z ul. Legionów Rozproszonych zgromadził tu do kontrataku por. U. S. S. Cio-kan i opanował opuszczone ulice aż po sejm z powrotem.

Nie ustała walka ogniowa na odcinku Bema. Raz jeszcze zerwali się Ukraińcy do ataku i zręcznym obejściem przez jeden pluton usiłowali zająć walczącej linii polskiej na tyły. Wtedy to rzucił się nań ppor. Kułakowski z całą swoją „rezerwę“ (3 ludzi, z tego 2 telefonistów). Śmiałym, a zręcznym napadem unicestwił ich plan, kładąc trupem 10 Ukraińców i zdobywając na nich karabin maszy-

nowy. Reszta wróciła w popłochu do swego miejsca wypadowego (koszar Ferdynanda), unosząc z sobą rannych.

Najzaciętsze walki toczyły się w dniu tym o zdobytą poprzedniego dnia Górę Stracenia. Atakowana ustawicznie od przodu (od ul. Kleparowskiej) trudną miała sytuację, gdyż Ukraińcy razili ją z dachu koszar Ferdynanda ogniem flankowym z karabinów maszynowych. Ten ogień nieprzyjacielski zadał obrońcom największe straty. Poległ wówczas „P. K. W-iak” ppor. Kurdyban, a oddziałek jego znacznie został przerzedzony. Lewe skrzydło Abrahama, koło Domu Inwalidów trzymało się dzielnie. Na ten moment walki nadszedł w ul. Janowską por. Świeżawski, wezwany z dalszą połową oddziału z Rzęsny polskiej do miasta na wzmocnienie. Bezwłocznie, a samorzutnie udzielił pomocy i wziął udział w walce, odbijając trupa towarzysza z organizacji, nad którym Ukraińcy już znęcać się poczęli. Górę zostawił w dalszym władaniu oddziałom Abrahama, który w międzyczasie załatwił się z atakiem nieprzyjacielskim na lewym swym skrzydle. Zajął tam dom Inwalidów, szpital t. zw. epidemiczny — zamieniony natychmiast na II szpital polski — i koszarę trenu.

Kiedy pod wieczór 5 listopada popsowała się sytuacja u Boruty i Ukrainiec wpadł już w miasto, jedyny Abraham, spracowany srodze, mógł użyzyć pomocy. Popędził więc sam na autach.

Gdy tam — na obcym odcinku — pracował dzielnie i brawurowo, gwałtownie zmieniła się bojowa sytuacja na jego własnym odcinku. Przy nocnym ataku nieprzyjacielskim od wschodu zagrożoną została poważnie Góra Stracenia, a przy równoczesnym ataku ukraińskim od północy, od Kortumowej góry, musiano się cofnąć dość znacznie. Wróg obsadził wówczas silnie dworzec Kleparowski i zagrażał ciągle dalszym posunięciem się. Wprawdzie Górę Stracenia uwolnił z opresji w kontrataku sierż. Wietky, ale wyczerpane i słabe siły obrońców nie mogły dać należytego oporu przeważającym masom.

Wysłano więc spiesźnie z powrotem Abrahama, dawszy mu znowu z innych odcinków, co tylko dać było można.

Dzielnie—jak zawsze — załatwił się z nimi. Wkrótce pognał ich daleko na północ i zdobył z powrotem dworzec Kleparowski. Słusznie chyba dano mu w jednym z komunikatów kom. nacz. przydomek „Zdobycwca dworców lwowskich“.

Ponieważ siły por. Sikorskiego wzrosły już znacznie dzięki jego osobistej energii i inicjatywie, można było pokusić się o urzeczywistnienie dalszych planów na terenie północnym.

Pierwszym z nich było wciągnięcie Rzęsny Polskiej w obręb frontu lwowskiego i przesunięcie frontu północnego na dominujące wzgórza. Drugim poruszenie przygotowywanej od pierwszego dnia walki reduty zamarynowsko-żółkiewskiej. Jak lawina rzucili się na wroga ze wszystkich stron dzielni z prawdziwie lwowskich chłopców, ci, których zwano w czasach pokojowych „szumowinami podmiejskimi“, czy czyściej po lwowsku „batiarami“, a którzy obecnie dowiedli, że żywie w nich równie czerwona krew polska, którą gotowi przelać w obronie drogiego im miasta i Ojczyzny. To było ostatnie masowe zespolecie się w krwawej obronie ostatniej, lwowskiej dzielnicy, dzielnicy, która wydała mnóstwo prawdziwie bohaterskich obrońców. Trudni do kierowania, ale w ataku niezrównani przelewali hojnie krew własną, wspólnie ze wszystkimi stanami i warstwami narodu.

Niecierpliwie czekali na moment zaczęcia walki i demerwowali się bardzo, że rozkaz nie przychodzi. Kilkakrotnie się oń dopominali przez łączników, ale wytrwali.

Toteż gdy przyszedł rozkaz, chcieli sobie odbić za wszystkie dni czekania długiego. Sprawili się nader dzielnie. Ni jeden Ukraińiec nie wrócił żyw z frontu wystawionego tam przeciwko nam, ni jeden nie opuścił sam dzielnicy owej. Opanowali w przeciągu jednej nocy całą dzielnicę, aż po tor kolejowy włącznie; jedynie dworcowi na Podzamczu nie mogli dać rady. Opanowali i Rzęźnię miejską, a w niej kilkaset sztuk bydła austriackiego (Schlachtviehdepot), które nazajutrz, skoro świt, przypędzili pod

komendę nacz. i tylko „osobiście komendantowi chcieli oddawać“.

Rzeczywiście dzielni i kochani „chłopcy“, godni zaiste tych słów, którymi ich później stale w oczy darzyłem: „Wy batiary jesteście, ale bardzo porządni chłopcy“.

W czasie tej akcji wzniecili u Ukraińców nieopisany popłoch. Łatwo go zrozumieć, gdy się uwzględni, że równocześnie z kontratakami z przodu zrywa się palba lawinowa od tyłu ich frontu. Nie walka tam potym trwała, ale homerycka chyba rzeź.

Pierwotnego, a znacznego sukcesu swego nie potrafili utrzymać w walkach dni następnych. Tracili w nocnych atakach ukraińskich krwawe dzienne nabytki. Nie pomogła zmiana dowódcy. Dopiero, gdy dostali na dowódcę „swego“ — również zamarsztynowca — ppor. Starcka, odkomenderowanego tam później, który „umiał się z nimi obchodzić“, powstał z nich oddział bardzo wyborowy.

W czasie odbijania ostatnich ataków ukraińskich i naszego posuwania się — choć nieznaczego — na froncie miejskim naprzód zgodzili się Ukraińcy z wysłannikiem komendy Widomskim na 24 godzinne zawieszenie broni. Zawarto je w tym samym czasie, kiedy opanowaliśmy część poczty i plac Smolki, niestety, przelotnie. Zawieszenie broni miało się zacząć 6 listopada o godz. 5 rano. Złamali je jednak Ukraińcy, a w odpowiedzi otrzymali formalne i w umowie przewidziane wypowiedzenie jego ze strony polskiej komendy naczelnej.

6 listopad upłynął dość spokojnie na froncie miejskim. Walka trwała jeno na froncie zewnętrznym, do którego nie odnosiło się zawieszenie broni.

Ranek 7 listopada zastał znowu walkę na całym froncie wschodnim — miejskim — od Cytadeli przez ul. Kleparowską aż po Zamarstynów włącznie. Trzy główne ogniska ataku miał nieprzyjaciel: okolica poczty i ogród Jezuicki, sławny sektor Bema i styk Ałbrahama z Zamarstynowem.

Na pierwszy trzykrotnie szedł do ataku. Potrafił posunąć się znacznie naprzód w ogrodzie Jezuickim i odciąć redutę w Dyrekcji kolejowej. Nie na długo jednak. Mimo

silne ukraińskie rezerwy, podsyłane w te strony, „nasi“ bronili się jak lwy i niestracili ducha, chociaż zostali odcięci.

Kontratak nasz, następujący bezpośrednio po najsilniejszym, wieczornym ich ataku, odbił ich zupełnie z powrotem.

Dopiero po godz. 10 wiecz. ucichła gwałtowna walka i rozpoczęła się zwykła, nocna strzelanina czujek i wedet.

Gorzej, a raczej boleśniej skończyła się dla nas walka na odcinku Bema. I tu byli Ukraińcy stroną atakującą i tu walka trwała aż do późnego zmroku. Skończyła się wyparciem nas z dwu stajni koszar Ferdynanda. To nieznaczne przesunięcie frontu, niegroźne i niebolesne, dałoby się znieść łatwo. Inną jednak ponieśliśmy stratę. Wczasy jednego z kontrataków, obliczonych na zdobycie głównego budynku, padł ranny najdzielniejszy z dzielnych, komendant tejże placówki od pierwszej jej chwili, ppor. Kułakowski. Przeniesiony do „Techniki“, zmarł w kilka dni później z uśmiechem na ustach.

Strata dla naszych walk dalszych bolesna i niepowetowana. \*)

Cel ataku ukraińskiego na lewe skrzydło Abrahama jasny i w oczy się rzucający.

Gładko sparował go Abraham i w kontruderzeniu przesunął swe lewe skrzydło naprzód po wsławiony w dalszych bojach most kolejowy. I w tym dniu zwycięstwo było nasze na całej linii, tak frontu miejskiego jak i zewnętrznego. Ataki nieprzyjacielskie przewspaniale odparto. Wyczerpały się one w deszczu kul i morzu krwi, a za-

---

\*) Dziwnie się zaiste złożyło, że z zaprzysięganych jednego wieczoru 10 oficerów na członków P. K. W. był to szósty, który już oddał życie za Ojczyznę. Złowróżbny ten omen nie przeraził, ni powstrzymał reszty w brawurze. Trzech z nich doczekało tylko radosnego dnia oswobodzenia Lwowa, ale i tym nie było pisane wyruszyć ze Lwowa w ogólnym ataku. Spoczęli wszyscy na jednym wzgórku „Obrońców Lwowa“.

Nadzwyczaj dzielną była ta dziesiątka, ale i piekielnego miała „pecha“.

częła się walka prawidłowa, pozycyjna na froncie miejskim.

Teraz przychodziła kolej na nas zacząć. Uczyniliśmy to na froncie zewnętrznym już pod wieczór dnia tego (7 list.). Spróbować musieliśmy i na froncie miejskim.

Zakończymy opis czynów bojowych wzmianką o dwu epizodach wojennych.

Dyrygowana 3-go ostatnia rezerwa P. K. W. ze śródmieścia na stronę polską nie przedzierała się przez front ukraiński w pojedynkę, lecz zebrawszy się sprytnie u wylotu ul. Zyblikiewicza, opanowała nagłym napadem od tyłu karabin maszynowy i zawładnęła nad placem św. Zofii i ul. Supińskiego. Napierani gwałtownie bronili się długo. Musieli ustąpić, wystrzelawszy ostatnie naboje.

Utrzymanie węzła tego było dla nas ważne strategicznie; było nam potrzebne dla dalszego okrążania Cytadeli.

4-go zniesiono redutę na Łyczakowie, a obsadzie jej kazano spróbować raz jeszcze uderzenia na to samo miejsce. Udało im się także. Trzymali się na niej twardej i dłużej, ale 6 list. musieli ustąpić po bardzo krwawych i uciążliwych walkach.

Oto opis w krótkości podany walk czterodniowych. Nieprzyjaciel wyczerpał najlepsze swoje siły i wyczerpał je bezskutecznie, ponosząc bardzo obfite straty, tracąc wiele materiału i jeńca. Liczba jeńców wyniosła w tych dniach około 400 (w tym pułkownik, dowódca usaków) i przekroczyła razem z poprzednimi cyfrę 600. Ilość zdobytych karabinów maszynowych doszła do 15; ponadto wiele karabinów, nieco amunicji i najcenniejszych dla nas granatów ręcznych sztuk kilkadziesiąt.

Żołnierz nasz — młodziutki i niewyćwiczony — zmierzyszy się z wyborowymi oddziałami ukraińskimi i odparłszy je na całej linii, nabrał otuchy i pewności siebie.

Atak rozciągał się prawie na całym froncie. Jeśli odcinek jakiś znalazł się w chwilowym spokoju, musiał posyłać część swoich ludzi na wzmocnienie innej linii atakowanej, czy też załatanie przerwy przez nieprzyjaciela

dokonanej, lub powstałej z powodu własnych strat krwawych i licznych.

Czytając dziś te rozkazy, na kartkach ulotnych pisane, a nakazujące oddać bezwzględnie śmiesznie niekiedy małą cyfrę ludzi na wzmocnienie innych odcinków, można nabrać przekonania, jak trudno było sparować ten generalny, koncentryczny atak znacznie nas przeważających sił ukraińskich. Były wypadki, że jeden i ten sam oddział zmieniał kilkakrotnie w ciągu doby miejsce swej walki, gdyż poprawiwszy, lub ustaliwszy sytuację na jednym odcinku, już był gwałtownie potrzebny na odcinku innym.

Przerzucanie to było możliwe jedynie dzięki dobremu zorganizowaniu służby samochodowej. Odcinki wszystkie miały różne ilości aut ciężarowych, trzymanych w ciągłym pogotowiu wyłącznie na przerzucanie części oddziałów swych w miejsce bardziej potrzebne. Po otrzymaniu rozkazu wsadzano nakazaną ilość na auta i w „kawalerskiej jeździe“ przewożono na zagrożony odcinek. Manipulacja ta wymagała zaledwie kilku minut czasu. Żadna straż pożarna nie pędziła tak szybko do ognia, jak ci maleńcy częstokroć bohaterowie jechali na obronę miasta polskiego, by nierzadko nie wrócić więcej.

Kto zda sobie sprawę z szalonego ogromnego wysiłku, jakiego trzeba było, by młode organizmy utrzymać w czujności i napięciu w ciągłej, bez końca zdawało się walce, kto widział, jak ochotnie i bez szemrania spełniali wszystkie rozkazy, kto patrzył w ich wesołe oblicza przed i w czasie walki, ten rzeczywiście musiał powziąć cześć głęboką dla tych bohaterów.

Walka i praca fizyczna przy strzelaniu wyczerpywała organizmy, puchły ręce i twarze nawet wytrawnym żołnierzom, skóra z rąk złaziła od ciągłego strzelania (nawet ppor. Starckowi), a przecież siła odporu nie słabła, choć... malała i topniała szybko garstka obrońców.

Uzbrojeni byli również Ukraińcy w śmiercionośne i nowoczesne narzędzia walki; uzbrojeni byli lepiej od nas i ich kule... trafiały, raniły i zabijały. Jak ciężkie były straty nasze, niech wystarczy stwierdzenie, że cały naj-



licniejszy, kilkudniowy przypływ ochotnika „poszedł na marne“, że pod koniec tych walk byliśmy słabsi cyfrowo, niż przy ich zaczęciu, gdyż przeszło 600 zniesiono z pola walki na noszach sanitarnych, z których czwarta część opuściła szeregi obrońców... na zawsze. Gdybyśmy chcieli obliczyć te straty procentowo do ilości żołnierzy w chwili zaczęcia tej walki po rozejmie, doszlibyśmy do lichwiarskiego procentu cyfry 100%. Taką hekatombę krwi drogocennej i niezastąpionych żyć ludzkich, najczęściej młodzińskich, trzeba było złożyć w tych dniach w ofierze molochowi wojny.

Wiedzieliśmy, że takiego szafowania krwią ludzką nie wytrzymamy długo, a mimo to broni złożyć nie chcieliśmy, ni nie mogliśmy spocząć. Bezpośrednio po ustaniu uporczywych ataków ukraińskich musieliśmy sami zaczynać atak, by poprawić linie własne i rozbić gromadzące się nad nami, a niebezpieczne burze.

Powiększanie sił własnych w czasie tych ciężkich walk dwudniowych nie miało chyba nic równego w dziejach. Zgłoszony ochotnik dostawał karabin i amunicję i szedł od razu na linię, choć często nie wiedział, jak ładować, ani jak strzelać. Po drodze wtajemniczano go w te arkana śmiercionośne, których nierzadko nie mógł należycie używać z powodu sił zbyt słabych. Były też wonczas wypadki, że ochotnicy zgłaszali się wprost do linii i tu otrzymawszy broń rannego, lub poległego, często w czasie szalejącej walki uczyli się z nią obchodzić.

Mimo wszystkie wysiłki dawał się odczuwać ciągły brak... ludzi. 3-go przed zaczęciem walki wydano rozkaz rezerwie w śródmieściu przedarcia się na stronę polską, 3-go kazano kap. Trześniowskiemu przedostać się do Lwowa z armatami i połową oddziału w Rzęśnie Polskiej, wzmocnionego uprzednio znacznieszą częścią reduty dublańskiej, 4-go pod wieczór zniesiono przygotowaną redutę na Łyczakowie i kazano jej zająć wylot ul. Zyblikiewicza, 5 rano posłano znowu gońca do Rzęsny, by dalsza połowa oddziału z por. Świeżawskim przybywała bezwzględnie do Lwowa.

Ciężkie to były chwile i każda sekunda droga. Niewykonanie na czas rozkazu groziło zniszczeniem całej, zbyt kruchej obrony. A przecz i taki zaszedł wypadek. Spodziewany pod wieczór 3 listop. kap. Trześniowski z działami i około 80 ludźmi z Rzęsny nie przybywał. Wrócił jeno z powrotem wysłany łącznik z meldunkiem, że „kap. Trześniowski rozkazu tego nie wykona, bo jego naczelna komenda nic nie obchodzi“. Należało więc i tu użyć odpowiednich środków. Poszedł łącznik powtórnie, tym razem z rozkazem do por. Świeżawskiego (najstarszego tamże po kap. Trześniowskim), z rozkazem objęcia dowództwa, aresztowania kap. Trześniowskiego i przymaszerowania jak najspieszniej z połową oddziału i działami do Lwowa. Odpowiedni pisemny rozkaz dostał także kap. Trześniowski.

Tymczasem kap. Trześniowski odebrał obydwa pisma i siadłszy na koń, przyjechał osobiście do komendy naczelnej. Tu zaczął się sumitować, że „kap. Trześniowski nigdy jeszcze niekarny nie był i że obecnie on poddaje się rozkazom. Przyjąłem to oświadczenie do wiadomości i... przedarłem rozkaz aresztowania, zadowolony nawet z tego obrotu sprawy, gdyż każda jednostka była dla nas cenną i niezastąpioną. Kap. Trześniowski otrzymał rozkaz udania się z powrotem do Rzęsny i wykonania natychmiast poprzedniego rozkazu.

Przybył do Lwowa z oddziałem swoim i armatami dopiero pod wieczór 4-go. Oddział jego, umundurowany i wyekwipowany znakomicie z zapasów austriackiej baterji (kap. Łodzińskiego), podniósł znacznie ducha mieszkańców, rozpuściwszy wśród nich wieści, że „przybył z Krakowa“. Stugębna fama szeroko rozniosła wieści o posiłkach, w tysiące idących, przybyłych z zachodu i o dążących za nimi dalszych siłach.

Przybył kap. Trześniowski późno, by można nim było wykonać plan, dla którego go sprowadzono, ale nie za późno, ponieważ potrzeba istniała ciągle i ciągle rosła. Oddziałek jego — po krótkim kilkugodzinnym trzymaniu w rezerwie—podzielono między odcinki, które największe

poniosły straty, dom Techników i szkołę Marji Magdaleny. Kap. Trześniowskiemu oddano komendę nad ostatnią. Wkrótce, bo już następnego dnia, oddano mu dowództwo wyższe, pierwszej grupy, obejmującej oba powyższe odcinki. \*)

Takto zakończyliśmy najcięższy okres walk, okres obliczony przez nieprzyjaciół na zupełne nas zdławienie, okres uporczywie powtarzanych, masowych ataków ukraińskich. Wyszliśmy zeń zwycięsko jedynie dzięki nadzwyczajnemu bohaterstwu i nieograniczonej wytrzymałości nieletniego ochotnika polskiego. Łatwo to zrozumie każdy, kto sobie uprzytomni, że przeważna część obrońców nie spała od pierwszego dnia walki, a w czasach ostatnich czteru nocy nikt nie zmrzążył oka w obozie polskim.

Do mar raczej podobni, z widoczną gorączką i wypiekami trwali wszyscy, gdyż wiedzieli, że los miasta zależy jedynie od ich woli wytrwania.

W czasie walk rwał się kilkakrotnie i na różnych miejscach front, a rezerw na łatanie go nie było. Stąd konieczność przerzucania sił z odcinków w danym momencie spokojnych, lub niezagrożonych.

To zwiększało tylko pracę i znużenie, ale i podnosi zasługę tych „szarych żołnierzyków“.

Na załączonym szkicu podane dzieje walk tych dni kilku.

---

\*) Czynienie kiedykolwiek, jakichkolwiek przytyków do powyższego incydensu uważałbym za nieodpowiednie i niegodne wobec żołnierza poprawionego i ofiarującego krew swą.

Nie chciałem nigdy z tym występować, zostałem zmuszony przez komisję sejmową (w kwietniu 1919), przed którą nie zbyt „prawdziwie“ przedstawił tę sprawę sam kap. Trześniowski. Tu przytaczam ją, by wykazać trudności, z jakimi przy obronie musiano walczyć, z drugiej zaś strony gwoili samego kap. Trześniowskiego, by kiedyś ktoś nie rzucił nań za to kamieniem, szczególnie po fałszywym przez kogokolwiek przedstawieniu incydensu,

## DZIAŁALNOŚĆ W „ETAPIE.”

Dawszy w poprzednim rozdziale bezwzględne pierwszeństwo walce i bojom zawziętym, toczonym w tym okresie, muszę obecnie podać pobieżnie i pokrótce „dzieje niefrontowe” tych kilku dni, muszę wskazać na prace, „z tyłu” dokonywane.

Dosyć to śmieszne mówić o tyłach, kiedy strzały karabinowe przelatywały swobodnie z jednego frontu na drugi, a armatami, które wkrótce zaczęły swój rozgovor — niby pogawędkę przyjacielską, — można było razić front przeciwny od tyłu, co też skrzętnie i chętnie czynili Ukraińcy. Dla zwyczajów jednak wojny światowej przeprowadziliśmy taki podział pracy. Ponieważ „dekowało” się tam wielu starych, lub niezdolnych do boju, bardzo wielu młodych i zdrowych, winienem wspomnieć o nich w osobnym rozdziele.

Sama komenda nacz. funkcjonowała jako tako. Łatwe to nie było, jeżeli się zważy, że żaden z jej członków nie miał praktyki, ni doświadczenia w żadnej wyższej komendzie wojskowej, że wielu nie zdawało sobie sprawy z tego, jak muszą fungować poszczególne referaty w odniesieniu do całości. Wielu nie wiedziało, co wolno samodzielnemu referentowi załatwić na własną rękę, a na co musi mieć uprzednią zgodę, jak nie mniej, że z całej swej działalności musi zdawać codzienny raport u dowódcy. Nie będzie dziwić się zapewne nikt temu, gdy dodam, że jeden Łapiński posiadał skrócony „beselerowski” kurs sztabu generalnego (sześciotygodniowy warszawski), a jeden tylko Jakubski sprawował podobną funkcję w wojsku, będąc przez pewien czas adjutantem 6 p. legionów. W czasie więc walk trzeba było i na tę sprawę wewnętrzną zwrócić uwagę, pouczać i klarować.

Ponadto zaczęły się wyrabiać niezdrowe stosunki, jeden chciał załatwiać wszystko na własną rękę, inni szli z raportami do osoby im bliższej itp. Delikatnie musiałem rozciąć wrzód przed nabraniem. W czasie tego okresu (5 list.) za zupełną zresztą zgodą samego interesowanego zniosłem urząd „zastępcy komendanta“. W zupełnie zgodnej dyskusji z Łapińskim i Jakubskim ustaliliśmy, że to jest w znacznej mierze przyczyną nienormalnego stanu. Ponieważ Jakubski pełnił już funkcję szefa sztabu od 3 listopada i spełniał ją znakomicie, rozwiązaliśmy sprawę w ten sposób, że Łapiński dostał tytuł pierwszego, Jakubski drugiego oficera sztabu z tym, że do obrad operacyjnych obaj będą wzywani. Ponadto załatwiać będą sprawy, specjalnie im powierzone.

Takto jedno niewojskowe postąpienie moje na początku wywołało obecnie drugą anomalię, gdyż było 2 oficerów, pełniących obowiązki szefów sztabu. Przyznać muszę, że późniejsze funkcjonowanie komendy nacz. nie poniosło przez to najmniejszego szwanku.

Z dalszych prac wewnętrznych godzi się wspomnieć o stworzeniu kilku nowych referatów, o ścisłym rozgraniczeniu wszystkich istniejących działów pracy, jak niemniej o łączeniu, właściwie podporządkowaniu pokrewnych jednemu wspólnemu kierownikowi. Ostatnia praca, dokonana szczególnie w intendancji i w referacie tecznicznym, którym podporządkowano wszystkie inne do siebie zbliżone.

Z prac organizacyjnych komendy nacz. w odniesieniu do wojska i oddziałów walczących, najważniejsze następujące:

Dokładne rozgraniczenie terenu poszczególnych odinków i sektorów i tworzenie z nich jednostek wojskowych, a raczej bojowych wyższego rzędu. Dokonano tego w rozkazie organizacyjnym z dnia 5 listopada, którego treść dosłowna:

#### ROZKAZ ORGANIZACYJNY Nr. 1.

*Lwów, dnia 5 listopada 1918 roku,*

1. *Podział rejonu na sektory.* Zajęta przez nas część miasta zostaje podzielona z dniem dzisiejszym na 5 sektorów:

Sektor 1, od ulicy Potockiego do ul. Lenartowicza i Pełczyńskiej włącznie. Komendant por. Dr. Bujalski.

Sektor II, od ul. Pełczyńskiej, Lenartowicza i Nowy Świat do ul. Karpińskiego i Mickiewicza włącznie. Komendant por. Świerzawski.

Sektor III, od ul. Karpińskiego i Mickiewicza do ul. Na Błonie, Plac Bilczewskiego i Leona Sapiehy. Komendant kap. Łodziński.

Sektor IV, od ul. Na Błonie do ul. Grodeckiej włącznie. Komendant kap. Majewski.

Sektor V, od ul. Grodeckiej, plac Bilczewskiego, ul. Sapiehy do ul. Potockiego włącznie. Komendant kap. Baczynski.

Sektory I i II, tworzą grupę I/II. Komendant kap. Trzeźniowski.

Sektor IV i V, tworzą grupę IV/V. Komendant kap. Boruta.

Uważny czytelnik spostrzeże z łatwością, że zasadniczo nic się nie zmieniło, że nie wprowadzał rozkaz ten niczego nowego w jakości, ni sposobie obrony, gdyż zatrzymywał zasadniczo ten sam podział terenu i sposobu walk który istniał od pierwszego dnia walki. Każda reduta miała, lub otrzymywała pewien odcinek i za akcję na nim był odpowiedzialny jej dowódca. On kierował nią w myśl otrzymywanych ogólnych dyrektyw, lub ścisłych rozkazów.

Pocóż więc w takim razie wydano ten rozkaz? Z dwu przedewszystkim względów. Pierwszy mniej istotny, ale konieczny, z powodu posunięcia się naprzód wszystkich odcinków. Mogła zająć ewentualność, że pewnego terytorjum niktby nie obsadził, ponieważ obaj sąsiedzi mogliby je uważać jako należące do drugiego sąsiada, lub—co zdarzało się rzeczywiście np. z ogrodem Jezuickim—obaj uważali go za swój i dosyć ostre na ten temat powstawały spory.

Wreszcie pomieszały się oddziały z powodu ciągłej, wzajemnej pomocy i konieczności przerzucania mniejszych

lub 'większych oddziałków na odcinek sąsiedni. Otóż poprzedni komendant uważał je za należące dalej do siebie i chciał rozkazywać im na obcym terytorjum. Rzec wojskowo niedopuszczalna. To były konieczne powody, które zmusiły do wydania tego rozkazu, by unormować ściśle granice z uwzględnieniem przyszłego, planowanego posuwania się naprzód.

Wykorzystano jednak tę sposobność, aby wprowadzić w dotychczasową organizację wojskową pewną nowość istotną. Dotychczas każdy z odcinków podlegał wprost komendzie nacz. i od niej tylko otrzymywał rozkazy, jej tylko chciał słuchać. Było ich już za wiele. Należało więc połączyć w jednostki wyższe wszystkie odcinki o wspólnym celu taktycznym i strategicznym i utworzyć nowy rodzaj komend pośrednich. Stworzono trzy zasadnicze grupy, dzieląc dotychczasowe odcinki na sektory—pewna ich ilość łączyła się w odcinkach—z tych tworzą grupy. Utworzono więc pięć odcinków—szósty kończył się organizować w tym czasie pod por. Sikorskim—do każdego należało kilka sektorów—normalnie trzy—a z odcinków I i II, IV i V utworzono dwie grupy. Odcinek III pozostał samodzielnie pod tą nazwą, choć faktycznie i co do terenu i co do ilości żołnierza równoważny był obu grupom.

W jakim celu przeprowadzono ten podział, zrozumie każdy laik nawet, jeśli mu przemienię nieco tylko nazwy, Sektory porównajmy, albo przezwijmy kompaniami, wówczas odcinek musi być batalionem, a grupa pułkiem.

Dlaczegoż tedy nie zastosowano odrazu tych nazw? Wiele było przyczyn, z których wymienię jeno nieliczne. Przyzwyczajenie do tych nazw i istotna ich treść, odpowiadająca faktycznemu stanowi rzeczy, dalej liczenie się z pewną ambicją jednostek, a nawet wzajemną nieufnością, czy „krzywym patrzeniem“ na siebie, wreszcie z koniecznością powolnego, a systematycznego wdrażania dopiero ludzi w tory ściśle wojskowe, przyzwyczajania ich do nich i przekonywania. Nie bez tarć poszły powyższe zarządzenia. Byli jeszcze dowódcy, którzy chcieli dalej za-

leżeć bezpośrednio od komendy nacz., lub nie zależeć od naznaczonego im komendanta, a były nawet całe oddziały, które oświadczały, że tylko będą posłuszne komendzie nacz., lub że nie będą słuchać „austriaka“, czy legjonisty i t. d.

Miał postępować wedle przysyłanej później recepty i dziesiątkować oddziały, a przy tym wywoływać bunty i t. p. wołałem przez powolne zaciskanie obroży wojskowej dojść do tego samego celu w nieco dłuższym okresie czasu, a nie tracić niepotrzebnie ni jednego drogiego obrońcy. Doszło się przy tych samych zresztą ludziach.

W powyższym tkwi istotny postęp rozkazu onego. W nim należy dopatrywać pierwszych, faktycznych i zorganizowanych początków późniejszych trzech pułków strzelców lwowskich.

Licząc się z długotrwałymi walkami nie można było zapomnieć, lub nie myśleć o artylerji. Stworzenie i utrzymywanie dwu redut w Rzęśnie i Sokolnikach było w znacznej—choć nie jedynej—mierze wywołane chęcią owdzięcia i późniejszego użycia baterji austriackich, tam rozlokowanych. Poza nimi nie było żadnych baterji ani we Lwowie, ani w jego pobliżu. Pewna, choć nieznaczna ilość armat rosyjskich znajdowała się nadto w magazynie amunicyjnym 4 komendy generalnej w Skniłowie.

Mieliśmy w P. K. W. upatrzonego artylerzystę na organizatora, woleliśmy jednak poczekać, czy nie zgłosi się inny, o wyższej szarzy. Wydając rozkazy prof. Lutze-Birkowi zorganizowania warsztatów artyleryjskich, a 3 listopada przywiezienia armat z Rzęсны, wątpiłem jeszcze, czy zgłosi się upatrzony kandydat.

Dopiero koło południa 4 listopada zgłosił się w komendzie nacz. mjr. Śniadowski i głosem o nerwowym drzeniu, z widocznym przełamywaniem się oświadczył: „Panie kanitanie, major X zgłasza się do walki i oddaje się pod komendę“. Podnoszę umyślnie te okoliczności, ponieważ uważam je za jeden więcej motyw do zasług mjra Śniadowskiego. Był starszy wiekiem, uważał się za



starszego szarżę, a jednak po złamaniu się przyszedł spełnić obowiązek naródowy \*).

Otrzymał więc natychmiast polecenie zorganizowania lwowskiej artylerji. Wtajewniczony, gdzie co jest i kiedy mniej więcej urządzi się wyprawę po resztę, zabrał się odrazu do pracy, którą wykonywał lepiej, niżby to mogło wychwalić jakiekolwiek pióro.

Mimo, iż zostawiłem mu znaczną samodzielność, codziennie raportował o dokonanych pracach i uprzednio o zamierzonych planach organizacyjnych i osobistych. Przyjmował rady i wskazówki chętnie. Późniejsze rozkazy bojowe spełniał możliwie najsprawniej i najlepiej. Sam nie lękał się pracy i zakasywania rękawów, sam inżynier, rozumiejący się znakomicie na delikatnych, a skomplikowanych mechanizmach. Stworzył więc cuda niedoścignione. Zasługi jego osobiste przy tej organizacji nie oceniono później należycie. Tym większym moim obowiązkiem podnieść je tu i oddać hołd prawdzie i pracy rzetelnej.

W osobistych stosunkach wojskowych naszych nigdy nie było żadnego dysonansu.

Nie przybyły jeszcze armaty z Trześniowskim, a już miał mjr. Śniadowski ludzi i oficerów, wyszukanych po odcinkach, miał konie otrzymane z taboru, z uprzężą prawdziwie artyleryjską, miał i przysposabiał amunicję.

Kiedy wreszcie pod wieczór zjawiły się armaty z Rzęsny we Lwowie, wziął je natychmiast major Śniadowski w swoją opiekę.

Stare, bezużyteczne — zdawało się — były to graty, jedynie do nauki przydatne. Wybrzuszone i popalone wewnątrz, nie zdolne do dalszych strzałów w myśl przepisów artyleryjskich wszystkich wojsk świata, grożąc śmiercią w razie dalszego strzelania raczej usłudze własnej, niż

---

\*) W lutym 1919 jeszcze oświadczył na publicznym zebraniu: „Ofiarowano mnie komendę nacz., pragnąłem jej gwooli uwolnienia miasta rodzinnego, ale dziś muszę przyznać, że w takich warunkach, przy tych trudnościach nie potrafiłbym być wywiązać się z zadania należycie“.

nieprzyjacielowi. A przecież, znaleźli się ludzie, którzy z nich strzelali, a przecież dały chlubny początek artylerji lwowskiej, oddziałom najlepszym z tych, jakie widziano przez cały ciąg wojny światowej.

Była jeszcze jedna niezwalczona trudność w ich użyciu. Brak było do nich... amunicji. Mieliliśmy amunicję 3 calową rosyjską, która — jak wiadomo — kaliber ma mniejszy, a patron (łuskę) znacznie dłuższy. Czegóżby to nie potrafił zdziałać zapal. Patrony obrzynano i skrócono, a naboje...?

Drobiazgami w porównaniu z powyższymi były inne braki, jak popsute przyrządy celownicze, nie funkcjonujące hamulce hydrauliczne, połamane sprężyny i t. d.

Wszystkiemu dano radę, wszystko naprawiono w czasie nieprawdopodobnie krótkim. Piliłem co prawda na spieszną naprawę choćby jednej, by przynajmniej móc cddać jeden strzał. Chodziło o uzyskanie nad przeciwnikiem przewagi moralnej, że „Lachy“ mają już artylerję, o podniesienie na duchu własnego żołnierza. Nie spodziewano się po niej zbyt wielkiego skutku rzeczywistego — ale uważano powyższe czynniki moralne za nader ważne, tak dla podniesienia ducha oddziałów, jak zmniejszenia jego u przeciwnika. Wreszcie jako broń przeciw spodziewanej lada dzień artylerji nieprzyjacielskiej, która nie bojąc się strzałów naszych artyleryjskich, mogła zajechać w otwarte, a bliskie stanowiska i bez własnej szkody zmiatać nam całe linie piechoty.

Dzięki ogromnym wysiłkom wszystkich oficerów, żołnierzy i robotników warsztatowych, dzięki pracy, trwającej bez przerwy dnie i noce udało się tworzyć baterje błyskawicznie. Pierwszą objęli w swe władanie bracia Królikiewiczze i już szóstego dnia walki oddali kilka strzałów na Cytadelę.

Dziwna to była strzelanina. Stanowisko zaciągnięto o kilkaset zaledwie kroków (pod willą Dylewskiego) naboje, by gazy prochowe nie uciekały, owijano ręcznikiem, lub innymi „szmatami“ i w ten sposób umocowywano w lufie. Ale huk był wielki, skutek wcale niezły, strach

u nieprzyjaciela jeszcze większy, a u polskich „chłopców“ entuzjazm, otucha i duma nieopisana.

Nic to, że umilkły po kilku strzałach. Nie wielu jeno wiedziało o prawdziwej przyczynie. Większość przypuszczała, że „czekają, aż się karaim pokaże“. Tymczasem zagwoździły się armaty. Kule nie owinięte twardo ręcznikiem i nie wsadzone mocno, a częściowo z powodu wybruszeń armatnich nie wyleciały z lufy, lecz ugrzęsły w połowie.

Przewiercenie ich poszło ochoczo i gładko, choć przy tym wszyscy pracujący wraz z warsztatami „w powietrze mogli wylecieć“.

Na drugi dzień znowu kilka strzałów oddać było można i t. d.

8 list. zajęła druga bateria na stanowisko, początkowo na ul. Bema, później na plac Jura. Rządzili nią nadzwyczajnie bracia Filipowicze (trzech ich było oficerami).

Właśnie w nocy z 6 na 7-go list. bezpośrednio po odpartym ataku ukraińskim w tamtych stronach urządzono wyprawę do Sokolnik po tamtejsze armaty, 4 nowe haubice. Nie łatwą to było rzeczą, jeśli się zważy, że przestrzeń kilkukilometrowa, pozostająca we władaniu ukraińskim i gęsto przez nich patrolowana. Prawe skrzydło Bujalskiego i lewe Boruty poszły znacznie naprzód, pomiędzy nimi wysłano Wilków lwowskich na węszenie i walkę, a resztę koni i artylerzystów prowadził mjr. Śniadowski.

Nad ranem znalazły się haubice nasze w obrębie linii polskiej i odrazu wzięły się do nich czarne ręce polskiego robotnika i oficera. Z amunicją do nich było jeszcze gorzej. Nie starczyły tu „szmaty“, ponieważ kaliber grubo większy (10 cm.). Tu trzeba było obtaczać kule większych dymensji i dostosowywać do nich, aż otrzymano naboje zupełnie odpowiadające.

Celność ich była zadziwiająca, a skutek widoczny i nadzwyczajny.

O wyprawie na Skników w następnym rozdziale.

Z dalszych prac organizacyjnych oddziałów bojowych podnieść jeszcze winienem formowanie osobnego oddziału szturmowego. Rozpoczęto pracę w tych dniach. Oddziałek rósł powoli, ćwiczył się wytrwale i dał początek osobnemu batalionowi szturmowemu, który mimo różnorodnych nań zakusów przetrwał przez cały ciąg bojów lwowskich. Polecenie formowania go otrzymał były podpor. 5 p. leg. Piguleczka. Z powodu zupełnej jednak nieodpowiedniości wkrótce zastąpił go por. Meller. Pod pierwszym dowódcą powstawał oddział nie taki, jakiby chciało się widzieć w W. P., pod drugim zaczął się zmieniać gwałtownie na lepsze, pod trzecim doszedł na wcale dobre wyżyny moralne, a wysokie bojowe i takim pozostał do końca.

Mimo to pierwsza wyrobiona „sława” jego, uzyskana w pierwszym tygodniu istnienia, towarzyszyła mu wytrwale.

Organizacja sił bojowych w poszczególnych odcinkach postępowała również szybko naprzód. Nie chodzi mi tu tylko o wzrost ich ilościowy, ale o przetwarzanie na wojsko „masy”, złożonej w przeważnej mierze z ochotników, którzy nie służyli wojskowo. Nie było to rzeczą łatwą. Osobiście uważam za najwyższą zaletę poszczególnych dowódców, za główny motyw do najwyższej, a dobrze zasłużonej sławy, że potrafili w znikomym krótkim czasie dokonać tego, czego nie znaly jeszcze dzieje świata całego. Bo prowadzono wojny nieraz, ale wojsko do nich organizowano przedtem i ćwiczone go przez pewien — choćby krótki — czas. Tu zaś najpierw była wojna i dopiero w czasie jej trwania, w czasie ciągłych ataków, niedopuszczających sekundy wytchnienia, powstawały oddziały karne i zgrane. Znachodzono czas na ćwiczenia bojowe, podlewane suto teorią, znachodzono czas na ćwiczenia formalne. Naprawdę rosło serce na widok tych oddziałów, dokonywujących sprawnie zwrotów i chwytów różnych po kilku dniach i przetwarzających się „w oczach” na wojsko bez minuty koszarowego ćwiczenia, lecz w ciągłym, szalonym boju.

Zaiste zapal krzesal tu cuda.

Powiedziano już kiedyś, że w wojsku lwowskim ćwiczenie piechura trwało 5 minut, a ćwiczenie broni specjalnych (obsługi K. M. minier, artylerji i t. d.) godzinę. Wiele tu prawdy, szczególnie jeśli chodzi o pierwszą połowę walk. Wtedy naprawdę nie można było więcej czasu poświęcać na zdobycie podstawowych i koniecznych — zdawało się — wiadomości. Wtedy zaprawdę było mnóstwo wypadków, że „żołnierza“ w linii i w czasie boju uczono dopiero ładować karabin. Bo zgłaszał się wprost do linii i w momencie, kiedy bardzo był potrzebny.

Jeżeli wszyscy fachowcy ugną czoła wspólnie ze mną przed tym niedoścignionym i nie spotykanym w dziejach wysiłkiem zbiorowym, zawrotnym cudownością swoją, to jakżesz zdziwić się muszą na wiadomość, że czyniono oddziały te zdolnymi do marszów i wymarszów każdej chwili. Pod koniec tego pierwszego okresu walk — trwającego siedm dni zaledwie — można było z armią całą wyruszyć ze Lwowa, wioząc ze sobą wcale pokaźną liczbę prowiantu i amunicji, mając możność transportowania rannych i chorych.

Zapewne miały one jeszcze swe braki, ale jakaż rzecz ludzka ich nie ma. Braki te widziano i zdawano sobie z nich sprawę; ciągle pracowano ogólnie i wytrwale nad ich usunięciem. Ciągłe zwracano uwagę na wydoskonalenie oddziałów i ich pomnożenie.

Powyższy efekt można było osiągnąć tylko przez bezgraniczne poświęcenie się i oddanie w pracy wszystkich jednostek, którym powierzono pracę ową. Ich to tylko wyłączna zasługa. Organizacja postępować musiała tylko z góry, gdyż odcinki zajęte ciągle akcją bojową i wyszkoleniem nie miały czasu zwracać na to należytej uwagi. Tworzono im więc oddziały gotowe i oddawano do dyspozycji.

Uwzględnić należy ponadto, że w organizmie takim, skomplikowanym, a niewyszkolonym, musiano ćwiczyć dopiero odpowiednie organy i wdrażać ich do skoordynowanej, a unormowanej pracy. Do tego zaś czasu musiały osobne instytucje załatwiać sprawnie ich funkcje.

Tak, by dać jeden choćby przykład wskażę, że w wojsku wyćwiczonym uzupełnianie amunicji dzieje się automatycznie niejako: oddział niższy posyła w odpowiednim czasie do wyższego i t. d. a najwyższy musi się tylko troszczyć o urządzenie w odpowiednim miejscu magazynów i stałe ich uzupełnianie. U nas z powodu braku wyćwiczonych organów działo się wprost odwrotnie. U nas najwyższy referent (Kap. Bac) musiał się sam troszczyć o to, by amunicja i broń dotarła do ostatnich placówek, a przytym szkolić i uczyć odpowiednie organy, by jak najprędzej przemienić te anormalne stosunki. Jaką musiał mieć przy tym pracę, zrozumie każdy. Z podziwem patrzeć trzeba na jego robotę.

To samo działo się we wszystkich innych gałęziach, organizacji wojskowej i pracy bojowej, służbie technicznej, prowianturze, administracji, sanitarnej itd. itd. Brak ludzi wykształconych odpowiednio w jakimś wojsku dawał się dotkliwie odczuwać. Tu musiał każdy z referentów najpierw szkolić personel, czy oddziały całe, a później dopiero przydzielać ich do poszczególnych odcinków. Do tego zaś czasu sam niejako musiał spełniać ich funkcje, spełniać skrupulatnie i na czas odpowiedni. Życie wszelakie bieżą wartko, ale życie bojowe spieszy nierzadko tak, że doścignąć nie można. Niedostosowanie się do niego, lub nieprzewidzenie wszystkiego wcześniej naprzód, mści się srodo.

Wolno mi podnosić te wszystkie trudności, bo nie roszczę sobie osobiście jakichkolwiek pretensji do zasług z powodu ich usunięcia. Cała zasługa spada wedle mego zdania na bezpośrednich wykonawców i pracowników. Rzucenie myśli, czy rozkaz stworzenia czegoś z niczego wydać łatwo, lecz stworzenie wyłączną zasługą pracowników i wykonawców. Tymbardziej w warunkach takich, jak ówczesne lwowskie.

Dalszym oddziałem wojskowym, którego początek należy odnieść w ten okres walk, to batalion wojsk kolejowych. W randze kapitana zgłosił się do służby wojskowej znakomity w tej mierze fachowiec, profesor Te-

chniki lwowskiej D-r Bartel. Otrzymał komendę techniczną dworca, wytrwał na niej aż do końca bojów lwowskich, a dokonywał czynów, zadziwiających i nieprawdopodobnych. Uporządkowanie i ewidencja materiałów, zapasów, taboru wozowego i maszynowego, opanowanie kradzieży i rabunków, stłumienie szalejącego przez kilka dni pożaru na dworcu w kilku miejscach, regularny ruch warsztatowy, oto owoc jego pracy nieustrudzonej.

Na ogromne natrafił przytym trudności. By dać je poznać czytelnikom, przytoczę w dodatkach jeden z jego raportów. (Patrz dodatek Nr. 19). Kilkakrotnie wydawało mu się, że nie pokona piętrzących się trudności. Dwukrotnie rezygnował z zajmowanego stanowiska. Rezygnacji naturalnie nie przyjęto.

Chociaż narodowi kolejarze lwowscy spełniali nadzwyczaj sprawnie i ochoczo wszystkie życzenia komendy naczelnej, choć nie mieliśmy nigdy trudności w znalezieniu ochotników do jazdy, czy pracy pewnej nawet, gdy groziła wykonawcom śmierć nieuchronną, — znakomite w tej mierze oddawał usługi łącznik kolejarzy kom. nacz. Kozubski—mimo to postanowiliśmy mieć wojskowo zorganizowanych kolejarzy, koniecznych na przyszłe lwowskie i poza lwowskie akcje bojowe, a zorganizowanych tak, by baon był zdolen do objęcia samodzielnie w posiadanie i ruch linii kolejowych pewnego terytorjum, by mógł sam wykonywać naprawy toru, mostów, urządzeń kolejowych i taboru i zdolen był prowadzić ruch, choćby w strefie ogniowej. Do tej pracy zabrał się gorączkowo kap. Bartel i wykonał ją tak dzielnie, że może mu przynieść pełną jeno chlubę.

W walkach ulicznych i miejskich były nader ważną, nieocenioną bronią granaty ręczne. Mieliśmy ich — niestety—za mało. Kilkanaście sztuk posiadanych powiększyliśmy znacznie przez zdobycz w walkach z grupą Wasyla. Lecz cóż to wszystko znaczyło? Wobec zapotrzebowania było to kroplą w morzu. Musiano więc wynaleźć jakiś środek ratunku.

Polecono tedy referatowi technicznemu, a specjalnie ppor. Olechowskiemu robić własne. Sumienny jak zawsze „chłopiec“ założył całą fabrykę, obliczoną na 150—200 sztuk dziennie. Więcej niż dotychczas widziało ich całe nasze wojsko.

Na Sadownickiej toczono więc rączki, w warsztatach kolejowych i samochodowych wydrążano różne żelazne przedmioty na granat właściwy, profesorowie techniki z uczniami robili pioruniochron rtęci, a zamiast zapalów (kapsli) bo tych było niewiele, ładowali w odpowiednio przycinane szklanne epruwetki. Składała to wszystko razem i nabijała „Sekcja P.“ No i całość funkcjonowała znakomicie. Czas eksplozji od pociągnięcia dokładnie siedm sekund.

Fabrykację uproszczono wkrótce znacznie, gdy zaczęto robić je z puszek konserwowych (a tych mieliśmy mnóstwo). Obcięte dwie puszkę zakładano na siebie, wiązano, w środek moc odłamków żelaznych, ekrazyt, zapal, a do tego rączka z lontem i granat gotów. Jak zaś przewybornie strzelał i z jakim skutkiem, opisywać nie potrzebuję.

Ta sama sekcja techniczna wzięła się jeszcze na inną nowość. W magazynie amunicyjnym było moc amunicji ćwiczebnej (około 10 milionów). Zaczęto więc robić kule ze wspaniałymi mosiężnymi płaszczami, umieszczać w łusce zamiast przykrywki papierowej i przetwarzać w ten sposób nabój ślepy na ostry.

Fabrykacja ta osiągnęła wkrótce wcale wysoką cyfrę dziennie przerabianych naboji.

Obliczając w październiku siły polskie, jakie mogą wystąpić do walki, przypuszczaliśmy, że mimo znacznego przebrania materiału ludzkiego przez Austrię w całej Galicji zgłosi się w samych początkach walki jakie 2—3000 ochotników bojowych. Nie wiem, czy tamte przypuszczenia nasze były oparte na fałszywych podstawach, czy też tak wielu wstrzymało się od spełnienia obowiązku narodowego, dość że napływ był znacznie mniejszy. Do cyfry powyższej, nawet tej dolnej brakowało nam dużo... bardzo dużo.



Godziło się więc przypomnieć im o tym obowiązku, lub zmusić organizacją państwową do wykonania go. Poinstalowano więc już 3 list. zarządzić ogólną mobilizację i wydano dwa bezpośrednio po sobie następujące ogłoszenia. Uzupełniają się one wzajemnie i przez nieporozumienie jeno nie znalazły się w jednym.

Pierwszy z datą 4 listopada brzmi:

**KOMENDA GŁÓWNA WOJSK POLSKICH.**

*Lwów, 4 listopada 1918.*

**ROZKAZ MOBILIZACYJNY!**

Wszyscy zdolni do noszenia broni mężczyźni Polacy w wieku od lat 17 — 35 zostają niniejszym powołani do służby w szeregach polskich.

Meldować się w domu Techników (ul. Issakowicza), szkole Sienkiewicza (ul. Polna) lub szkole Konarskiego (ul. Leona Sapiehy).

**Komenda Główna Wojsk Polskich.**

Drugi z 5 listopada:

**ROZKAZ!**

Naczelna Komenda Wojsk Polskich wzywa wszystkich byłych wojskowych tak oficerów jak i żołnierzy w wieku od 17 — 45 lat do natychmiastowego stawienia się w szeregi wojska polskiego, walczącego w chwili obecnej o polskość Lwowa.

*Lwów, dnia 5 listopada 1918.*

**Naczelna Komenda Wojsk Polskich.**

Uzasadnianie ich treści niepotrzebne. Ludzi niewyćwiczonych wojskowo i nie stających do walki dobrowolnie, a będących w wieku między 35 a 45 lat, trudno było użyć w takich skomplikowanych warunkach.

Uzasadnienie ich prawne trudne. Podstawy formalnej, prawnie udzielonej przez jakieś władze państwowe nie miała kom. nac. Zapewne, ale wydano rozkazy powyższe,

wychodząc z założenia, że nie istnieje jeszcze państwowa władza polska, że gdyby nawet istniała, nie mogłaby zarządzić tego z powodu zupełnego odcięcia, a z drugiej strony stojąc na stanowisku, że toczy się bój o sprawy państwowe polskie i że kom. nacz. jako jedyna zorganizowana tu widoma władza, działająca w imieniu tych, w przyszłości powstać mających, władz państwowych, może wydać to zarządzenie, przyjmując za tę „samowolę“ pełną odpowiedzialność.

Kiedy w kilka dni później chciano na komitecie bezpieczeństwa i ochrony dobra publ. zatwierdzić te zarządzenia, sprzeciwiono się temu stanowczo z różnych względów prawnopaiństwowych, których nie będę tu przytaczać. Wyraziłem się wówczas — cytuję dosłownie — „wydałem to zarządzenie jako uzurpator wojskowy i wykonam je bezwzględnie, a zdam sprawę z tego jedynie państwowemu polskiemu rządowi warszawskiemu. Nie cofnę się przed żadną odpowiedzialnością“.

Jakiego skutku oczekiwałem po tych zarządzeniach, napomknę w kilku słowach. Pierwszy wyłącznie moralny — że się tak wyrażę — to uświadomienie wielu ociągających się, że „polska władza mobilizuje“, że więc inaczej musi być brane uchylanie się obecnie od obowiązku stawieinnictwa. Ten motyw miał działać przede wszystkim na terenie, na który nie rozciągała się władza komendy naczel. i ten uważałem za ważniejszy, a materiał ludzki, z tej pobudki przybywający, jako dobry do dalszej walki.

Drugi skutek rzeczywisty, dający prawo przeprowadzenia na polskim terenie ścisłego i surowego poboru i zmuszenia choćby najoporniejszych tak, jak to musi czynić każde państwo, wojnę prowadzące. Choć uważałem ten materiał za marny, dający się z trudnością utrzymać w ryzach i korbach, szczególnie w stosunkach lwowskich, gdzie każdy miał dom pod nosem, nakazałem bezwzględne przeprowadzenie poboru, a sądowego ścigania ewentualnych dezercji. Przypuszczałem, że pod tymi przymusowymi represjami stanie się wielu z nich równie do-

brymi żołnierzami, jak byli „z musu“ w armiach państw zaborczych.

Przeprowadzenie, a raczej przygotowanie i zorganizowanie poboru na terenie polskim musiał przeprowadzić referat polityczny \*), pozostający pod kierownictwem inż. Widomskiego. Złożono więc komisje poborowe, zamianowano komisarzy poborowych, podzielono miasto na drobne rejony z komisarzem na czele, urządzono spis ludności męskiej w wieku poborowym i każdemu z nich wyznaczono termin stawieństwa. Jeżeli się nań nie zjawił, ściągano przymusowo.

Pracy tej dokonano w przeciągu dni kilku, pracy, którą z Herkulesowymi śmiało można porównać. Ogromne oddał tu usługi Komitet obywatelski.

Kierownictwo komisji poborowej objął pułk. Jasieński, który „zgłosił się do służby“ w lakierach i bez zarzutki. Tak go bowiem zastała wojna. Przydzielony tam spełnił te ciężkie prace sprawnie, energicznie i znakomicie.

Dokładny efekt poboru przedstawi dokładniej kto inny. Podniosę jeno, że mimo bardzo surowych badań była niewielka ilość zdrowych z klasyfikacją bojową (A). Tak był przebrany materiał ludzki przez Austrię. Przeważająca większość poborowych otrzymywała klasyfikacje dalsze B (zdolny do wartowniczej), C (do pomocniczej służby), D (zupełnie niezdolny, inwalida). Tych więc wszystkich nie można było śłać na front pod przymusem. Choć wielu tam walczyło niezdolnych, lub zupełnych inwalidów, ale walczyło dobrowolnie. Użyto ich do służby kancelaryjnej, „etapowej“, magazynowej, by zwolnić przez nich zdolnych, a wreszcie do milicji wojskowej i żandarmerji.

---

\*) Ponieważ cały podział kom. nacz. opierał się na poszczególnych referatach, otrzymał i on ten wyraz w tytule swoim. Dla skrótu opuszczano inne i powstała ta „nieszczęśliwa“ nazwa, która zepsuła wiele krwi różnym ludziom. Właściwie—ze względu na treść funkcji swoich — powinienby się nazywać: „Komisarjat spraw ludności cywilnej“ lub krócej „Komisarz polityczny“, jaki był przy wszystkich armiach, austriackiej nie wyłączając.

Bojowo zdolnych przydzielano początkowo do 3 istniejących kadr (dom Techników, szkoła Sienkiewicza, szkoła Konarskiego) później, właśnie pod koniec tego okresu zcentralizowano je w jedną kadrę w szkole Konarskiego. Celem zarządzenia było, by ich tam móc ubrać i choćby do wieczora wspólnie ćwiczyć, a potem rozdzielać po odcinkach wedle rzeczywistej potrzeby. Komendantem tej kadry został nieco później kap. Barski, znany nam już pod pseudonimem Rożena, który zgłosił się powtórnie do służby około 10 listopada.

Przed nim był komendantem kap. Kamiński \*) pełniący równocześnie obowiązki komendanta gospodarczego szkoły Konarskiego i wszystkich znajdujących się tam magazynów amunicyjnych i broni, ekwipunkowych i mundurów i żywnościowych.

Po zaprowadzeniu przymusowego poboru stała się nagłą kwestja przysięgi. Roty P. K. W. nie chciałem tu używać, ułożył więc nową kap. Grodyński. Polecono zaprzysiąc wszystkich, służących już w wojsku, a świeżych bezpośrednio po poborze. Jej tekst następujący:

„Przysięgam uroczyście, że przyjęte na siebie obowiązki żołnierza spełnię zawsze i wszędzie z całą sumiennością bez względu na trudności i przeszkody, choćby z narażeniem zdrowia i życia własnego. Nie zaniedbam niczego, ażeby przyczynić się wszelkimi siłami do utrzymania ładu i porządku, być wzorem karności i posłuchu żołnierskiego. Wogóle przysięgam nie zaniedbać nigdy niczego, aby jak najwyżej wznieść świetny zawsze standard bojownika za Wolność, Niepodległość i Całość Polski. Hasłem mym będzie: Bóg i Ojczyzna. Tak mi dopomóż Bóg!“

---

\*) Zgłosił się do służby około 7, przyjęty z otwartymi rękoma. Ofiarowanego stanowiska w kom. nacz nie przyjął, podając jako powód „chcę spełniać obowiązki żołnierskie, nie chcę ponosić współodpowiedzialności za sposób i jakość obrony“. Do służby frontowej niezdolny, wybrał funkcje gospodarcze i spełniał je bardzo dobrze, sumiennie, skrupulatnie i nader pracowicie. Usługi jego w tym kierunku pracy są nader doniosłe.

W niektórych oddziałach odbywała się przysięga w sposób uroczysty, w innych bezpośrednio na placówkach i redutach. Wszędzie kazano sporządzić spisy zaprzysiężonych, które, niestety, dochowały się tylko częściowo. Powstały jednak pewne trudności i przy przysiędze. Znalazło się coprawda niewielu — w tym kilku oficerów, którzy nie chcieli jej składać. Załatwiono i tę sprawę pomyślnie zapomocą przekonywania pokojowo.

Błądziłby, ktoby chciał przypuszczać, że wśród zgłaszających się ochotników były wyłącznie jednostki wysoko moralnie i narodowo stojące, lub że wszyscy mężczyźni mieszkańcy Lwowa chcieli zań ginąć, czy walczyć. Tak idealnej społeczności nie znaleźć jeszcze na świecie.

W przyjmowaniu ochotników nie było ani czasu ani możliwości na badanie osób, lub sprawdzanie ich alibi. Otrzymywał broń każdy, kto się zgłaszał i oświadczał chęć walki. Nierzadko wymykał się potem, lub po prostu „wrywał” — jak się to nazywa w miejscowym języku. Często zgłaszał się ten sam do innego odcinka, gdzie znowu mógł wszystko otrzymać i... uczynić to samo powtórnie.

Stwierdzono np. wypadki, w których „specjaliści” tacy potrafili w dodatku jeść po kilka obiadów dziennie. Możliwy byłoby wybaczyć jeszcze, jeśli postępowanie takie miało za cel pożywienie się, czy też zaopatrzenie się w ubranie na zapas, lub na sprzedaż. Stawało się zaś bardzo niebezpieczne, jeśli miało za cel zaopatrzenie, siebie lub innych w broń i amunicję. O nic wprawdzie nie było tak łatwo naówczas we Lwowie w miarę postępu walk, jak o broń. Można jej było dostać, czy kupić po przeciwnej, ruskiej stronie, można ją było zyskać powyższym procederem u nas i u Ukraińców. Ponieważ „kurs” karabinów i amunicji był bardzo wysoki, (płacono wśród pewnych sfer za jeden nabój karabinowy do 10 k.) łatwo zrozumieć, jak groźne mogło się to stać dla Lwowa.

Ponadto dodać trzeba, że elementu burzliwego było we Lwowie mnóstwo. Wszak w ostatnich czasach

austrjackich obliczano urzędownie ilość ukrywających się nieprawnie zbiegów z wojska austriackiego, z obozów jeńców różnych narodowości itp. na 20000. Stworzono celem wyłapywania ich osobną policję (Garnizonspolizei), ale bez większego skutku. Lwowskie kroniki policyjne z ostatnich czasów włodarstwa austriackiego notowały mnóstwo kradzieży, nawet rabunków z morderstwem. Słów tracić nie trzeba na przedstawienie grożącego niebezpieczeństwa, gdyby ten element zaopatrzył się w broń.

Element poborowy również nie był pewny w całości. Wprawdzie wystarczyło powiedzieć, że się jest Rusinem (Żydów przymusowo wogóle nie pociągano), aby mieć spokój z poborem. Ale mogło wielu użyć tej sposobności do zdobycia broni. Podam np. fakt, że jedna z pierwszych partji poborowych zaprzysiężona, ubrana i uzbrojona, wysłana ze szkoły Konarskiego na odcinek w liczbie powyżej 20— z jednym podoficerem na czele — tak sprytnie wykorzystwała noc, że doszło na miejsce pięciu tylko. Naturalnie późniejszych konwojowano silniej i ostrożniej.

Dodam do tego w tysiące idące masy zdemobilizowanych żołnierzy austriackich obcych narodowości, włóczące się po mieście, a przez nikogo nie żywione i gotowe w rozpaczy zdobywać dworce, by siamtąd wyjechać do domów.

Nie wspomnę już o pewnej ilości Rusinów, a dużej ilości Żydów, zamieszkałych w obrębie miasta polskiego.

To wszystko zmuszało komendę naczelną do poważnego liczenia się z wiszącą grozą i przedsięwzięcia najrozmaitszych środków zaradczych. Stworzenie wspomnianej milicji obywatelskiej nie rozwiązywało zupełnie tej sprawy; nie myślę tu uszczuplać ogromnego jej znaczenia. Uczynienie jej zależną bezpośrednio od komendy nacz. i poddanie rozkazom oficerów nie było wystarczające i nie dało się długo utrzymać—o czym później. Tu trzeba było mieć oddziały wojskowe, któreby w razie potrzeby poszły „na bagnety“, którychby użyć można każdej chwili i o każdej porze. Stąd powstała myśl stworzenia oddziałów milicji wojskowej. Złożona z niezdolnych do służby

frontowej, a wybieranych jak najsumienniej—o ile to tylko można było uczynić — trzymana w rygorze wojskowym miała spełniać rolę baonów wartowniczych i pewnej moralnie policji.

Z żandarmerją polową, tworzoną od pierwszego dnia walki, nie szło nam również dobrze. Brak było bowiem wykształconych - zawodowych żandarmów i oficerów. Zgłosił się jeden z odznakami porucznika, który twierdził, że był w żandarmerji austriackiej. Otrzymał polecenie zorganizowania jej. Nie dał rady, a jak się pokazało później, nie był nigdy ani żandarmem ani oficerem. W kilka dni później dano tam na komendanta pułk. Pirge, który stanął do apelu i miał pewne pojęcie o żandarmerji, lecz za słabą rękę. Pertraktacje, toczone przez por. D-ra Browińskiego z neutralną, austriacką żandarmerją krajową\*) nie dawały rezultatu na razie. Chciałem mieć stamtąd choćby jednego oficera—myślałem przede wszystkim o majorze Hoszowskim, bardzo dzielnym i energicznym oficerze i dobrym Polaku. Po długich kilkudniowych dopiero pertraktacjach znaleziono formułę następującą: Jeśli zgłosi się przedstawiciel rządu polskiego, będzie mógł odebrać legalnie cały majątek i przyjąć tych do żandarmerji polskiej, którzy wstąpić zechcą.

Uprosililiśmy więc prezesa komitetu Cieńskiego Tadeusza, by spełnił tę rolę „imieniem rządu polskiego“. Przyjął tę funkcję osiwiwały w służbie narodowej, a w tych najcięższych czasach najwięcej zasłużony prezes i udawszy się na miejsce, załatwił wszystkie formalności, odebrał fundusze i bogate magazyny, szczególnie mundurowe i zaprzysiągł dwudziestu kilku żandarmów według roty wojskowej. Wcieliliśmy ich wszystkich natychmiast do istniejącej żandarmerji. Polecono mjr. Hoszowskiemu, który stał się tam faktycznym komendantem (nominalnym zo-

---

\*) Żandarmerja ta w czasie 1 listopada, kiedy Ukraińcy chcieli ją przemocą zająć, oświadczyła neutralność swoją i gotowość obrony przed obu stronami. Kiedy więc my zajęliśmy terytorjum okoliczne, ona pozostała dalej neutralną. Dodam, że w składzie jej Polacy stanowili nieznaczný procent,

stał dalej aż do 23/11 pułk. Pirgo), by zaprowadził porządek, a innych jak najszybciej wyszkolił.

Liczba żandarmerji i milicji wojskowej doszła w niedługim czasie do pół tysiąca. Nieproporcjonalnie—zdawałoby się—wysoka w stosunku do ilości walczących. Takby było, gdyby miała spełniać tylko wojskowo-polowe czynności. W stosunkach lwowskich—wyżej opisanych—była to cyfra za mała. Świadczą o tym końcowe wypadki listopadowych walk. Za mała tymbardziej, że obie te formacje miały do spełniania funkcje żandarmerji polowej i krajowej, policji lwowskiej, straży magazynów wojskowych i cywilnych, baonów wartowniczych i straży więziennej. Zdarzało się także, że oddziały jej szły w bój. Ponadto powierzona im była straż nad jeńcami i internowanymi. Cyfra pierwszych zbliżała się w tych czasach do tysiąca, cyfra drugich niebezpieczniejszych około 200. One także pilnowały aresztowanych, których również nie brakło.

Celem szybszego i sprawniejszego przesłuchiwania aresztowanych i internowanych wydzielono z audytorjatu osobnych sędziów, jako śledczych. Urzędowali oni przy żandarmerji, która mieściła się przez cały czas przy Chocimskiej 2.

Tam także ulokował się audytorjat, zorganizowany dobrze przez D-ra Januszewskiego, sędziego ze Szczerca.

Jeśli wspominać o samych „kryminalnych” sprawach, muszę też podnieść nadzwyczajne zorganizowanie i sprawne funkcjonowanie naszego oddziału wywiadowczego defenzywnego. Prowadził go umiejętnie i doskonale Dr. Kwiatkowski, a miał niestety we Lwowie dużo roboty. (Wywiadowczym oddziałem ofenzywnym kierował znakomicie kap. Stasiniewicz pseud. Kmita)

Dotkliwie odczuwała komenda nacz. trudności intendantury. Może czuli to niektórzy jej członkowie i przykro, gdyż pod koniec dopiero tego okresu dostali po raz pierwszy ciepłą strawę. Nie pomnę już daty tego radosnego dnia. W aktach nie zapisano jej nigdzie, zdaje się, że było to 6 czy 7 listop. Radosny to był rzeczywiście dzień, ponieważ świadczył namacalnie o pokonaniu wszyst-



kich trudności przez intendanturę. Gdyż wedle otrzymanych dyrektyw miała intendantura zająć się następującymi sprawami po kolei: Najpierw zorganizować wyżywienie oddziałów frontowych, potym etapowych, dalej pomyśleć o magazynach i ludności cywilnej, a na koniec przyszedł czas na nas. Niech nikt nie przypuszcza, że żyła przez ten czas komenda nacz. „słowem Bożym“. Nie, kielbasy i chleba było zawsze nieco, znalazła się od czasu do czasu herbata, czy czarna kawa. Oficerowie, którzy mieli rodziny w „polskim Lwowie“, wymknęli czasem na obiad, lub przynoszono im go. Większość jednak musiała się zadowolić tylko prowiantem dostarczonym. Lecz nie sarkąła. Nie było zresztą na to czasu.

Zaprowiantowanie oddziałów frontowych poszło stosunkowo najłatwiej. Funkcjonowało już od pierwszego dnia walki i w krótkim przeciągu czasu, w każdym razie w przeciągu tego okresu zaczęło działać bez zarzutu. Z etapowymi nie było trudności zbytniej, gdyż przypdzielano ich do poszczególnych odcinków. Najwięcej „uszcześliwiono“ nimi szkołę Konarskiego. Nie brakło ich także w szkole Sienkiewicza. Postawiliśmy zasadę, że otrzymać musi wikt każdy, który walczy w wojsku, lub pracuje dla wojska w jakikolwiek sposób, o ile na wikt ten reflektuje. Jeśli się zważy trudności, jakie miały rodziny cywilne z zaprowiantowaniem naonczas, zrozumie się, że korzystali zeń wszyscy oficerowie, żołnierze i robotnicy. Tak więc spieszyli do kuchni z menażkami ci, którzy pracowali w warsztatach nad armatami, minierkami, czy nabojami i granatami ręcznymi i ci, którzy naprawiali auta, wozy, uprząż, czy robili auto i pociąg pancerny i ci, którzy pracowali w magazynach, nosząc lub zapisując worki i nie worki i ci, którzy bili bydło, lub piekli chleb lub melli zboże, i ci wreszcie, którzy redagowali gazetę, lub składali czcionki. Wszyscy bez różnicy stopnia posiadanego, bez różnicy wykształcenia i bez różnicy warstw społecznych jednakie mieli żołądki i jednako byli karmieni. O oddziałach wojskowych nie wspominam. Rozumie się samo przez się, że tam każdy jeść musiał dostać. O jeń-

cach i dwu szpitalach, przepelnionych chorymi i rannymi bohaterami i bohaterkami naszymi, żołnierzem ukraińskim i z dawnych austriackich czasów pozostałymi — nie mogliśmy rzecz naturalna — zapomnieć.

Już z tego wyliczenia wnioskować można, że trzeba było nakarmić stale wielu — więcej niż uczynił to Chrystus na górze. Ale Chrystus miał ryby i chleb i był Bogiem.

Cyfra ta zwiększyła się, gdyż postępowaliśmy może za liberalnie — i kazaliśmy żywić na danych odcinkach rodziny tych żołnierzy, którzy je utrzymywali, a których rodziny obecnie musiałyby cierpieć nędzę i głód z powodu ich służby wojskowej. I takich była spora garstka.

Nie chcę określać cyfrowo tych wszystkich kategorii razem. Boję się przesadzić, ale ogólnie określić mogę, że obracała się koło cyfry dziesięciu tysięcy w tym okresie.

By więc wyżywić te masy przez dłuższy czas, by zapewnić regularny i sprawiedliwy rozdział, by mieć zapasy na wojnę długotrwałą, z jaką ciągle się liczone, musieliśmy wydać zarządzenie, że wszystkie magazyny i większe prywatne zapasy żywnościowe przechodzą na własność i pod zarząd wojenny. A więc nie tylko wszystkie austriackie magazyny, które jako łup wojenny przeszły w nasze ręce, ale i zajęte magazyny miejskie i bezwzględnie wszystkie prywatne. Były więc wśród nich niedopalone resztki magazynu Banku rolniczego, był cały szereg wagonów na dworcu z żywnością — mąka, zboże, mięso i t. d. był młyn i fabryka konserw, były wreszcie „prywatne magazynki“ po kilka, kilkanaście, a w jednym nawet kilkadziesiąt (czterdzieści kilka) cetnarów mąki. Te ostatnie, zebrane do „własnego tylko użytku“, zabierano bezwzględnie i wystawiano kwitki. Słusznie nazwali je autorzy pewnego pisma „nic nieznaczącymi“, (niby te kwitki) i „bezwartościowymi świstkami“, bo pewnie nie spieniężono je tak, jakby to zrobiono „z namiastką tych kwitków“. Przedstawili autorzy w cytowanym piśmie kilkadziesiąt wypadków z tych czasów, dając wszędzie na końcu słowa cytowane powyżej w cudzysłowach i nazwali to „pierwszym okresem pogromu, trwającym od 1 do 22 listopada“.

Objęła więc intendatura komendy nacz. w swą pieczę i władzę wszystko, co mogło być jadalne. Wątpię, czy wiele prywatnych składzików zdołało ujść argusowego jej wzroku, a raczej wzroku wszystkich obywateli i obywaterek polskich, szczególnie milicji obywatelskiej. Skoro bowiem dowiedziano się tylko, że komenda nacz. rekwiruje środki żywności, a dowiedziano się bardzo prędko, znoszono nam bardzo pilnie i skrętnie wiadomości, że „tam a tam na strychu, lub w piwnicy i t. d. ukryte to a to“. Zabierano więc bez względu na wyznanie i narodowość posiadaczy wszystko, co przekraczało miarę rzeczywistej, własnej potrzeby.

Po załatwieniu się z pracą, konieczną przy obejmowaniu tyłu różnorodnych magazynów o milionowych wartościach, musiano pomyśleć o sprawie dalszej, o prowiantowaniu całej ludności cywilnej w najniezbędniejsze przynajmniej artykuły. Ludność części miasta, zajętej przez wojska polskie, dochodziła do 70000 (cyfra szacunkowa jedynie — nigdzie i nigdy nie obliczona). Nie można jej było wydać w całości na pastwę głodu—choćby z obawy przed możliwymi rozruchami głodowymi, jeśli pominę względy stokroć ważniejsze humanitarne, narodowe i inne, związane ściśle z samą obroną Lwowa. Jeśli bowiem rozruchy takie w „ukraińskiej“ części Lwowa byłyby dla nas jedynie korzystne, to mogłyby się przyczynić do zwinienia—zlikwidowania całej obrony, gdyby u nas wybuchły.

Nie poszło zaś łatwo i gładko to zaopatrywanie. Trzeba uwzględnić, że cały miejski aparat rozdzielczy został po przeciwnej stronie. Tam były także sklepy miejskie, tam była jedyna zresztą rzeźnia miejska. Trzeba więc było stworzyć dopiero cały aparat, trzeba było wyszukać i uruchomić piekarnie, stworzyć improwizowaną rzeźnię w ogrodzie zakładu św. Teresy i t. d. Pracy tej dokonała intendatura nieprawdopodobnie szybko, za co należy jej się dank słuszny. Już 6 list. sprzedawano chleb dla wszystkich „cywilów“, a równocześnie wydawano inne prowianty jak kaszę, kartofle, kapustę i t. d. Od dnia następnego zaś rozpoczęto systematyczną sprzedaż mięsa.

Naturalne zupełnie, że musiano udać się o pomoc przy pokonaniu tej szalonej pracy do różnych organizacji obywatelskich i ludzi dobrej woli. Stało ich wielu do tej pracy ochotnie i poświęciło jej bezinteresownie dnie i nocę całe. Szczególnie czynnym i pomocnym był Komitet obywatelski, wyłoniony z Organizacji narodowej 6 okręgu.

Wydawano wszystkie powyższe prowianty za zapłatą wedle cennika maksymalnego. Jedynie rodziny żołnierzy były uprzywilejowane. Otrzymywały niektóre z prowiantów po niższej opłacie, inne w większej ilości.

Po utworzeniu Komitetu bezpiecz. i ochrony dobra publ. przelano nań sprawy rozdzielania żywności cywilnym. Intendantura dostarczała mu jedynie prowiantów i rozliczała się z nim osobno.

Mimo przyszłych zarzutów krytyków literackich dziełka tego—nie mogę się powstrzymać od wsadzenia w to miejsce jednego, charakterystycznego epizodu. Przechodząc przez ul. Grunwaldzką, ujrzałem dwie biedne staruszki, w chustki ubrane, stojące naprzeciw „głównego budynku“ komendy nacz. i żywo rękami w stronę jej okien gestykulujące. Zaciekawiony tym ruchem podszedłem bliżej i podśluchałem, jak gorąco „błogosławiły“ komendę i wojsko polskie za wydanie chleba dla ludności i to „chleba białego“. Nie będę przytaczał tych epitetów, jakie dawały wtedy Austrii i innym okupantom, podniosę, że najwięcej im trafił do przekonania ten „biały chleb, pierwszy, jakie polskie władze wydały“. Karmione przez cztery lata wojenne różnym „chlebem“, cieszyły się z tego polskiego, białego bez żadnych przymieszek, „niczym przedwojenny“. Ot, nie wiedziały, że nie mieliśmy wtedy innej mąki i z „pytlowanej“ musieliśmy kazać piec kilka „pierwszych chlebów“.

Ale już wtedy starano się o to, by mąkę białą zachować dla celów „kuchennych“, a zdobyć osobną mąkę chlebową. Zarekwirowano więc dla wojska młyn i puszczono go w ruch przez wojsko i pod ścisłym nadzorem wojsko-

wym. Mełto żyto, zdobyte w różnych magazynach, robiono krupy, pęczak itd.

Zapasy mogły się rychło wyczerwać. Musiano więc myśleć o stałym ich powiększaniu. Tu wpadła intendatura na pomysł znakomity. Nie wiem, czyja to myśl była, ale zatwierdziłem ją w całości odrazu. Postanowiono wprowadzić handel zamienny i artykuły spożywcze wszelkiego rodzaju wymieniać za... naftę i sól, artykuły, co do których panował głód powszechny w całej Galicji, a których zdobyliśmy w austriackich magazynach mnóstwo. Ułożono więc długą „tabelę wymienną“, zatwierdzoną w całej rozciągłości i rozpowszechniono ją odpowiednio po wsiach. Stąd poszła wieść stugębna dalej. Handel szedł nadzwyczajnie mimo frontu i placówek ukraińskich, a koncentrował się w Rzęśnie Polskiej, to znaczy wszystkie transporty przychodziły do Lwowa tamtędy. Nie mogę podać efektu jego w cyfrach, ale z codziennych raportów wiem, że był bardzo duży. Były dni, w których ilość przywiezionych cetnarów liczono na setki. Jak szybko rozleciała się ta wieść po Galicji, najlepszy dowód, że w kilka dni po zaczęciu handlu przez nas przyjechał już „kupiec z Kamionki“, wioząc liczny towar. (Chcieliśmy wykorzystać ten proceder dla naszego biura wywiadowczego. Nie poszło to jednak. Zbyt wstrzeźliwi byli w udzielaniu wiadomości. My zaś zabezpieczyliśmy się odpowiednio, by o nas nie mogli więcej powiedzieć).

Pomnożyła nasze zapasy znacznie rekwizycja w Rzęśnie Polskiej, później w innych wsiach zajętych, dokonywana przez b. pośła Marszałkowicza Jana, który mianowany został „komisarzem cywilnym dla gmin zajętych“. Mimo podeszłego wieku pracował gorliwie, sumiennie i energicznie. On czuwał nad zarządami gminnymi, urządził później pobór, miał żandarmerję do swej dyspozycji itd. itd.

Mówiąc o sprawach, odnoszących się w równej mierze do wojska i ludności cywilnej, nie mogę pominąć jednej jeszcze—według mego przekonania bardzo ważnej. Chodziło o danie żołnierzowi polskiemu i ludności „pol-

skiego Lwowa“ codziennej strawy duchowej w formie pisma codziennego i o urabianiu przezeń opinii i wpływ na nią. Technicznie wykonanie jej nie przedstawiało zbyt-  
 nych trudności. Mielismy bowiem własną, zarekwirowaną dla wojska drukarnię i papier. Większe były trudności, jeśli chodziło o stronę formalną i materialną pisma. Wspominałem o pertraktacjach w tej sprawie, zaczętych przez D-ra Browińskiego, cytowałem powyżej moje zastrzeżenia i ich powody. Obecnie posunęła się ta sprawa znacznie naprzód i 5 list. wyszedł pierwszy numer „Pobudki“. Wyszedł, ale nie ukazał się na mieście, gdyż kazałem go skonfiskować. Nie dotrzymano bowiem jednego z najbardziej zasadniczych moich zastrzeżeń i pod tytułem umieszczono: „Organ wojska polskiego we Lwowie“, a dalej: „Wychodzi z ramienia naczelnej komendy“. Takiej odpowiedzialności za pismo przyjąć nie mogłem i nie wolno mi było. Do czegooby mogło to doprowadzić, zdawałem sobie jasno sprawę. Zadowolić wszystkie stronnictwa, lub choćby nie zrazić któregoś z nich—czasem jednym słowem tylko — wydało mi się w stosunkach lwowskich trudem nieosiągalnym. Przyczyniłoby się to do rozbitcia jedności społeczeństwa, skleconej z takim trudem, a „kleczącej“ się coraz lepiej — choć powoli.

Nazajutrz więc t. j. 6 list. wydano drugi numer jako organ Organizacji narodowej.

Chodziłoby jeszcze o przedstawienie strony finansowej przedsiębiorstwa. Słusznie bowiem mógłby ktoś zarzucić, że wojsko dawało papier i druk na jakieś przedsiębiorstwo prywatne. Otóż uważano, że codzienne pismo popierać będzie i propagować akcję wojskową tak wybitnie, że dla tego tylko celu można było mieć prawo narazić na pewne wydatki „fundusze państwowe“. Przypuszczano, że wydatki te nie będą wielkie, gdyż pismo „pójdzie dobrze“. Zresztą cały dochód z pisma wpływał do kasy wojskowej i miał służyć na opędzenie wszystkich kosztów wydawnictwa, nadwyżka zaś użyta na cele dobroczynne-wojskowe. Uważano nadto za konieczne i doz-

wolone dać lekturę jakąś żołnierzom, choćby to miało pociągnąć za sobą pewne wydatki.

Ostateczny obrachunek wypadł świetnie, choć znaczną ilość numerów otrzymywało codziennie wojsko za darmo. Dał na cele wdów i sierot po obrońcach przeszło trzydzieści tysięcy K.

Redaktorami pisma byli: Przybyła, Schröder, Szarota, Szczepański, Walicka. Redakcja mieściła się w pokoju tuż obok drukarni (L. Sapiehy 77)\*).

Pracowali zgodnie w szczupłym pokoiku członkowie różnych lwowskich redakcji, zwalczających się dotychczas namiętnie w swych pismach i pracowali dla jednej, wspólnej, a najświętszej sprawy.

Od właściwego swego ukazania się na mieście (6 listopada) była Pobudka jedynym polskim dziennikiem, gdyż w tym dniu właśnie zostały zniszczone i zdemolowane przez Ukraińców drukarnie wszystkich innych dzienników polskich. Ludzie niewtajemniczeni w dotychczasowe, dłuższe pertraktacje co do „Pobudki“, przypuszczali, że myśl jej powstała dopiero po dokonaniu „kulturalnego postępu“ przez Ukraińców. Tym więcej podziwiali „sprawność i przedsiębiorczość“ komendy nacz. uzasadniając ją twierdzeniem: „dziś zdemolowano tamte, a ci już wydają własną gazetę“.

\*) Choć komenda nacz. nie wzięła na siebie żadnej odpowiedzialności za treść pisma—poza nałożeniem warunków, że nie wolno jątrzyć ni drażnić—choć wiedział o tym cały komitet obyw. przecież codziennie prawie miano różne stamtąd utyskiwania. Dziś jednej partji nie podobało się to słowo, zdanie, lub treść, czy sens artykułu, jutro innej inne i t. d. Choć ciągle stwierdzałem stan faktyczny, mimo to następnego dnia miałem to samo. Dopiero po walkach listopadowych umieściła Pobudka artykuł, który osobiście uważałem za „niesmaczny“. Polecilem umieścić drukowane oświadczenie, że z pismem tym komenda nie miała od początku i nie ma nic wspólnego. Numer z tym oświadczeniem był już na maszynie, a na „komisji rządzącej“ toczyła się zaciekle dyskusja co do mej za ten artykuł odpowiedzialności.

Kiedy wysłannicy komisji szli do mnie z wyrzutami i formalną uchwałą, przeczytali po drodze nowy numer z moim oświadczeniem. Zreferowali mi więc tylko treść dyskusji.

Nie czuję się na siłach opisywać radości, jaka panowała wśród szeregow za pojawieniem się każdego, nowego numeru „Pobudki“. Była to bowiem jedyna ich lektura, a rozdzielana obficie docierała regularnie i codziennie do każdego szeregowca.

W mieście rozchwytywano w mig ten jedyny polski dziennik i czytano go po obu stronach frontu. Zorganizowano od początku regularny kolportaż „przez front“. Podjęli się go przeważnie „małe berbecie“ i traktowały go dumnie jako obowiązek narodowy. Wielu rzekało się wszelkich dochodów, stąd płynących, rezygnowało nawet z należnej im zapłaty, ofiarując ją na powiększenie funduszu dla wdów i sierot. Taka nieprawdopodobna i rzadko spotykana ofiarność panowała podówczas powszechnie we Lwowie i ogarnęła wszystkich co do wieku i wszystkie stany i warstwy społeczne — od maluczkich wiekiem i stanowiskiem społecznym do najwyższych warstw i najstarszego wieku.

Po „tamtej — ukraińskiej stronie“ nigdy nie było za dużo egzemplarzy, przeniesionych przez front. Każda ilość rozchodziła się szybko i ciągle znajdowały popyt nadsyłane nowe egzemplarze. Nic więc dziwnego, że tam „powstał na nie pasek“ i niektóre numery uzyskiwały przy dobrej konjunkturze cenę do 50 k. Cena oficjalna wynosiła tylko 20 halerzy.

W trzeciej części rozdziału niniejszego przedstawię prace i starania komendy nacz., które dotyczyły wyłącznie ludności cywilnej.

Zbyt powoli postępującą organizacją milicji obywatelskiej i wynikającą stąd konieczność poświęcania pewnych — jak na nasze stosunki bardzo znacznych — sił bojowych na służbę wewnętrzną w mieście, zmusiła kom. nacz. do zjęcia się pomnożeniem jej jak najspieszniejszym. Wydano więc 5 list. osobną odezwę do ludności cywilnej, wzywającą starszych ponad wiek poborowy i wszystkich innych, niezdolnych do innej służby, wojskowej, do stawienia się w szeregi milicji.



Postanowiono podporządkować milicję wojsku, zmilitaryzować ją niejako, ale jedynie do pewnej dozwolonej i koniecznej miary. Przydzielono więc pewną ilość oficerów, a na komendanta wyznaczono przedtym Grocholskiego.

Patryotyczny — jak zawsze — Lwów stanął ochotnie i licznie na wezwanie kom. nacz. na zebranie w lokalu milicji przy ul. Listopada l. 21, gdzie delegaci wojskowości (inż. Widomski, Dr. Browiński) przedstawili konieczność z jednej strony organizowania milicji, z drugiej osobnych komitetów, któreby zajęły się ludnością cywilną, rozdziałem wśród niej żywności i zdjęły z kom. nacz. te oba nadmiernie ją absorbujące ciężary.

Zebranie odbyło się zgodnie, do milicji zgłosiło się wielu nowych ochotników, a zakończono je wyborem osobnego komitetu organizacyjnego, który nazначył swe posiedzenie na dzień następny. Podzielił się on na nim na sekcje aprowizacyjną, skarbową, milicyjną i t. d. Niektóre z nich zaczęły pracować już w tym dniu. Im oddano obecnie wszystkie sprawy zaprowiantowania, co ogłoszono osobną odezwą (Patrz dod. № 20). Niepokonalne powstały trudności dla nich z powodu braku środków przewozowych. Zarządzono więc ich rekwizycję (Patrz dodatek № 21).

Na tym posiedzeniu zjawiała się także pewna ilość radnych miejskich, których przychwyciła zawierucha po polskiej stronie frontu, a którzy byli zdania, że komitet taki powinni oni stworzyć, że mogą łącniej spełnić to zadanie, ponieważ mogą dysponować pewnymi funduszami miejskimi i t. d.

Nazначyli więc osobne posiedzenie radnych miejskich. Dłuższa konferencja z Dr. Chlamtarzem, wiceprezydentem miasta, doprowadziła do zupełnej zgodności rozbieżne — zdawało się początkowo — poglądy i na posiedzeniu tym, na które zaproszono także reprezentanta wojsk. debatowano jedynie nad sposobem jak najszybszego i najskuteczniejszego zorganizowania całej akcji.

Początkowy ten stan organizacyjny — nazwijmy go także posiedzeniowym — trwał przez 6 i 7 listopada. Stworzono przytym gotowe aparaty ludzkie, które mógł w całości przejąć utworzony później Komitet bezpieczeństwa i ochrony dobra publicznego.

By przedstawić, jak doszło do jego utworzenia, muszę cofnąć się znacznie i związać opowiadanie niniejsze z osobą. Około 4 listopada przybył do Lwowa inż. Hausner, znany przywódca P. P. S. Ponieważ zależało bardzo kom. nacz. na jego stanowisku w odniesieniu do sprawy obrony, przeto urządzono z nim kilka dłuższych konferencji. W sprawie obrony i naszego stanowiska w toczonych pertraktacjach doszliśmy z nim do zupełnej zgody i jednego zdania. Ponieważ Ukraińcy nie chcą stać na platformie zupełnego równouprawnienia i tymczasowości, musimy napadnięci bronić się, aż pokonani dojdą do tego zrozumienia.

Roztrząsając z nim sprawy dalszej obrony, przedstawiłem mu, że „gdybym otrzymał w tych dniach 500 świeżych, dobrych żołnierzy, za dzień niema Ukraińców we Lwowie“.

Na to postanowił inż. Hausner urządzić zebranie robotników i zachęcić ich wpływem swoim do zgłaszania się w szeregi wojska. Oświadczył: „na jutro będzie miał Pan najmniej 1000 nowego żołnierza“. Urządził duże zebranie na pl. Bilczewskiego, porwał słuchaczy swoim zapalem i prawie wszyscy udali się po broń do magazynów. Wydano wtedy karabinów prawie 1000.

Szeregi wojskowe powiększyły się w tym dniu o 27.

Nie mogliśmy jednak dość do porozumienia z inż. Hausnerem w jednej sprawie. Nie będę doszukiwał się tu jego motywów, choć są mi one znane. Podkreślę jeno fakta. Chciał on stworzyć na terenie polskim Lwowa nowy „rząd polski o atrybucjach suwerennego“. Nie mogłem się na to zgodzić z najrozmaitszych powodów. Niektóre z nich przytoczę: 1) Uznam każdy rząd, wyrosły z woli narodu i w *Warszawie* urzędujący, jako jedyny rząd państwowo-suwerenny. 2) Uznaję jedynie potrzebę tworzenia

na czas przejściowy rządów dzielnicowych. 3) Taki został już utworzony na terenie wschodnio - galicyjskim, a jest nim P. K. N. złożony z reprezentantów wszystkich stronnictw politycznych. 4) Uznałem go już jako jedyne, polityczne przedstawicielstwo polskie tej części kraju, a słowa żołnierskiego nie złamię. 5) Mogę jedynie powitać z radością utworzenie się komitetu, dla załatwiania wszystkich miejskich czynności administracyjnych „po tej stronie frontu“, jeżeli a) Komitet ten będzie się składać z reprezentantów wszystkich stronnictw politycznych tych, które zasiadają w P. K. N. b) i uzna się jedynie za część składową tamtego, za pewnego rodzaju ekspozyturę jego. Wtedy oddam mu z przyjemnością i wdzięcznością wszystkie funkcje kom. nacz. w odniesieniu do ludności cywilnej\*).

Właśnie w dniu obradowania wyżej wspomnianych komisji i komitetów zaczynała wytwarzać się sytuacja wewnętrzna dość krytyczna, rozagitowanie duże, bo inż. Hausner nie przebiegał w środkach i... słowach (zaczynając od „sółdateski“) i idąca stąd groza rozbitcia jedności. Skrzyżowano miecze na wielkim, bardzo burzliwym zebraniu, odbytym w domu kolejarzy dnia 6-go wieczorem, gdzie stanowisko komendy naczelną odniosło świetny tryumf. Przygniatająca większość zebrania (jak mi referowano około 9/10) oświadczyła się za „koniecznym i bezwarunkowym porozumieniem się z komendą naczelną“. Do tego porozumienia wybrano komitet z 8 (po 2 z 4 partji politycznych), który miał objąć ewentualnie przyznane mu funkcje. Wybrano doń pp.: Bądryńskiego. Chłamtacza, Cieńskiego, Hausnera, Hinglera, Kuryłowicza, Stefczyka i Oziębłego.

---

\*) Nie chcę dociekać w tej pracy, czy i jaki związek miały starania inż. Hausnera z „urzędującym już rządem lubelskim“. W przypisku jedynie podniosę równoczesne „sondowania“ na temat stosunku „Lwowa do Lublina“, przedstawianie korzyści, jakie odnieść może sprawa (natychmiastowa pomoc), lub pewna osoba („szlify jeneralskie“).

Charakterystycznie zbiegały się pewne momenty argumentów inż. Hausnera.

Nie skończył mi jeszcze referować przebiegu powyższego zebrania delegat wojskowości na inż. Widomski), gdy zgłosił się wybrany Komitet. Nie chcąc, by czekali ludzie przeważnie osiwalili w pracy publicznej i narodowej, poprosiłem ich bezwzględnie, choć byłem... w łóżku. Wybaczili mi to łaskawie, gdy się dowiedzieli, że znajduję się po raz pierwszy w wojsku polskim... w pozycji leżącej.

Długo toczyły się narady. Argumenty słuszne przekonywały. Doszliśmy nad ranem do zupełnego porozumienia, pokrywającego się naogół ze stanowiskiem komendy naczelnej, cytowanym powyżej. Przetrutynowano nadto odezwe, wydać się mającą.

Chodziło jeszcze jedynie o ściśle sprecyzowanie spraw, które obejmie Komitet. Debatowano nad tym na dwu z rzędu posiedzeniach, które odbyły się 7 i 8 list., a na których musiałem być sam obecny z powodu zbyt wielkiej i zasadniczej ich wagi. Nie przedstawiało zbyt wielkich trudności przelanie na komitet spraw aprowizacyjnych, sanitarnych, skarbowości, dobroczynności w odniesieniu do całej ludności cywilnej, spraw czysto cywilnych. Ogromne jednak piętrzyły się trudności w odniesieniu do t. zw. bezpieczeństwa publicznego, a więc sprawy wojskowo-cywilnej. Kilkakrotnie zdawało się, że dojdzie do rozbicia rokowań. Udało się wreszcie i tu dojść do porozumienia. „Najtwardszym mężem“ w tym kierunku był inż. Hausner, który żądał „odstąpienia“ Komitetowi pod wyłączną jego kompetencję całej żandarmerji (podkreślam, że zwała się ona i była w rzeczywistości „polową“), milicji wojskowej i milicji obywatelskiej. Ja zaś z przeróżnych względów ofiarować mogłem tylko milicję obywatelską, uważając tamte za organizacje czysto wojskowe i bardzo potrzebne pod władzą wojskową.

Choć szafowano wyrażeniami, jak „zemsta ludu“, choć cytowano „jaskrawe wypadki nadużyć“ \*) zgodziliśmy się

---

\*) Cytowany wówczas wypadek jest tak charakterystyczny, że warto go przytoczyć. Z pewnej kamienicy przy ul. X padło raz kilka strzałów karabinowych z tyłu do naszego wojska (wypadków

wreszcie na platformie komendy nacz. z tym dodatkiem, że określone zostaną dokładnie warunki, w jakich „wojskowa straż bezpieczeństwa“ czuwać będzie mogła nad ludnością cywilną.

Tak więc powstał „Komitet bezpieczeństwa i ochrony dobra publicznego“, który swe podporządkowanie pod P. K. N. uwidocznił zewnętrznie, przyjmując członków P. K. N. po tej stronie bawiących, w skład swego grona. Podporządkowano mu obecnie wszystkie komitety cywilne, utworzone dotychczas tak z ostatnich zebrań ogólnych, jakoteż z Organizacji narodowych okręgu VI, VIIa i t. d.

Dla komendy nacz. powstała—zdawało się — ta korzyść, że w odniesieniach do ludności cywilnej można było pertraktować z nim jedynie, nie oglądając się na liczne zrzeszenia partyjne. Na posiedzenia jego uczęszczał stale — w myśl umowy — delegat komendy naczelniej. Początkowo był nim inż. Widomski. Ponieważ jednak przedstawiał on zbyt „czerwoną płachtę“ dla kilku jego członków, zastąpiono go por. de Laveaux, komendantem P. O. W., przydzielonym obecnie do kom. nacz. w charakterze oficera do specjalnych poruczeń.

Komitet ten zawiadomiwszy afiszami (Patrz dodatek № 22) o swoim powstaniu, podzielił się po uzyskaniu porozumienia z kom. nacz. na sekcje bezpieczeństwa i porządku publicznego, skarbowości, aprowizacji i zdrowia mieszkańców (Patrz dodatek № 23).

łakich było więcej). Dowiedziawszy się o tym komenda nacz. posłała żandarmerję, która wykryła sprawców z dowodami winy i aresztowała. Zaczęła się teraz nieco „humorystyczna część“. Dowódca odcinka, dowiedziawszy się także o tym, posłał również na wizytę ludzi z przydzielonej mu ekspozytury żandarmerji, to samo zrobił dowódca grupy, dalej 2 czy 3 patrole żandarmerji, patrolującej w tej dzielnicy i kilka patroli milicji obywatelskiej. Wszystkie następowały po kolei, w pewnych odstępach czasu, nie wiedząc i nie wierząc zapewnieniom mieszkańców, że rewizje już były. Naliczono tych wizyt do drugiego dnia coś 11.

Podnosić nie potrzebuje, że wydano bezwzględnie odpowiednie zarządzenia.

Od 10 listopada rozpoczęły prawidłowe urzędowanie wszystkie jego sekcje. W dodatkach umieszczę jedynie ogłoszenia wydziałów aprowizacyjnego i skarbowego (Patrz dodatek № 24).

Dalszą poważną troską komendy nacz. było oczyszczenie miasta z elementów podejrzanych, wrogich, lub mogących się stać groźnymi. Nie będę wspominał o aresztowaniach pierwszych (kilkaset wypadków) internowaniu, lub unieszkodliwieniu drugich, ale zajmę się wyłącznie kategorią trzecią. Zaliczam do nich byłych żołnierzy austriackich i niemieckich „zdemobilizowanych“ z formacji we Lwowie załogujących, lub napływających coraz to liczniej z prowincji, a włączających się po Lwowie tysiącami. Przeważnie stroili się oni w białe kokardki jako „neutralni“. Bez funduszków, nieżywieni przez nikogo i bez możliwości wyjazdu mogli się porwać na czyny szaleńcze z rozpacz.

Usunięcie ich z „polskiego Lwowa“ było stosunkowo łatwe. Chwytyanych po ulicach i domach eskortowano do „referatu politycznego“ komendy nacz. gdzie po zbadań wydawano im przepustki i konwojowano w większych oddziałach na zachód, poza front polski. Takich „wytransportowano“ grubo ponad 5000. Naturalnie — podkreślać tego nie potrzebuję — wysyłano ich bez narażania na ogień nieprzyjacielski, a więc w miejscach chwilowo spokojnych.

Gorzej było z tymi, którzy znajdowali się w „ukraińskim Lwowie“, a których było znacznie więcej. Ci obalamuceni mogli nawet próbować zdobyć dworzec—choćby celem uruchomienia pociągów i wyjazdu na zachód. Wśród nich rozrzucono naprzód odezwę po niemiecku, wzywającą do opuszczenia Lwowa drogą okólną i dostania się do Zimnej Wody. (Po zajęciu bowiem Przemyśla przez Ukraińców dochodziły aż tam pociągi ukraińskie i wracały próżne z powrotem). Oprócz tego organizowano tam chętnych do wymarszu, by ich poprowadzić odpowiednio we wspólnym transporcie. Robotę tę prowadził z polecenia kom. nacz. Till.

Przygotował więc transport z kilku tysięcy, lecz Ukraińcy czynili wypuszczeniu ich znaczne trudności. Zgodzili się dopiero po długich pertraktacjach. Umówiono przytym pewne skrócenie dla nich zbyt znacznej drogi okólnej i ubezpieczenie ich życia przez chwilowy spoczynek w walce w czasie i miejscu ich przemarszu.

Długa ich wyruszyła kolumna (przeszło 3000) i gdy zjawili się na wzgórzu widocznym, już blisko linii polskiej, nagle artylerja ukraińska zaczęła „grzmocić“ po tej kolumnie czwórkowej. Oberwało się przytym przewodnikowi ich Tillowi (a raczej jego płaszczowi), a kolumna jego rozpiezchła się na wsze strony, zostawiając rannych i zabitych. Przeważnie nie wrócili do miasta.

Praca w tym kierunku trwała dalej. Radzono im wychodzić z miasta w mniejszych grupach i dowodzono, że tuż za miastem (Sichów) kursują pociągi. Dysponowano przytym pociągami ukraińskimi.

To „ukraińskie“ dotrzymanie układu daje dobre przejście do wzmianki o innym podobnym.

4 list. pod wieczór zwrócili się przedstawiciele Ukr. Rady Narod. do P. K. N. o rozpoczęcie nieobowiązujących na razie pertraktacji. Debatowano tam długo i szeroko. Kiedy mimo zawiadomienia komendy nacz. przez P. K. N. nie zgłaszał się jej wysłannik, przedarł się na stronę polską D-r Dąbrowski, by porozumieć się zarazem co do kontrpropozycji polskich—szczególnie z zakresu wojskowego. W karteczce przyniesionej od D-ra Dubanowicza, uczestnika tych pertraktacji, wspomniano o zaproponowanym przez Ukraińców krótkim rozejmie i radzono zgodzić się nań, o ile nie przeszkadza to operacjom wojskowym.

W tym stadium operacji, przy ciągłych atakach ukraińskich korzystne byłoby krótkie wytchnienie dla nader zmęczonych „naszych chłopców“ przed przygotowującym się własnym uderzeniem. Wysłałem na skutek pierwszego zawiadomienia z odpowiednimi instrukcjami inż. Widomskiego, którego przedarcie się trwało jednak dłużej, niż zwykle. Trafił bowiem na punkt, w którym zaczął się akurat

w tym momencie atak ukraiński. Wziął więc najpierw udział w jego odpięciu. Przedostawszy się wreszcie „urzędownie” na drugą stronę, zawarł tamże 24 godzinne zawieszenie broni.

Rozpoczęło się ono o godz. 5 w nocy na 6 listopada. Jakież było jednak nasze zdziwienie, gdy po 5 zaatakowali Ukraińcy od sejmu naszą redutę na ul. Kraszewskiego. Czy to była demonstracja „grupy niezadowolonej i nieprzejednanej” (Ciokana), czy też planowo obmyślana akcja gwoździ zaskoczenia naszej placówki, sięgającej najgłębiej naówczas w ich linie i z tego powodu im bardzo „niedogodnej”, niech rozstrzygnie historia. W tej walce mieliśmy 2 zabitych 4 rannych.

Skutkiem takiego dotrzymywania umów było zerwanie przez komendę nacz. zawieszenia broni na podstawie osobnego punktu umowy, określającego warunki i prawo zerwania. Zawiadomiono o tym bezwzględnie w myśl punktu powyższego ukraińską komendę nacz.

Rozwinęła się przytym pisemna dyskusja (trzykrotna w tym dniu), w której Ukraińcy „zapewniali, że chcą dotrzymać warunków zawieszenia broni, dowodzili, że to nie była „operacja” i t. d”. Z naszej jednak strony uważano sprawę tę jako ostatecznie załatwioną pierwszym naszym listem.

Pod koniec rozdziału muszę przedstawić jeszcze ówczesne stosunki nasze „z Polską”, a więc pracę zewnętrzną.

Pierwszym, który przybył do Lwowa z zewnątrz, był Grabski (młody). Wysłany w drugiej połowie października na objazd istniejących i zakładanie nowych ognisk P. K. W. znalazł się w dniu krytycznym, t. j. 1 listopada, w Przemyśle i stamtąd wybrał się do Lwowa, zatrzymawszy się jeszcze po drodze w Gródku (w myśl zresztą instrukcji). Równocześnie z nim przybyło kilkunastu gorętszych P. K. W-aków, którzy woleli spieszyć na gotowy bój, niż czekać na miejscu rozkazów. Niezbyt pocieszające były wiadomości, jakie przywieźli. Ugoda w Przemyśle musiała być wedle przekonania naszego bardzo



krótkotrwałą, wobec walk we Lwowie. Obiecywał nam wprawdzie Przemyśl posiłki, lecz... ktoby w nie wierzył.

Drugim był łącznik, wysłany 1 listopada do 1 austriackiego p. ułanów do Podwołoczysk. I ten hiobowe przywiózł wieści, a mianowicie, że na Ukrainie wysadzono przed pociągami mosty, że wobec tego transporty spóźniły się znacznie, że do Podwołoczysk dojechały 1 listopada miast całego pułku tylko dwa szwadrony, które po krótkiej walce rozbroili Ukraińcy, że reszta dowiedziawszy się o tym, a nie otrzymawszy rozkazu, podążyła w całości poza granicą galicyjską na Lublin. Nie było już mowy o doręczeniu im rozkazu przebicia się wprost do Lwowa. Rozkazy do dalszych organizacji P. K. W. na Ukrainie przesłał dalej przez pewnych ludzi, szczególnie do austriackiego 90 p.p. (jarosławski).

Trzecim był wysłannik warszawskiego sztabu generalnego (naonczas jeszcze pod gen. Rozwadowskim) Przybył po informacje i wiadomości, a zakomunikował zarządzenia gen. Rozwadowskiego. Mianowicie z 1 p. „wehrmachtowego“ miano po dobraniu ochotników i rekruta utworzyć dywizję w Lublinie i uderzyć z nią od północy w kierunku Lwowa. Wysłano go z powrotem autem, dojechał do Jaworowa jedynie, gdzie „zjadł“ wszystkie notatki lwowskie przed swym aresztowaniem. Z więzienia później umknął i dotarł po 2 miesiącach do Warszawy. Szofer jego i drugi towarzysz podróży zostali pomordowani w okrutny sposób.

Czwarty przybył dzielny kolejarz (lwowski — służył wojskowo na Wołyniu) od Halucha-Brzozowskiego z nowinami wesołymi, że opanował linje kolejowe wołyńskie z siedzibą w Kowlu i że może posłać na pomoc kilkudziesięciu ludzi. Więcej tam nie zbierze. Druga wiązanka jego wiadomości była przerażającą. Mówiła bowiem o „rewolucji“ w Lublinie, sławnym rządzie lubelskim i... rozbrojeniu 1 p. a aresztowaniu opornych \*).

\*) Ponieważ wypadki te dosyć ściśle wiążą się z lwowskimi, gdyż z powodu nich nie przyszła spodziewana pomoc, a z drugiej strony ponieważ przedstawiano je rozmaicie, warto w przypisku

czony wiadomościami poszedł z powrotem, bo „taki miał rozkaz“, lecz zaginął bez wieści. Zapewne zamordowany przez Ukraińców.

\_\_\_\_\_

podać autentyczny ich przebieg — naturalnie stronę wojskową, nie polityczną.

Warszawski sztab generalny mianował z końcem października dow. O. G. Lublin (gen. Olszewski, szef sztabu ppłk. Paślawski) i polecił rozbroić austriaków, a z przysłanego im 1 p. wehrmach-towego (narazie jeden baon w sile około 700 chłopów, pod dow. mjr Zarzyckiego) stworzyć kadre dla utworzyć się mającej dywizji lubelskiej. Tymczasem zaczęły tam zjeżdżać różne „wielkie figury P. O. Wiackie i polityczne“ (z pierwszych Rydz-Śmigły, Neugebauer z całą plejadą, z drugich Daszyński, Tugutt i t. d.) Zjeżdża nadto sam Rozwadowski i zwołuje odprawę ustną.

Ponieważ Rydz-Śmigły tego samego dnia *złożył przysięgę Radzie-Regencyjnej* na ręce jej delegata, brał i on udział w odprawie wraz ze swym sztabem. Gen. Rozwadowski (naturalnie po uprzedniej konferencji z Rydzem) wydał następujące zarządzenia: D. O. G. Lublin w dotychczasowym składzie osobowym organizuje brygadę (czy dywizję, w miarę napływu ochotnika), lubelską używając jako kadry będącego już tam 1 pp. *z celem udzielenia jak najspieszniejszej pomocy Lwowowi*, pułk. Rydz-Śmigły, biorąc za podstawę P.O.W. organizuje na Chełmszczyźnie i Wołyniu również brygadę, czy dywizję wołyńską z celem obrony tych ziem od wschodu i użycia ich części na wsparcie akcji poprzedniej.

Wszystko załatwiono zgodnie, wszyscy byli zadowoleni, (Rydz-Śmigły także), wszyscy też odprowadzili Rozwadowskiego, który odjechał do Kielc na dalszą organizację tamtejszego D. O. G.

Nazajutrz wczesnym rankiem wszyscy z D. O. G. lubelskiego mieli w swych mieszkaniach „honorowe warty“. Internowano ich osobno i osobno prowadzono do „generała“, gdzie proponowano im składać „przysięgę ludową“. Przyczym za wzorem rosyjskim, oświadczano np. szefowi sztabu, że jego komendant tę przysięgę już złożył i naodwrot. Jeden z nich zadał maleńkie pytanie: „Czy ta dzisiejsza przysięga ma być tak długo ważną, jak wczorajsza pana generała“. Dowiedziawszy się o tym 1 pp. ruszył w rynsztunku z K. M. ku miastu pod wodzą podchorążego (oficerowie bowiem byli zakwaterowani w mieście, pułk w koszarach za dworcem) i zajmawszy pozycję obronną nad rzeczką gotował się do ataku na miasto. Twierdzą naoczni, że byłby rozniósł w puch wszystko. W tym momencie zjawił się jego komendant, który zarządził zbiórke i powrót do koszar. „Przysiągł“ on—w międzyczasie. Nie stwierdzono, dobrowolnie, czy oszukany. Od żołnierzy zażądano potym nowej przysięgi, a, którzy jej składać nie chcieli, „szli do uła“.

Dalszym był wreszcie wysłannik z Lublina z meldunkiem por. Eustachiewicza, wysłanego na objazd drużyn P. K. W. Raportował on o wypadkach lubelskich, o tym, że *pozostały bez skutku* jego konferencje i starania u Rydza-Śmigłego o pozwolenie organizowania ochotników na odsiecz, że czyni on to tajnie i napływ ma znaczny. Zapytywał, czy wysłać ich — wobec zmienionych w porównaniu z instrukcją warunków — mniejszymi grupami na przedzieranie się, czy też czekać na przyłączenie do ewentualnej pomocy warszawskiej. Zawiadamiał wreszcie, że puściwszy w ruch tu sprawę dla całej byłej okupacji austriackiej, wybierze się w myśl instrukcji do Warszawy. Odpowiedzi i zarządzenia otrzymał i dotarły one doń.

Dalszym przybyшем „ze Wschodu“ był wysłannik mjr, Lisa-Kuli, który zawiadamiał, że na 8-go naznaczył zbiórke swych ukraińskich P. O. Wiaków w okolicy Radziwiłłowa, że ma opanować tam magazyny i będzie miał do rozporządzenia około 500 chłopów. Udzieliliśmy mu wszelkich informacji i prosili, by przebił się do Lwowa. Z tą siłą nie przedstawiało to zbytnich trudności naonczas — zdaniem naszym. Niestety więcej nie mieliśmy z nim kontaktu, choć wysłaliśmy osobnego jeszcze gońca ze Lwowa. Znalazł się on później w grupie gen. Rydza-Śmigłego. Widocznie tam wezwany został przez swoją organizacyjną władzę P. O. Wiacką\*). Tam też walcząc dzielnie, niebawem poległ śmiercią bohaterską.

---

Tak realizowano zarządzoną pomoc dla Lwowa i obronę granicy wschodniej.

A gdyby naonczas poszło do Lwowa tylko to, co było w Lublinie, wojna ukraińska nie trwałaby tygodnia, a straty polskie z kilkudziesięciu tysięcy spadłyby na niecały 1000.

\*) Około połowy listopada przyszła do Lwowa niesprawdzona wiadomość, że oddział ten przeszedł granicę koło Brodów, ale w walce z Ukraińcami został rozbity. Sam dowódca Lis-Kula miał się dostać do niewoli ukraińskiej i zamknięty w Złoczowie. Na samą tą wieść, zwróciliśmy się do U. K. N. z propozycją wymiany Lisa-Kuli za któregośkolwiek z naszych jeńców ukraińskich. (Patrz dodatek Nr. 25) Odpowiedzi nie dostaliśmy, stąd przypuszczamy.

O innych, przybyłych ze wschodniej Galicji, nie wspominać. Znosili oni bowiem wiadomości tylko „ukraińskie“, że się tak wyrażę, choć również bardzo dla nas cenne. Byli wśród nich P. K. Wiacy, przysyłani z różnych miast po dalsze dyrektywy i z meldunkami i tacy, którzy chcieli od razu walczyć, byli i P. O. Wiacy, przybywający w tych samych celach.

Do Przemyśla zwróciliśmy się z umyślnym pismem. (Patrz dodatek № 26).

Osobno przedstawię obecnie stosunki nasze z Krakowem. Podkreślę wprzód, że w tych warunkach, w jakich naonczas znachodziło się państwo polskie, stamtąd jedynie mogliśmy oczekiwać skutecznej i szybkiej pomocy. Tam zaczęła urzędować Polska Komisja Likwidacyjna, która miała być władzą, rządem przejściowym dla całej Galicji. Gdyby nam pomocy udzielić chciano.

Na radiotelegramy nasze nie dostaliśmy żadnej odpowiedzi. Wobec tego wysłaliśmy drugiego gońca (Grzegorzczaka) z dokładniejszymi relacjami i żądaniami co do sił potrzebnych i sposobu ich przedostania się. Kiedy uruchomiono aparaty lotnicze nasze, wysłano jeden z nich (kap. Bastyr i de Beaurain) z pisemnymi przedstawieniami. Odbył się lot ten 7 list. Wtedy także—tego samego dnia—przybył por. Bobek—wysłany przez nas 1 list. — a z nim kilkudziesięciu gorętszych P. K. Wiaków, nieco skautów i trochę ochotników. Naturalnie przedzierał się oni małymi grupkami.

Straszne wprost były wiadomości, jakie on przywiózł. Choć z prywatnego listu posła Skarbka do mnie, wyjąłem i puściłem w „pantoflową pocztę“ po Lwowie ustęp zachęcający, nie przytaczając różnych ustnie dodanych „o ile, jeżeli i t. p.“ W całości nie dowiedział się o nich nikt, nawet najbliżsi przyjaciele. Ustęp ten brzmiał:

---

że nie było go w niewoli. Ukraińcy bowiem mieli u nas jako jeńców kilka grubych ryb swoich (jak Dr. Starosolski i in.). Czy ta potyczka rzeczywiście odbyła się, nie udało się sprawdzić dotychczas.

„Brońcie się dalej, organizujemy wydatną pomoc najdalej do tygodnia. Starajcie się zawrzeć rozejm bez przesądzania sprawy polskiej i dalszej obrony. Ochronicie rozejmem przelew krwi i powstrzymacie niszczenie Galicji wschodniej“.\*)

Był Bobek u hr. Skarbka (do którego w pierwszym rzędzie wysłany został, jako do komisarza cywilnego P.K.W. i jednego z nielicznych w P. K. L. rozumiejących wagę całej tej walki) był—zaprowadzony przezeń—na posiedzeniu P. K. L. był u ks. biskupa Sapiehy i odciętego w Krakowie ks. arcybiskupa Teodorowicza, był wreszcie u gen. Roji, jego szefa sztabu i u innych wojskowych.

Pierwsi trzech wymienieni nie czekali na przyjazd nikogo, lecz na pierwszą wieść o walkach we Lwowie rozpoczęli „szturmy“ do gen. Roji i innych „miarodajnych czynników“ o organizowanie i przyśpieszenie pomocy i odsieczy. Jakie odpowiedzi otrzymywali — szczególnie od najmiarodajniejszego w tym względzie gen. Roji—nie chcę cytować. Boję się niedokładności słów. Mam je tylko z częściowej ich ustnej i późniejszej relacji. Może sami kiedyś to ogłaszają.

Hr. Skarbek zaś zaczął od razu na własną rękę organizować ochotników. Jak ogromne w tej mierze jego zasługi, można określić jednym zdaniem — zupełnie prawdziwym: „Gdyby nie on, nie byłoby odsieczy“.

P. K. L. bowiem odesłało por. Bobka do gen. Roji, a jakie on dał odpowiedzi — ot kilka zdań jego: „Wszak to kraj ruski. Wojna ta była niepotrzebną. Pociągcie ją zaczynali. Ta krew niewinna młodzieży najcenniejszej, zbałamucanej przez Was, spadnie na Was“. Czy mam dalej cytować wyrażenia podobne? Nie, zaiste dość ich.

Równocześnie *demobilizowano*. Rozpuszczano oddziały takie, które prosiły, by je zostawiono, demobilizowano oddziały takie, które *błagały*, by im pozwolono pójść na odsiecz Lwowa. (Oddziały nowosądeckie).

---

\*) Sam ten ustęp miało ponadto kilku spieszących na karcetkach, odpowiednio zaszytych w ubraniu.

Czy miałem puszczać te wieści po Lwowie? Z dodaniem może, że gen. Roja nie przyjął już nawet lotników lwowskich — umyślnie wysłanych, ponieważ „nie miał czasu“. Czy miałem dodać objaśnienia Skarbka, jakie trudności czynią mu, zamiast ułatwień i zastrzeżenia, że go mogą kazać aresztować \*).

We Lwowie na to znaleźliśmy jedno wyjście. Uprosiliśmy prof. Dr. Strońskiego, jednego z najlepszych wieczowych mówców, by udał się natychmiast do Krakowa i tam „rozagitował społeczeństwo“, przedstawiając faktyczny stan we Lwowie i opisując okrucieństwa ukraińskie. Chodziło nam o to, by społeczeństwo odpowiednią postawą zmusiło te czynniki „miarodajne“ do zmiany stanowiska, z drugiej strony, by zapewnić Skarbkowi pomoc w organizowaniu ochotnika na własną rękę.

Otrzymał także inne prośby „zagraniczne“, by skomunikował się stamtąd z Komitetem narodowym w Paryżu, gwoli wzięcia odpowiedniej akcji dyplomatycznej, po przedstawieniu źródła i istoty prawdziwej zamachu ukraińskiego, by wreszcie wczął Komitet starania o transport Hallera choćby przez Węgry.

Prosiliśmy go, by jeśli załatwi sprawę w Krakowie, pojechał nawet sam do Paryża, co też rzeczywiście uczynił.

Prof. Stroński wyleciał z pilotem por. Stecem ze Lwowa 8 listopada i po drodze nad Przemyślem przestrelono im samolot (rezerwoar z benzyną). Musieli lądować koło Łańcuta, przyczym połamano aparat.

Kiedy będzie skutek jego pracy?

Przed wyjazdem chciał mieć prof. Stroński konieczny określony czas, jak długo możemy się trzymać. Dostał odpowiedź: „jak długo nam amunicji starczy, co będzie trwało około dwu miesięcy, jeśli się nam uda zamiar dzisiejszy. Nie uda się on, za kilka dni Lwów opuścimy, ale po wschodniej Galicji grasować będziemy“.

---

\*) Rozkaz taki rzeczywiście później wydano, choć w formie alternatywy tylko. „Jeżeli i t. d.“. Naocznie go czytałem, czytał go i Skarbek.

## OCENA POŁOŻENIA WOJSKOWEGO.

Zanim przystąpię do dalszego przedstawiania walk lwowskich, muszę we wstępie niejako do nich poruszyć kilka jeszcze kwestji, koniecznych do należytego zrozumienia. Przedewszystkiem winienem podać ogólną charakterystykę frontu lwowskiego.

Na całej linii frontu wschodniego, a więc od strony miasta, a raczej dokładniej się wyraziwszy w samym mieście, stały naprzeciw siebie dwa fronty zwarte, z całym aparatem placówek, wedet, czujek itd. Fronty tak regularne i prawidłowe, jakie poznaliśmy w ciągu wojny światowej, z tą jedynie różnicą, że wzajemna odległość frontów lwowskich była tak małą, jaką chyba bardzo rzadko, lub nigdy nie spotykano, w wojnie światowej. Była ona i we Lwowie różną, zależnie od warunków terenu. A więc wrocie obozy dzieliła ściana, łącząca dwie kamienice (na ul. Kraszewskiego), lub przedzielała ulica jedynie szerokości kilkunastu metrów, jak na ul. Słowackiego, gdzie jedna strona ulicy to nasz front, przeciwna front ukraiński — podkreślam oba stale obsadzone. Lub wreszcie jak w ogrodzie Jezuickim, nasze sprawiedliwe okopy mniej więcej w środku ogrodu, a „oni“ w gmachu sejmowym i z boku w gmachu policji itd. Rzadko odległość linii na tym dziesięciokilometrowym prawie froncie dochodziła do 100 m., wyjątkowo ją tylko przekraczała. Tęgo nie widziano w całej, tak długiej i okrutnej wojnie światowej. Jeśli chodzi o możność obrony niektórych z tych „pozycji“ napewno nie było takich w ciągu całej wojny. Ot weźmy np. sławną, lwowską pocztę (odcinek, nie budynek)! Z przodu o 18 m. nieprzyjaciel, mający dwie prościusienkie ulice (Kopernika i Sykstuską), których z budynku poczty nie widać. Konieczne więc wykopać od bram, na te ulice wy-

chodzących, reduty ziemne prawie do połowy ulicy i trzymać w nich stałe wedety. Mają one obie ulice przed sobą, a na 30 m. nieprzyjacielskie karabiny maszynowe, przez mury, czy okna paszcze swe wychylające, mają na wprost przed sobą, u wylotu tej prostej ulicy okop ukraiński obsadzony. Z boku lewego poczty od ul. Sykstuskiej—znowu 18 m.—obsadzona przez nieprzyjaciela dwupiętrowa kamienica. Jakby wyglądała ta czujka w okopie na ulicy, gdyby wprost z jej flanki pokazał się na drugim piętrze nieprzyjaciel? Z prawego boku poczty sytuacja jeszcze gorsza. Dokładnie z flanki obsadzone przez Ukraińców Ossolineum, a od tyłu bastjon Cytadeli o względnym wzniesieniu prawie stu metrów. W tej sytuacji wytrzymała ta bohaterska obsada półtrzecia tygodnia, odpierając liczne ataki nieprzyjacielskie. Przytym pozbawieni zupełnie komunikacji z tyłami, gdyż przejść w dzień ul. Sykstuską w górę to pewna śmierć, a ogródkami od strony ul. Kopernika — defilowało się przed bastjonem Cytadeli. Tu nie dało się poprzebijać muru w kamienicach, by zrobić skryty dostęp, jak w sektorze sąsiednim. Tu musieli aż do końca wszyscy narażać się jednako i ci, co nosili żywność, amunicję i ci, co odnosili rannych i zabitych i ci, co szli na kontrolę czy odwiedziny.

Czy mam dodać, że u tych ludzi, żyjących wśród takich stosunków, żył jeszcze humor i dowcip i śpiew choralny skracał im zbyt długie chwile. Czy nie warto wsadzić tu epizodu stwierdzonego naocznie. Na czujki wyznaczano, jak zawsze przy wojsku służbę, która kolejno się zmieniała. Na jednej z tych redut (w ul. Sykstuskiej) pewnego dnia, zbytnio pechownego, padło w przeciągu 15 minut może (któż w takich chwilach patrzy na zegarki) trzech po kolei bohaterów. Czy myślicie, że czwarty nie poszedł tam natychmiast i równie dobrowolnie. Nie trzeba było go szukać, ni wzywać, ni napominać. Poszedł, ponieważ na niego szła kolej, ale poszedłby, gdyby i nie było kolei.

Albo dajmy na przykład odcinek Abrahama, Górę Stracenia. Oni w polnych okopach (park tam jest bo-



wiem), a nieprzyjaciół przed nosem w kamienicach. Góra to wzniosła, widoczna ze wszystkich wież i wyższych budynków całego miasta. A więc z czystej prawej flanki koszary Ferdynanda, skąd ukraiński karabin maszynowy sieł dokładnie wzdłuż rowów, a więc z wieży ratuszowej i teatralnej miały ich karabiny maszynowe jak na dłoni, a na dobitkę artylerja z kopca Unii lubelskiej, wzniesionego ponad Górę znacznie wyżej, a w odległości zaledwie około kilometra, „patrzyła im w brzuchy“. (Techniczne wojenne wyrażenie, na oznaczenie, że nieprzyjaciół widzi nawet brzuchy ludzi, poruszających się w rowach strzeleckich). Zasypywała ich swym ogniem ustawicznie. Był to jeden z nielicznych odcinków, który już wtedy mógł mówić o huraganowym ogniu artyleryjskim. Wytrzymali to wszystko chłopcy dzielni, a ochotników, nowicjuszków pouczali: „Nie ruszaj palcem w bucie, bo cię zobaczy z Wysokiego Zamku, nie ruszaj językiem w gębie, bo i t. d“. Oł, żołnierskie dziesięcioro przykazań, choć niektóre z nich grubo... niecenzuralne.

Wspomnijmy wreszcie o odcinku Bema. Tu myśmy otaczali prawie z trzech stron koszary Ferdynanda. Mimo to były one dla nas najniebezpieczniejszymi strategicznie. Co do frontu zaś, my z jednej strony w stajniach, z drugiej w spalonym do cna budynku, a oni... przez mały podwórzec w dwupiętrowym, solidnym budynku. A przecież tam nieśmiertelna, podmiejsko - lwowska harmonia milkła tylko w czasie ich, lub naszego ataku. Pozatym grała zawsze, nierzadko tańczyli chłopcy, a najczęstszą u nich melodją to rodzima lwowska:

....Tra-ra ra-ra

Antek na harmonii gra...

Tak było wszędzie na tym froncie miejskim. Nie można było marzyć, by jakakolwiek... mysz przeszła tamtędy. Żołnierz, ni „cywil“ nie śmiał się wychylić wzdłuż całego tego frontu i wszystkich przyległych doń ulic, gdyż padał rażony natychmiast. Szczególnie Ukraińcy zaciekli byli na cywilnych i żadnego nie ominęli. Dodać należy, że front ten przebiegał przez najludniejsze części miasta—

przez samo śródmieście prawie, że wszystkie te kamienice były zaludnione, że nikt z tych ludzi, aż do zawieszenia broni t. j. do 18, nie mógł się pokazać we frontowych ubikacjach, że nikt nie mógł wychylić nosa poza kamienicę, nie narażając się na śmierć pewną.

Mnożyła się więc liczba trupów żołnierskich i cywilnych między linjami, których nie można było sprzątnąć, mnożyła się liczba trupów i zmarłych po przyległych domach wzdłuż całych ulic, o których usunięciu z domu nikt nie myślał. Było to bowiem niewykonalne.

Znowu jeden przykład. Z ulicy Zamkniętej (naprzeciw koszar Ferdynanda), na którą mieli obstrzelać tylko Ukraińcy, a która leżała między frontami, wyniesiono w czasie zawieszenia broni 18 listopada 11 trupów (2 zabitych, 9 zaś... z głodu), z tego 10 żydów, 1 katolik. Małeńka zaś to uliczka, o kilku zaledwie numerach po obu stronach.

Zaiste najokrutniejszą z wojen dotychczasowych, a może i przyszłych, była ta wojna lwowska na froncie „miejskim“. Wśród ulic i kamienic zamieszkałych i zupełnie... nieewakuowanych, wśród mnóstwa mieszkańców, nieprzygotowanych choćby żywnościowo na tak długie walki, rozszalał bój zażarty na wszystkie środki techniczne, wynalezione i udoskonalone w ostatniej wojnie. Mieszkańcom za naszym frontem donoszono urzędownie przynajmniej środki żywności, za frontem ukraińskim nikt się o nich nie troszczył. A cóż mieli zrobić ci, których los postawił między frontami?

Bój zaś był bardzo krwawy. Bliskość frontów, rykoszety kul od kamieni brukowych i murów, odłamki kamieni wreszcie zadawały rany straszne. Ileż kul chybić mogło, gdy strzelano z odległości 20 metrów. Była to wojna szalenie zażarta, gdzie — zdaje mi się — nie zawahałoby się zbyt wielu „obrońców“, gdyby im powiedziano, że od tej kuli, strzelonej do tego Ukraińca, zginie tam gdzieś dalej, przypadkowo jego bliski, czy najbliższy. Mówię to z doświadczenia, częstokroć sprawdzonego.

Tak było na froncie „miejskim“, a jak dalej. Zupełnie odrębne, inne stosunki bojowe, jakby nie ta sama wojna.

Front ukraiński na południowym stoku Cytadeli, miał swój polski odpowiednik na przeciwległym wzgórzu kadeckiej szkoły (odległość ich najdalsza do 200 m.). Dale oddalały się fronty znacznie, gdyż cały park Kilińskiego i plac powystawowy pozostały neutralne. Tu nasze okopy były przed szkołą kadecką, a ukraińskie aż na zachodnim stoku Góry Jacka. Oni obsadzali jeszcze niektóre przyległe do nich ulice, przestrzeń zaś pośrednią patrolowaliśmy wspólnie. Tędy można się było najłatwiej przedostać z jednej strony na drugą, tędy przechodziły prawie wszystkie nasze kurjerki. Tu odbywały się potyczki w razie spotkania się patroli, tu szalały walki w czasie ukraińskich ataków, licznych na szkołę kadecką. Walka zaś sama o charakterze czysto polowym, a więc dla nas najłatwiejsza. Te masy jednak nie myśmy mieli. Odległość frontów nieco większa tu od kilometra.

Dalej front ukraiński zakręcał przez Żelazną wodę (silnie dominujące wzgórze) i dochodził do Persenkówki i Bodnarówki, które oni silnie obsadzili. My w budynkach na rogatce stryjskiej. Odległość 500 m. w górę. O tę rogatkę szalały kilkakrotnie zacięte walki, kilkakrotnie też ona zmieniała właściciela. Dalej nasz front skręcał łukiem na zachód do koszar wóleckich.

Od nich na zachód inne były stosunki bojowe do 7 list. inne potem. W pierwszym okresie oni obsadzili Kulparków z silną załogą na dworcu Kulparkowskim. Dalej nie było już frontu. Były tylko uzbrojone wsie ruskie (Skniłów, Skniłówek itd.) zbierały się tylko bandy chłopów, uzbrojonych i ćwiczonych przez oficerów. Przychodziły z tej strony gotowe oddziały z innych powiatów. Ci bezpośrednio po przyjsciu szli do ataków, a pokonani najczęściej rozpraszali się, lub usadowiali się w pobliskiej wsi i czekali na stosowny moment do ukąszenia. Przedpole własne patrolowali gęsto.

Obrona z naszej strony systemem placówkowym z patrolowaniem gęstym przedpola i atakowaniem zbierających się mas.

Ponieważ linia placówek naszych była w odcinku szkoły Sienkiewicza i dworca bardzo blisko miasta, prawie u wylotu ulic miejskich, powstałoby dla nas wielkie niebezpieczeństwo, gdyby Ukraińcy usadowili się na stałe mniej więcej wzdłuż toru kolejowego Lwów—Stanisławów. Nieprzyjemni dla nas byli i na dworcu Kulparkowskim i w Kulparkowie, ponieważ stamtąd flankowali i strzelali od tyłu w nasz front przed szkołą kadecką, koszarami wóleckimi itd.

Wyrzucenie ich stamtąd, opanowanie tych miejsc korzystnych dla nas, przesunięcie własnej linii na dominujący nad przedpołem tor kolejowy, a pozbawienie ich możliwości koncentrowania się we wsiach, tak bliskich Lwowa, było jednym—ale nie jedynym—z powodów nakazanego ataku w dniu 6. Wypadł on pomyślnie i zmienił znacznie na naszą korzyść linię bojowych placówek. Utrudnił ataki stamtąd.

Od tej więc chwili front ciągły i obustronny kończył się na Bodnarówce. Stąd linia placówek naszych biegła torem kolejowym z obsadą dworca Kulparkowskiego (Kulparków sam—choć nieobsadzany, położony jednak tak blisko przed frontem, że można powiedzieć o nim w naszym był posiadaniu), a dalej krańcami wsi podmiejskich, a raczej przedmieść tamtejszych dochodziła do Rzęsny Polskiej. Stąd przez Kortumową górę łączyła się znowu z zamarstynowskim frontem obustronnym.

Dla Ukraińców pozostały teraz wsie, dość daleko przed tą linią naszą położone, więc Sokolniki (przyjdą tam dopiero za dwa dni), Skniłów i dworzec Skniłowski, znany nam już jako punkt gromadzenia się Ukraińców las w Biłohorszczy, a dalej Rzęsna Ruska, Brzuchowice, Hołosko i Zboiska. Ostatnie dwie znowu dość blisko Lwowa.

Ilość sił, zużytych na tę przeszło dwudziestokilometrową linię placówek naszych, śmiesznie mała, a przytym ciągle jeszcze redukowana.

Sposób walki: ciągle patrolowanie obustronne, utarczki patroli, wypadły (na mniejszą skalę) i ataki ukraińskie na pewną mniejszą, lub większą część tej linii, a z naszej strony znowu często użyte uprzedzanie ich ataku i rozbijanie zbierających się dopiero sił, lub do ataku nadeszłych.

Teraz dopiero zrozumiały fachowcy, dlaczego potrzeba było w walkach lwowskich tak gwałtownie kawalerji, że 3 kazano ją tworzyć, a 6 walczyła. Ta walka wyczerpywała fizycznie strasznie młodziutkich obrońców — więcej może niż tamta okrutniejsza w mieście — tu rzeczywiście, bez przesady, ni dnia, ni godziny nie było spokojnej. Placówki musiały ciągle być czujne, gdyż nieprzyjaciół częstokroć podchodził bardzo sprytnie, liczne patrole łącznikowe — między placówkami — szczególnie w nocy, liczne patrole wywiadowe w przedpole. W razie silniejszego wypadu, lub ataku konieczność szybkiego podestania rezerw (były na to osobne automobile ciężarowe), lub nawet osłabienia lub ściągnięcia placówek nieatakowanych i rzucenia ich w miejsce zagrożone. Przytym częste wypadły i ataki nasze, najczęściej znowu w nocy czynione. Wtedy bowiem można było podesłać coś z miasta, można było pewniej osłabić sąsiednie placówki. Na rano musiały znaleźć się znowu na miejscu swoim. Były na tych odcinkach słabe rezerwy (nie wszystkich bowiem wysyłano na placówki) wynosiły  $\frac{1}{4}$  lub nawet mniej, ale tak „harowano“ nimi zawsze, że w końcu woleli chłopcy być na placówkach, niż w rezerwie. Dla fachowców to jasne. Słabiuteńka linia placówek nie mogła prawie nigdzie sama powstrzymać silniejszego wypadu nieprzyjacielskiego. Musiały więc bezwzględnie i szybko spieszyć, raczej jechać tam rezerwy i załatwiać się prędko. Często, niczym wrócili, już ich trzeba było na innym miejscu. Szczególniej w nocy był tu nieprzyjaciół bardzo ruchliwy.

Jak szarża kawalerji jest efektowniejsza od ataku piechoty i więcej „bierze“ nawet starych piechociarzy, tak znowu walka podobna ma się do właściwej walki pozycyjnej. Pozycyjna to ciężka praca, ostre walki, krwawe straty, a w rezultacie tylko atak odparty, ta podjazdowa,

męcząca — o ile ludzie nie znajdują należnego odpoczynku, jak było we Lwowie — ale efektowna, ponętna, rozpala-  
jąca, połączona z obchodzeniem nieprzyjaciela, zachodze-  
niem mu na tyły i t. d. wymagająca inteligentnych żoł-  
nierzy i dowódców (tych nie brakło nam), ale dająca  
w rezultacie „zupełne rozbicie nieprzyjaciela“, nierzadko  
upy obfite i t. d. Często bez strat własnych — zupełnie,  
lub ze stratami minimalnymi.

Do tej walki nadawał się wybornie komendant tej  
grupy kap. Boruta-Spiechowicz, jakby proroczym jakimś  
duchem gen. Hallera przysłany do Lwowa w przeddzień  
wypadków listopadowych dla załatwienia innych spraw.  
Słusznie zyskał sławę wielką. Pracował bowiem szczerze  
i znakomicie. Choć sam i wszyscy „jego chłopcy“ wkrótce  
do sennych mar podobniejsi byli. Jedynie wypieki na  
twarzach zdradzały, że to ludzie żyjący. O nim też pierw-  
szym powstały piosenki żołnierskie.

Jakiż był system obrony na „miejskiej“ części frontu  
lwowskiego. Znowu było tu wszystko, co wojna nowo-  
czesna wymyśleć zdołała. Od regularnego okopu piecho-  
ciarskiego, przez system umocnionych (okopanych i odru-  
towanych) placówek, przez silnie umocnione punkty  
oporu — niby reduty ziemne, aż do tych nowych „lwow-  
skich wynalazków“ redut, utworzonych z domów i kamie-  
nic, w których okna, zasłonięte częściowo stalowymi za-  
słonami (Infanterie-Schutzschilden) były strzelnicami, a w mu-  
rach których wybijano osobne otwory małe na karabiny  
maszynowe i poszczególne stanowiska strzeleckie. Wszy-  
stko to zależnie od terenu następowało po sobie kolejno.  
Opiszę więc pod tym względem front lwowski i zacznę  
od południa. Zaczynał się on tu silną redutą — koszary  
wóleckie, dalej trzy punkty oporu (reduty ziemne) i dwie  
placówki w willach tamtejszych, znowu reduta z domów—  
rogatka Stryjska,—dalej 5 punktów oporu szkoły kadeckiej,  
ona zaś sama, zamieniona na redutę niezdobytą, czuwała  
nad nimi niby nad kurczętami, tworząc zarazem linię  
drugą. Dalej, na wzgórzu kadeckim najsprawiedliwsze  
okopy ziemne, potem system placówek, zamykających

ulice na Cytadelę wiodące, każda naturalnie z okopami wszerek ulicy idącymi. Ulica Kopernika zamknięta koło Żandarmerji okopem, ulica Sykstuska przy ostatnich swych domach wystawia placówki, a wśród nich wysunięte śmiało naprzód reduty „Poczta“ i „Kraszewskiego 5“.

W ogrodzie Jezuickim znowu okopy ziemne i znowu za nim reduta Dyrekcji kolejowej, a dalej punkt oporu na wzgórzu ogrodów Jura. Dwie dalej placówki i zaczynają się umocnienia odcinka Bema. Tu już było wszystko naprzemian — wyliczam po kolei — placówka, reduta, okop ziemny, reduta, punkt oporu, znowu reduta i trzy placówki łączące z odcinkiem sąsiednim, równie w różne typy powyższe bogatym. Znowu po kolei dwie placówki, punkt oporu (góra Stracenia), okop ziemny, reduta, okop ziemny, reduta, trzy placówki i reduta z koszar trenu. Dalej na Żółkiewskim reduty i placówki ulice zamykające, by po skręcie na zachód przemienić się znowu w okopy ziemne. To była linia pierwsza, były i dalsze w tyle, przygotowane na najrozmaitsze ewentualności bojowe.

Obsada poszczególnych punktów różna — od kilku do kilkudziesięciu zależnie od wagi i znaczenia jego, zależnie od warunków terenu, zależnie wreszcie od siły obsady nieprzyjacielskiej naprzeciw.

Przy takiej nie ciągłej obsadzie konieczne ciągłe i samorzutne współdziałanie sąsiadów. Nie da się ono uregulować żadnymi rozkazami uprzednio; tu szybka orjentacja dowódcy na miejscu, szybka, a czasami szalona jego decyzja rozcina najtrudniejsze sytuacje. Nie brakowało we Lwowie takich wymarzonych wprost, a pełnych inicjatywy dowódców i żołnierzy. Ze wszystkich tych placówek, redut, punktów oporu i t. d. biegły nerwy rozkazodawstwa wojennego w postaci cienkich drutów telefonicznych polowych do sektorów i odcinków, a stąd stałych do grup i komendy naczelnej. Od wszystkich można było zbierać meldunki bezpośrednio, wszystkim można było wydać każdej chwili rozkaz do akcji mniejszej czy

większej własnej, lub wspierającej sąsiada, znajdującego się w opresji.

Przyznam się tu do błędu, może zasadniczego, że z tego środka rozkazodawstwa wojskowego korzystano bardzo obficie. Znaczy to, że prawie wszystkie rozkazy do akcji szły drutem telefonicznym. Nie było bowiem czasu na pisanie rozkazów operacyjnych, nie było czasu i środków na ich posyłanie. Tylko rozkazy do akcji ważniejszych, albo tajniejszych szły na osobnych karteczkach do interesowanych dowódców, lub częściej były im udzielane z koniecznym wyjaśnieniem i pouczeniem ustnie w komendzie nacz. lub na ich miejscu przez osobnego wysłannika. Jeśli tylko pozwalała na to sytuacja bojowa, spełniałem te funkcje osobiście.

Prawdziwych dużych rozkazów operacyjnych, rozdzielanych wszystkim, wypisano przez czas trzytygodniowy trzy jedynie. (Rozkazy ogólne, administracyjne i organizacyjne wychodziły codziennie od 3 listopada).

Kto budował fortyfikacje? Wszak większość żołnierza lwowskiego odznaczała się tym, może cennym przymiotem, że nigdy nie była... żołnierzami, że nikt i nigdy nie szkolił jej w tym kunszcie. Wielu nie miało nigdy w życiu łopaty w rękę, nie mówiąc o kilofach i „meislach“ do rozbijania murów i betonów. Święty zapal i pouczania przez obznajomionych, od dowódców zacząwszy, stworzyły i tu cuda. Większość robót dokonana została własnymi siłami odcinków. Niektórym pomagała znakomicie i oddawała nieocenione usługi organizowana osobna kompania techniczna (o której już wspominałem) i wydzielona z niej wkrótce osobna kompania saperów lwowskich. Pracy mieli dosyć, a ochoty ni chęci nie brakło im nigdy.

Wspomnieć jeszcze muszę, że wszystkie nasze placówki i reduty, te bliżej nieprzyjaciela położone, były pozbawione możliwości komunikowania się z tyłami. W dzień nie doszłaby do nich, ani od nich ni mysz żywa, w nocy łatwiej, choć również niepewnie. Trzeba więc było urządzać skryte dostępy. Przy okopach ziemnych mogło to pójść gładziej, wystarczyło wykopać odpowiedni rów



w tył. Ale przy kamienicach i brukowanych ulicach trudniej. Lecz i tu wzięto się na przebijanie murów i urządzenie w ten sposób krytego dostępu.

Prawdziwy taki „meisterstück“ wykonano z reduty „Kraszewskiego 5“. Długi rząd kamienic, wzdłuż całej ulicy przebito i spacerowano potym swobodnie, wygodnie i pewnie. Środek ten zastosowano w kilku miejscach. W odniesieniu do poczty jednak nie dał się zastosować. Tam więc urządzono przez ul. Sykstuską improwizację kolejki powietrznej, na której jechała swobodnie, a w oczach wściekających się Ukraińców, żywność, nierzadko dymiąca jeszcze, skrzynie z amunicją i t. d. W chwilach wolnych od zajęć powyższych przejeżdżały na tej kolejce portrety różnych żyjących Ukraińców, by „się karaim wprawił w celowaniu, bo do tamtych chybiał“.

Takie więc dwa różne rodzaje walk toczyły się równocześnie we Lwowie. Ciężka pozycyjna, wyczerpująca fizycznie i nerwowo, a wymagająca od żołnierzy i oficerów najwyższej dozy poświęcenia, samozaparcia i znieczulenia i lekka, choć również fizycznie męcząca z powodu przeciążenia, ale efektowna i zapalająca wszystkich uczestników, walka podjazdowa. W tamtej brały udział odcinki I, II, III i część VI (ppor. Starck) w tej IV i V i reszta VI (Rzęsna i Kleparów).

Czytelnicy mogą zapytać, a ówcześni mieszkańcy „ukraińskiego Lwowa“ mają prawo zażądać podania motywów i powodów, dlaczego miast skupić siły do ataku na dalszą część Lwowa, rozpraszałem je, zajmując łatwo i efektownie olbrzymie, jak na własne siły, obszary. Im muszę odpowiedzieć. Poza poruszonymi już powyżej przeważały dalsze następujące powody.

Przedewszystkim nie można było dopuścić, by wytworzyła się u wylotu miasta, a z drugiej strony naszego frontu walka pozycyjna, gdyż wówczas nie starczyłyby siły nasze. (Zapobieżenie temu to jeden z głównych powodów utworzenia redut zewnętrznych, Dublan, Hołoska, Rzęsny, Sokolnik, Kozielnik. Choć znówu powód nie jedyny). Atak nieprzyjacielski stamtąd i, stąd ciężkoby

było powstrzymać. Dalej ilość potrzebnych sił naszych w wypadku rozszerzenia frontu nie tylko nie zwiększała się na tym odcinku, lecz przeciwnie można ją było zmniejszyć. Było to więc raczej zbieranie sił do ataku, który się już gotował, nie ich rozpraszanie. Konieczną było rzeczą wciągnięcie kilku wsi w sferę naszych wpływów dla aprowizacji miasta i wojska (mleko, kartofle, zboże, z drugiej siano, owies) i powiększania sił wojskowych przez ochotniczy zaciąg i pobór przymusowy. Dalej były musieliśmy mieć pewne. Wreszcie najważniejszy moment, który jedyny byłby także przechylił szalę na tę stronę, było to złączenie z planem zbliżenia się i zajęcia dworca w Skniłowie, cennego dla nas, ponieważ posiadał w osobnych, obfitych magazynach amunicję, karabiny, armaty. Nam zaś kończyła się już amunicja. Rachowaliśmy już skrupulatnie skrzynki i uczynili ich podział, to możemy wystrzelić, a z tym musimy wyruszyć na inne boje. Byłoby to dla nas tragiczne, ale trudno, twarda konieczność wojenna.

Kiedy więc wyczerpały się generalne ataki ukraińskie, kiedy dali nam wytchnienie na pierwszą noc, myśmy musieli bezwzględnie skierować wszystkie rozporządzalne siły w przeciwną stronę i miast spoczywać, uczynić krok pierwszy, a potem drugi i trzeci. Do 8 listopada byliśmy z tym gotowi i wtedy mogliśmy dopiero ogłosić naszą zdobycz w komunikatach. Do tego czasu nie wiedział nikt o tym, poza ludźmi, biorącymi bezpośrednio udział w wyprawie. Miał ją powierzoną P. K. Wiak ppor. Wolak (dalszy z tej dzielnej ale „pechownej“ dziesiątki, o której wspominałem).

Baliśmy się bowiem rozgłosu. Łatwoby przyszło Ukraińcom wysadzić magazyny w powietrze, czy puścić je z dymem.

Wreszcie pod koniec rozdziału podać muszę, ale tylko w krótkości nasze rozważania ówczesne na temat położenia strategicznego i dalszych naszych planów.

Fachowiec, a nawet laik, rzuciwszy jeno wzrok uważny na linię frontu naszego w tym czasie, dostrzeże dwa dziwne wgłębienia, dające się utrzymać tylko w walkach miejskich.

„W polu“ nie wytrzymałaby już tam żywa dusza ukraińska. Oba wrzynające się głęboko w nasz front, oba bardzo dla nas niebezpieczne, oba wykluczające wszelkie posunięcia na froncie miejskim przed załatwieniem się z nimi. Wgłębienia te to koszary Ferdynanda i Cytadela. Dwa bloki, z których pierwszy trudny do zdobycia, drugi prawie nie możliwy. Atakować frontowo drugi w obecnym momencie szaleństwo, częste ataki na pierwszy — jak dotychczas — bez skutku. Zamykać powoli pierścień otaczający ich — czyli cernować je — próbowano. Koło Cytadeli dwukrotnie (zajęcie ul. Supińskiego i wylotu Zyblikiewicza). Nie zdołano się tam utrzymać. Ile razy byliśmy w ciągu walk lwowskich koło kościoła św. Anny, lub w głębszym obchodzeniu, koło zakładu karnego (Brygidek), by zamknąć ostatecznie koszary Ferdynanda, wystarczy przejrzyć komunikaty, choć nie wszystkie wypadki w nich wspomniane. Za każdym razem odbito, kilka razy wybito... wszystkich; żołnierz lwowski bowiem nie lubił się cofać.

Można więc było wziąć je tylko okrążeniem, szerzej zakrojonym, któreby pozwoliło cernować je t. j. zamknąć w szerszym kręgu, a potym go zmniejszać. Albo sposobem, w ostatniej wojnie często praktykowanym, od spodu, a raczej z pod ziemi, przez wysadzenie. Środków wybuchowych mieliśmy dość.

Zgłaszający się jako ochotnik do wojska inż. Rechowicz (przeud. Rak), docent Techniki lwowskiej, zatrzymany i przydzielony do komendy nacz. otrzymał polecenie wystarania się o plany kanałów i warstwicowe plany miasta i przeprowadzić konieczne obliczenia w odniesieniu do tych dwu obiektów. Na wykonanie podkopu pod Cytadelą wymagał 500 robotników i 2 tygodnie czasu; pod koszary Ferdynanda można było użyć kanałów miejskich. Robota wraz z ładowaniem około tygodnia.

Postanowiono więc spróbować najpierw sposobu pierwszego, a gdy się nie uda przystąpić do wysadzenia koszar. Roboty minierskie miał prowadzić por. Olechowski i zorganizować potrzebną partję robotników i kanalarzy.

Ale dlaczego miast tentować tu przełamania nie poszliśmy naprzód prawym naszym skrzydłem (frontu miejskiego) tj. peryferją miasta.

Długo by trzeba o tym mówić, by wszystkie ówczesne argumenty wyczerpać. Podam tylko to, co powiedziałem inż. Hausnerowi. Tam można pójść naprzód, ale musi się wtedy w jednym, a najwyżej dwu dniach sprawę załatwić. Na to potrzeba dziś 500 ludzi, a tych niema.

Wszakżeż ze szkoły kadeckiej mogliśmy się bez walk prawie posunąć, aż na wschodni wylot parku stryjskiego i jeszcze dalej. Posunięcia tego jednak zabroniono. Dlaczego? Uważna obserwacja przebiegu frontu pokaże każdemu, że wyrzucenie nasze było już tam znaczne. Z dotychczasowych bojów wie każdy, że tam wrzały najzaciętsze i dla nas najniebezpieczniejsze walki. Tam bowiem zbiegała się linia kolejowa i gościniec ze Stanisławowa, tam także uchodził gościniec ze Stryja. Tymi komunikacjami przychodziły Ukraińcom wciąż posiłki, które oni rzucali do ataku od czoła wyrzucenia (a więc wschodu) i od flanki wyrzucenia (a więc z południa). Mogli zaś wyrzucenie to zaatakować i od Cytadeli (a więc od strony północnej). Na możliwość takiego koncentrycznego ataku trudno było się samemu narażać, gdyż przegrano by pewnie.

Zresztą posunięcie się tam jakiegokolwiek powiększało nam natychmiast *front* (nie linię placówek) dwukrotnie, bo i od północy i od południa, i przedłużało naszą i tak bardzo czułą flankę. By tam pójść naprzód trzeba było mieć zabezpieczony silnie przynajmniej tor koło Persenkówki. To była akcja dla pociągu pancernego, który dopiero tydzień się robi—a obiecano go za dwa tygodnie.

Tam tylko śmiały atak, odrazu przeprowadzony aż do skutku mógł się udać. Posunąć się zaś tam naprzód i stanąć, to narażać tę grupę na ataki z trzech stron równocześnie, których nikt w polu nie wytrzyma.

Mieliśmy wiele trosk o tę flankę naszą od Persenkówki i Stryjskiej. Utrzymano ją cudem prawie. Po-

większać ją i przedłużać przy tych samych siłach byłoby szaleństwem.

Tam potrzeba nam było do ataku 500 ludzi, a my mogliśmy zebrać niecałą setkę. Wobec tego jako jedyny wybór, albo organizować dalej, albo spróbować tą setką posunąć się dalej w mieście i załatwić choćby z jednym z ukraińskich bloków.

Posunięcie się nadto w mieście, aż do linii Karola Ludwika — mniej więcej — nie tylko nie przedłużało nam frontu, ale przeciwnie skracało go i to znacznie.

Musiano go więc spróbować i dążyć do skrócenia frontu, tymbardziej, że wierzono dużo w skutek końcowego na gwałt—dzień i noc—samochodu pancernego.

Wspomniane już „studja nad kanałami“ naprowadziły na myśl, czy nie dałoby się użyć ich do akcji bojowej. Studjował więc Rechowicz ich przekroje i ich wyjścia. Niestety, odpowiednie dla ludzi przekroje znalazły się, ale wszystkie ich otwory leżały nie tam, gdzieby nam się przydać mogły. Najbliższe wyjście w ul. Romanowicza. Co nam może dać wysadzenie ludzi w tamtym miejscu? Drugie wyjście, możliwe do użycia dla nas, koło wodociągów na Zielonej. Tam prędzej zajdą „nasi chłopcy“ wierzchem, ziemią. Uważaliśmy, że wyjście musi być położone tak, by bezpośrednio po wyjściu „kanalarzy“ mógł nastąpić równoczesny atak ich od tyłu, a frontu naszego od przodu. W takiej sytuacji prawdopodobnie nie wytrzymałaby żadna z placówek, czy redut ukraińskich. Wynikiem więc takiej akcji musiałoby być łatwe i niekosztowne przesunięcie frontu. Ale wysadzać ludzi daleko za frontem ukraińskim, a tuż pod boki koszar, pełnych Ukraińców, to chyba tylko tworzenie nowej, aktywnej reduty dla walki samodzielnej. W pobliżu mieliśmy jeszcze obsadę reduty, która na rozkaz swej aktywności czekała już od 1 listop. (Dom Akademicki).

Odłożono więc bojowe „historje kanalarskie“, a połączono jedynie kap. Sulimirskiemu użycia ich do transportu ochotników z wejściem przy wodociągach miejskich.

Wkrótce też przyszła pierwsza partja takich „kanalarzy“, coś ze 60 ludzi licząca.

Kanałów użyto nadto do... połączenia się telefonicznego z „miastem ukraińskim“.

W pocziwym, kochanym Lwowie długo nie utrzymała się tajemnica tymbardziej, gdy tylu ludzi dziennie używało tego przejścia. Wkrótce więc mieliśmy meldunki, że Ukraińcy w kanały patrzą (naszego przejścia nie wypatrzyli), a nieco później „pozytywną wiadomość“, że „karaim gotuje atak kanałami“. Ponieważ wyjścia tych kanałów po naszej stronie były właśnie takie, jakbyśmy chcieli mieć po przeciwnej stronie, musieliśmy wziąć poważnie to ostrzeżenie i zabezpieczyć się odpowiednio.

Kazano więc w kanałach poprowadzić dzwonki elektryczne (tego jeszcze nie było) na przerwanie czułe, a u wyłotów przygotować flaszę z... bezwodnikiem węglowym. Mogliśmy więc dalej... spać spokojnie (gdyby czas był na to) i czekać, by ich tam wlało jak najwięcej. Wyjść nie zdołałby żaden. O transportach naszych zawiadamiano nas telefonicznie. Czynił to inżynier wodociągów miejskich, B. Paykart \*).

Tak więc na razie zostawała nam tylko walka ziemna.

Gdybyśmy obecnie zechcieli podać dokładną cyfrę w tym czasie wojska Ukraińców przyszłoby nam to z trudnością. Polskie biuro wywiadowcze komendy nacz. zorganizowane i prowadzone znakomicie przez kap. Stasiniewicza, wiedziało zawsze o każdym przesunięciu, zmianie, czy wzmocnieniu u Ukraińców, miało wiadomości dokładne o rezerwach, stanowiskach artylerji, karabinów maszynowych i ich zmianie. Cyfry jego, jeśli chodzi o linię frontu

---

\*) On był także pierwszym, który sam z własnej inicjatywy użył tej „wygodnej drogi“ i prosto po wyjściu przybiegł do kom. nacz. by jej poradzić użycie tej drogi. Było to właśnie w czasie studjów Rechowicza.

W trzecim tygodniu walki przysłał plan bojowego użycia kanałów kap. Sulimirski. Plan ten musiał podzielić na razie losy zadań Rechowicza.

ukraińskiego, były zawsze bliskie prawdy. Ale jeśli podawano cyfry ogólne, zsumowane, wychodziła liczba tak znaczna, że nigdy jej wierzyć nie chciałem.

Pewne było bowiem, że z oddziałów ukraińskich uciekali przy pierwszej sposobności wszyscy zaciągnięci terrorem lub przymusem i ci mniej ideowi i nie chcący ginąć za Ukrainę. Sposobności do dezercji było dosyć po odpartych atakach, lub na służbie w mieście tymbardziej, że świeże te oddziały pchali oni prawie zawsze zaraz do ataku. Z tego powodu nie mogę podać ściślej cyfry wojska ukraińskiego, z tego to powodu cyfry biura wywiadowczego, otrzymywane ze sumowania wszystkich oddziałów i przybywających posiłków nawet po odjęciu stwierdzonych przez nas strat i dezercji były za wysokie.

W każdym razie to jedno pewne było ich więcej — znacznie więcej niż nas.

O technice rozkazodawstwa wreszcie słów kilkoro. Komenda nacz. uważała się od początku powstania swego za komendę wyższego rzędu. Fachowcy to zrozumiały, im nie potrzeba objaśniać. Dla laików, czytających i chcących także zrozumieć należyście, krótkie wyjaśnienie konieczne.

Najniższa jednostka wojskowa, wydając rozkazy do akcji, musi nakazać równocześnie, co ma być zrobione, jak i kim. Wyższa, w tym wypadku baon, nie może już polecać kompanji użycia w tym miejscu tego plutonu, lub przepisywać dokładnie, jak ma iść, jak wykonać i t. p.

Ma więc ograniczone rozkazodastwo co do „jak i kim“. Czym wyżej, tym bardziej postępują ograniczenia „jak i kim“, tym do większych jednostek bojowych się odnośzą. Aż dochodzi się wreszcie do takich formacji wojskowych (normalnie dywizje), które otrzymują tylko rozkazy „co ma być zrobione“. „Jak i kim“ jest ich wyłącznie sprawą. Zrozumiałe, że prawo kontroli niższych dowódców przez wyższych, prawo korygowania ich itd. jest dostatecznie zawarowane w wojsku.

Otoż lwowska komenda nacz. nigdy nie zeszła w rozkazach swoich do typu komend najniższych — byłoby to szalonym jej błędem lecz postępowała wyżej rów-

nomiennie z organizacją jednostek bojowych coraz to wyższych. Z chwilą utworzenia więc trzech grup — uważanych przez nas za równoznaczne z pułkami, stanęła sama na stanowisku niejako dowództwa dywizji — podkreślałam pod względem istoty rozkazodawstwa, o tytuły nikomu nie chodziło we Lwowie — i w myśl tego rozkazywała, co ma być zrobione, w ogólnych rysach, jak ma być zrobione (więc tu markowanie, tam obejście i t. d.). Kim, było już rzeczą odcinka — jak zresztą we wszystkich wojskach. Do nich należało także dalsze dokładne przepisanie ilości i jakości sił użytych i drobiazgowego określania zadania poszczególnych oddziałów.

Stąd to każdy dowódca w wojsku od dowódcy plutonu w górę ponosi pewną dozę odpowiedzialności i zasług za każdą operację — udaną czy nie. Idąc z góry na dół zwiększa się odpowiedzialność za wykonanie, odwrotnie, a więc z dołu do góry coraz to większa odpowiedzialność za plan, aż dochodzi się do tego ciała, które wyłącznie plan powzięło.

Jeśli więc odcinkowi pewnemu dano wyłącznie zadanie defenzywne: „masz się bronić“, to nie trzeba było oznaczać, gdzie ma stawiać placówki, kiedy i gdzie wysyłać patrole, jak dzielić siły swoje na linię pierwszą i rezerwy itd. itd. To wszystko było jego rzeczą — choćby ten stan trwał latami. Robił to dobrze, zasłużył na pochwałę, robił źle, szedł w odstawkę, lub do odpowiedniejszego dlań zajęcia.

W ofensywie znowu, gdy powiedziano tylko: „odcinek X ma zrobić Y“, to do niego należała decyzja, którymi pójdzie on ulicami — naturalnie w obrębie swego odcinka, ile ludzi i jakie oddziały pośle poszczególnymi ulicami i t. d. To wszystko należało do samodzielnej decyzji dowódcy odcinka. Naturalnie wyższy dowódca ma prawo zawsze omówić, poprawić, skontrolować i t. d.

Tym abc wojskowym zakończę rozdział niniejszy.



## DALSZE BOJE.

Z poprzedniego rozdziału wiedzą czytelnicy, że na najbliższą przyszłość zdecydowano się pod względem wojsko-wo-strategicznym na dwie różnorakie akcje. Jedna, to ścięcie jednego, lub, gdyby się udało, obu „ukraińskich klinów“, wchodzących głęboko we front nasz i bardzo dla nas niebezpiecznych i groźnych — szczególnie koszary Ferdynanda z powodu bliskiej ich odległości od dworca głównego. Druga konieczność to opanowanie Skniłowa, a raczej dworca skniłowskiego i zdobycie tam nowej amunicji i uzupełnienie kończących się naszych zapasów. Od udania się tej akcji uwarunkować musiano rozpoczęcie akcji miejskiej, musiała się więc odbyć przed nią.

Ją więc naprzód opiszę. Plan jej prosty. Kap. Boruta uderza na Skniłów — wieś odległą dosyć znacznie od dworca — ppor. Wołak z placówką swoją z „Merkurego“ (fabryka chleba), wzmocnioną odpowiednio, uderza wzdłuż toru kolejowego, opanowuje i ubezpiecza dworzec. Postępująca zaś za nim „partja kolejowa“ (jeden próżny pociąg ciężarowy z robotnikami i 2, parowozy), zabierają i uwożą natychmiast wszystkie stojące tam, a niewyładowane wagony i ładują do pociągu, ile tylko się da. Obawiano się bardzo, by Ukraińcy nie dowiedzieli się o właściwym celu naszym i nie unicestwili go przez łatwe dla każdego podpalenie magazynów. Stąd konieczność bezwzględnej tajemnicy wobec wszystkich. Sam plan omówiłem na odprawie ustnej jedynie z podpor. Wołakiem, kierownikiem akcji piechotnej, majr. Śniadowskim, który osobiście wziął udział w akcji, jako fachowiec-artyleryzysta i zarządzał wagonowaniem potrzebnych nam sort i łącznikiem kolejarzy insp. Kozubskim, który miał zorganizować i dostarczyć potrzebny tabor i personel kolejowy wraz z robotnikami

i utrzymać przed nimi bezwzględną tajemnicę aż do chwili wyruszenia, tak samo zresztą, jak przed wszystkimi żołnierzami.

Akcja sama poszła bardzo składnie. Już od południa 7 listopada zaczął się Boruta borykać ze Skniłowem i ściągnął tam powoli całą uwagę grup nieprzyjacielskich. Tymczasem pod wieczór uderzył Wolak w zupełnie innym, a dla nas właściwym kierunku i opanował błyskawicznie dworzec, biorąc do niewoli część tamtejszej załogi (1 oficer, 50 żołnierzy). Natychmiast, jak zbiry na ofiarę upatrzoną, rzucili się na magazyny amunicyjne mjr. Śniadowski ze swymi artylerzystami i dzielni kolejarze. Kilkadzieścią wagonów stało naładowanych (34). Czy były to wagony niewyładowane przez dawny zarząd austriacki, czy też naładowane już przez Ukraińców gwoili wywiezienia, niewiadomo. W każdym razie dla nas praca ułatwiona.

Przyprzężono tylko wspomniane już dwie maszyny i jazda do Lwowa. Tymczasem ładowano na przywieziony pociąg amunicję karabinową i karabiny, armaty i potrzebne nam sorty amunicji artyleryjskiej. Praca nie była łatwa, gdyż oddział Wolaka staczał przez cały czas uporczywą walkę z nacierającymi Ukraińcami, którzy szybko się zorientowali i podpalili znajdującą się niedaleko część tartaku (austriacki) i składy desek. Przy ogromnej łunie postępowała szybko naprzód praca i nad ranem (więc już 8 list.) odjechał drugi pełny pociąg do Lwowa. Jego miejsce zajął inny, próżny i gotów równie chętnie przyjąć w swe czeluście wagonowe bezcenne skarby.

Nie dokonano jednak tej pracy i z pewną tylko częścią pełnych wrócono do Lwowa. Oddział Wolaka musiał się cofnąć, poniosłszy poważne straty (przeszło połowę swego stanu).

Wzmocniono więc oddział jego i wieczorem 8 wyruszyła druga taka sama wyprawa, która tym razem zabrała z magazynów wszystko, co mogliśmy potrzebować we Lwowie.

Wtedy dopiero można było podać zdobycz naszą do komunikatu. Była ona przeobfitą. 12 armat 8000 karabi-

nów, około 10 milionów strzałów karabinowych, moc amunicji artyleryjskiej, a z walk 4 karabiny maszynowe. Pozbawiło to komendę nacz. wielkiej troski. Nie przerażało nas, że cała zdobycz wyłącznie rosyjskiego systemu. Przebroić oddziały—dotychczas miały one wyłącznie karabiny austriackie „Mannlichery“,—to praca żmudna i ciężka, ale po mistrzowsku przez kap. Baca dokonana. Musiał sprawić się z tym szybko, bo chcieliśmy zaoszczędzić amunicji austriackiej dla licznych już naszych karabinów maszynowych. (Schwarzlose 7/12). Jakże szalone miał przy tym trudności, wystarczy nadmienić, że z każdym karabinem musiał zająć aż na pozycję i tam zmieniać równocześnie karabin i amunicję. Wielu jednak obrońców nie chciało mieniać nowych Mannlicherów na stare rosyjskie, może częściowo pod wpływem błędnego „austriackiego przekonania“, może także dlatego, że austriackie były z bagnietami, rosyjskie bez bagnietów, dość, że wielu sprytniejszych zachowało na długo jeszcze karabiny austriackie.

Nie potrzebuję opisywać, jakie trudności powstały z tego powodu dla kapt. Baca przy zaopatrywaniu oddziałów w amunicję.

Przy dwu rodzajach karabinów maszynowych i karabinów ręcznych dostać każdemu oddziałowi i na czas potrzebną amunicję. Podziwiać można jego pracę, ale nie zazdrościć. (Sam też nie mógł podolać jej ogromowi i wkrótce — około 17 — musiał otrzymać pomoc w osobie dzielnego, legionowego czwartaka por. Adjukiewicza, członka P. O. W. i początkowo komendanta Dublan).

Zapoczątkowane akcją powyższą „walki skniłowskie“ toczyły się bez przerwy aż do 10 list. i jak zawsze na wojnie ze zmiennym, lub co najmniej wahającym się szczęściem. 7 i 8 list. pod samą wsią — częściowo we wsi, 9 z rana krwawił się zakład kulparkowski (dla obłąkanych), którego nie uszanowali Ukraińcy i nad ranem obsadzili.

Po uciążliwej walce wyparci stamtąd przez Borutę, który pognał teraz sam za nimi aż do Skniłowa i sprawił im tam wcale przyzwoitą łaźnię. (Jak osobiście meldował, zabił sam własnoręcznie dwu Wityków, których identycz-

ność stwierdził. Początkowo przypuszczaliśmy, że wśród nich poległ także poseł Wityk, ukraiński socjalista, który w tamtych stronach organizował chłopów do walki, ale przypuszczenie to okazało się nietrafne. Czy to byli jego jmiennicy, czy bracia, czy też kiepska informacja Boruty—niewiadomo).

Noc jednak powstrzymała dalszą akcję Boruty. Na drugi dzień (10 list.) wysłano więc tam „Wilków“ lwowskich (kawalerję) pod dow. bohaterskiego por. Krynickiego. Sprawili się oni dzielnie. Otoczywszy wieś, przekonali mieszkańców o bezskuteczności oporu. Wieś się poddała i wydała broń (112 karabinów) i amunicję.

Z walką skniłowską wiązą się ściśle 2 epizody, nieudały sokolnicki i pomyślny zimnowódzki. Przedstawię je więc po kolei.

Zmuszeni do zabezpieczenia i rozszerzenia tyłów swoich z powodów, w poprzednim rozdziale wyłuszczonych, nie mogliśmy nie myśleć o oparciu tyłów naszych o forty austriackie, wybudowane znakomicie (ziemno-betonowe), na punktach dominujących. Część ich znajdowała się już w naszym posiadaniu w Rzęśnie Polskiej i mimo słabiutkiej tamże obsady szerzyła znaczny, a usprawiedliwiony i zrozumiały postrach wśród zbierających się przed nimi band i trzymały je w przyzwoitej odległości. Dalsza ich linja biegła przez Zimną Wodę, Skniłów, Sokolniki, z wyjątkiem środkowej obie czysto polskie wsie. Zorganizowanie i wciągnięcie ich do walki dawało nam poza ogromnymi korzyściami taktyczno - strategicznymi i koniecznościami żywnościovymi jeszcze korzyści cyfrowe. Mogło nam pozwolić zmniejszyć naszą obsadę frontu zachodniego, gdyby wsie dały własnego rekruta. Zresztą liczyliśmy się z tym, że nawet obsada własna na linii fortów będzie mogła być liczebnie słabszą, od obsady na dotychczasowej linii, a mimo to „pewniejszą“.

Odkomenderowano więc 7 listopada pewnych oficerów (por. Stark — nie ten z Zamarstynowa i Mossoczy), celem zorganizowania Zimnej Wody. Poszedł w tym dniu rozkaz do reduty w Sokolnikach stania się „aktywną“

Przygotowana — jak wiadomo — przed „listopadem“ zorganizowała się — ciągle potajemnie — w pierwszym tygodniu walk świetnie. Doszła do siły 200 bagnetów, a nawet przekroczyła ją nieznacznie. Jedno tylko miała przykre—a częściowo usprawiedliwione i zrozumiałe zastrzeżenie—że bronić będzie jedynie wsi swojej; do Lwowa wciągnąć się nie da. Mimo to uzbroiliśmy ją i postanowili odpowiednio wykorzystać nawet z tym zastrzeżeniem, że będą walczyć tylko „na własnych śmieciach“, raczej na fortach niezdobytych, wybudowanych wspaniale tuż przed wsią na południu. Cwiczono więc młodych, chowano umiejętnie karabiny i... czekano na rozkaz zaczynania.

Rozkaz ten wydano 7 pod wieczór, uważając ją na razie — aż do załatwienia sprawy dalej na zachód — za eksponowaną redutę. Nie zwinięto więc leżącego za nią—w odległości około 6 km.—frontu lwowskiego.

Następnego zaraz dnia (8 list.), oddała ona znakomite usługi. Kiedy bowiem Ukraińcy zaatakowali w tym dniu linie nasze od strony Persenkówki i wpakowali się — jak to zresztą już przedtym czynili—w przestrzeń wolną między Sokolniki, a front lwowski—(Bednarówka i wschodnia część Kulparkowa) — wzięci w dwa ognie z przodu od Lwowa i z tyłu od Sokolnik takie dostali cięgi, że załatwiono się bardzo prędko z atakiem ich na całym tym odcinku. Takie działanie redut podmiejskich było jednym z celów ich tworzenia, teoretycznie im dawanych.

Nie długo jednak trwała radość nasza. Tego samego dnia przyniesiono nam meldunek ze złowróżbyim pismem. Mieszkańcy sąsiednich—na południe—wsi ruskich (Sołonki Małej i Wielkiej) wystosowali do gminy Sokolnik pismo po polsku, które w całości przytoczę w dodatkach. (Patrz dodatek № 27).

Zredagowane sprytnie, zapewne pod wpływem tamtejszego księdza ruskiego, czy jego syna, oficera ukraińskiego, obiegło błyskawicznie całe Sokolniki i wywarło wpływ zgubny. Dowódca meldował, że czuje się bezsilnym. Wysłano mu więc ludzi, lepiej w agitacji wyrobionych, by tłómaczyli właściwy cel pisma.

10 list. pokazała się od strony Sołonki słaba tyraliera (obliczana na półtorej setki). Zaalarmowani mieszkańcy Sokolnik wyszli uzbrojeni, lecz na rozkaz obsadzenia fortów odpowiedzieli gremialnie, że „bić się nie będą z braćmi i włościanami“. Karabiny *rzucano* do przepływającego przez wieś potoku, tworzącego mały stawek, i udali się spokojnie do domów, czując się zapewne bardzo szczęśliwymi i roztropnymi.

Na miejscu zbiórki zostało wraz z oficerami (7) niespełna 20 ludzi. Ci więc opuścili wieś rodzinną—ojcie zbalałmucone i matki niewinne—i poszli bez walki (podkreślam to) do Lwowa.

I przyszli bez walki „bracia-włościanie“, a wśród nich większość „braci sąsiadów“ (tych z Sołonki, którzy pismo pisali) podpisani pod tym pismem byli także wśród nich—i zaczęło się „bratanie“ i „bracka uczta“, której opisać nie jestem zdolny.

Dla nas we Lwowie była wystarczającym jej określeniem szalona luna, przez całą—prawie trzykilometrową—wieś się ciągnąca, odrazu w kilkudziesięciu miejscach powstała i trwająca przez długich dni i nocy... trzy. Wkrótce potym wieści... ksiądz zamordowany, nauczyciel pokiereszowany strasznie, wójt skłuty bagnetami, liczba mordów wśród dzieci, niewiast i mężczyzn podawana powyżej setki.

Wczorajsza wieś bardzo zamożna obrócona w całości w perzynę, wczorajsi kmiotkowie, zaopatrzeni obficie w środki żywności, przeszli na „chleb łaskawy“ do Lwowa, straciwszy wszystko... obejście i zbiory, inwentarz i sprzęty dostatek i szaty, szczęśliwi, że chyłkiem pomiędzy opłotki udało im się ująć z życiem \*).

---

\*) Złamałem pióro własne przed opisem ukraińskich zbrodni i zwierzęcego zaiste — rozbestwienia. Przytoczę tu jednak opis „herojskiego czynu“, umieszczony w „Strilcu“, ukraińskim piśmie żołnierskim, przez autora czynu, chorążego—więc oficera—zapewne gwoli „zbudowania i pouczenia żołnierzy nowej republiki“. Podpisał się pod nim imieniem i nazwiskiem, więc nie wstydził się, lecz chętnie się czynem. Mnie znany z opowiadania jeno, żałuję,

I przyjął ich Lwów, jak nieszczęśliwych braci rodzinnych, umieszczono ich po mieszkaniach prywatnych i budynkach szkolnych i żywiono przez cały czas ośmiomiesięcznych bojów lwowskich.

Wtedy dopiero powiększała się powoli grupka żołnierzy sokolnickich i doszła do pełnej kompanii — jednej z najdzielniejszych (41 p. strz. lw.) Wytrwała przez całe boje lwowskie.

Tymczasem powoli — jak z kamienia — postępowała organizacja sił zbrojnych w Zimnej Wodzie. Posłany tam oddziałek powiększał się bardzo nieznacznie. Nie pomnę już dnia — czy było to przed pożarem sokolnickim, czy tego samego dnia — zgłosiła się w komendzie nacz. delegacja gminy z Zimnej Wody, z wójtem na czele, z prośbą o wciągnięcie Zimnej Wody w obręb frontu lwowskiego,

że nie dostawszy tego „druku“ nie mogę przytoczyć opisu w cudysłowach, lecz podać tylko tok myśli.

W chacie X (nb. w Sokolnikach) zastałem starą matkę i 4 synów. Strzeliłem w łeb jednemu, drugiemu i t. d. „Proklata laszka“ wyła przez ten czas z bólu i przed ostatnim strzałem rzuciła się na ziemię i „całowała buty moje“, błagając, bym darował życie, ostatniemu, najmłodszemu z jej dzieci. Kopnąłem w stary czerep laszki, a nahaż uprzytomnił ją prędko i t. d. Kazałem jej kopać grób dla ostatniego „jedyńaka“, a kiedy leniła się, nahaż i kolby i t. d. Gdy skończyła pracę swą, w jej oczach przyłożyłem rewolwer do skroni i t. d. Potym kazałem podpalić domostwo, a kiedy laszka wyła za mocno, jej samej kolba koniec położyła.

Ile przytym było „ubocznych znień“ nie potrzebuję opisywać.

Oto opis oficera ukraińskiego, „człowieka inteligentnego i kulturalnego“, który umieszcza go i drukuje pod własnym nazwiskiem w piśmie żołnierskim w „wolnej i swobodnej derżawie ukraińskiej“.

Zaprawdę wierzyć się nie chce, że działo się to w wieku XX.

Takich zbiorów ludźmi ich nazwać nie można — operowało tam wówczas więcej.

Jednego tylko z nich zasłużona spotkała kara. W ośm miesięcy później (w Zbarażu już się to działo) wpadł na kompanię sokolnicką. Poznał go maleńki chłopczyzna i z okrzykiem nieludzkim: „tyś mi matkę zamordował“ rzucił się nań. Żadna siła nie powstrzymałaby tej kompanii od krwawego samosądu. Niczym dobiegliśmy (a było wszystkiego kilkadziesiąt kroków) na ziemi leżała już bezkształtna masa.

Pod sąd sprawców nie mogłem oddać.

o obsadzenie jej wojskiem polskim. Gdy im czyniono wymówki, że tak opieszale zaciągają się tam u siebie do wojska polskiego, otrzymałem odpowiedź, że—cytuję dosłownie—„boją się wstępować do wojska jako ochotnicy, boby się z nich *śmiali*“. Prosili więc, by urządzić u nich przymusowy pobór. „No, jeżeli chodzi o to tylko, da się to wnet załatwić“, odrzekłem i obiecałem w najbliższych dniach dojść z wojskiem do nich. Omówiliśmy jeno jeszcze szczegóły poboru.

Jakoż wkrótce, bo już 11 list. otrzymaliśmy pozytywne wiadomości, że w lesie biłohorskim (znanym nam już) gromadzą się znowu znaczniejsze siły ukraińskie. Ponieważ równocześnie gromadziły się groźne chmury na innych naszych horyzontach, nie mogliśmy czekać spokojnie, aż wszystkie uderzą na nas zewsząd. Otrzymał więc Boruta rozkaz rozbicia ich i uprzedzenia w ten sposób ich ataku, a zarazem ścigania ich aż poza Zimną Wodę. W niej zaś urządzić pobór i zostawić pewną ilość żołnierzy, traktując ją na razie jako eksponowaną placówkę.

Świetnie jak zawsze wywiązał się Boruta z tego zadania mimo znacznej przewagi ukraińskiej. Siły ich oceniano na pół tysiąca. Zaatakował ich z przodu—więc od strony Lwowa — słabymi patrolami, dowodzonymi przez ppor. Lubaczewskiego i Hrabka, gros zaś sił własnych skierował do ataku okrzydlającego z prawej ich flanki i od tyłu. Od północy zaś ruszyła na nich część obsady Rzęsny Polskiej. Kiedy jeszcze na tyłach ukraińskich pojawiły się Wilki lwowskie, tamże dyrygowane, walka przerodziła się szybko u Ukraińców w popłoch, a przy dalszym następowaniu naszym w zupełną rozsypkę i klęskę. Zajęto więc Zimną Wodę i Rudno i zdobyto wówczas u parocha tamtejszego ukr. Hannickiego one dokumenty ukraińskie, świadczące niezbitcie o uprzedniej i zgodnej robocie, przygotowującej zamach ze strony Ukraińców, nieboszczki już Austrii i dogorywających bojowo Niemiec.

Komendantem Zimnej Wody został por. Roman Mosoczy (lwowski śpiewak operowy) i zorganizował błyskawicznie z poboru pełną kompanię (późniejsza komp. 6/1 p.



strz. lw.). Stanęli do niej wszyscy miejscowi, którzy tylko bronią mogli władać. Połowę jej prawie stanowili inwalidzi austriaccy. Oprócz przepisanej i odebranej od wszystkich przysięgi wojskowej pewna ich część — około pół setki — składała sama ułożoną przez siebie przysięgę, że póki im życia nie opuszczą Zimnej Wody przed atakiem ukraińskim. Przysięgi tej dochowali wiernie.

Zorganizowana więc i stale od 12 list. czynna Zimna Woda nie wpuściła już do siebie Ukraińca (poza późniejszym kilkugodzinnym epizodem) i nie miała powodu do narzekań, bo ocaliła wieś w całości. Dla nas—w walkach czysto lwowskich — stanowiła poważną korzyść, bo wspólnie z Rzęsną ubezpieczała znakomicie dwa tory kolejowe i najwrażliwszy nasz punkt, dworzec kolejowy. Było to z korzyścią mimo niemożności przeprowadzenia w całości planu oparcia się o forty z powodu incydensu sokolnickiego.

Od tego też czasu można było zmniejszyć bojową obsadę dworca i uważać ją jako drugie zabezpieczenie i drugą rezerwę, lub używać do walk na innych odcinkach lwowskich.

Jakież przedstawiały się w tym okresie—od 7—11 wł.—walki na naszym froncie wewnętrznym, na froncie miejskim. Spokój nie było tu przez cały czas. Pomijam nadzwyczajną bliskość frontu i potrzebę ciągłej z tego powodu czujności i ciągłej strzelaniny wedet i czujek. Rozgrywały się tu w tych dniach walki zacięte i zażarte.

Z różnych względów — nie bojowych jednak — musiałem się zgodzić na próbę opanowania Cytadeli atakiem czołowym. Miała ona się odbyć bezpośrednio po odparciu silnego ataku ukraińskiego, jako pewnego rodzaju nasz kontratak. Tymczasem mogła się rozpocząć dopiero 7. Projektodawcy (kap. Łapiński) liczyli na skuteczne działanie artylerji naszej. Przeliczyli się. Próba nie wyszła prawie poza pozycje wypadowe i ugrzęzła bez znaczniejszych strat z naszej strony.

Przygotowywano natomiast systematycznie i planowo inne uderzenie nasze, mające za zadanie ściąć klin ukraiń-

ski w koszarach Ferdynanda. Atak ten miał się odbyć w „towarzystwie auta pancernego“, musiał więc czekać na jego wykończenie. Próba odbyła się 7 listopada (zwracam uwagę na czas rozpoczęcia tych robót), wykazała jeszcze pewne braki, które mogły być w ciągu nocy usunięte. Przez 8 listopada ukończy się przygotowania wszelkie i wyćwicz obsadę auta. Atak może się więc zacząć 9 listopada.

Na 7 więc wieczorem zwołano na odprawę wszystkich dowódców oddziałów bojowych, zależnych od kom. nacz. a więc wszystkich dowódców odcinków i grup, dowódców artylerji, kawalerji, oddziałów technicznych, amunicyjnych i t. d.

Ponieważ chodziło nam w akcji tej o ścięcie klina „koszar Ferdynanda“ i sforsowanie tych kilku ulic prostych, uniemożliwiających nam wszelki ruch naprzód, a wykluczających z powodu braku przecznicy obejście (więc ulic Kopernika, Sykstuskiej i t. d. aż do Kaźmierzowskiej), przeto zrozumiałe, że właściwa akcja musiała wyjść z odcinka III (kap. Łodzińskiego).

Było tylko kwestją ważną, którędy skierować główne uderzenie, to znaczy, którymi ulicami puścić auto pancerne i główną kolumnę atakową i jaki dać jej cel najbliższy. Wydawało mi się — nie wiem, może niesłusznie — że gdyby ta grupa opanowała ulicę Karola Ludwika (w okolicy teatru miejskiego), załatwiłaby się automatycznie z całym frontem ukraińskim aż po ul. Kopernika włącznie. Front ten byłby bowiem zupełnie odcięty (ogniem). Niktby nie potrafił dojść do tych wszystkich placówek, ani niczego im donieść. Byłyby one zamknięte między dwiema ulicami prostymi, a to Kopernika, opanowaną w całości ogniem z poczty (z reduty Piłsudskiego) i Karola Ludwika, na której ogień od teatru zmiatałby wszystkich.

Idealną do tego uderzenie ulicą byłaby ul. Kaźmierzowska, lecz tej właśnie nie mogliśmy użyć, ponieważ zupełnie była rozkopana od kilku miesięcy (z powodu miejskich prac kanałowych). Zostawały więc tylko kręte i wą-

skie, a źle brukowane, o ogromnych wybojach uliczki „Żydowskiego miasta“ (na lewo od niej), albo najbliższa na prawo, znakomicie wybrukowana ul. Mickiewicza i w dalszym jej przedłużeniu Jagiellońska.

Na odprawie dałem bezwzględne pierwszeństwo „Żydowskiemu miastu“ i poleciłem wyszukać tam odpowiednie ulice, a dopiero gdyby to absolutnie było niemożliwe, raczej uderzyć tam bez auta, a autem „markować“, demonstrować uderzenie w ul. Mickiewicza.

Nie zabrało wiele czasu określenie demonstracji na innych odcinkach miejskich, (najsilniej nakazano szkole kadeckiej i grupie Cytadeli) i omówienie wszystkich wypadków koniecznych posunięć w miarę postępu akcji głównej.

Ilość sił, jakie dodatkowo dano do rozporządzenia odcinkowi III (poza jego obsadą) niewiele przekraczała setkę, a wyciągnięto ją ze wszystkich innych odcinków. Naturalnie o artylerji i oddz. technicznych nie wspominam.

Dowództwo nad całą tą akcją otrzymał z ramienia komendy naczelnej por. Łapiński. Było to konieczne ze względu na potrzebną współpracę kilku odcinków i jej uregulowanie, dalej chciałem, by każdy oddziałek został odpowiednio pouczony, słowem by wszystko przygotowano do najdrobniejszych szczegółów. Dano więc najskrupulatniejszego systematyka z komendy nacz., do którego jako „piechociarza“ miałem pełne zaufanie. Ponadto był to czas, w którym P. O. W. szemrało i boczyło się na mnie, że rzekomo odsuwam jej członków od akcji i wszelkiego wybicia się. Ponieważ nigdy i wobec nikogo nie przeszło mi to przez myśl, oddałem akcję z 7 i tę pod wyłączne kierownictwo P. O. Wiaka por. Łapińskiego.

Otrzymawszy jeszcze ustne dyrektywy, zajął się przez pozostały mu czas (dwie noce i dzień) wyłącznie przygotowaniem akcji na miejscu. Jako dowódca akcji wydał (w porozumieniu z kap. Łodzińskim) swój własny rozkaz do akcji (słusznie), różniący się nieco od pisanego manuskryptu mego, który otrzymał. Ogłoszony już kilkakrotnie rozkaz do akcji 9 list. jest właśnie jego rozkazem, z jego tylko podpisem. (Patrz dodatek № 28).

Właściwy atak rozpoczął się o świcie (5 rano) 9 list. Skombinowany był w ten sposób, że grupa Abrahama (wzmocniona nieznacznie na ten dzień) posuwa się przez „Żydowskie miasto“ w kierunku na teatr, główna grupa zaś z autem pancernym ul. Mickiewicza i ogrodem Jezuickim w kierunku na sejm, by obok niego przedrzeć się na ul. Karola-Ludwika i koło teatru połączyć się z grupą Abrahama. Inni mieli tylko demonstrować, a grupa Trześniowskiego przesunąć odpowiednio swe skrzydło w miarę rozwoju akcji głównej. Zdobywać Cytadelę zabroniłem wyraźnie i stanowczo, a tylko otaczać ją w miarę potrzeby, cernować.

Przytym wydano niektórym już tylko ustne dyspozycje poufne — w rozkazie znaleźć się one nie mogły — że w chwili zjawienia się naszych oddziałów na ul. Karola-Ludwika zaczną być aktywną reduta nasza w Domu akademickim i opanuje z drugiej strony ulicę Akademicką, tworzącą nieco zakrzywione przedłużenie Karola-Ludwika, a zamknie zarazem od tyłu łuk, tworzący się koło Cytadeli.

Atak rozpoczął się punktualnie, a w 15 minutach mieliśmy już do czynienia z bardzo silnym ruskim kontratakiem na odcinku Jura i Bema. Trzeba było wyteńczyć wszystkie siły, by go odeprzeć, lub powstrzymać. Jeden z momentów cofania się był tam bardzo groźny. Wtedy jednak artylerja lwowska (baterja pod por. Małkowskim), ustawiona dla ataku na placu Jura, więc paręset zaledwie metrów, zaczęła grzmocić w posuwające się ogrodem Jezuickim masy ukraińskie. Kartacze jej działały znakomicie. Pomagała nam przytym dzielnie artylerja ukraińska — drugi już dzień czynna — która dostawszy zapewne wiadomość, że przez ogród atakują „lachy“, otwarła nań huraganowy ogień (ośm dział na przestrzeni niewiele ponad półtorasta metrów), ale w momencie, gdy naszych już tam nie było, a ukraińcy szli już naprzód. Atak odparto z wielkim wysiłkiem i uporządkowano znowu obronę.

Abraham posunął się znacznie naprzód, dotarł nawet lewym skrzydłem aż po ul. Słoneczną, prawym zajął św. Annę. Kazano mu utrzymać św. Annę i łączność z nią.

Niestety, do następnego dnia z obsady tej nie pozostał nikt. Wszyscy zginęli, a nie cofnęli się.

Trześniowski zaś, poleciwszy demonstrację szkole kadeckiej, kusił się o zdobycie Cytadeli — wbrew wyraźnemu rozkazowi. Nie zdobył jej, a powiększył tylko i tak dotkliwe straty własne w tym dniu.

Wynosiły one sumarycznie na wszystkich odcinkach sześćdziesięciu kilku zabitych i rannych. Byliśmy już przyzwyczajeni przy samej — czystej obronie do kilkakrotnej wielokrotności tej cyfry na dzień. Można ją było uważać za nieznaczną. Ale przykra była dla nas strata, przykro nam było, że nie wszystkich rannych z ogrodu Jezuickiego udało się zabrać. Dręczyły nas jęki, które stamtąd dochodziły, a które uważaliśmy jako z polskich piersi bohaterskich wychodzące. Podwojono więc wysiłki, by ich zabrać. Do patroli sanitarnych strzelali Ukraińcy, na proponowane lokalne — tylko w tym miejscu — zawieszenie broni celem pozbierania rannych i zabitych nie zgodzili się.

Cudów więc dokazywały nasze patrole sanitarne, powiększane żołnierzami na ochotnika, które czołgały często przez cały ogród Jezuicki i tak samo unosiły potem rannych z powrotem. Wytężona ta praca trwała przez całą noc następną, a kierował nią bohaterski lekarz Dr. Domaśzewicz — zrzucający od czasu do czasu opaskę czerwonego krzyża i walczący jak żołnierz na reducie Kraszewskiego 5 (jego mieszkanie). Przy tej pracy zabite zostały 2 sanitariuszki i kilka rannych.

Jęki dochodziły stamtąd przez kilka dni jeszcze, trupów leżało tam dosyć. Pozbierano ich wszystkich dopiero w czasie zawieszenia broni 18 list. Jakżeż „użyło“ nam w tedy, gdyśmy stwierdzili, że większość ich (przeszło  $\frac{3}{4}$ ) należała do Ukraińców. Naszych uniesiono stamtąd 22.

Korzyść tego dnia — to opanowanie kościoła św. Anny. Utrzymanie go przez kilka dni choćby, musiałoby zadecydować o losie koszar Ferdynanda. Niktby się bowiem nie dostał do nich, niktby z nich nie wyszedł. Głód i brak amunicji zmusiłby Ukraińców do poddania się. Obecnie

zrozumiemy szalone wysiłki ukraińskie celem odbicia tego punktu. Niestety, ich kule także trafiały, raniły i zabijały.

Zresztą atak się nie udał.

Co było tego przyczyną? Czy plan niewykonalny, a więc nonsensowy, czy wykonanie szwankowało, czy wreszcie ten cały szereg drobnych, a tragicznych zawodów? Czy też z drugiej strony jakość i siła nieprzyjaciela, a może przygotowanie się jego na atak własny, czy na odparcie ataku naszego — o ile zbrodniczo lub przez lekomyślność został o nim powiadomiony. Faktem jest, że siły zgromadził tam znaczne, właśnie uprzedniej nocy, faktem jest, że obsadził poprzedzającej nocy pałac Gołuchowskich. Czy miał w tym na myśli, własną wypadową pozycję, czy nowe stanowisko obronne i odporne, flankujące dolną część ogrodu Jezuickiego — niewiadomo.

Różni różnych obwiniali i obwiniają z powodu tego ataku (dostało się i mnie od stratega D-ra Próchnika). Wybaczą więc czytelnicy, że nie pójdę ich śladem. W szczególności nie zajmę się zupełnie planem, czy był on dobry, czy zły, czy można było z tą setką pójść na otoczenie całego Lwowa itd. lub wreszcie czy główne uderzenie, idące przez Żydowskie Miasto, byłoby lepsze, niż to. Mogło się bowiem tamto nie udać, a to być pomysłem. Decyzję i sąd o tym wszystkim, związanym z planem akcji, zostawię fachowcom i przyszłości.

W przygotowaniu był błąd, ale nieistotny to jest niemożność porozumienia się z Dyрекcją kolejową (została bowiem tej nocy odcięta). Przyznam się, że gdyby mi o tym zameldowano uprzednio, byłbym kazał atak wstrzymać. Rozmawiałem z oboma dowódcami (kap. Łodzińskim i por. Łapińskim) jeszcze na kilka minut przed akcją i pytałem, czy wszystko należycie przygotowane, wyćwiczone i pouczone. Błąd ten jednak nieistotny, bo i tak z chwilą pokazania się tam auta nie trzeba było zachęcać Dyrekcji kolejowej do ruszenia.

Natomiast drobne zawody, jak zacięcie się aż 3 (na cztery wszystkich) karabinów maszynowych w aucie (każdy

z nich wystrzelał po sześć taśm, ranienie celowniczego, rozpalenie się motoru. W auto to wierzyli wszyscy nadzwyczajnie od szeregowca aż do dowódców. A z drugiej strony nadmierny zapal atakujących spowodował straty największe. Mimo pouczenia ich wszystkich—co osobiście później stwierdziłem—że mają się posuwać w znacznej nawet odległości za autem pancernym—naturalnie w tyralierze—i dopiero w momencie, gdy auto pancerne zwalczy przeszkodę, albo swym ogniem uczyni jej ogień nieszkodliwy, zajmować ją pośpiesznie, ewentualnie z walkami wewnątrz. Rozpaleni chłopcy nie wytrzymali, może z radości, że im przypadło w udziale owobodzenie dalszej części Lwowa.

Zaledwie bowiem auto pancerne zajęło się pierwszą przeszkodą—pałacem Gołuchowskich—już część atakujących znalazła się przy nim i pomagała mu ogniem karabinowym, a druga znaczniejsza część popędziła naprzód aż pod gmach sejmowy, który chciała zdobyć. I byłaby to bezprzecznie uczyniła, gdyby nieprzyjacieł nie był tak wyborowy w tym miejscu. Zajeżdża bowiem auto przed pałac Gołuchowskich, wali weń z dwu karabinów maszynowych, a z odległości niecałych 50 m. po 6 taśm, a z okien jego jeszcze padają strzały. Albo drugie dwa karabiny maszynowe grają przez ten czas po sejmie, w okna jego grzmia w najszybszym osiągalnym ogniu dwie armaty z odległości—niema tam 500 m. Więc każdy strzał celny, pod drzwiami już prawie zjawia się tyraliera polska, a on—ciągle broni się jeszcze.

To było to „coś niewiadomego”—wojenne x, nie dające się nigdy w żadnej operacji obliczyć naprzód. Na miejscu tylko i tylko w akcji można je stwierdzić.

Zdanie moje ówczesne było następujące: Nikt z ludzi tu nie zawinił. To zdanie wypowiedziałem bezwzględnie wówczas wobec kap. Łodzińskiego, proszącego mnie o zwolnienie go z dowództwa odcinka, a przeznaczenie do artylerji. Prośbę jego spełniłem; dowództwo odcinka otrzymał po nim rotmistrz Pomian-Cieński.

Czy trzeba było czynić jakiegokolwiek „wymówki“ por. Łapińskiemu, kiedy on przejął się równie silnie — jak każdy — tym niepowodzeniem.

Przypuszczałem ostatecznie naonczas, że nasz atak spotkał się tu z przygotowanymi do ataku znacznymi siłami ukraińskimi. Atak—na atak. Mogłem więc mieć co najwyżej pewien żal za niedotrzymanie w całości mych dyrektyw, ale czy mogłem ręczyć, że przytym byłby się udał.

Napróżno czekał w dniu tym Polski Dom Akademicki na strzały koło teatru, by móc w tej chwili rozpocząć tany własne. Nie doczekał się strzałów. Otrzymał natomiast wieczorem rozkaz.... przedarcia się w całości na polską stronę.

Niema jednak czasu na wojnie do rozpacz. Wódz i wojsko, któreby jej się oddało, zadecydowałoby tym samym o losie swoim. Tu musiało się powiedzieć bezwzględnie: „nie udało się tak, spróbujemy inaczej“. Nadzieję położyliśmy tym razem w innym instrumencie technicznym, który budował się już tydzień, a obiecywany był do tygodnia.... w pociągu pancernym. Jakie plany akcji były z nim związane, nie czas jeszcze tu wymieniać. Przyspieszano jednak gwałtownie jego wykończenie.

Tymczasem postanowiono przygotować ścięcie klina przy koszarach Ferdynanda z pod ziemi.... przez wysadzenie ich w powietrze.

Por. Olechowski otrzymał więc osobne rozkazy i zabrał się bezwzględnie do pracy.

Świeżymi siłami wzmocniony odcinek poczty (bez poczty) usiłował ją zająć. Wieczorem dnia tego wdarł się do niej i opanował ją dość ciekawie, bo pół parteru i połowę pierwszego piętra. W tej sytuacji trwała walka wewnątrz gmachu przez całą noc. W budynku pokazał się ogień w części parteru, trzymanego jeszcze przez Ukraińców. Czy podłożyli go oni, myśląc o opuszczeniu gmachu, czy też wybuchł przypadkowo, czy może — co również niewykluczone—powstał od rzuconego polskiego granatu ręcznego, nie udało się stwierdzić. Wśród naszych chłopców powszechne było zdanie, że oni podpalili; ko-



munikat ukraiński głosił, że „lachy“. W przykłej sytuacji znaleźli się Ukraińcy na pierwszym i drugim piętrze. Nie mieli wzajemnego połączenia z parterem—schody bowiem w naszym były posiadaniu. Wołało jednak wielu z nich skakać przez okna (na ul. Sykstuską) niż się poddać. Musieli się z tym spieszyć, bo atak polski — wewnątrz gmachu— postępował szybko i przyniósł w zdobyczy kilkudziesięciu jeńców i 4 karabiny maszynowe.

Należało coś zrobić z płonąca pocztą, której ni na chwilę nie opuściły od tego czasu oddziały polskie. Zawarto więc lokalne zawieszenie broni — tylko między ulicami Kraszewskiego i Kopernika—i sprowadzono miejską straż pożarną, by gasiła ogień. Pracowała ona bez przerwy do 11 wieczorem. O ugaszeniu nie było mowy przy masie papieru tam złożonego.

Ponieważ jednak Ukraińcy wykorzystali zawieszenie broni i obsadzili nowe kamienice, przedtym nieobsadzone, zażądano od nich wycofania się. Nie uczynili tego. Zerwano więc zawieszenie broni i rozpoczął się dalszy ciąg boju najkrwawszego.

A poczta? Płonęła spokojnie dalej. Ogień przenosił się powoli z pokoju na pokój, z piętra na piętro. Ugaszono go ostatecznie dopiero po oswobodzeniu Lwowa. Zależnie od jego posuwania się wędrowała obsada, lokując się w takich ubikacjach, które jeszcze na dziś są „pewne“, lub w takich, przez które przeszła już nawała ogniowa“.

Nie narzekali przynajmniej na... zimno.

Kasy, znajdujące się na poczcie „oczyścili dokumentnie“ Ukraińcy. Zostało jeno kilka drobniejszych, z których wpłynęło nam do kasy rządowej około półtora miliona. No i gruby czek na dziesięciokrotną sumę do Banku austro-węgierskiego (będącego pod władzą ukraińską) ze zgasłym już terminem płatności. Proponowaliśmy Ukraińcom na jednej z pertraktacji..... wypłatę jego za znacznym skontem, ale nie poszli na ten interes. Woleli wywieść później wszystkie fundusze bankowe.

W sztabie ukraińskim i w całej „naczalnej komendzie“ stał się już od kilku dni językiem urzędowym „zachodnio-ukraińskiej republiki“.. język niemiecki. Zamiana ta znaczyła dla nas większą systematyczność, większą planowość wszystkich zamierzeń przeciwnika. Od kilku już dni wiedzieliśmy, że oddziałów świeżych, biegnących z całej Galicji do Lwowa, nie rzucają od razu w wir walki, lecz zbierają je w mieście, ćwiczą i t. d. Musieliśmy więc liczyć się z generalnym jakimś uderzeniem z ich strony. Gdzie i kiedy, pozostawało ich tajemnicą. Wskazywały na to częste próby odporności poszczególnych naszych odcinków. Działy się one przez cały ten czas i na całym miejskim froncie naszym.

Najgorzej wypadły dla nas na Zamarstynowie.

Tam ciągle front „chodził“. Jak młode osoby obrywają często poszczególne listeczki kwiatków i mówią przytym naprzemian różne słowa, tak możnaby rzec u nas w odniesieniu do tamtejszych stosunków: „Rzeźnia nasza, rzeźnia ich“. Naprawdę nikt nie potrafiłby zliczyć, ile razy przechodziła ona z rąk do rąk w tym czasie.

Nadto działo się prawie stale następująco: W dzień szli nasi naprzód, w nocy Ukraińcy. Oddziały tamtejsze polskie miały znakomitą siłę uderzenia w ataku, za mało jednak były odporne. Czy też miały do czynienia ze zbyt przeważającymi siłami ukraińskimi. Zorientowali się oni bezsprzecznie w celu wysuniętego tam frontu naszego i chcieli go koniecznie cofnąć.

Te zamiary ułatwiała im zbyt mała karność tamtejszego wojska naszego. Bili się znakomicie, ale na noc część rozchodziła się do domów, by rano znowu stanąć w szeregu i odbijać utracone ulice.

Spróbowała więc komenda nacz. zmienić tam dowództwo i wzmocnić zarazem ten odcinek. Niewiele i to pomogło. Wybrano więc jako trzeciego z kolei dowódcę ppor. Starcką, który wraz z całym swym oddziałem przeniósł się tam. Wpływ korzystny jego—on sam w tamtych rodził się i wychował stronach — pokazał się niebawem,

choć nie odrazu. Ruchliwym pozostał ten front ciągle, tylko wahania jego nie były już tak znaczne.

Akcję ukraińską w tym czasie wypełniły:

Kilkakrotne większe akcje patrolowe na Zamarstynowie, silny nacisk na odcinek Abrahama i z koszar Ferdynanda, uwieńczony nawet częściowym wdarciem się aż na samą ul. Bema (l. 8) i poważny atak na Dyрекcję kolejową. Ostatni odparto gładko, a z wielkimi dla nieprzyjaciela stratami. Gorzej poszło na odcinku Bema. Tu bowiem udało się nieprzyjacielskiej artylerji zapalić bezcenny, a obsadzony przez nas skład materiałów sanitarnych (Sanitätsdepot). Powstało z powodu pożaru pewne zamieszanie w linii naszej, a wtedy nieprzyjaciel, uderzywszy znacznymi siłami w kierunku ul. Bema, przerwał w jednym miejscu front nasz.

Zarządzony kontratak bardzo był uciążliwy i powoli tylko posuwał się naprzód. Nad ranem wyparto Ukraińców z powrotem. Równocześnie ciągle przez cały ten czas zapomnieć nie można było o szalejącym pożarze.

Pracowała przy nim bardzo dzielnie nasza, lwowska straż pożarna, wojskowa, utworzona w polskiej części Lwowa. Rzeczywiście cudów dokazywała. W płonący bowiem budynek „waliła“ przez cały czas ukraińska artylerja z Wysokiego Zamku, grały weń ukraińskie karabiny maszynowe z koszar Ferdynanda (odległość mało co większa ponad 200 m.) a mimo to nie ustała ni na sekundę praca ratownicza. Wyszedł bowiem rozkaz „ratować, co się da, bo materiałów tych potrzeba koniecznie dla naszych rannych“. Ratowano i uratowano. Prześcigali się wszyscy dzielni i bohaterscy strażacy. Nie odstraszały ich straty krwawe i ciężkie, jakie przytym ponosili.

Ranny ciężko legł wkrótce komendant straży, kilku strażaków zginęło od kul, kilku poniosło śmierć w płomieniach, ale ogień zlokalizowano i uratowano moc materiału sanitarnego.

Ile przez to uratowano żyć obecnych i późniejszych rannych, obliczyć się nie da. Wszyscy oni muszą być wdzięczni tylko tym strażakom — zaprawdę bohaterskim.

Zresztą przez cały ten czas — od listopada poczynszy — zaczęła swą „kulturalną pracę“ artylerja nieprzyjacielska. Od pierwszej swej chwili — aż do ostatniego jej na miasto działania w dniu 29 kwietnia — hołdowała stale „swym zasadom“, jakgdyby szczytne one były. „Waliła“ ciągle po mieście — nie wiem, w jakim celu. Bo jeśli liczyła na osłabienie ducha wśród „cywilnych“ mieszkańców, przeliczyła się grubo, gdyż każdy „skutek“ ich barbarzyńskiego ognia podniecał i zapalał do dalszej obrony. Skutku militarnego tego miejskiego strzelania nie mógł się chyba spodziewać żaden artylerzysta. Wiedział chyba, że Lwowa nie obróci w perzynę armatami 8, 10 i 15 centymetrowymi. Mógł przypuszczać, że minimalną wyrządzi szkodę militarną (przez cały czas sześciomiesięcznego prawie ostrzeliwania miasta — nie pozycji — mieliśmy jednego rannego żołnierza), a przecież grzmiał wytrwale w miasto. Da się to wytłómaczyć jedynie tym bezmyślnym barbarzyństwem, w jakim mistrzami pokazali się w czasie wojny światowej Niemcy, a w czym naśladowali ich nieodrodnici ich pupile. Zresztą były już wówczas we Lwowie i później pod Lwowem baterje, dowodzone i obsługiwane przez Niemców.

By nie być źle zrozumianym, podkreślę, że wojskowo nie można im brać za złe strzelania w okolicę frontu naszego — boć ten leżał w mieście — nie można czynić im wymówek z powodu strzelania w okolicę redut naszych, czy komend, czy wreszcie dworca. Myśmy tego nie czynili i czynić zabronili, bo nam żal było niewinnej ludności cywilnej, ale oni mogli się nie liczyć z tymi humanitarnymi względami. Lecz strzały w miejsca, gdzie wiedzieli, że niema nic wojskowego — żadnych urzędzeń, strzelanie w kościoły pańskie, nigdy nam za obronę nie służące, lecz strzelanie z całą i pełną świadomością i celowaniem w szpital wojskowy, napelniony ich i naszymi rannymi, przechodzi zaiste ludzkie pojęcie i łamie wszelkie przepisy „kulturalnej wojny“.

Przy szpitalu „Technika“ nie mogą się tłómaczyć przypadkiem, czy przeoczeniem, czy choćby złym wymie-

zeniem armat. To były strzały z pełną świadomością w szpital wymierzone. Stoi on tak, że żaden strzał nie mógł być blisko niego, który nie był weń skierowany. Oznaki czerwonego krzyża i chorągwie widział każdy artylerzysta gołym okiem z Wysokiego Zamku. My jeno dla historii zapewnimy raz jeszcze, że nic się w nim nie działo takiego, coby było przeciwne konwencji genewskiej i coby pozbawiało go prawa jej znaku ochronnego.

Dla „wolnego i kulturalnego“ narodu nie istniały te względy ni teraz — przez czas bojów listopadowych,—ni później—przez długich miesięcy sześć.

W wojskowej pracy naszej nie przeszkadzała nam w niczym ta miejska strzelanina, wywołała tylko konieczność stworzenia osobnego oddziału wojskowego.... muraży, którzy „łatali“ bezpłatnie wszystkie dziury w kamienicach. Doszli przytym do takiej wprawy, że nie czekały długo na nich te „dziury“. Najpóźniej następnego dnia były już zamurowane wszystkie z dnia poprzedniego.

Przedstawiano kilkakrotnie „naczalnej komandzie“ ukraińskiej te wypadki zdziczałego barbarzyństwa. Skutku jednak one nie odnosiły. Pisma odnośne zestawione w dodatkach. (Patrz dodatek Nr. 29).

Nie były pocieszające wiadomości, jakie zbieraliśmy o Ukraińcach w tych dniach. Obfite gromadzenie sił ruskich w „ukraińskim Lwowie“, trzymanie ich jako rezerwy i pilne ćwiczenie, wszędzie wzdłuż całej linii frontu miejskiego znaczne wzmocnienie obsady, a nadto z drugiej strony donoszono o gromadzeniu się sił znacznie-szych w Starym Siole, Persenkówce i Zubrzy. Sokolniki od 10 gromadziły również poważne siły i dalej w miejscowościach poza Skniłowem. Przed Rzęsną również nie było spokoju, znaczniejsze znowu siły zbierały się na froncie północnym, więc w Zboiskach itd. Jasnym więc było, że chcą „wziąć nas atakiem—generalnym, równocześnie ze wszystkich stron“. Ale gdzie skierują główne uderzenie?

Nie wolno nam było czekać na to spokojnie. Musieliśmy ich uprzedzić, musieliśmy rozbić i rozpędzić groźne chmury, zbierające się na całym naszym horyzoncie. Spo-

kojnie czekać na ich atak byłoby równoznaczne z klęską, bo kto wie, czy wytrzymałibyśmy takie uderzenie.

Najbardziej niebezpieczne byłoby dla nas uderzenie na dworzec z trzech stron, od zachodu, północy i wschodu. Zewsząd było blisko do niego. Ten więc punkt musieliśmy najpierw ubezpieczyć. I to jest drugi cel wyprawy na Zimną Wodę i chęci jej opanowania.

Pierwsze więc uderzenie wyrażnie z tym celem rozbijania gotujących się do ataku sił ruskich skierowano w nocy z 11/12 na las biłohorski. Skutek — jak już wiadomo — znakomity. Wyprawa zakończona zajęciem Zimnej Wody.

Równocześnie (12 list.) otrzymał kap. Wiktor, dowódca Rzęsny Polskiej rozkaz „oczyszczenia“ swego przedpola. Załatwił się z tym znakomicie.

Ledwo wrócił Boruta z wyprawy na Zimną Wodę, już wezwano go do komendy nacz. gdzie go czekał nowy rozkaz, uderzenia na oddziały, gromadzące się na południe od Kulparkowa. Po długich debatach zdecydowano poprowadzić to uderzenie 13 z rana, gdyż oddziały naprawdę zanadto były zmęczone. (Obliczyć jeno proszę ich akcję z ostatniego tygodnia: 6 list. akcja na Kulparków, trwająca całą noc, od 7 do 10 boje skniłowskie, zabierające również noce całe, 11 uderzenie biłohorskie i pościg hen daleko poza Zimną Wodę, wracano z niego późną nocą 12 list. A przytym ciągle służba placówkowa, patrolowa itd. Przy takich bowiem uderzeniach nie można było nigdzie „zwijac“ swego frontu. Zaiste, możnaby zapytać, kiedy ci ludzie spali. Bardziej wtajemniczony odpowiedziałby na to, że często nie mieli czasu zjeść. Tak było wszędzie i trwało to wszędzie przez całe trzy tygodnie).

O świcie więc 13 listopada zgromadził Boruta rozporządzałne siły w Sygniówce i uderzył w myśl planu flankowo od północy. Zwinął gładko front ukraiński i wyparł ich poza cmentarz kulparkowski. Dowodził tu przewybornie por. Bergman. Czy spiesząc im na pomoc, czy też dyrygowane wprost do ataku nowe siły ukraińskie,

uderzyły z furją wielką. Walka rozciągnęła się przez Wólkę aż poza szkołę kadecką. Boruta musiał się cofnąć, Kulparków cały dostał się w ręce ukraińskie, które i teraz nie uszanowały spokoju warjatów i obsadziły zakład kulparkowski—szpital, robiąc zeń redutę obronną.

Nie było czasu do stracenia—równocześnie rozwinął się atak ukraiński od strony północnej miasta — musiano wyteżyc wszystkie siły, by wyjść zwycięsko z tej przygrywki do właściwych ataków. Za takie bowiem uważano te boje.

Sytuację utrudniało to, że na wzgórzach na południe od Kulparkowa pokazała się nowa baterja nieprzyjacielska (4 haubice 10 cm.) i groźna naprawdę baterja 22 centymetrowych austriackich miotaczy min. Działanie ich łatwo uzmysłowi sobie każdy laik, jeśli się dowie, że jeden ich pocisk waży powyżej 70 kg. Obie zasiągnęły stanowiska w bardzo bliskich odległościach i grzmiały nie miłosiernie w linie nasze. Czy chłopcy nasi wytrzymają taki ogień?

Dostał więc Boruta na gwałt wzmocnienie. Lecz co? Z frontu „bojowych“ żołnierzy nie można było wyciągnąć ni jednego. Załamała się bowiem linia nasza i na Zamarstynowie. Poszedł więc pluton żandarmerji i milicji, poszli prawie wszyscy robotnicy z warsztatów, poszła kompanja sztabowa komendy nacz.—szumnie się nazywająca, lecz mająca, w swoim składzie poza komendantem (ppor. Selzerem) samych takich, którzy jeszcze wyrósć nie mogli, bo od wszystkich większy był karabin piechotny, wielu nie dorastało nawet do krótkiego karabinku—poszły wreszcie oddziały i biura komendy nacz.

Kiedy wydawałem ostatnie dyspozycje Borucie co do kierunków uderzenia, dodałem: „Pamiętajcie kapitanie, że armaty nam potrzebne, ale minierki mieć muszę—choćby do dalszej akcji niezdolne“, otrzymałem w odpowiedzi: „Rozkaz, panie komendancie“.

I... rozkaz spełniono.

Grubo z południa zaczęła się druga faza tej krwawej walki, trwającej przeszło 6 godzin. Najpierw musiało się

wstrzymać ich posuwanie się ku miastu, potym, a raczej równocześnie wysyłając silny oddział na flankowanie od północy, głównego kierunku ich uderzenia, wreszcie przyszedł czas na akcję wyborowych oddziałów od tyłu. Przedarły się one przez Skniłów i uderzyły od Sokolnik na północ. Była wśród nich piechota nasza, były i „Wilki” lwowskie, odstąpione Borucie na cały dzień.

Najżarzarsza walka toczyła się w samym Kulparkowie — szczególnie w okolicy zakładu dla obłąkanych. Otoczony murem wysokim, a obsadzony gęsto przez Ukraińców, przedstawiał trudny po zdobycia obiekt. Jak oceniał ten postępek swych braci lekarz-dyrektor zakładu — a sam Rusin — świadczy pismo jego w dodatkach (Patrz dodatek № 30).

Okolo godziny 11 w nocy przyjechały obie minierki — do niedawna ukraińskie — wraz z *trzenia* strzałami przed komendę nacz. w dwie godziny później jedna haubica z całym zaprzęgiem, nad ranem wrócił Boruta, przepędziwszy Ukraińców aż poza Sokolniki, zdobywając jeszcze trzy karabiny maszynowe, wiele innego sprzętu i wiodąc jeńca (1 oficer, 25 żołnierzy).

Oddziały ukraińskie rozprószyły się prawie zupełnie. Były wśród nich już świeże oddziały z Kołomyi, a więc prawie ostatniego zakątka wschodniej Galicji. Oni mieli już czas przyjść pod Lwów, ...a u nas...

Mieliśmy tedy dwie 22 cm. minierki. Jeszcze tej samej nocy wziął je w swą pieczę por. Olechowski. Dostał rozkaz wyćwiczyć jak najwcześniej obsługę, wybrać stanowisko i wymierzyć z planów tak odległości, by każdy strzał był celny. Stanowisko miało być naprzeciw... Cyta-deli.

Ataki na lewym skrzydle od strony wschodniej odparto, więc słabszy na szkołę kadecką i silniejszy na Wólkę i koszary wóleckie. Tymczasem — już w czasie decydowania się walki Boruty — uderzyły nowe siły od Persenkówki i Zubrzy na Wólkę. I ten nocny bardzo silny atak sparowano. Odparto krwawo i zdobyto znowu karabin maszynowy. Poruczn. Brzezowski, dowodzący tam,



czuł się widocznie wcale dobrze w swej roli „piechociarskiej” — choć sam artylerzysta. W bohaterski puścił się kontratak, sparował uderzenie i przepędził wroga. Uporczywa walka trwała noc całą.

Ledwo wrócił Boruta z wyprawy swojej (nad ranem 14 list.) odebrano mu pospiesznie wszystkie, dane poprzednio „posiłki”. Już ich potrzebowano gwałtownie na innym miejscu — na froncie północnym. Szczególnie szybko odebrano mu kawalerję lwowską i skierowano pospiesznym marszem do... Rzesny Polskiej.

Nim powiem dlaczego, muszę przedstawić zdarzenia z 13 list. na odcinkach północno-wschodnich.

Wyjątkowo silny ogień artyleryjski na Górę Straceń — taki prawdziwie huraganowy, jeśli się zważy, że na punkt mały biła cała artylerja ukraińska, licząca już podówczas nieco ponad 20 armat — ogień, trwający od samego rana, kazał mieć czujne i baczne oko w tamtą stronę. Jakoż rzeczywiście bezpośrednio uderzył nieprzyjaciel na cały odcinek Abrahama, od ul. Meiselsa aż po tor kolejowy. Mimo nieznaczących początkowych sukcesów (zdobycie koszar trenu) nie dał tu rady. Bohaterska załoga ostrzeliwana z przodu — piechotą i artylerją — i z flanki — z nieszczęsnych koszar Ferdynanda — wytrzymała dzielnie wszystkie ataki nieprzyjacielskie, krwawiąc się przez dzień cały. Ba nawet uderzyła nań pod wieczór, osiągnęła znaczne sukcesy i wsparła ślicznie grupę Zamarstynowską.

I na nią bowiem rozszerzył nieprzyjaciel swój atak i zaatakował ją koncentrycznie ze wszystkich stron. A więc od północy, usiłując przedrzeć się ze Zboisk na Zamarstynów — zastąpił mu tam drogę chor. Rydel i pchor. Górecki — od wschodu — od dworca Podzamcze, odpierał tam krwawo jego ataki ppor. Pfeiffer i od południa z „Żydowskiego Miasta”. Dwukrotnie usiłował zdobyć ten odcinek z północy i odparty został, dwukrotnie rzucał masy swe od dworca Podzamcze i mógł pochłubić się jedynie krwawymi stratami. Że masy tam udział brały, niech świadczy to, że do ataku wzdłuż jednej ulicy (Zborowskich i Marcina) rzucił całą kompanię (150 ludzi), która

w myśl wzorów rosyjskich w kilku liniach postępowała naprzód. Nie udawał się tamten w polu, nie udał się i ten w mieście. Był to raj dla naszych maszynek, które kładły pokotem prących naprzód uporczywie Ukraińców.

Najzażartszy zaś bój — jakich naprawdę niewiele zapisała wojna światowa — toczył się od strony południowej. Tu uderzenie Ukraińców, skierowane na północ, obliczone było na odcięcie w całości całego Zamarstynowa, a wymierzone w punkt, w którym dwa stykały się odcinki. Jak wiedzą fachowcy, a może i laicy, punkt taki zawsze słaby, zawsze niebezpieczny. Homeryckie zaiste boje toczyły się o niego, o ten sławny w dziejach obrony Lwowa most kolejowy — wiodący z ul. Źródlanej na Graniczną. Most ten sześciokrotnie przechodził z rąk do rąk. Co to znaczyło, łatwo zrozumiały ci, którzy pomyślą, że żołnierz lwowski nie cofał się chętnie, częściej raczej w całości poległ. Walczył tam Abraham, którego oddział do najwyborowskich zaliczyć można. Most wreszcie w polskich utrzymano rękach. Stosy trupów świadczyły wymownie, że praca była ciężka, a żniwo śmierci obfite.

Wszystkie ataki na Zamarstynów odparto, postąpiono za nieprzyjacielem aż pod sam dworzec Podzamcze, wdarto się nawet częściowo nań i odcięto go zupełnie od wschodu (oddział plut. Barańskiego, który dotarł aż pod Zniesienie). Na nic się zdały rozkazy zdobycia koniecznie dworca i pchnięcia tam wszystkich sił rozporządzalnych. Świeże posiłki ukraińskie zepchnęły tych, którzy wdarli się nań, ale dalej posunąć się nie zdołały. Oddziały nasze panowały nad wszystkimi dostęпами do dworca.

Przeliczyli się Ukraińcy, przypuszczając, że łatwo zdobędą zagrażający im poważnie Zamarstynów. Nie wiedzieli może, że tam już dowodzi ppor. Starck, jeden z tej pechowej dziesiątki P. K. Wiackiej.

Podesłano z komendy nacz. na Zamarstynów, „co tylko można było“, zwrócono uwagę na prawdopodobieństwo dalszych ataków nocnych, lub o świcie i zakomunikowano o akcji kawalerji, nakazując współdziałanie.

Były bowiem na północ od Lwowa jeszcze ukraińskie oddziały regularne i chłopci uzbrojeni, które w akcji dnia tego (13) udziału nie wzięły. Rozbić je uderzeniem flankowym dostał za zadanie Wiktor z Rzesny. W tym celu otrzymał oba szwadrony kawalerji. Uderzenie jego miało iść w głównym kierunku Hołosko.wk. — Zboiska, nie zapominając naturalnie o Brzuchowicach. Hołosko miało zostać wciągnięte w obręb frontu—czekała tam na to organizowana już od 1, lecz dosyć jeszcze słaba obsada.

Uderzenie takie, idące wzdłuż frontu własnego—choć dość daleko przed nim — mogło się odbyć tylko w dzień, ze względu choćby na mogące zajść w nocy nieporozumienia. Początek akcji naznaczono na godz. 6 (14 list.).

Nagle, a było to gdzieś koło 5, szalona walka na Zamarszynowie, wkrótce potem — rzeczy znane fachowcom — łączność telefoniczna przerwana, Abraham niema łączności na swoim lewym skrzydle, Sikorski, zaatakowany od północy, cofać się musi i t. d.

Jak się to stało, opisywać nie chcę. Dość, że najprawdopodobniej „przerwanie frontu“. Bohaterskie stoczywszy walki ppor. Starck, dołączył wreszcie do lewego skrzydła Abrahama. Została jeszcze „dziura“, którą co prędzej zatykać należało. Nieprzyjaciel zbliża się od północy pod dworzec główny. Wszystkie auta lwowskie, wszystkie telefony komendy nacz. w ruch poszły.

Cudownie rozwijała się dalsza akcja. Była to naprawdę jedna z najpiękniejszych. Dokładnie w 10 minut od zawiadomienia wyjechała już setka na autach na „tyły“ Abrahama. Czas bowiem był najwyższy. Sikorski zaciągnął pozycję na cmentarzu żydowskim i Janowskim, a więc tuż przy ul. Janowskiej, a w lukę wpadłszy Ukraińcy dobierali się do „tyłów“ Abrahama. Czy nie groźna sytuacja? Niech odpowiedzą fachowcy, ile mieli oddziałów, któreby w takiej wytrzymały sytuacji.

Lecz dzielny i bohaterski żołnierz, a chłodny i rozważny jego dowódca, nie ściągnął, ani nie zawinął lewego skrzydła (gdyby był ten ruch zrobił, stracony byłby Starck) lecz rezerwę własną i część rezerwy przysłanej skierował

w tył i rozpoczął walkę, mając prawie w jednej i tej samej linii część żołnierzy, strzelających na wschód, część zaś na... zachód. Trzymał się dzielnie, gdyż szli na owym skrzydle w paragon o lepsze dwaj niezrównani rycerze i przyjaciele z P. K. W. Mazanowski i Skałkowski. Obaj w jednym dniu — nieco później — śmiertelne odnieśli rany i razem spoczęli na świętym, owym „Wzgórku“. Lecz przyszła setka ze szkoły Konarskiego i wyrwała ich z tej niemilej opresji.

Znowu pchano tam wszystko, co tylko było do rozporządzenia, a więc żandarmerję i inne oddziały tyłowe; lotników, straż i robotników z lotniska skierowano na Kortumową górę, dostarczył i dworzec — obecnie już pod dowództwem kap. Pierackiego pozostający — co tylko ruszyć można było. W ten sposób „zaryglowano“ nieprzyjaciela i około 10 rozpoczął się polski kontratak, wymierzony koncentrycznie. Wiktor nie szedł wyznaczonym mu pierwotnie łukiem wielkim, lecz mniejszym bliżej poprzednich własnych linii.

Atak poszedł wspaniale. Pod wieczór dobierano się znowu do dworca Podzamcze. Zdobycz własna wcale obfita, jeńców dosyć, straty nieprzyjacielowi zadano znaczne. Oplakiwaliśmy i my stratę wielu dzielnych towarzyszy.

Więcej, znacznie więcej pomordował barbarzyńce-hajdamaka XX w. ludzi niewinnych na Zamarstynowie, od chłopców nieletnich — którzy nie brali żadnego udziału w walkach — aż do równie niewinnych starców zgrzybiałych, nie omijając naturalnie i niewiast. Przyznał się do tego cynicznie w komunikacie swoim i nazwał to „ekspedycją karną“ i „uspakajaniem“ Zamarstynowa.

Tamto operowała „sotnia Gonty“ — znanego bohatera-*rizunia* — pod dowództwem równie „bohaterskiego“ sotnika Dołuda.

Po raz trzeci ruszył tu nieprzyjaciół do ataku nad ranem dnia 15 list. Tym razem jednak odparty został, choć utraciliśmy nieco „terenu“. Wzięliśmy jeńca i łupy bo-

gate. Akcję tę wspomagał znakomicie Abraham, atakując przed swoim frontem. Te uporczywe jego tu ataki świadczą dobitnie o planowości ich akcji, gdyż widzieli niebezpieczeństwo stąd im grożące, powtórę atoli te w połączeniu z równoczesnymi atakami na drugim skrzydle frontu miejskiego wskazują w dojściu ich ataku do przekonania — tego samego co i u nas zresztą — że frontu miejskiego nie ruszą przez atak z miasta. Nie wspomina tu zupełnie o korzyściach, jakie im dawał równoczesny atak na obu skrzydłach, o trudnościach, jakie dla nas wywoływał.

Chciałbym tu zapobiec jednemu możliwemu nieporozumieniu, wynikającemu z tego, że przy opisywaniu tych bojów muszę traktować je odcinkami.

Mógłby więc ktoś przypuszczać, że boje te następowały po kolei, że między nimi była dłuższa czy krótsza przerwa, że panował spokój. Tymczasem trzeba ciągle mieć na uwadze że atak i jego odparcie, nie wspominając już o przygotowaniu artylerzyckim i innym, trwa obecnie i trwał naonczas po kilka, kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt godzin, Walki te więc czasem swoim przekraczały wzajemne granice, że jeszcze nie skończyła się jedna, a już druga w pełnym toku była. Ponadto walki, którym nadaję nazwę ataku, były takie, w których dochodziło aż do tak zwanego szturm, do jasno występującej woli u nieprzyjaciela zdobycia tego miejsca.

Równocześnie prowadzonej demomstracji, czy nawet nawet walki ogniowej lub patrolowej, nie opisuję zupełnie, jako niepotrzebnej w tym opisie. Robili bardzo często Ukraińcy użytek z tego. Jeśli więc w czasie tych ataków ukraińskich na obu skrzydłach nie wspomina zupełnie o leżącym między nimi froncie miejskim, nie można brać tego w ten sposób, jakby tam spokój panował. Przeciwnie, walka ogniowa szalała na całym froncie, a po długiej niepewności, gdzie uderzą, klarował się „szturm“ ukraiński tu lub tam. Te tylko epizody opisuję, nie wspominając o tamtych zupełnie.

Tak więc np. walka, która się zaczęła 11 wieczorem i przez czas niejaki oddaliła się nieco od Lwowa, nie przestała szaleć aż do zawieszenia broni. Trwała jeszcze walka Boruty, a już rozwinął się atak na Wólkę. Nie ukończono go jeszcze, a już miano tany u Abrahama i na Zamarstynowie, nie sklarowany ostatni z nich, gdy donoszą o atak w mieście. Nie zlikwidowane te jeszcze ostatecznie, a grzmia już armaty i ciężkie miotacze na szkołę kadecką, jako przygotowanie do nowego ataku, który rzeczywiście nastąpił i t. d.

To był ten drugi okres uporczywych generalnych ataków ukraińskich, obliczanych na zdobycie miasta, podobnych do onych z czasów przyjsia grupy Wasyla, tylko groźniejszych dla nas, bo więcej planowych, lepiej technicznie przygotowanych i przy słabym ogniu artylerzyckim. Ilością armat górowali oni.

Mimo rozwijającego się na Zamarstynów ataku z 15 list. musiano stamtąd wyciągnąć Wiktora i kawalerję i rzucić ich na oczyszczenie terenu na północ i północny-zachód od Lwowa. Stamtąd bowiem znowu niepokojące przyszły meldunki o zbieraniu się mas chłopskich z powiatów Żółkiewskiego, Jaworowskiego itd. Półtrzecia dnia—noce także — trwała ta akcja, zakończona zupełnym sukcesem dzielnego Wiktora. Oczyszczył północ, oczyścił w dalekim promieniu północny-zachód, zdobywając Rzesnę Ruską, Kozice, Domażyr. Rozbił i w bezwzględny pościgu rozprószył zebrane tam „bandy“, biorąc jeńca i zadając im znaczne straty. Pokonanie mas tych było możliwe tylko przez umiejętne koncentryczne ataki, połączone ze zręcznym przedostawaniem się na tyły nieprzyjaciela itd. Jak przytym „używała“ kawalerja lwowska, jakie usługi w akcji oddawała, nie możemy wyliczać szczegółowo i drobiazgowo.

Równocześnie z trzecią akcją zamorstynowską (15 list.) próbował „zaskoczyć“ nas nieprzyjaciel na froncie miejskim, atakując Dyрекcję kolejową i urządzając silny wypad z Cytadeli. Oba zamierzenia jego krwawo odparto. Czy mam jeszcze wspomnieć o ciągłym podsuwaniu się naszych do koszar Ferdynanda, o wytrwałym zdobywaniu

jednego obiektu „stajennego“ za drugim, byle tylko dojść do stajni ostatniej, posiadanej już, a utraconej 12. Musieliśmy ją osiągnąć jako pozycję wypadową przed ostatecznym, a przygotowującym się ciągle — w kanałach — atakiem naszym. W tym celu musieliśmy podsuwać się pod kompleks także od strony południowej i dążyć do opanowania w całości ulic Zamkniętej i Zygmuntowskiej. Oba te cele nasze osiągnęliśmy ostatecznie 16 list. i od tego czasu byliśmy gotowi do akcji „na ziemi“. Jenó ci „pod ziemią“ borykali się jeszcze z szalonymi trudnościami, i nieczyszczonymi.... kanałami.

O przyjeździe do Lwowa nowych okazów ciężkich minierek — dwudziestu dwu centymetrowych — wiedzieliśmy już 14 listopada. Kto zna ich działanie, mógł być niespokojny o... wytrzymałość placówek naszych. Gdzie ich użyje wróg, nie trzeba było długo debatować. Koło południa (15 list.) gwałtowne ich eksplozje koło szkoły kadeckiej, połączone z huraganowym ogniem całej artylerji ukraińskiej wskazywały niezbiecie na właściwy punkt ataku.

Jestem wrogiem przesady — szczególnie tak często spotykanej bojowej — ale zaiste nie będzie w tym ni cienia przesady, jeśli tu wtrącę, że nie znano takiego przygotowania artyleryjskiego na froncie wschodnim, a wedle opisów czytanych nie było go wiele i na froncie zachodnim. Nie o ilość armat działających tu chodzi, bo ta nie da się porównać, ale o ilość pocisków, na bieżący metr okopów działających.

Stoi jeden budynek — nie wiem ile ma metrów wzdłuż, ale do setki dużo mu brakuje — przed nim trzy małe okopy-reduty ziemne — a w przestrzeń tę wali bez miłosierdzia armat polowych — (kanonów i haubic) dwadzieścia, walą haubice 15 cm. grzmia głucho, a boleśnie 2 minierki 22 cm. nie licząc mniejszych. Mijają sekundy i minuty, mija długa godzina jedna i druga, a... ogień miast słabnąć potężnieje. Słyszał już Lwów podobny ogień przed poprzednio opisanymi atakami, ale tam „pokrywał“ on przestrzeń więk-

szą, znacznie większą. Tu skoncentrowany prawie w punkt jeden, przewyższył wszystkie efektem swym moralnym.

Tamci na wojnie światowej mieli „lisie nory“, głębokie schrony podziemne, betonowane itd., w której żołnierz był bezpieczny i eksplozje słyszał znacznie przytłumione, a nasz młody żołnierz posiadał jako schronienie zupełnie nie zabezpieczającą go, zwykłą, gospodarską... piwnicę. W niej przetrwał i wytrwał.

Czy mam przytaczać meldunki z tego „piekła wojny“ od dowódcy szkoły por. Bieńkowskiego i dowódcy oddziału tego por. Bujalskiego. Każdy je łatwo może odgadnąć, każdy w nie łatwo wczuć się może.

Ukraińcy skierowali swój ogień na reduty ziemne przed szkołą, a nasi... siedzieli w piwnicy w szkole. Gdyby był ten ogień skierowany w gmach sam, nie pozostałby z niego kamień na kamieniu.

Bliskość zalesionego cmentarza, parku stryjskiego i placu wystawowego utrudniała obserwację, ułatwiała nieprzyjacielowi grupowanie się wprost na odległość „szturmową“.

Ruszył wreszcie doń, a naszym bohaterskim chłopcom lżej się zrobiło, błyskawicą obsadził reduty i... atak odparto.

Znowu spadł na nich grad kul i żelaza i znowu atak drugi, ale i ten odparto.

Nie straszny im już był trzeci powtór ognia i trzeci atak, bo przy tym z otuchą w przyszłość zwycięską patrzone.

Noc już ciemna zapadła, a jeszcze zbierano, znoszono i opatrywano... rannych.

Nowe „posiłki“ — minimalna w stosunku do żądanych — wypełniły luki po nich powstałe. Ledwo dojść zdołały, gdy nieprzyjaciół do czwartego, nocnego ruszył ataku (tuż po północy z 15/16 listopada). Bez przygotowania artylerzystycznego, obliczony na „zaskoczenie“ nie udał się.

Znowu ze świtem grzmi artylerja ukraińska i znowu na szkołę kadecką. Z ulgą w duszy przyjęto nowy — poru-



czywy atak ukraiński i po kilkugodzinnym zmaganiu się odparto. Krwawo, jak i wszystkie poprzednio.

Tym razem jednak można było przejść do kontrataku, „podpędzić“ wroga nieco w cofaniu i pozbierać zdobycz liczną w materiale wojennym i rannych pozostawionych. O trupy nikt się nie troszczył.

Każdy, kto mógł oglądać pobojuwisko i tych „naszych bohaterów“, nie zapomni ich nigdy. Bo czyż odmówi im ktokolwiek miana najwyższego, najszczytniejszego bohaterstwa. Wszak liczba ich połowiła się w tych walkach — dwukrotnie — a oni ciągle trwali. Kto był wśród nich? Jak we Lwowie całym... wszystkie warstwy, wszystkie stany, wszystkie niemal lata od wczesnych dziecięcych, obie płcie, tylko z przewagą „inteligencji“. Były tam razem niewiasty, spełniające szczytne i niemniej bohaterstwa wymagające role sanitariuszek, były dwie.... karabinem dzielnie manipulujące.

„Uwziął“ się wróg na zdobycie szkoły kadeckiej, zawzięliśmy się i my w jej obronie. Nie wolno nam było stracić jej teraz, kiedy tam w warsztatach obiecują do kilkunastu godzin.... pociąg pancerny. Choć wydano zarządzenia do obsady „linii drugiej“, zastrzeżono, że uczynić to wolno jedynie „na rozkaz“.

Zaledwie zaświtał brzask dnia następnego (17 list.), grała już hejnał ukraińska artylerja, hejnał donośny, wytrwały i długi, lecz znowu na kadecką skierowany szkołę. Po dwugodzinnym, rozszalałym żywiole ogniowym rzucono znaczniejsze — niż poprzednio — masy do ataku i objęto nimi całą także Wólkę. Szczególnie zawzięte rozgorzały walki o właściwą szkołę, którą zaatakował wróg koncentrycznie, a pod którą zbliżył się znacznie po przerwaniu linii na cmentarzu stryjskim. Nowe posiłki (od por. Monda) rygiel mu tam stworzyły, lecz zacięta walka trwała dalej.

Zbliżał się wieczór, a napór ataku nie zmniejszył się jeszcze. Wtedy to otrzymała rozkaz ostatnia rezerwa komendy nacz. pod dow. rotm. Dembińskiego udania się na I. odcinek. Por. Bujalskiemu wydano dyspozycję przejścia natychmiast do kontrataku i opanowania całego parku

stryjskiego, placu powystawowego i całej Persenkówki. Jak huragan rozwinął się ten atak mimo znużenia szalonego, mimo śmiesznie nieproporcjonalnych sił naszych. Zachowała się we Lwowie i długo krążyła po nim autentyczna anegdotka, jak por. Bieńkowski dysponował donośnym głosem — by go wróg słyszał — do ataku kompanie, wysyłając równocześnie garstkę ludzi.

Atak dysponowany koncentrycznie, a wsparty gwałtownym uderzeniem por. Brzezowskiego na Persenkówkę rozwinął się znamienicie, opanował wszystkie ulice z drugiej strony parku leżące, natknął się tam na nową linię ukraińską, na wzgórzu św. Jacka i przyniósł zdobycz znaczną. Kilkadziesiąt jeńców (w tym 2 ofic.) dużo karabinów i amunicji, 2 karabiny maszynowe.

Nie zdobyto jeno — mimo „wyrażnego rozkazu“ — minierek. Zdołał uprowadzić je wróg. Zdobyto jedynie 6 naboju olbrzymów (22 cm.), które doprowadziły liczbę posiadanych do wysokiej dla nas cyfry — 9 sztuk. Ponieważ wyszkoloną już była i obsługa minierek, musiał poczuć wkrótce wróg na sobie, jak one działają.

Patrole własne zapuściły się daleko przez Żelazną Wodę i korzystając z ciemnej nocy, powiększały u nieprzyjaciela straty i popłoch. Jedna z „kompanii“ por. Bieńkowskiego, pod wodzą bohaterskiego sierżanta Głogowskiego, licząca z nim razem dziesięciu „męża“, omijając sprytnie placówki ukraińskie, przedarła się daleko na tyły nieprzyjaciela i dotarła aż pod koszary Jabłonowskich (poza górą św. Jacka). Rzucając w nie granaty ręczne, wywołała szalony popłoch wśród zgromadzonej tam rezerwy i w całym sztabie ukraińskim. Przy wycofywaniu się stamtąd nie minęła cennej i zacnej głowy Jego kula, wierna towarzysza prawego i dzielnego żołnierza. Oddział jego wrócił w całości.... z komendantem na czele, niesionym jednak bez życia.

Pozytywne mamy wiadomości o popłochu, jaki wywołał w sztabie ukraińskim ten atak nasz i te patrole nasze. Wszak o tej samej porze toczyły się tam pertraktacje.... ugodowe. Opowiadano więc nam, jak przyszła tam

wiadomość, że „luchy dostały posiłki“, że „5000 (?) ich następuje od roгатki zielonej“ itd. Słyszano i widziano, jak biegiem pędziły kompanie rezerwowe w tamte strony, byle tylko zagrozić nam drogę, widziano, jak dwie z nich u wylotu ul. Zielonej gorącą ze sobą stoczyły walkę.

Myśmy zaś jeszcze nie mogli i nie próbowali posunąć się dalej poza nakazaną linię. \*)

Przez cały ten czas nie spoczywał i spoczywać nie mógł dalszy front miejski. Walki na nim wrzały zawzięte. Wspominałem już o podsuwaniu się naszym przez ten czas pod koszary Ferdynanda, o zaciekłym, a koniecznym zdobywaniu jednego obiektu za drugim, uwieńczonym wreszcie 16 list. pomyslnym, a ostatecznym skutkiem.

Celem dywersji, pomocy sąsiadowi i odciągnięcia sił ukraińskich atakował przez cały ten czas Abraham na swoim odcinku. Musiano także ruszyć Starcka na Zamarstynowie. Obaj spisali się dzielnie, obaj rozszerzyli swój stan posiadania.

Ostatni epizod Starcka opiszę. Po całodziennym poraniu się z wrogiem późną już nocą (17 list.) wdarł się on znowu — po raz już niewiadomo który — do Rzeźni, i opanował jeden z licznych jej budynków. Miał ze sobą maszynkę i... ośmiu ludzi. Do ataku nań rozwinął się jeden, znacznie przeważający oddział od północy, wkrótce zjawił się drugi od południa, jako świeża nowa rezerwa. Bronił się na obie strony przez czas jakiś, wreszcie wy-

---

\*) Wieści o nowych siłach laskich, stamtąd (od ul. Zielonej) uderzających mógł brać poważnie sztab ukraiński. Był to bowiem czas przebijania się austriackiego 90 p. p z Ukrainy do Jarosławia. Nie dał on się w Podwołoczyskach rozbroić, lecz we własnych pociągach przebił się przez Chodorów, Stryj, Sambor itd. i w całości dojechał do miejsca rodzinnego. Bohaterska to była Odyseja, sprytnie uniknięcie kilkakrotnie zastawianych pułapek, rozbicie i pokonanie kilku znaczniejszych zasadzek itd.

Jechał tam z nimi i nasz do nich wysłannik. Mimo wyczerpywania wraz z tamtejszymi P. K. Wiakami wszystkich argumentów za koniecznością jazdy przez Lwów nie zdołano przekonać większości żołnierzy. „Mityng“ żołnierski większością głosów uchwalił jechać tamtędy, nie chciał zboczyć nawet z Chodorowa, ale zapewniał, że po „odwiezieniu do domu“ ruszą z Jarosławia na Lwów.

dał rozkaz wycofania się „pocichu” poza parkan. Uczyniono to sprytnie i niespostrzeżenie i obserwowano jak Ukraińcy z dwu stron atakują próżny, drewniany budynek, rażąc tylko siebie nawzajem. Kiedy tamci rzucili się już na „hurra”, nagle nowe „hurra” za parkanem i długa gra maszynki. Obiekt zdobyto, trupów ruskich naliczono 84, a u nas dwu lekko rannych.

Nie mógł także próżnować nasz front zewnętrzny. Jenó zasiąg jego musiał być głębszy, jeno patrole jego dalej sięgać musiały. Tak więc Zimna Woda—zorganizowana błyskawicznie—rozbija już 17 gromadzące się przed jej frontem bandy chłopskie, zdobywając Suchowolę. Tak oddziały Boruty rozpędzać muszą ukraińskie oddziały i przed Skniłowem i w Sokolnikach. Musiano także wciągnąć częściowo i flankowo Borutę w odpieranie ataków na Wólkę i przed kadecką szkołę.

Osobna karta należy się lwowskiej artylerji i lotnikom. Zasługi ich przy walkach w drugim okresie są ponad wszelkie pochwały. W czasie najgorętszych i szalonych walk na froncie pracowały z najwyższą intensywnością warsztaty artyleryjskie nad montowaniem i uzupełnianiem dział zdobytych. Tymczasem kadra ćwiczyła obsługę, dobierała ludzi i konie i bezpośrednio po otrzymaniu gotowej do strzału armaty z warsztatów słała ją na front. Wzajemna, szlachetna emulacja baterji doprowadzała też wkrótce każdą z nich do nadzwyczajnej sprawności i wartości bojowej. Codziennie rosła artylerja nasza i strzelała znakomicie, gdyż teraz nie potrzebowała owijać kul „szmatami”, przeciwnie dość miała amunicji i wcale dobrej — po zdobyciu Skniłowa. Utrzymywanie więc pod „dobrze jeżącym” ogniem strzelających baterji nieprzyjacielskich, odpieranie ataków piechoty, nierzadko z tyralierskiej linii, a przytym ciągle doskonalenie usługi, oto jej praca i zasługi niepomierne. Ze zdobytych 3 sztuk rosyjskich haubic górskich zrobiono wspaniałe kartaczownice, dawszy im osobny pancerz, ubezpieczający obsługę z trzech stron. Do walk ulicznych broń znakomita i ruchliwa. Wypróbo-

wano ją na ul. Kopernika i ustawiono w odpowiednich miejscach. Jedną z nich ulokowano na kadeckiej górze tak, że działać mogła i na Cytadelę i po odwróceniu jej o 180° przed front kadeckiej szkoły, z czystej flanki. Dowodził nią zast. ofic. Zajac. Nie potrzebuje wyliczać, jakie oddała ona usługi przy ostatnich ukraińskich atakach, kiedy front własny cofnął się. Armatka zaś dobrze ukryta czekała spokojnie, aż podejdzie linia Ukraińców na jej wysokość. Wówczas dopiero z dokładnej flanki jak nie sypnie kartaczami wzdłuż posuwającej się linii wrażeń.

Lotnicy lwowscy stali się od początku lotnikami bojowymi, nie zaniedbując swej roli wywiadowczej. Atakowanie więc nieprzyjaciela bombami lotniczymi i karabinami maszynowymi, atakowanie z niewielkiej wysokości świadczy dobitnie o gorącym ich udziale w bojach lwowskich. Nie było dla nich zadania lotniczego, którego by się nie podjęli, nie było boju na terenie Lwowa, w którymby nie brali bezpośredniego udziału. Ilość dziur, otrzymanych przez ich aparaty, zapisze inny statystyk, ja jeno dodam, że trzy aparaty, strzałami uszkodzone, musiały lądować w tym czasie. Wszystkie na szczęście w obrębie naszych linii. Z oficerów straciliśmy ранego por. de Beaurrain. Każdy fachowiec zrozumie, że aparaty te musieli oni sami ciągle naprawiać i poprawiać, składać i dorabiać różne części, że więc w czasie tych ciągłych bojów nie mogli spuszczać z oka warsztatów. Naprawdę serce rośnie na ich widok, gdy przy codziennym raporcie wieczornym zdawali sprawę z czynności dokonanych i odbierali dyspozycje bojowe na dzień następny.

W opisie tych walk uwzględniam jedynie akcje większe. Nie opisuję zupełnie drobnych wypadów obustronnych, akcji patroli i t. d. Było ich mnóstwo, a każdy z nich tworzy epizod, godny uwiecznienia. Czy niepokojenie nieprzyjaciela przez pełzanie ku jego redutom i liniom — ulubioną tu broń stanowiły granaty ręczne — czy „zagarnianie” jego wedet, a nawet całych placówek, czy wreszcie osobne małe wyprawki po jego karabiny ma-

szynowe. Szczególniej w tym ostatnim kierunku wyćwoczyło się wielu „specjalistów“, którzy nie mogli spać spokojnie z chwilą usłyszenia nowej maszynki nieprzyjacielskiej. Badali natychmiast jej umieszczenie i inne „okoliczności“. Najbliższej nocy pełzała zwykle grupka ludzi, by po zręcznie poprowadzonej akcji przynieść maszynkę z sobą, o ile nb. zdołacie jej było możliwe, o ile stała na polu, a nie w reducie jakiejś. Liczba w ten sposób zdobytych maszynek duża, zbliża się prawie do połowy ogólnej liczby naszej zdobyczy. Mistrzami w tym byli: Wolak i Mirecki, Kułakowski i Abraham, Dzieduszycki i Brzezowski i w. in.

Późnym wieczorem (17 listopada) przywieziono do komendy nacz. wiadomość o zawartym 48 godzinnym zawieszeniu broni, rozpoczynającym się o 6 godz. rano 18 listopada. Czy skłonność do zawarcia jego była oznaką wyczerpania się ataków ruskich, czy też może spowodowana popłochem i wieściami o nowych polskich posiłkach, nie będę rozstrzygał.

Zostawała więc jeszcze noc cała. Niezmordowanie, wśród niemożliwych warunków pracowała sekcja minierska komendy nacz. nad przygotowaniem i założeniem ładunku pod koszary Ferdynanda. Ukończenie prac tych obiecywano początkowo na 15 listopada, przedłużono jednak ten termin dwukrotnie. Obecnie nie wiadomo jeszcze, czy uda się w ciągu nocy wykonać. Wydałem więc por. Łapińskiemu dyspozycje następujące: Jeśli będzie można dokonać wysadzenia koszar i obsadzenia ich pozostałości do godz. 6 rano, wykonać to dziś. W przeciwnym razie założyć ładunek, a wysadzenie odłożyć na czas po zawieszeniu broni. Pracowali pospiesznie minierzy. Może w pośpiechu tym leży wina, że koszary jeszcze stoją. Przy zmniejszonym ładunku wysadzono tuż przed 6 rano (18 listopada). Niestety, jakaś wadliwość w kanałach, czy może pośpiech w robocie spowodował, że koszary nie wyleciały w powietrze. Silna eksplozja poturbowała nieco Ukraińców. Koszary zaczęły się palić. Przy

zamieszaniu oddziały Bema wtargnęły na parter głównego budynku.

Ukraińcy podnieśli zarzut, że stało się to w pół godziny po rozpoczęciu zawieszenia broni.

Wysłano więc na miejsce D-ra Jakubskiego celem zbadania dokładnego czasu wtargnięcia. Kiedy ustalił niewątpliwie, że stało się to istotnie o pół do siódmej, polecono wycofać się stamtąd.

O 6 godz. tedy 18 list. rozpoczęło się zawieszenie broni. Rozciągało się ono jedynie na front miejski. Poza miastem bić się było można. Mogli więc napadać nas stamtąd Ukraińcy, można było i nam ich tam atakować.

Nie zaznał więc spokoju Boruta przez ten czas. Patrole musiał wysyłać jak dotychczas.

Nie dano należnego spoczynku kawalerji lwowskiej, lecz bezpośrednio po powrocie z Rzęsny pognano ją na zwiady i wywiady. 18 list. pod wieczór wysłano ją z rozkazem dotarcia do Gródka Jagiellońskiego i zaatakowania tamtejszych Ukraińców. Mieli oni zarazem zasięgnąć języka o Tokarzewskim i gdyby tam staczał walkę, uderzyć na wroga z drugiej strony.

Wspaniały był to zaiste raid kawalerzycki. Omijając większe skupienia Ukraińców, a rozbijając zupełnie mniejsze, dotarli do celu i zaatakowali spokojnie siedzących Ukraińców. Długą i uporczywą z nimi stoczyli walkę, zdobyli karabin maszynowy i wrócili w całości do Lwowa.

Ogromne nagle wiwaty rozległy się przed komendą nacz. Tłumy ludzi, wiwatujących na ulicy, a wśród nich grupka ułanów lwowskich, których komendant przyjechał zdać raport. Przy wjeździe do Lwowa zaczęli mówić „po krakowsku“, witać rodzonych mieszkańców Lwowa i objaśniać ich, że „idzie nas tu 2000 aż z pod samego Krakowa“. Niczym dojechali do komendy nacz. tłum ludzi witających przekroczył znacznie rzekomą ich cyfrę. Uciecha Lwowa nie miała granic, ponieważ już posiłki przyszły z Krakowa.

Jak się ta wieść rozleciała, jak spragniony był Lwów posiłków, świadczy najlepiej to, że w pół godziny później

byli już u mnie ludzie, na przeciwnym krańcu Lwowa mieszkający, którzy dopytywali się skwapliwie, czy „naprawdę przyszło ich dwa tysiące“. Tyle bowiem ludzie widzieli.

Nie widziałem powodu do zaprzeczeń, lub prostowań.

---



## ROKOWANIA.

Zapoczątkowane przez Ukraińców 4 list. drugie rokowania z P. K. N. toczyły się nieprzerwanie. Co pewien czas przedzierał się któryś z członków Komitetu przez front (najczęściej Dr. Dąbrowski, Dr. Świtalski, dwa razy Dr. Dubanowicz) celem poinformowania komendy nacz. o stanie rokowań i omówienia z nią wyłaniających się nowych kwestji. Bezpośredniego udziału nie brała w rokowaniach tych komenda nacz. — nie wysyłała zupełnie swego przedstawiciela. Rzeczowe sprawozdanie z nich umieszczę na podstawie pisemnego zestawienia czynności, dokonanego przez D-ra Dubanowicza.

Poniosę jeno udział w rokowaniach Komitetu bezpieczeństwa i ochrony dobra publicznego.

Utworzony ostatecznie 8 listopada przejmował od komendy nacz. wszystkie sprawy z ludnością cywilną związane, jak aprowizację, skarbowość, udział w poborze, sprawy sanitarne, bezpieczeństwa publicznego itd. Zażądał nadto umożliwienia mu brania bezpośredniego udziału w toczących się po przeciwnej stronie rokowaniach polsko-ukraińskich. Nic nie mogła mieć przeciwko temu komenda nacz., podkreśliła tylko, że delegaci komitetu bezpieczeństwa mogą wziąć udział w rokowaniach tych *jedynie* w porozumieniu i przy współudziale P. K. N. Inaczej rzekłszy, delegaci z „polskiej strony“ nie udają się na nowe rokowania, lecz powiększają tylko skład polskiej delegacji, wyznaczonej już przez P. K. N. do rokowań z Ukraińcami.

Skoro przyjął Komitet to zastrzeżenie, porozumiała się polska komenda nacz. z ukraińską co do umożliwienia swobodnego codziennie przejazdu delegatom i ko-

niecznego zawieszenia broni na czas ich przejazdu w ul. Sykstuskiej.

Począwszy od 12 listopada jeździli więc stale delegaci komitetu o godz. 2 po poł. na stronę przeciwną, a wracali późnym wieczorem. Działo się to codziennie aż do 20 włącznie. Z ramienia komitetu bezpieczeństwa byli delegatami Cieński, Chłamtacz, Hausner. Towarzyszył im stale i brał udział razem z nimi w rokowaniach, dotyczących się spraw wojskowych, delegat komendy nacz. por. de Laveaux.

Z chwilą więc zagrania sygnału trąbkowego przy kościele Marji Magdaleny milkły wszystkie strzały wzdłuż całej ulicy Sykstuskiej i delegaci przejeżdżali spokojnie. To samo działo się z powrotem. Bezpośrednio po ich zniknięciu z ul. Sykstuskiej wojna zaczynała się dalej. Jeden tylko obywatel, niezadowolony widocznie z toczących się rokowań, wykorzystywał chwilę przejazdu delegatów i pilnie strzelał im zawsze nad uchem z poczty przez ul. Słowackiego. (Wolno mu to było czynić, bo tam wojna trwała). Denerwowało to strasznie jednego z delegatów i po każdym przyjeździe zwracał się do mnie z wyrzutem: „Panie, zrób pan coś z tym w cylindrze“. Stwierdziwszy jeno pozytywnie, że nie godzi na ich życie, nie mogłem mu przeszkodzić w tym „przyzwyczajaniu ich do wojny“.

Udziału w pertraktacjach żądał kategorycznie inż. Hausner. Wychodził naonczas z tego założenia, że do ugody on potrafi doprowadzić. Nie przypuszczał bowiem, jak i inni uprzednio z przeciwnej strony, by Ukraińcy odrzucali warunki, oparte na zupełnym, bezwzględnym równouprawnieniu obu narodowości. Jadąc na pierwsze posiedzenie, wyraził się nawet: „Zobaczycie, że dziś przywiezę wam rozejm“. Trzeba mu więc było pozwolić popróbować samemu.

Jak znakomicie tam sprawę postawił, świadczy sprawozdanie D-ra Dubanowicza.

Szyfowąż zaiste byłoby pracą przedstawiać<sup>4</sup> dokładnie i szczegółowo cały tok rokowań polsko-ukraińskich. Mnó-

stwo rozmaitych projektów, stawianych obustronnie, walka niejako o poszczególne słowa w formułowaniu warunków ugody, wynajdywanie coraz to innych i coraz to nowych obiekcji, lub podstaw pertraktacji. Przedstawianie tego zajęłoby zbyt dużo miejsca i... papieru. Bezúčytecznie.

Podkreślę jeno, że komenda nacz. stała wytrwale na stanowisku, że nie miesza się zupełnie w układanie warunków politycznych. W sprawach zaś wojskowych żąda zupełnego, idealnego równouprawnienia stron obu. Jak nie żądała ona od „wojska ukraińskiego“ składania przysięgi na państwo polskie nb. aż do rozstrzygnięcia definitywnego sprawy, tak znowu oświadczała, że żadna siła nie zmusi jej, jak długo starczy życia polskich żołnierzy, do „uznania suwerenności ukraińskiej, lub złożenia broni“.

Tego znowu żądali wytrwale Ukraińcy, jako rzeczy dla nich zasadniczej. Godzili się nawet raz jeden — następnie odwołali — łaskawie na to, by oddziały polskie istniały osobno, ale „po złożeniu przysięgi Ukr. Radzie Narodowej“. Zresztą stali ciągle na platformie zupełnego rozbrojenia „band polskich“ i wydania im całego materiału wojennego, jako stanowiącego własność Ukraińskiej Republiki. Zapewniali także swobodny wyjazd z Galicji wschodniej „bez broni“. Nie znaleźli jednak partji politycznej polskiej, któraby godziła się na to „lekkim sercem“.

To miały być wojskowe warunki rozejmu. Na zawieszenie broni godziła się polska komenda nacz. na zasadzie posiadanego frontu. Proponowała go nawet kilkakrotnie, by umożliwić wyprowadzkę ludności cywilnej z pomiędzy frontów, a wyprowadzkę lub zaopatrzenie się w żywność ludności z terenów pozafrontowych. (Patrz dodatek Nr. 31). Na to znowu Ukraińcy nie chcieli się zgodzić, aż 17 uczynili to pod wpływem wyczerpania się ich ataków, czy też z obawy przed polskimi posiłkami.

Jedyną korzyścią bezpośrednią, wyniesioną z tych rokowań była umowa co do uznania za neutralne szpitali i zakładów użyteczności publicznej, obustronnie działających, a to: światła (elektrownia na Persenkówce), woda (wodociąg) i gaz (gazownia miejska). Umowa zawarta

między przedstawicielami obu komend wojskowych została dotrzymaną w całości tylko przez Polaków. Jak dotrzymali ją Ukraińcy — kiedy na nich kolej przyszła, tj. kiedy zakłady te w naszych znalazły się rękach — świadczy dobitnie fakt pozbawienia zupełnego światła i wody całego Lwowa na przeciąg prawie półroczny. Nie będę cytował przykładów, że nawet dzicy barbarzyńcy nie pozbawiali wody ludności cywilnej w oblęganych miastach. Zrobił to dopiero „naród kulturalny“ w XX w. choć zawarł wyraźną umowę.

Umowa ta spisana w dwu językach — podana w tekście w dodatkach. (Patrz dodatek № 32).

Nastrój ludności wpływał silnie na tok pertraktacji i na... delegatów polskich. Był on fatalny w „ukraińskim mieście“, nie był powszechnie — podkreślam to słowo — dobry za polskim frontem. Szalony, nieopisany terror w ukraińskim mieście, mordy po ulicach i domach hajdamackiej soldateski, zupełny brak aprowizacji ludności polskiej (naogół aprowizacji tam nie było, a jeśli była to *tylko i wyłącznie dla ludności ukraińskiej*) — niemożność wyjścia z domów między—i za frontowych, przeciągające się walki, liczne ofiary, zwątpienie w odsiecz i pomoc i inne, doprowadziły wielu nawet najwytrwalszych do nieopisanego stanu zdenerwowania, apatii, pragnienia, by się ta wojna skończyła, jak najprędzej. Niech będzie potym, co chce. Ponadto nie próżnowali Ukraińcy i umiejętnie zaczęli rozsiewać wieści — a nawet rozszerzać pisma ulotne (po polsku drukowane), że to wszystko dzieje się... z winy Polaków, że dawno byłoby dobrze dla wszystkich, gdyby Polacy chcieli sprawiedliwej ugody, którą oni tylokrotnie już proponowali itd. itd.

Nic dziwnego więc, że kiedy jechała delegacja Komitetu bezpieczeństwa na pertraktacje, ludzie cywilni „kłękali po ulicach i składali ręce jak do modlitwy“, wyrażając tym błagalne prośby: „pogódźcie się“.

Stąd wypłynęła konieczność przedstawienia społeczności polskiej w ulotnych pismach stanu rokowań, obu-

stronne warunki i powody przeciągania się, lub rozbicia Druków takich wyszło w czasie listopada trzy: pierwszy przez P. K. N. wydany, dwa dalsze przez Komitet bezpieczeństwa i ochrony dobra publicznego z 12 i 21 listopada. (Patrz dodatek № 33).

Byłbym niesprawiedliwy wobec bohaterstwa Lwowa, gdybym nie podkreślił osobno, że nastrój ten nie był powszechny. Jedynie zaczął się w tym czasie objawiać coraz to szerzej, obejmując znaczniejsze kręgi ludności po stronie ukraińskiej, mniej znaczne, ale również poważne po stronie polskiej.

Żołnierz lwowski, który żył zespolony z życiem miasta, jak żaden inny na świecie, zaczął powoli poddawać się nastrojowi temu, zaczął wątpić w pomoc Polski. Zdawał sobie sprawę, że własnymi siłami nie pokona oddziałów, zciąganych z całej wschodniej Galicji.

Temu trzeba było przeciwdziałać wszystkimi dostępnymi sposobami. Pojawiające się w tym czasie liczne odezwy najrozmaitszych komitetów i zrzeszeń są widocznym objawem przeciwdziałania. O innych sposobach tej akcji agitacyjno-wyjaśniającej nie wspomnę.

Pierwsza wydała odezwę komenda nacz. z wezwaniem do broni. Dalszą była odezwa Komitetu bezpieczeństwa i ochrony dobra publicznego. Następna odezwa P. K. N. wydana z podpisem „Obywatelstwo miasta Lwowa“.

Byłoby karygodnym lekceważeniem, gdyby w tej pracy ominięto polskie niewiasty. Mogły oddać one i oddały rzeczywiście nieocenione usługi. Dodam, że wśród nich panował największy zapał dla dalszej walki, podkreślę, że wśród nich znalazły starania komendy naczelnej odrazu pełny poklask i zupełne zrozumienie. Wszystkie odezwy w dodatkach. (Patrz dodatek Nr. 34).

Najłatwiej było przeciwdziałać tej akcji wśród wojska samego. Odpowiednie pouczenie dowódców odcinków, nakazujące należyte wyjaśnianie celów i źródeł tej roboty, wydanie osobnego rozkazu załatwiło tę sprawę ostatecznie. Rozkaz następującej treści:

## ŻOŁNIERZE!

Trzeci tydzień walki o Lwów zaczęły!

Wróg rozbrojony we wszystkich starciach, potyczkach i bitwach przestał już wierzyć w orężne zwycięstwo. Siły nieprzyjacielskie, mimo rozpaczliwego ściągania posiłków aż z Bukowiny, nie zwiększają się.

Świeże wojska ukraińskie, podwożone i sprowadzane do walki, rozbijają się o waszą dzielność i sprawność bojową, dawne rozłazą się i topnieją skutkiem dezercji i głodu.

Żołnierze! Nieprzyjaciel widzi, że nas orężem nie pobije, liczy, że sami siebie pokonamy, że czas i trudy wojenne zwątlą i rozłożą naszą wolę zwycięstwa, że zwątpienie i wielkość niedoli i ofiar, niesionych przez mieszkańców miasta, wytrąci nam oręż z ręki.

W tym celu, zapomocą odezw do ludności, zapomocą szpiegów i agentów usiłuje w Wasze szeregi wsączyc jad niewiary i zniechęcenia.

Żołnierze! Jestem pewny, że ta nikczemna, podstępna ofenzywa wroga spotka się z tym samym żelaznym Waszym odporem, o jaki rozbijają się wszystkie jego zbrojne ataki, że wszyscy w boju nie dacie przełamać Waszej woli i ducha, że potrafiacie wytrwać aż do ostatniej chwili, która przyjdzie w najbliższych dniach, całkowitego zwycięstwa.

16 listopada 1918.

*Mączyński w. r.*

Naczelnny Komendant.

Nie mam zamiaru przedstawiać wyczerpująco tej roboty, prowadzonej różnymi sposobami. Nie pominięto przytym „Pobudki“, gdzie różne umieszczano artykuły. Prowadził całą pracę bardzo umiejętnie i skutecznie Dr. Dąbrowski. Przykładowo jeno zacytowałem najważniejsze.

Zwątpienie, powyżej nacechowane, odbiło się poważnie na niektórych członkach obu polskich komitetów. Początkowo były to jeno jednostki, później zwątpienie obejmowało wszystkich przedstawicieli danej partji politycznej. Przygłębiała ponadto wielu odpowiedzialność za losy

miasta i całej polskiej ludności, odpowiedzialność za wszystkie ofiary, które zaczęto uważać za bezcelowe wobec wiadomości, przybywających z „Polski“.

Codziennie po powrocie delegatów z rokowań odbywała się narada z nimi w komendzie nacz. Dyskutowano na niej nad warunkami, przez Ukraińców postawionymi, formułowaniem polskich itd. Najtragiczniejszą z nich była narada w dniu 14 listopada, odbyta przed wyjazdem delegatów. Stawił się na nią prawie cały Komitet bezpieczeństwa, ze strony wojska brałem ja jedynie udział—jak zawsze zresztą.

Argumenty, stawiane przez poszczególnych mówców, były następujące. — Przedstawię je kolejno, nie wymieniając nazwisk autorów. Polska pomocy nie udzieli. Własnymi siłami możemy się trzymać dłużej lub krócej, możemy odnieść sukcesy, możemy zdobyć Lwów, ale... ulec musimy przed przewagą żołdactwa, ściąganego z całej wschodniej Galicji, musimy utonąć w otaczającym nas morzu ukraińskim. Walki nie możemy przeciągać, nie wolno nam powiększać strat licznych wśród wojska, liczniejszych wśród ludności cywilnej, nie wolno nam narażać polskiego miasta dwustutysięcznego na nieuchronną śmierć głodową — myśłano o ukraińskiej stronie i o wyczerpaniu się zapasów po polskiej stronie. Nie wolno nam wystawiać miasta na zdobycie go w boju (nb. przez Ukraińców), lub opanowanie go po opuszczeniu przez wojsko polskie; w obu bowiem wypadkach przemieniłoby się zajęcie w rzeź cywilnej ludności polskiej, jakiej nie zapisały Humań, ni Bar. Wreszcie myśmy obowiązek swój spełnili, zaznaczyli krwawym protestem, że miasto polskie. Protest ten dyplomatycznie da się wykorzystać. „Bohaterskie wojsko polskie“ musi się poddać twardej konieczności i żądaniom ludności cywilnej, stawianym dla dobra sprawy i miasta. Komitet ma prawo żądać nawet opuszczenia miasta przez wojsko.

Musimy się więc ułożyć z Ukraińcami, kiedy jesteśmy silni, kiedy oni liczą się z żądaniami naszymi, kiedy można uratować polskość miasta i uzyskać gwarancję dla pol-

skości we wschodniej Galicji. Nakoniec nastąpiły przykłady z historii, że państwa nawet wielkie muszą czasami przyjąć pokój niekorzystny, by nie wystawiać wszystkiego na straty, by uratować coś niecoś z ogólnej pożogi itd.

Argumentowano ściśle i logicznie i żądano ściśle i logicznej odpowiedzi na pytania, które nieraz już przytaczały mnie swym ogromem, nad którymi nie jedną noc przedtem spędziłem, by znaleźć na nie odpowiedź, by z ich błędnego koła wybrnąć. „Przyciskano mnie 'do muru' skutecznie i gwałtownie, żądając pozytywnej odpowiedzi na pytanie: „Ich siły rosną gwałtownie szybko, pańskie maleją, lub wkrótce maleć zaczną. Ich zapasy niewyczerpane, pan ma amunicję i żywność ograniczoną. Będzie się pan bronił tydzień, może dwa, trzy, a... potem (na Polskę pan nie licz, bo ta, gdyby chciała, dawnoby już tu była)... opuści pan Lwów i wyda go na pastwę rozszalonego żołďactwa.

Zaprzepaści przytym jakąkolwiek ochronę polskości tu i w kraju. Potym nie będą potrzebowali dawać niczego“.

Każdy, kto zważy siłę i walor tych argumentów, musi przyznać, że miały one swoje uzasadnienie. Nie mogłem im brać za złe stawiania sobie tak tej kwestji w poczuciu własnej odpowiedzialności przed przyszłością i narodem za toczące się wypadki. Wszakże sam nieraz na podobnym toku myśli „chwile wolne“ spędzałem, licząc się z każdą kroplą krwi i jej skutecznością czy potrzebą. Jakżeż zazdrościłem wtedy tym wszystkim, dla których istniał tylko rozkaz, jakżeż chętnie znalazłbym się na ich miejscu, by zginąć, a nie myśleć.

Jakież mogłem im dać odpowiedzi? Jakież mogłem dawać ściśle argumenty? Nie będę ich tu przytaczał, zsumuję jedynie ostateczne odpowiedzi. „Broni—ni przysięgi ukraińskiej nie złoży wojsko polskie, póki życia jednego żołnierza. Rozkaz ustąpienia wojsku może wydać tylko suwerenna, państwowa władza, ale i ona nie może zabronić oddziałom zginąć, miast hańbę przyjąć. Lwowa nie opuszczę, jak długo amunicji, lub żywności starczy. O po-



konanie się nie boję (właśnie w dniu, kiedy nastąpiło przerwanie frontu). Przy kończących się zapasach, a zbliżającej się konieczności opuszczenia Lwowa zawiadomię komitet poufnie na tydzień naprzód. Czas więc jeszcze będzie targować się wtedy z Ukraińcami o warunki ostateczne“.

Na obiekcje ich w sprawie pomocy, mającej się udzielić przez Polskę, argumentów znaleźć nie mogłem. Odpowiedź rządu ówczesnego była już znaną we Lwowie. Odpowiedziałem głęboką wiarą, że krew polska, przelewana tu obficie, poruszy i rozpali naród, który zmiecie przeszkadzających mu w udzieleniu pomocy braci ginącej. Na to potrzeba czasu. Wtedy poraz pierwszy użyłem porównania historycznego do „świętej i niebosiężnej Częstochowy“ z dodaniem jednak „si magna parvis comparare licet“. Zastrzeżenie to odpowiadało najgłębszemu, rzeczywistemu przekonaniu memu.

My możemy jeszcze działać i pomagać temu. Możemy wysłać jeszcze stąd delegata do władz państwowych polskich, który przedstawi im raz jeszcze stan faktyczny. Prosiłem wtedy osiwiatego w służbie publicznej D-ra Stefczyka, by podjął się tej roli.

Zgodził się na nią chętnie, nie bacząc na niebezpieczeństwa i następnego dnia miał wylecieć aeroplanem ze Lwowa z odpowiednimi pismami. Z powodu niepogody można to było uczynić dopiero 16 listopada.

Przytaczam tak szczegółowo te kwestje nie dla potępienia jednych, lub drugich chwalenia, ale jedynie i wyłącznie celem podkreślenia ogromnych trudności, jakie były do zwalczenia i szalonej odpowiedzialności, z jaką wszyscy sterownicy miejscowi—tak cywilni jak wojskowi—liczyć się musieli.

W naiwności swojej przypuszczałem naonczas, że sprawa załatwiona przynajmniej na czas dłuższy. Grubo się myliłem. Nie oszczędziły mi losy konieczności powzięcia decyzji innej—najstraszniejszej, jaką kiedykolwiek zająć się musi obywatel państwa, uważający w nim wszystkich za braci własnych.

W dwa dni później dostałem zawiadomienie następujące: „Jeśli do trzech dni nie zostanie załatwiona sprawa ugody z Ukraińcami, „*lud*“ sam weźmie tę sprawę w swe ręce“.

Nigdy nie żywiłem bratobójczych zamiarów. Komplikowało tu sprawę jeszcze pytanie, jak silne i jak liczne będą te rozruchy, czy potrafimy utrzymać front i poświęcić moc wojska na tyły itd. itd.

W samotności ważyłem wszystkie szanse, każde słowo odpowiedzi. Jak długo to trwało, nie wiem. Ludzie, czekający na odpowiedź, twierdzili później, że... trzy godziny. Mnie wydało się to chwilką jeno.

Odpowiedź otrzymali: „Rozruchy po stronie ukraińskiej korzystne dla nas być mogą (nad tym nie potrzeba się było namyslać), rozruchy po stronie polskiej *opanują siłą wojskową*, a winowajców pociągnę bezwzględnie pod sąd doraźne za... zdradę stanu“.

Choć decyzja ta była dla mnie gorszą od możliwego późniejszego jej wykonywania, lecz jakżeż szczerze dziękowałem Opatrzności, że nie potrzebowałem zatwierdzać ni jednego wyroku śmierci.

Nie wchodzi w zakres niniejszego rozdziału, ani nie planowano w niniejszej pracy przedstawianie środków zaradczych i zapobiegawczych, jakie przygotowano na powyższy wypadek.

Humorystycznie nieco przedstawiała się sprawa przyjazdu pod koniec pierwszego tygodnia walk lwowskich dwu delegatów z Jarosławia celem „pogodzenia stron walczących“. Kto ich wysłał—nie miałem sposobności później sprawdzić. Twierdzili, że Polska Komisja Likwidacyjna z Krakowa dała im takie polecenie telegraficznie. W dokumentach swoich, wystawionych w Jarosławiu, mieli pieczętki Polska Kom. Likw. powiatu Jarosławskiego (nieznana mi była taka instytucja). Przyjechał jeden robotnik Polak i jeden Rusin i zażądali przepuszczenia ich przez front na rokowania. Wyjaśniłem im, że tak odrazu nie można przez front przechodzić, że „mogą ich zabić i na pewno to zrobią“, że musi się najpierw przesłać ich do-

kumenty do Ukraińców i zapytać, czy oni zechcą z nimi mówić. W wypadku twierdzącym musi się potem omówić godzinę i miejsce lokalnego zawieszenia broni celerrich przejazdu. Wtedy dopiero będą mogli „pojechać i godzić“.

Papiery ich wysłano do Ukraińców, lecz odpowiedź na nie nigdy nie przyszła. Ich trzymano pod „honorowym“ dozorem. Kiedy sprzykrzyło im się czekać, wyjechali po trzech dniach z powrotem do Jarosławia. Nie wiem, dlaczego Ukraińcy nie odpowiedzieli zupełnie. Czy wzięli to także ze strony humorystycznej.

Przyznam się, że nie orjentowałem się wtedy w ich wysłannictwie, to znaczy z czyjego rozkazu i mandatu przyjechali. Badani co do różnych spraw w P. K. L. szczególnie osobistych dawali wystarczające odpowiedzi. Jeśli więc prawda, że są wysłannikami P. K. L. rodziła się wielka wątpliwość, dlaczego wysłano właśnie ich lub takich (jak kto chce). Z tych nierozwiązalnych wątpliwości wybrnięto w ten sposób, że traktowano ich z honorami posłów, dano im „honorową“ wartę (z cichym rozkazem dobrego pilnowania) i zamierzano wysłać ich w razie zgody Ukraińców na pertraktację, naturalnie po odpowiednim obstawieniu przez czynniki miejscowe, nie przyjmując uprzednio jakichkolwiek zobowiązań.

Niestety, ówczesna hardość Ukraińców nie pozwoliła im zbadać siły swej wymowy i doprowadzić do zgody „niepotrzebnie walczące bratnie narody“.

Obecnie mogę oddać głos D-rowi Dubanowiczowi i umieścić jego sprawozdanie z merytorycznego toku rokowań polsko-ukraińskich.

„Ranek dnia 1 listopada upłynął na staraniach o zebranie kilkunastu bodaj przedstawicieli stronnictw polskich w jednym miejscu. Około godziny 11 rano doszło istotnie do skutku tego rodzaju zebranie w Towarzystwie kredytowym ziemskim. Po omówieniu sytuacji uchwalono tam na wniosek D-ra Dubanowicza jednomyślnie wybór Komitetu obywatelskiego, mającego stale czuwać nad wypadkami.

Skład Komitetu tworzyli mianowicie: T. Cieński, Stesłowicz, Adam, Stahl, Dąbrowski, Głazewski, Klinger, Świtalski. Na wypadek, gdyby ten Komitet utracił swobodę ruchów, miał wejść w życie wybrany równocześnie Komitet zastępczy, złożony z pp. Rayskiego, Serwatowskiego, Ilnatowicza, Opieńskiego, Dubanowicza, Mękarskiego.

Komitet obywatelski, uzupełniony przez kooptację D-ra Dubanowicza, zaczął już w południe swe funkcje odebrać od kapitana Czesława Mączyńskiego (ustanowionego poprzedniego dnia dzięki porozumieniu tajnych organizacji wojskowych polskich, P. K. W. i P. O. W. wspólnym komendantem tych organizacji na wypadek potrzeby), wyjaśnienia na temat położenia wojskowego. Po wyjaśnieniu tym Komitet zatwierdził kapitana Mączyńskiego na jego stanowisku i oddał mu formalnie kierownictwo akcją wojskową. Komitet uchwalił działać w permanencji. Na jednym z najbliższych, następnych zebrań uzupełnił się przez przybranie inżyniera Brühla, jako reprezentanta ludowców, oraz przez przybranie p. p.: Löwenherza, Stupnickiego i Szczyrka, jako przedstawicieli socjalistów. Nadto, ponieważ na szerszym zebraniu obywatelskim odbytym 1 listopada wieczorem w Izbie handlowej i przemysłowej wybrano równoległy, drugi Komitet obywatelski, do którego jako nowy czynnik weszli przedstawiciele mieszczaństwa lwowskiego w znaczniejszej liczbie, komitet pierwotny powiększył się przez przybranie i tych także członków w szczególności: Neumanna, Chlamtacza, Żmudzkiego, Laskownickiego, Wasunga, Wereszczyńskiego i in. Ciało, które tym trybem rozrosło się do liczby paru dziesiątek osób, nie mogło już pracować terminowo i skutecznie, wobec czego na wniosek D-ra Dubanowicza wybrany został z łona całego tego ciała, jako Polskiego Komitetu Narodowego, ściślejszy wydział wykonawczy, złożony z prez. Stesłowicza i alternatywnie: Adama wzgl. Stahla z N. D. Dąbrowskiego wzgl. Dubanowicza ze Zj. N. Stupnickiego wzgl. Szczyrka z P. P. S. i Klingera wzgl. Świtalskiego z P. O. W. względnie Ligi niezaw. Ten Komitet ściślejszy, z przybraniem D-ra Głazewskiego, jako gospodarza i sek-

retarza, funkcjonował odtąd bez przerwy przez cały ciąg wypadków, zachowując w swym ręku główne kierownictwo, a tylko w miarę możliwości, od czasu do czasu, zwołując pełne zebrania Komitetu. Z jego łona utworzyła się z czasem także i komisja do rokowań z Ukraińcami, do której weszli pp. Stahl, Klinger, Dubanowicz i Szczyrek.

Główną uwagę poświęcił Komitet od pierwszej chwili sprawie skomunikowania się z Krakowem, Przemyślem, Lublinem, Podwołoczyskami, Warszawą. Wysyłano co kilka, lub kilkanaście godzin gońców, listy, wysłańców z informacjami i żądaniem pomocy. Zajęto się dalej zbieraniem składek pieniężnych, organizacją dopływu ochotników, służbą wywiadowczą, zapewnieniem kontaktu z polską siłą walczącą, budzeniem opinii obywatelskiej w mieście (przy pomocy zebrań, odezw, pism ulotnych) oddziaływaniem na organizacje polskie i t. d. Akcje te z kolei przechodziły na osobne organa wykonawcze (biuro prasowe, biuro uzupełniające wojskowe, biuro sanitarne, komitet organizacyjny), pozostające z Komitetem narodowym w ścisłym kontakcie. Główną czynnością Komitetu pozostało czuwanie nad politycznym położeniem w mieście przy pomocy stałego kontaktu z przedstawicielami wszystkich sfer, oraz podjęcie obrony mieszkańców przed dzikością żołdactwa ukraińskiego przy sposobności perjo-dycznych konferencji z delegatami Rady ukraińskiej.

Konferencje polityczne zostały zaraz w pierwszych dniach zapoczątkowane z inicjatywy marszałka Niezabitowskiego i doprowadziły odrazu do bardzo niekorzystnego zawieszenia broni i wytworzenia wspólnej komisji z 6 Ukraińców i 6 Polaków, która to Komisja podpisała wezwanie do spokoju i rozwagi. Skutków praktycznych dalszych nie miała ona jednak. Komisja wspólna rozwiązała się tedy i właściwe rokowania porozumiewawcze rozpoczęły się dopiero po znaczniejszej przewie, kiedy to walka doszła już do wysokiego napięcia.

Punktem ciężkości zadań Komitetu stało się wówczas prowadzenie owych rokowań. Był to jedyny środek, ażeby utrzymać we względnej równowadze mocno już

wyczerpaną opinię w mieście, ażeby dalej mieć forum do wytaczania zarzutów przeciwko nadużyciom ukraińskiego wojska, ażeby możliwością ugody trzymać przeciwnika przed zupełnym rozpasaniem się wobec miasta, ażeby na koniec w razie, gdyby dalsza obrona miała się załamać, mieć przygotowaną możność zakończenia sprawy jakim takim dwustronnym jej załatwieniem. Akcję tę prowadził Komitet pod znacznym zewnętrznym naciskiem wszystkich elementów bardziej nerwowych, w pierwszym rzędzie rodziców walczącej młodzieży, dalej mieszczaństwa zamożniejszego, posiadającego sklepy w śródmieściu, oraz najrozmaitszych outsiderów w rodzaju prof. Tilla, D-ra Hofmokla, D-ra Piotrowskiego etc. zaniepokojonych przeciągającą się walką. Najsilniejszy nacisk wywierały oczywiście sfery żydowskie, nie cofające się nawet (parokrotnie wznawiana propozycja D-ra T. Aschkenazego) przed narzuceniem Komitetowi swego pośrednictwa.

Szczegółowy tok rokowań wynika z zapisków.

Na ogół zaczęto rokowania od kwestji ogólnopolitycznych, jak uznania względnie nieuznania suwerenności ukraińskiej, puszczenia w ruch kolei i urzędów, kwestji samorządu miejskiego i aprowizacji miejskiej; właściwa sprawa wojskowa była zaledwie dotykana. Ukraińcy odrzucali poprostu wszelką rozmowę na ten temat, uważając, że nie godzi się ona z faktem utworzenia we Lwowie, jako stolicy zachodnio-ukraińskiego państwa, ukraińskiego rządu narodowego i ukraińskiego wojska.

Powoli i konsekwentnie usiłowano ze strony polskiej podkreślić beznadziejność dyskusji co do owych właśnie ogólnopolitycznych zagadnień, wykraczających poza teren miasta Lwowa, a skierować rokowania na sprawę, co będzie z samorządem miejskim i aprowizacją miejską. Komitet polski, podkreślając tę sprawę, pragnął uchylić od siebie odium publiczności za głód w mieście i wskazać, że cała wina niefunkcjonowania aprowizacji leży po stronie ukraińskiej. Pod tym naciskiem dała się z czasem sprowadzić pewna zmiana taktyki ze strony ukraińskiej,

I w rokowaniach i w wydanej po polsku odezwie zaczęli kłaść nacisk na to, że ludność uboga i spokojna cierpi głód z tego powodu, ponieważ strona polska upiera się przy prowadzeniu politycznej walki. Zaczynamy w praktyce poszło pewne zgodzenie się Ukraińców na uruchomienie samorządu miejskiego dla celów aprowizacji.

Już przedtym jednak, zrazu ostrożnie, potem z coraz większym naciskiem zaczęto ze strony polskiej podnosić potrzebę załatwienia sprawy wojskowej. Wojsko było przytym przedstawiane zrazu jako symbol polskości miasta, jako punkt honoru narodowego, potem coraz silniej jako jedyna realna gwarancja bezpieczeństwa w mieście i wobec możliwego rozkładu wojsk ukraińskich i wobec szumowin przedmiejskich i zewnętrznego nacisku band chłopskich.

Tym trybem sprawa wojskowa stała się z czasem głównym kulminacyjnym punktem rokowań z Ukraińcami. Strona polska ustawicznie przedstawiała w tej sprawie coraz to nowe stylizacje i pomysły. Strona ruska brała je ad referendum, analizowała je, odrzucała, ale nie szła na zerwanie rokowań i prowokowała dalsze propozycje polskie. Przeszło tydzień czasu zajęło wspólnej delegacji przesypywanie z pustego w próżnię w tej materji. Na jednym posiedzeniu, odbytym z inicjatywy Komitetu obrony i bezpieczeństwa publicznego z tamtej strony miasta, powrócono wprawdzie znowu do ogólnie - politycznych materji, ale doszedłszy tutaj i tym razem, jak z samego początku do muru, wrócono do sprawy wojskowej.

Pod sam koniec rokowań okazali nagle Ukraińcy (pod wpływem niepowodzeń i obawy bolszewizmu po swej stronie) pewną ustępliwość i w tej sprawie. Przez parę posiedzeń sprawa poszła o tyle naprzód, iż nie tylko zgodzili się Ukraińcy na zasadę pozostawienia w mieście siły zbrojnej polskiej, ale co więcej szli dosyć daleko w zgodzie na ilość jej i możliwość utrzymania broni. Przybycie por. Willaime'a zaogniło jednak z powrotem tak znacznie dyskusję w tej sprawie, że dalsze zbliżenie w tym

punkcie stało znowu w miejscu, od chwili wzięcia jego udziału we wspólnej konferencji.

Po 3-dniowym zawieszeniu obie strony nie zrobiły już żadnego kroku pojednawczego, idącego naprzód. Co więcej, skutkiem pewnego cofnięcia się strony ukraińskiej nastąpiło jasne uprzytomnienie sobie faktu, że między stanowiskiem obu stron więcej jeszcze zawsze jest przeciwieństw, aniżeli punktów stycznych.

Dalsze rokowania stały więc po dwóch tygodniach znowu pod znakiem beznadziejności. Konfrontowano wobec siebie wzajemne stanowiska i walka zaczęła się na nowo. Ale po stronie polskiej były już posiłki, Ukraińcy, którzy pod wpływem silniejszego kursu swej partji wojennej, pomyślnych wieści z rosyjskiej Ukrainy i pewnego wzmocnienia swych szeregów w czasie zawieszenia broni, liczyli na wojskowy ostateczny sukces, zawiedli się gruntownie.

W 14 godzin po zaczęciu ponownej walki musieli już przysłać o nowe zawieszenie broni. Tym razem odmówiła go już jednak polska komenda i w parę godzin wypędziła ich sromotnie z miasta i najbliższej okolicy“.

Na posiedzeniu 17 list byli Ukraińcy bardzo uступliwi. Nie wiadomo, czy powodem tego było wyczerpanie się ich ataków, czy wieści o polskich posiłkach i nasze kontruderzenie, czy też otrzymamy w tym dniu list wspólny książąt kościoła ks. arcybiskupa Bilczewskiego i Szeptyckiego. (Patrz dodatek № 35).

W warunkach swoich poszli bardzo daleko w tym dniu, to znaczy zbliżyli się znacznie do równouprawnienia obu narodowości, a zażądali jeno porozumienia się z U. R. N. Zgodzili się nadto na dwudniowe zawieszenie broni, rozpoczynające się 18 listopada o godz. 6 rano. (Patrz dodatek № 36). Wedle sprawozdań delegatów wydawało się wtedy, że „do zgody dojść musi“. Zawieszenie broni wojskowo nie szkodziło nam zupełnie w tym czasie, owszem pomagało, bo pozwalało dać odetchnąć upadającym ze znużenia oddziałom polskim, przygotować planowane uderzenie, chroniło od niepotrzebnych strat.



Uważaliśmy je za zbawienne dla ludności cywilnej, a nawet za potrzebne dla poprawienia jej nastroju.

W tym też dniu — bezpośrednio po ruszeniu naszego frontu z Wólki na Persenkówkę — zjechał gościńcem stryjskim automobil francuski i „wpadł w ręce polskie“. Kilkanaście minut przedtym byłby się dostał jeszcze w ręce ruskie.

Przyjechał nim por. Villaine z urzędowymi papierami przedstawicielstwa francuskiego w Bukareszcie i D-r Michał Sokolnicki. Wysłannik francuski miał polecenie zorientowania się w przyczynie i jakości sporu, jak niemniej usiłować doprowadzić do rozejmu, czy zawieszenia broni.

Misja jego urzędowa dla nas bardzo ważna. Od odpowiedniego zorientowania delegata zależało bardzo wiele. W każdym razie nie można było lekceważyć jego misji.

Lecz jakież było nasze zdziwienie, gdy w czasie pierwszej rozmowy z nim przekonaliśmy się, że jest „zorientowany dobrze“ przez D-ra Sokolnickiego, ale tylko... *po linię Bugu i górnego Dniepru*. Ponieważ my we Lwowie staliśmy od początku na zupełnie innym stanowisku, a „rozwiązanie galicyjskie“ wzdłuż tej linii uważaliśmy wytrwałę za nieszczęście narodowe, lub co najmniej za dobrowolne okrajanie własnej ojczyzny, przeto musieliśmy wystąpić przeciwko temu i posła „przerobić“. (Sprawa tej linii wypłyne jeszcze nieraz w dziele niniejszym, przeważnie jednak w drugiej części).

Dla informacji czytelników pozagalicyjskich dodam, że powiały galicyjskie na wschód od tej linii są wszystkie (z wyjątkiem podkarpackich) o bardzo znacznym procencie Polaków i rzymsko-katolików, że często dochodzi tam powyższy procent do połowy, lub ją nawet przekracza.

Zatrzymano więc posła w komendzie nacz., aż do przyjazdu delegatów polskich z rokowań i oddano go w ręce prezesa Cieńskiego. Nie trzeba było tego sumiennego i niestrudzonego, a czujnego pracownika narodowego zachęcać, ni prosić, ni wskazywać kierunku pracy. Do pomocy dodano mu D-ra Dąbrowskiego,

który na nim wypróbował swoich talentów dyplomatycznych, zużytych później z tak znakomitym dla sprawy polskiej skutkiem wobec misji gen. Berthelemy'ego, D-r Kuźmińskiego, obdarzonego później słusznie mu się należącym przydomkiem „Lwowskiego dyplomaty“, D-ra Skalkowskiego \*) i in.

---

\*) Nie będę tu żałował papieru, by przedstawić „epizod osobisty“, godny—moim zdaniem—zanotowania. Nie widziałem lepszego kandydata od D-ra Skalkowskiego, dla przedstawienia posłowi historii sporu polsko-ukraińskiego i historycznego zestawienia dokumentów, wykazujących prusko-austriackie popieranie ruchu tego w całości, a przygotowanie zamachu w szczególności. Wszak sam historyk znakomity, docent Wszechnicy, obznajomiony gruntownie ze sprawą ukraińską. Lecz „lwowski Zan“ (przydomek ten nadano mu już 20 lat temu) waczył od początku w szkole kadeckiej jako ochotnik-szeregowiec. Walczył mimo, że jest zupełnym krótkowidzem i żadnego Ukraińca na własne oczy nie widział, choć byli tam nieraz bardzo blisko. Ale stał na pozycji wytrwale i strzelał zawzięcie w te strony, skąd słyszał strzały nieprzyjacielskie, lub świst przelatującej kuli. Sam nie krył się nigdy.

Wzwałem go więc do siebie, by mu wydać odpowiednie polecenia i instrukcje. Otrzymałem odpowiedź jego, że „uważa za swój obowiązek walczyć. Nikt go nie może i nie powinien odrywać od spełnienia li tylko tego obowiązku“. Musiałem użyć autorytetu i władzy wojskowej i wyjaśnić znakomitemu historykowi bojów polskich, że przy wojsku istnieje tylko „rozkaz“ i rozkaz musi być jak najlepiej spełniony.

Czy mam dodać, że czułem do mnie wielki za to żal i przez dłuższy czas „boczył“ się na mnie.

Czy nie warto podać w przypisku młodej potomności dalszych jego kilku „sprawek“.

Pracował odtąd przy różnych zadaniach historycznych. Pewnego dnia potrzeba mi go było koniecznie celem ułożenia nowego memorjału. W biurze nie znaleziono go. Kazałem go szukać wszędzie, lecz bez skutku. Po dwu dniach dopiero zjawia się. Rozłoszczony „wsiadam“ nań i dostaję skromną, spokojną odpowiedź: „Poszedłem kupić kartofli do Sokolnik. Tam zastał mnie atak ukraiński. Musiałem więc zostać w linii, i pomagać przy jego odpieraniu i wziąć udział w kontrataku“. Faktycznie, nie wiedziałem naonczas, czy śmiać się z naiwnego usprawiedliwiania, czy czołem uderzyć przed głęboko pojętą obowiązkowością i skromnym bohaterstwem.

Obarczano więc posła wiadomościami, które on skwapliwie przyjmował. Tyczyły się one obu Ukrain, galicyjskiej i naddnieprzańskiej. Poczym orjentował się u Ukraińców (Szeptyckiego itd.) a 19 list. pojechał na przeciwną stronę, by tam konferować z właściwymi władzami ukraińskimi.

Był także na rokowaniach 19 i na jego głównie życzenie przedłużono zawieszenie broni o dalszych 24 godzin t.j. do godz. 6 rano 21 listopada. (Patrz dodatek № 37).

Zawiadamiając o tym oddziały polskie, wydała komenda nacz. następujący rozkaz:

KOMENDA NACZELNA WOJSK POLSKICH WE LWOWIE.

*Lwów, dnia 19 listopada (8.30 wiecz.) 1918.*

ROZKAZ!

Zawieszenie broni na tych samych warunkach zostało przedłużone o 24 godzin. Kończy się stanowczo 21 listopada o godzinie 6 rano i z tą chwilą następuje bezwzględne rozpoczęcie walki.

Za zgodność

*Garbień* m. p.

Adj.

*Mączyński* m. p.

Komendant nacz.

W naznaczonym na 20 list. posiedzeniu również brał udział por. Villaime i wtedy miał sposobność naocznie się

Ile razy zaszła później potrzeba na którymkolwiek z cdcinków lwowskich. Skalkowskiego nie można było znaleźć. Tak więc w czasie potrzeby skniłowskiej (11/1) nie było go znowu.

Po zjawieniu się jego sam już zwróciłem się doń: „Czyście wczoraj kupowali kartofle w Skniłowie?” Odpowiedź była potwierdzająca.

Tak już zostało aż do końca.

Z urzędu swego obcował odtąd wiele z najrozmaitszymi misjami (było ich chyba dość). W celu ułatwienia mu tej pracy podniosłem go w szarży—na chorążego.

Na drugi dzień otrzymuję list długi i szeroki z wyjaśnieniami, że on tej szarży przyjąć nie może, że nie zasłużył na nią itd. itd. że wobec tego nie może brać pensji, przywiązanej do niej, ani nosić dystynkcji. Musiałem mu znowu wyjaśnić tę sprawę.

przekonać o „sprycie“ ukraińskim. Kiedy bowiem 19 stawali sprawę dość miękko i wzajemne różnice były nieznaczne, to 20 list. zaczęli tak, jakby tamtego wszystkiego nie było. Jednym słowem „zhardzieli“ znowu — po raz już niewiadomo który, — a nikt z obradujących nie mógł sobie zdać sprawy z tego, jaka przyczyna spowodowała ten nagły zwrot. (Nie wiedzieli bowiem, że Ukraińcy otrzymali świeże, a znaczne posiłki—prawie 2000 ludu).

„Wściekł się więc Francuz“ i zaczął im „sypać słowa prawdy“. Wspomniał im o ich mordach i grabieżach i zaręczył, że tak nie pojmował Wilson „samostanowienia narodów“. (Kiedy później wyjechał ze Lwowa, Ukraińcy aresztowali go, nic sobie nie robiąc z jego urzędowych papierów).

Konferencja więc zakończyła się niczym i dalsza wojna rozpocząć się miała dnia następnego (21 listop.).

Kiedy wyjechali nasi delegaci na tę konferencję, dostaliśmy telefoniczną wiadomość, „że pancerka z Przemyśla jest już w Zimnej Wodzie“. Natychmiast więc wysłano D-ra Węgrzynowskiego z pismem w sprawie sanitarnej do U. R. N. w rzeczywistości zaś celem poinformowania por. de Laveaux, by nie godził się na dalsze zawieszenie broni. Miał już instrukcje w tym kierunku i miał wtedy stawiać kwestję, albo zgoda i rozejm, albo wojna. Zawieszenia broni nie prowadzą do niczego.

Jak już widzieliśmy nie było to nawet potrzebne, gdyż Ukraińcy sami zerwali rokowania.

Z transportami Tokarzewskiego przybył także hr. Skarbek, na którego P. K. L. włożyła obowiązek rokowania z Ukraińcami.

Napisał więc odnośne zaproszenie do U. R. N. i prosił o wyznaczenie miejsca i terminu rokowań. List ten doreczono jeszcze tego samego dnia we właściwe miejsce.

Odpowiedź nań wręczyli Ukraińcy naszej placówce następnego dnia (21 list.) dopiero o godz. 6.30 wieczorem, a jako termin pertraktacji naznaczyli ten sam dzień o 5 po południu. Naturalnie nie mógł się nań hr. Skarbek stawić.

Wkrótce potem zjawili się w komendzie nac. ukraińscy parlamentarze z następującym listem:

*Naczalna Komanda Ukrańskich Wijsk.*

DO NACZALNOJ KOMANDY WIJSK POLSKICH  
U LWOWI.

Seho dnia 21/XI 1918 o hod. 2.30 po poł. perestawja pyśmo Ukr. Nac. Rady do Polskoj Likwidacyjnoj Komisji na ruki WP. Gr. Skarbka.

Z przyczyny, szczo dosi ne distaw widpowidy, możływe se tomu, szczo wojenna akcyja ne daje zmochy porozumity sia, proponuju sejczasowe zawiszenie orużia na 24 hod. w ciły porozuminia sia oboch sych czynnykiw.

*Dano u Lwowi dnia 21/XI 1918.*

Naczalnyj Komendant Ukr. Wijsk  
Połk. *Stefaniw.*

L. S.

Odpowiedziano im, że hr. Skarbek nie mógł przybyć na posiedzenie, skoro list zapraszający go na nie doręczyli na placówkach naszych w godzinę po terminie posiedzenia, że o ile dostanie na czas zawiadomienie, przejdzie każdej chwili przez front bojowy przy lokalnym i chwilowym zawieszeniu broni.

Co do proponowanego zawieszenia broni na całym froncie „jest ono w obecnym stanie operacji niemożliwe“.

Po opanowaniu przez nas całego Lwowa wysłał hr. Skarbek imieniem P. K. L. nowy list do U. R. N. z propozycją pertraktacji wzajemnych i prośbą o wyznaczenie delegatów i miejsca zebrania.

Otrzymano odpowiedź dopiero w grudniu. Warto ją przytoczyć w całości.

*Tarnopol, 8 grudnia 1918.*

Do Wnego Pana

ALEKSANDRA Hr. SKARBKA

we Lwowie.

W odpowiedzi na Pańskie cenne pismo z d. 5 b.m. w przedmiocie wyznaczenia upoważnionych delegatów U. R. N. do

podjęcia pertraktacji w sprawie zapobieżenia dalszemu rozlewowi krwi między Ukraińcami a Polakami, jak również ułożenia tymczasowych zasad współżycia obu narodów, mam zaszczyt odpowiedzieć w imieniu Rady państwowych Sekretarzy, że U. R. N. w swoim pierwszym manifestie z 19 października b. r. podała zasady współżycia obu narodów na obszarze zachodnio ukraińskiej Republiki i że z naszej strony nie wyszła inicjatywa (po-czyn) do przelewu krwi między Ukraińcami a Polakami.

Wobec wypadków, które od tego czasu nastąpiły, oświadczamy, że jesteśmy gotowi wysłać naszych upoważnionych delegatów do pertraktacji, o ile z drugiej strony zostaną nam przedstawione osoby, upoważnione do pertraktacji przez mniejszość polską naszego Państwa, a nadto pod warunkiem, że polskie oddziały uzbrojone, które powstały zbrojnie przeciw naszemu Państwu, złożą broń, a ci członkowie polskich oddziałów zbrojnych, którzy nie są obywatelami naszego Państwa, opuszczą obszar zachodnio-ukraińskiej Republiki.

Proszę przyjąć wyrazy wysokiego poważania

*Dr. Kość Lewicki w. r.*

Nie potrzeba—zdaje się—bliżej jej omawiać, ani wskazywać na jej perfidję.

Tak zakończyły się rokowania na czas długi. Rozpoczęły się dopiero nowe w czasie akcji Berthelemyego z końcem lutego 1919.

Chodziłoby jeszcze o stwierdzenie, czy tak późne wręczenie odpowiedzi na list hr. Skarbka z 20 list. jest wynikiem zamieszania, w dniu tym u Ukraińców panującego, czy wywołane poprzednią wiarą we własne posiłki (jak zerwanie rokowań z 20 list.) czy wreszcie jako ostatnia deska ratunku przed grożącą im katastrofą.

Kto zna Ukraińców i ich postępowanie, nie odmówi słuszności następującemu rozumowaniu: U. R. N. otrzymawszy list Skarbka 20 list. nie chciała nań odpowiadać, z tych samych motywów, z powodu których zerwała rokowania w tym dniu. Napewne zaręczyła jej ukr. „ko-

menda naczelną“, że przy tych posiłkach nie zostanie z Lachów ni śladu.

Tymczasem około 2 godz. popoł. dnia następnego (21 list.) dowiaduje się, że zamiast spodziewanego zwycięstwa trzeba Lwów opuszczać. Popłoch, pakowanie się, itd. powstrzymane chwilowo przez wojskowość ukraińską, która postanowiła wykorzystać teraz tamten list, doprowadzić pod jego pretekstem do zawieszenia broni, a przez ten czas, zbadać słabe punkty frontu polskiego, dostosować do niego swoją linię i potem uderzyć w stosownym miejscu, lub czekać na posiłki. Był więc ten list dla nich ostatnią deską ratunku.

Przypuszczam więc, że pisali go już po naznaczonym w nim terminie posiedzenia i równocześnie pisali drugi o zawieszenie broni z motywem, że Skarbek nie przybył. Jednym słowem była to niezgrabnie ułożona finta.

Inaczej tego wytłómaczyć nie można. Wszak z Domu Narodowego, miejsca urzędowania U. R. N. do polskiej placówki niecałych 500 metrów. Czyżby posłaniec, oficer-parlamentarz tak długo niósł list, Wojna mu w tym nic nie przeszkodziła, gdyż na tym odcinku demonstracja jeno była i jak stwierdzono, zaprzestano z polskiej strony ognia z chwilą usłyszenia sygnału trąbkowego.

Dlaczego tak późno, powie ktoś, wszak to samo mogli przesunąć o parę godzin wcześniej. Dwie odpowiedzi możliwe, albo U. Kom. N. dowiedziała się o liście Skarbka dopiero w tej porze, albo o tej porze dopiero wpadł ktoś na pomysł wykorzystania go w ten sposób — równoznaczne z ewentualną długą naradą.

Godziłoby się na jedną jeszcze odpowiedzieć kwestję. Czy Ukraińcy pragnęli zgody i dlaczego prowadzili rokowania? Stawiane ich warunki rzeczowe są tego rodzaju że wskazują dobitnie na nieuznawanie przez Ukraińców istnienia wogóle kwestji i narodowości polskiej na terenie „zachodnio-ukraińskiej republiki“. Nie łudzili się—przypuszczam — aby zgodził się na ich warunki kiedykolwiek jakiś Polak. Liczyli więc, że tylko siłą—tylko gwałtem potrafią zdusić opór polski. Stądto gwałt i terror jest jedy-

nym środkiem ich postępowania tak na terenie „przywojenym“, jak i w powiatach, zdala od widowni walki leżących, w których nie było mowy, ni najmniejszych oznak jakiegokolwiek oporu zbrojnego z polskiej strony.

Twierdzić więc można kategorycznie, że nie pragnęli zgody. Wszak „polskie warunki“ były tak minimalne (zeznanych i przedstawionych już poprzednio powodów), że przyjąć je musiał każdy, kto uznawał, że kraj ten mieszany pod względem narodowościowym.

Tymczasem tego niezbitego i niewątpliwego faktu oni nie mieli zamiaru uznać. Dlaczegoż więc prowadzili rokowania? Uważali je z jednej strony za zabezpieczenie się przed możliwymi niespodziankami — w razie czasowego niepowodzenia swego, a z drugiej strony gwoli znalezienia możliwości czekania na posiłki (jak przy zawieszeniu broni z 2 list., a prawdopodobnie i 17 list.).

Że tylko takie mieli cele przed oczyma, przekonali nawet najbardziej łatwowiernych wśród Polaków, którzy brali czynny udział w pertraktacjach. To była gra w „ciuciubabkę“. Jednego dnia różnice wzajemne były już minimalne, ale delegaci ukraińscy nie mieli upelnomocnienia ze strony U. R. N., lub musieli zapytać ją o zdanie. Na drugi dzień stawiali sprawę tak, jakgdyby nie było dnia poprzedniego. I tak ciągle przez cały czas długotrwałych obrad. Kiedy zaś dostawali świeże posiłki, wtedy nie trudzili się zbytnio nad wyszukaniem powodów zerwania, lecz czynili to bezceremonialnie — jak 3 list. — lub brutalnie — jak 20 list. — co nawet spokojnego Francuza wyprowadziło z równowagi.

Że nigdy nie pragnęli dojść do zgody, a zawieszenia broni uważali jedynie jako możliwość unikania groźnych dla się sytuacji, świadczy ich urzędowy dokument z 18 listopada — więc w pierwszym dniu zawieszenia broni, kiedy polscy delegaci w różowym przyjechali nastroju — wysłany do „wszystkich W-nych Panów komisarzy państwowych itd.“, a wzywający do natychmiastowego wysyłania wszelkich rezerw do Lwowa.



Nie potrzebuję podkreślać, że identyczne postępowania ukraińskie znalazły się w dziejach uprzednich naszych kilkakrotnie. Można by z ostatniej wojny cytować „ugodę w Przemyślu“.

Ot „fides ucrainica“.

Ze strony zaś partji politycznych polskich, postępujących bezwzględnie uczciwie, łudziło się kilka, że doprowadzą do zgody pertraktacjami. Dopiero powoli, pod wpływem postępowania Ukraińców, bijącego w oczy, wyrabiał się przekonanie, wypowiedziane urzędownie przez Ukraińców, że.....

„spór ten tylko miecz rozstrzygnąć może“.

---

## O D S I E C Z.

Do utworzenia Polskiej Komisji Likwidacyjnej w Krakowie potrzeba było długich, może zbyt długich pertraktacji między posłami poszczególnych zrzeszeń politycznych. Kiedy na drugi dzień po ukazaniu się manifestu ces. Karola Ukraińcy utworzyli już swą Radę Narodową, kiedy w kilka zaledwie dni później Czesi ogłosili samodzielność swego państwa, kiedy i południowi Słowianie zabrali się raźnie do roboty — u nas na pertraktacjach międzypartyjnych zeszła cała druga połowa października. Zmarnowano wiele czasu cennego, czasu, który raczej obrócić należało na szybkie, sprawne i skoordynowane działanie całego społeczeństwa.

Po długich dopiero pertraktacjach przedstawiciele 4 stronnictw galicyjskich, a to: Polskiego Stronnictwa Ludowego, Narodowej Demokracji, Polskiej Partji Socjalistycznej i Polskiej Demokracji doszli do porozumienia i postanowili zwołać na 28 października do Krakowa zebranie wszystkich polskich posłów do parlamentu austriackiego.

Na zebraniu tym postanowiono utworzyć P. K. L., złożoną z 23 posłów, wedle klucza partyjnego i wybrano jedynie Komitet wykonawczy, do którego weszli: Daszyński, Skarbek, Tertil, Witos. Uchwały zebrania tego w dodatkach. (Patrz dodatek № 38).

Wówczas więc jeszcze nie załatwiono tej sprawy definitywnie.

Przyczyną tych uciążliwych, długotrwałych pertraktacji były głównie różnice zapatrywań i poglądów na sprawę ukraińską i jej sposób załatwienia, poza innymi jak stosunek do rządu warszawskiego itd.

Z kilku stron politycznych nie chciano między innymi zgodzić się na Lwów, jako siedzibę komisji, co znowu dla niektórych stronnictw było warunkiem nieodzownym. Tamci nie chcieli „drażnić Ukraińców“, dlatego chcieli ulokować komisję w Krakowie i rozciągnąć jej działanie tylko na zachodnią Galicję.

Każda z partji galicyjskich miała swój osobny program w sprawie rusko-ukraińskiej. Do wspólnego, na prawdę polskiego mianownika sprowadzić go było trudno. Nie brakło i takich stronnictw, które już przed wojną światową twierdziły—wbrew rozsądkowi, wykrywany faktom itd. — że spór polsko-ukraiński i roznamietnienie po stronie Ukraińców jest *z winy* pewnych stronnictw polskich — ogólnym mianem stronnictw narodowych określanych. Szczególnie namiętnie zwracano się tu przeciw stronnictwu narodowo - demokratycznemu, jako ponoszącemu wyłączną niemal w tej mierze winę.

Nie mam zamiaru ubierać togi obrońcy, podkreślam jeno fakty, konieczne mi do dalszego, należytego objaśniania listopadowych wypadków.

Czyż można się dziwić, że z chwilą dojścia wiadomości do zachodnich dzielnic Polski o zamachu ukraińskim we Lwowie stanowisko różnych partji politycznych było *różne*.

Były takie, które przyznawały i uznawały, że to kraj ruski, że nie wolno walczyć Polakom ani w nim, ani o niego.

Były inne, wierzące, że ugodą da się uzyskać zabezpieczenie praw polskich dla całego kraju, lub ludności polskiej, w tym kraju zamieszkałej.

Były wreszcie i takie, które uważały, że całą tę walkę wywołały znowu pewne stronnictwa polskie i rozpisywały się długo i szeroko o „bojówkach Czytelni Akademickiej“ itd.

Niewiele stronnictw politycznych stanęło od pierwszej wiadomości o walkach lwowskich na stanowisku, że tam toczy się wojna polska, o jedną z bardzo ważnych dzielnic polskich.

Podkreślam, że mówię tu o przedstawicielach pozalwowskich.

Od pierwszej więc chwili dojścia do Krakowa wiadomości o zamachu ukraińskim we Lwowie, zwracały się do Komitetu wykonawczego różne osobistości z prośbą o wydanie zarządzeń pomocy dla Lwowa, walczącego o swą do Polski przynależność. Byli wśród nich i arcybiskup Teodorowicz i biskup Sapieha, a szczególnie czynnym i gorliwym był w tej mierze poseł Skarbek. Sam członek Komitetu wykonawczego, poruszał tę sprawę na posiedzeniach, pisał listy i memorjały, prowadził pertraktacje, lecz na długo bezskuteczne.

Rząd zaś warszawski — a szczególnie urzędujący ówczesnie gabinet Świerzyńskiego (od 24 paźdz.) — myślał poważnie o Galicji wschodniej, lecz w działaniu swym miał bardzo skrepowaną rękę z powodu obecności w Warszawie wojsk niemieckich i wszystkich władz okupacyjnych. Stał on na stanowisku większości społeczeństwa galicyjskiego, że rząd austriacki oddać musi wszystkie ziemie polskie, zabrane przez siebie, w ręce rządu polskiego, który dopiero unormuje stosunek swój do innych narodowości.

Nosił się tedy z zamiarem mianowania „Komisarza rządu polskiego dla Galicji“ (całej) z siedzibą we Lwowie. Miał on objąć od rządu austriackiego całą Galicję i przy pomocy Rady przybocznej, złożonej z obu narodowości, sprawować rządy. Wiadomości o tym nadeszły do Lwowa w ostatnim dniu października i wymieniały jako mianować się mającego w dniu 1 listopada Komisarza Witolda Czartoryskiego.

W dniu tym rządili już we Lwowie Ukraińcy. Nie wiem, czy nominacja ta wogóle ogłoszoną została. Zdaje się, że nie.

Ministerstwo wojskowe w rządzie Świerzyńskiego zostało zarezerwowane dla Józefa Piłsudskiego, bawiącego jeszcze w więzieniu w Magdeburgu. Szefem sztabu generalnego został pod koniec października (29) gen. Rozwadowski. Pozostającym mu do dyspozycji „Wojskiem Polskim“ t. zw. Wehrmachtem postanowił opanować on obie okupacje byłego Królestwa kongresowego. Na pierw-

szy ogień wziął okupację austriacką i rozlokował odpowiednio bataljony. Stądto znalazł się jeden baon 1 p. p. w Lublinie.

Jak zamierzał unormować sprawy wojskowe byłego zaboru austriackiego, trudno dać pozytywną odpowiedź. Wedle półoficjalnych wiadomości, jakie dotarły do nas ówczasie, miał zamianować gen. Puchalskiego komendantem całej Galicji. Szefem sztabu jego miał zostać pułk. Sikorski. Tymczasem gen. Puchalski objął rzeczywiście komendę wojskową w Przemyśle jeno. Czy stamtąd miał ją rozszerzać na inne austriackie okręgi wojskowe, niewiadomo. W każdym razie w samym Przemyśle popił zupełnie.

Do Lwowa zaś przyszedł z Warszawy 1 listopada telegram do gen. Lamezana, by objął dowództwo nad żołnierzami — Polakami i przy ich pomocy nad wojskowym okręgiem lwowskim. Telegram ten przyjęty został w całości przez Ukraińców, panujących już w mieście wszechwładnie, którzy naturalnie nie doręczyli go adresatowi.

Z chwilą otrzymania wiadomości o zamachu ukraińskim gen. Rozwadowski, znający dobrze Ukraińców i ich sprawę, wysłał osobnego gońca do Lwowa celem poinformowania się o stosunkach na miejscu i powziął następujący plan pomocy: Od północy przez Rawę i Sókál i od zachodu przez Przemyśl i Sambor uderzyć równocześnie w kierunku Lwowa. Podobne dyspozycje wydał — jak nam już wiadomo — w Lublinie, zjawił się potem osobiście w Krakowie, gdzie prowadził pertraktacje w tym kierunku. Ale gdy wrócił stąd do Warszawy, zastał warunki gruntownie zmienione.

Znane wypadki, upadek gabinetu Świerzyńskiego, rozbrojenie Niemców, powrót Piłsudskiego i objęcie przezeń najpierw władztwa wojskowego, a wkrótce i władztwa cywilnego.

Wielkie plany z odsieczą i pomocą poszły w kąć daleki.

Jak zaś zachowało się całe społeczeństwo polskie, stojące poza organami stronnictw? Początkowo przeważna

większość była zdezorjentowaną. W miarę napływu coraz to potworniejszych wiadomości o zbrodniach i okrucieństwach ukraińskich, w miarę przedostawania się wieści o bezgranicznym bohaterstwie i poświęceniu całej ludności lwowskiej, zaczęła działać na nie krew polska, obficie na brukach lwowskich przelewana, zaczęła zapalać i podniecać. Część naturalnie, czujących jaśniej, goręcej lub bardziej po polsku, była od początku za koniecznym, natychmiastowym udzieleniem pomocy walczącej i ginącej braci. Szczególnie znowu tam, jak i we Lwowie młodzież—najczęściej nieletnia.

Trzeba więc było przyspieszyć uświadamianie narodu o istotnych celach tutejszej walki, by naród sam w całości swej przemówił i opornych zmusił. Trzeba było klarować stronnictwom pewnym, że tu we Lwowie walczą wszystkie partje od najskrajniejszych lewicowych aż do najskrajniejszych prawicowych.

Pracę tę agitacyjną—w odniesieniu do mas narodu—i wyjaśniająco-uświadamiającą — w odniesieniu do stronnictw politycznych—rozpoczęto wcześniej i długo ją kontynuowano, wysyłając ze Lwowa różnych emisariuszy. Do drugiej kategorii pracy upraszano zawsze ludzi im bliskich, przyznających się do tego samego, lub najbardziej pokrewnego stronnictwa.

Nie mam zamiaru przedstawiać tej pracy we wszystkich drobiazgach, zamierzam pominąć zupełnie pracę kategorii drugiej, zajmę się tylko nielicznymi, typowymi przykładami i to jedynie w odniesieniu do akcji pierwszego rodzaju. Przyczym konieczne zastrzeżenie—bym nie był przypadkiem fałszywie rozumiany—że nie uważaliśmy naonczas we Lwowie i nie uważam dziś, pracy tej ze Lwowa wychodzącej, za jedynie skuteczną. Owszem działało już tam wielu innych pracowicie i z zapalem.

8 listopada tedy wyleciał ze Lwowa prof. Stroński, którego uprosiliśmy, by objął ster i kierownictwo pracy agitacyjno-uświadamiającej. W Krakowie zajął się on zorganizowaniem Biura odsieczy dla Lwowa. Wydało ono znaną odezwę. (Patrz dodatek № 39).

Polskie niewiasty stanęły godnie w szeregu obrończyń sprawy, może godniej niż wielu... wielu z tych, których to było obowiązkiem najwალniejszym. Świadczy o tym odezwa ich wydana w Krakowie. (Patrz dodatek № 40).

Prof. Stroński zajął się zorganizowaniem wiecu, który odbył się przy ogromnym udziale publiczności i nieopisanym zapale.

O pracy jego—nazwijmy ją — publicystyczno-dziennikarskiej i politycznej, jak niemniej prowincjonalnej nie będę tu wspominać.

Por. Stec, który odwoził Strońskiego, znalazł się w Krakowie bez aparatu. Jego bowiem stał się nieużytecznym z powodu postrzału i konieczności lądowania. Odcięty od Lwowa udał się do komendy krakowskiej z prośbą o pożyczenie mu aparatu, by mógł wrócić. Odmówiono mu. Wobec tego udał się wprost na lotnisko tamtejsze i „zbuntował“ kilku (4) lotników, którzy na trzech aparatach z nim razem udali się do Lwowa.

Przyleciał razem z nimi pułk. Sikorski. Po poinformowaniu się o stosunkach lwowskich, prosił o odesłanie go z powrotem do Krakowa, by mógł tam prowadzić pracę uświadamiającą, a zarazem werbunkowo - odsieczową. Odwiózł go znowu Stec 11 listopada.

Pułk. Sikorski—znany jako dobry, agitacyjny mówca—wpływał na swoje koła i odnosił niemały sukces, przejaśkrawiając może nieco w opowiadaniach i opisach okrucieństwa ukraińskie. Cel jednak uświęcał w tym wypadku środki.

Zaczęta więc przez hr. Skarbka praca nad odsieczą, posuwająca się raźniej od chwili otrzymania przezeń od pór. Bobka nici organizacyjnych P. K. W. w zachodniej Galicji, wsparta obecnie znakomitą pracą agitacyjną prof. Strońskiego, pułk. Sikorskiego itd. — naturalnie o miejscowych czynnikach nie mówię — zaczęła wydawać swe owoce. Społeczeństwo i prasa uznało wprzód konieczność wojny i zaczęło domagać się mniej lub więcej gwałtownie od czynników „miarodajnych“ organizowania i spieszenia z odsieczą.

Z jakimi trudnościami walczyć musiał na terenie państwa polskiego, w całości zajętego już przez władze polskie, emisariusz lwowski P. K. W. por. Eustachiewicz, da-  
dzą dobre, a wystarczające świadectwo wyimki z jego raportu umieszczone w dodatkach. (Patrz dodatek № 41).

Szykanowany przez ludowy rząd lubelski zarządził tajny zaciąg w b. okupacji austriackiej z punktem zbornym w Lublinie. Sam wstąpiwszy jeno do Krakowa w celu porozumienia się z hr. Skarbkiem, udał się do Warszawy.

Tam pracowała już grupka ludzi nad wystaraniem się u polskich władz państwowych o pomoc dla polskiego Lwowa. Przedewszystkiem Lwowianie, którzy odbyli osobne zebranie, i dwukrotnie wysyłali deputację (inż. Drexler, D-r Nowicki, prof. D-r Węckowski) do Piłsudskiego i Moraczewskiego, prezydenta ministrów, z żądaniami natychmiastowej pomocy wedle planów Rozwadowskiego i druga grupa czynników miejscowych z przezacnym i czcigodnym obrońcą wszystkich spraw polskich, mecenasem Osuchowskim na czele. Por. Eustachiewicz widząc bezskuteczne osobiste starania u czynników miarodajnych porozumiewał się ze wszystkimi, kto tylko mógł być pomocnym w pracy jego. Urządzono dnia 19 listopada ogromny wiec manifestacyjny w Tow. higienicznym. Żądanie organizowania odsieczy dla Lwowa przebiegało w ustach wszystkich mówców. Entuzjastycznie miano przyjąć na tym wiecu przemówienie Eustachiewicza. Przy ogromnej burzy oklasków przemawiał za natychmiastowym zaciągiem pułk. Skrzyński.

Na wiecu tym postanowiono utworzyć pod przewodnictwem mec. Osuchowskiego „Warszawskie biuro ochotniczego zaciągu“ i wysłano delegację wiecu, w skład której poza innymi weszli wszyscy trzej powyżej wymienieni. Delegacja miała się udać do polskich władz państwowych z żądaniem udzielenia i spieszenia z pomocą zagrożonemu Lwowowi i pozwolenia na osobny zaciąg ochotniczy.

Na czele kilkudziesięciu tysięcznego pochodu udała się delegacja do Moraczewskiego, a na drugi dzień do jedy-  
nego już naówczas Naczelnika Państwa Polskiego i Naczelnego Wodza Wojsk Polskich Józefa Piłsudskiego.



Przeogromna manifestacja narodowej Warszawy miała przyspieszyć wydanie rozkazów odsieczy. (Tokarzewski dojeżdżał już wtedy pod Lwów). Ponadto zgodzono się na zaciąg ochotniczy, dokonywać się mający przez komitet.

Pod egidą komitetu zabrał się energicznie doń pułk. Skrzyński. Praca szła powoli przy rozmaitych, ogromnych szyskanach i utrudnieniach — oficjalnych i nieoficjalnych. Przedstawię je w części drugiej dziełka niniejszego, gdyż tam one raczej należą. W listopadzie bowiem z akcji tej nie mieliśmy żadnej pomocy.

Po otrzymaniu sprawozdania por. Eustachiewicza nawiązano stały i bezpośredni kontakt z Komitetem i z akcją pułk. Skrzyńskiego. Wysłanym już poprzednio na agitację i werbunek delegatom polecono obecnie uzgodnić swą robotę na terenie Królestwa z zaciągiem pułk. Skrzyńskiego. Wysłano doń nadto kilku oficerów celem prowadzenia roboty agitacyjno-zaciągowej.

W Warszawie wszedł por. Eustachiewicz w porozumienie z pewną grupą „palących” się do wojny legionistów, (byłych Hallerczyków i Wehrmachtowców), którzy domagali się wysłania ich do Lwowa, by walczyć i pomóc braciom, lub zginąć. Organizowaniem tej grupy ochotników zajął się ppłk. Modelski. Zebrał ich kilkuset. Kiedy nie udzielono mu pozwolenia wyjazdu, zorganizował tajnie „mających chęć *dezercji*” i wraz z nimi zdezerterował. W grudniu przybył do Lwowa, wymuszając po drodze kilka razy *siłą* transportowanie swych wagonów. (Nb. siły tej, a raczej jej groźby użyć musiał wobec władz polskich).

Równocześnie „gorętsi i bardziej zapaleni” nie czekali na urzędowe odsiecze, lecz pieszo i w przebraniach — najczęściej jako t. zw. Heimkehrerzy lub jeńcy, powracający z niewoli — wybierali się do Lwowa, by się przedrzeć bohatercko przez zrewoltowane w całej wschodniej Galicji masy ukraińskie. Takich ochotników przybyło w ciągu listopadowych bojów około półtorej setki. Byli to przeważnie młodzi i najmłodszy, największy prócent z organizacji P. K. W.

Pozytywnie stwierdzono schwytywanie i „załatwianie się ukraińskim sposobem“ z kilkunastu przedzierającymi się. Wysłanie do kilkunastu powiatów Królestwa, szczególnie okupacji austriackiej i zachodniej Galicji odpowiednio wyróbnionych, a ze stosunkami miejscowymi obeznanych emisariuszy poborowych, z zadaniem organizowania ochotników, oto dalszy, pokaźny dział pracy komendy naczel.

Jedna organizacja uważała za konieczne porozumieć się bezpośrednio z komendą lwowską. Była nią „Skautowa komenda okręgowa w Krakowie“. Nosząc się z zamiarem zmobilizowania starszych roczników harcerzy, wysłała Tąkiela — poległego później harcerza — do Lwowa z pismem do komendy wojskowej i do komendy harcerskiej. Miał on także zbadać drogę, możliwość przedarcia i przebicja się i t. d. poza zasięgnięciem koniecznych wiadomości na miejscu.

Przedarł się bohatersko do Lwowa i około 14 listop. wyruszył z powrotem.

Jedyna to była komenda. Zresztą ni z wojskowych, ni rządowych czynników nikt się o to nie zatroszczył.

Wysyłano więc ze Lwowa oficerów z meldunkami ustnymi, raportami pisemnymi, prośbami, wyjaśnieniami i t. d. Odbywało się to pieszo i latawcami (kap. Bastyr i por. de Beaurrain do Krakowa i t. d).

Porucznik Stec, odwożąc 11 listopada pułk. Sikorskiego, otrzymał rozkaz skomunikowania się w jakikolwiekbyś sposób z Naczelnym Wodzem i zameldowania mu o istotnych przyczynach i przebiegu walk lwowskich. Kiedy nie mógł tego uczynić ni telefonicznie, ni Hughesem z Krakowa (nie pozwolono mu bowiem w tamtejszej komendzie na użycie aparatów) siadł na aparat i poleciał do Warszawy.

Przyjęty na audjencji przedstawiał długo i szeroko generalny zamach ukraińskiego, dowodząc dokumentami o udziale rąk austriacko-pruskich, malował w jaskrawych barwach okrucieństwa ukraińskie, wynosił bohaterstwo i jedność całego Lwowa bez różnicy przekonań politycznych, wyliczał biorących udział w walkach po stronie ukraińskiej licznych

Niemców austriackich i pruskich. O te szczegóły ostatnie najczęściej dopytywał Naczelnik.

Wreszcie zamyślił się i „chodził z kwadrans milczący”. Nakoniec trzasnąwszy w palce i rzekłszy sakramentalne swe słowo „Abgemacht”, powiedział: „Dobrze, dam wam pomoc”.

W czasie powrotnej podróży zawadził jeszcze por. Stec o Lublin.

Od innego lotnika, wracającego z Krakowa, dowiedzieliśmy się o zajęciu Przemyśla (12 listopada) tego samego dnia. Wiadomość, że grupa ta nosi miano „grupy Sanu” mogła być mniej pocieszającą. Zostawiam przyszłym historykom zbadanie, czy nazwa ta pokrywa się z zadaniem, jakie grupa spełnić miała.

Pomyślniejsze były ustne „przekazania” hr. Skarbka, który zawiadamiał, że wierzy, iż mimo stawianych mu trudności uda mu się sformować znaczniejszą odsiecz. Przeniósł się on wkrótce do Przemyśla, gdzie zajął się wyłącznie ściąganiem oddziałów ochotniczych z całej Galicji zachodniej. Na własną rękę wysyłał stamtąd telegraficzne rozkazy do komend powiatowych z poleceniem przysyłania wszystkich sił zbędnych do Przemyśla. Działł jako członek P. K. L., któremu powierzono sprawy wojskowe. Dowódcy tamtejsi (ppłk. Tokarzewski, ppłk. Stachiewicz chętniejsze mieli dla Lwowa ucho.

Obietnicę, daną 12/11 Stecowi, przytłumiły może za szybko toczące się wypadki dziejowe. Nie widząc żadnych poczynąń w tym kierunku, szef sztabu generalnego, generał Rozwadowski, wystosował 14 listopada pismo do Naczelnego Wodza z żądaniem wydania rozkazów wojskowych na odsiecz Lwowa, pozwolenia na zaciąg itd. Zagroził w tym liście dymisją swoją w razie odmowy i publicznym podaniem powodów dymisji w dziennikach.

Kiedy wyszedł rozkaz Naczelnego Wodza spieszenia z odsieczą, nie wiem. Nie wiem również, do kogo on był skierowany. Wiem, że Przemyśl działał „na własną rękę”.

Łączność Lwowa z nim utrzymywano prawie codziennie.

Kiedy przyszły wiadomości, że zwlekają władze z odsieczą, bo chcą zorganizować większe siły i rozpocząć operacje strategiczne — na wielką skalę, — zwrócono się znowu z pismami do komend wojskowych w Przemyślu, Lublinie i Warszawie, wyjaśniającymi istotne położenie i wskazującymi, że Lwów najpierw można oswobodzić i że oddziały z 500 ludzi dobrze prowadzone mogą łącznie przebijać się z Przemyśla przez Gródek do Lwowa, lub z Radymna przez Jaworów, jak wreszcie z północy przez Bełzec—Rawę Ruską. (Patrz dodatek № 42).

16 listopada wyleciał ze Lwowa do Warszawy D-r Stefczyk, wioząc ze sobą pismo Komitetu bezpieczeństwa i komendy naczelnej do rządu polskiego i Wodza Naczelnego. (Patrz dodatek № 43).

17 listopada uprosiliśmy D-ra Świtalskiego o udanie się do Przemyśla i przekonanie tamtejszych dowódców o konieczności i możliwości szybkiego przebicia się. Miał również mandat zaofiarowania komendy lwowskiej, gdyby sprawa odsieczy w tym napotykała na trudności. Czy zrobił z niego użytek, nie wiem. Wiadomo z jego własnego sprawozdania, że używał argumentu sławy, mającej się osiągnąć.

Na konferencji D-ra Świtalskiego z ppłk. Tokarzewskim — obecny był przy niej hr. Skarbek — została ostatecznie postanowioną odsiecz, która wyruszyć miała z Przemyśla 19 list. o godz. 5 rano. Por. Stec, który odwoził D-ra Świtalskiego, przywiózł list ppłk. Tokarzewskiego do komendy nacz. (Patrz dodatek № 44). Zawiadamiał w nim ppłk. Tokarzewski, jakie siły wyruszą, prosił o przygotowanie rozkazów operacyjnych do akcji, planów miasta itd.

List pocieszający, lecz ustny dodatek złowieszczy: „Wyruszę 19 listopada, jeśli nie dostanę zakazu“.

Tymczasem D-r Świtalski komunikował się z Krakowem i Warszawą.

Przyjdzie zakaz czy nie, a może wstrzyma go rozkaz w drodze, oto pytania, tłoczące się gwałtownie, a brzemienne w skutki.

Trzykrotnie wylatywali lotnicy 19 celem obserwacji toru kolejowego. Poza meldunkiem z Przemyśla (patrz dodatek № 45), że wyjechali, a drugim późniejszym, niepewnym jednak z powodu mgły, że zdaje się, stoją pociągi przed Sądową Wisznią, nie otrzymano dalszej wiadomości. Kawalerja z Gródka nie przywiozła niczego.

20 rano jeszcze ich niema. Lotnicy z powodu mgły panującej nic nie widzieli. Zdawało im się, że słyszeli strzały tam, gdzie wczoraj pociągi stały. Wysłany przed świtem pociąg pancerny—zrobiony w lwowskich warsztatach kolejowych—wykoleił się i musiał wrócić. Celem jego miała być dywersja.

Wreszcie o zmroku przychodzi telefoniczna wiadomość z Zimnej Wody, że przemyska pancerka jest tam na dworcu, że cały transport w całości dociera. Udałem się więc na dworzec i pierwszego spotkałem hr. Skarbka. Radość naszą wynurzyliśmy na miejscu dowódcy odsieczy ppułk. Tokarzewskiemu.

Odsiecz zawagonowana w pięć pociągów, transport poprzedzany i zamykany rozdzieloną na dwie części pancerką, przebyła całą drogę z jedną małą potyczką.

Przed Sądową Wisznią jakaś kompania Ukraińców zaczęła przeszkadzać w naprawie mostu. Rozwinięte do ataku dwie kompanie odsieczy przepędziły ją i rozprószyły. Zresztą „strzelała licznie po drodze gęsi i kury“.

Obsady ukraińskie dworców salwowały swe życie w strachu panicznym przed polską pancerką na długo przed jej pokazaniem się.

Dzielnie spisali się saperzy odsieczy, naprawiając 2 mostki kolejowe i około 300 m. toru zniszczonego.

Nie podejmę się opisywania radości Lwowa — wieść bowiem rozleciała się błyskawicą—nie spróbuję przedstawić ogromnej radości oddziałów odsieczy, że oni przybyli pierwsi z pomocą. Długo rozbrzmiewała hala dworca hucznymi, a wzajemnymi i z pełnego serca płynącymi

wiwatami. Nie w smak jednak poszło tym młodym chłopcom, że nie puszczono ich na miasto, że im tak wcześniej spać pójść kazano.

Odsiecz wynosiła ogółem 140 oficerów 1228 żołnierzy 8 armat; 79 wozów, 507 koni. Składały się na nią jeden baon 5 p. legionów (utworzony w Przemyśle z oddziałków spieszących z całej Galicji), z majr. Paszkowskim, krakowska legja oficerska z mjr. Huppertem, kompania jarosławska z por. Kaszą (z niej zaczęto później formować pułk 4) z plutonów przemyskich 10 p. z oddziałem karabinów maszynowych i plutonem saperów, dwie baterje (8 armat) pod dow. mjra Knolla - Kownackiego, plutony ułanów pod por. Kniazioluckim. Pociąg pancerny pod dow. kpt. Hickiewicza.

W liczbie tej było „730 karabinów“.

Materiał żołnierski w całości prawie ochotniczy. Przeważała młodzież szkół średnich, spiesząca na wezwanie z całej zachodniej Galicji. Były wśród nich oddziały i oddziały od Żywca aż po Przemyśl włącznie.

Pewna, słaba ich część brała udział w zdobywaniu Przemyśla.

## PLAN UDERZENIA.

Z wielu względów strategicznych, taktycznych i ważnych również politycznych jedynie korzystne było uderzenie takie, któreby pozwalało za jednym zamachem załatwić się z wojskiem ukraińskim i zebranymi z całej wschodniej Galicji agitatorami i politykami ukraińskimi. Zdawano sobie sprawę, że gdyby udało się wykonać ten zamiar, „ruch ukraiński“ zamarłby szybko, pozbawiony przewodników.

Względy wojskowe również za tym przemawiały. Przytoczę z nich przykładowo tyle, ile potrzeba dla czytających. Atak frontowy, jakim byłoby uderzenie przez miasto, trudny, kosztowny w ofiary ludzkie, a w obecnym czasie we Lwowie prawie niewykonalny. Tak bowiem silnie umocniono obustronnie fronty pod względem tecznicznym. Silna obsada ukraińskich redut, wąskie, a proste ulice, wyborowe wojsko (usaki) i liczne rezerwy łatwo mogły unicestwić nasze zamiary ofenzywne, lub conajmniej spowodować szalone straty w ludziach, tak bardzo na dalszą walkę potrzebnych.

Atak skrzydłami frontu miejskiego, prawie flankowy, pozwalał w każdej fazie swego rozwoju atakować reduty i punkty oporu ukraińskie conajmniej z dwu stron, pozwalał je obchodzić łukiem dalszym lub bliższym, zależnie od okoliczności i napotykanego oporu itd. itd. Jakie przeogromne dawało to korzyści zrozumiały łatwo laicy. Ponadto atak w punktach najmniej przez Ukraińców spodziewanych, był bezsprzecznie najłatwiejszy i najmniej pochłaniał ofiar. Pozwalał szybko zagarnąć, lub conajmniej unieszkodliwić całą ukraińską artylerję.

Otoczenie zaś miasta zupełne, lub choćby jeno częściowe musiało wywołać nadto u nieprzyjaciela cały szereg objawów, korzystnych dla dalszego postępu ataku

naszego. Wchodził tu w grę moment zaskoczenia, przestachu i popłochu u nieprzyjaciela, moment współdziałający znacznie z atakującym.

Jak dawno istniał plan takiej akcji w lwowskiej komendzie nacz. nie będę opowiadał. Wskażę, że są ludzie (D-r Stahl), którzy słyszeli o nim już 2 listopada. Że żył on ciągle, dowodzą wojskowe pisma i raporty ze Lwowa wysyłane. Pomjam, czy nie był nam potrzebny pociąg pancerny właśnie dla takiej akcji, a może nawet czekano z nią (nb. na mniejszą skalę przy własnych tylko siłach) aż do jego ukończenia.

Czy akcja taka nie nosiła w sobie niebezpieczeństwa dla porywającego się na nią. Zdawano sobie sprawę z jego ogromu. Wszak już samo zestawienie ilości km., przez które musi się rozciągnąć w tym wypadku front lwowski (blisko 40 km.) do ilości posiadanych ludzi — razem z odsieczą niecałych półtrzecia tysiąca „karabinów” — wskazuje wyraźnie, jak gęstą mogła być ta nowa linia, jak łatwo mógł ją nieprzyjaciel przerwać kontratakiem w którymkolwiek, a nawet więcej miejscach. Stąd wyszła potrzeba pewnego ścieśnienia zatoczyć się mającego łuku, widoczna z operacyjnych dyspozycji.

Ponadto otoczenie i oblężanie w tej sytuacji Lwowa przez nas przez czas dłuższy groziło inną katastrofą. Wiadomo, że do Lwowa ściągały ruskie oddziały wojskowe z całej wschodniej Galicji. Mogły więc każdej chwili nawet z kilku stron równocześnie nadciągnąć oddziały ukraińskie—o różnej sile, a wtedy cieniutki front, wzięty w dwa ognie, nie mógłby wytrzymać. Na ubezpieczanie sił oblężających od zewnątrz, a więc ustawianie niejako drugiego frontu, nie można było sobie pozwolić z powodu zupełnego braku sił odpowiednich.

Było więc jasne i rzucało się w oczy każdemu średnio z operacjami obznajomionemu, że Lwów musi być zdobyty w całości w jednym, najwyżej dwu dniach, inaczej powstaje groźna sytuacja, ale dla... oblegających.

Dla osiągnięcia celu było konieczne przerzucenie prawie zupełne sił naszych z frontu zachodniego na obejście



i zdobycie miasta. Ogołocono tam front prawie zupełnie. Wprawdzie nie groziło nam stamtąd nic w tym dniu z powodu rozbicia dość głębokiego sił nieprzyjacielskich, ale każdej chwili mogły tam pokazać się nowe siły ukraińskie. (W tej możliwości przerzucenia sił polskich stamtąd na wschód leży drugi cel długotrwałej akcji rozbijającej kap. Boruty, Pierackiego i Wiktora. Oni wszyscy musieli być choćby na dwa dni wolni dla akcji miejskiej).

Ubezpieczenie sił atakujących miały dawać — to było przynajmniej ich celem — akcje patroli pieszych na zachód i połudn. i półn. zachód od Lwowa, akcja lwowskiego pociągu pancernego na południu i południowym wschodzie i wschodzie, a z drugiej strony w tym samym celu dyrygowany od północy Wiktor; później, gdyby dotarł na Łyczaków, przemyski pociąg pancerny. Lecz co to wszystko mogło znaczyć, gdyby tam rzeczywiście ukazały się jakieś zdecydowane, lub poważniejsze siły. Ostatnie wreszcie niebezpieczeństwo przedstawiał stosunek sił otaczających do otaczanych, które znacznie przewyższały piewsze.

To była gra zbyt śmiała w całym tego słowa znaczeniu. Stąd to musiała być ciągle czyniona tak ostrożność, by z niej każdej chwili można się było wycofać w całości lub w części (więcej prawdopodobne), ciągle z uwagą, by nie utracić wszystkiego.

Nie zdziwi się nikt z fachowców, gdy dodam, że przez cały czas tej naszej akcji dwa samoloty stałe bujały w powietrzu z zadaniem obserwowania okolic Lwowa.

Mimo ogromnego ryzyka, jakie przedsięwzięcie tego planu pociągało za sobą, zdecydowano się nań gwoili możliwości osiągnięcia wspomnianych na wstępie celów.

Chodziło jeszcze o wybór strony, skąd główne siły okrążające mają wyruszyć. Z południa czy z północy. Rozejrzenie się w mapie nawet bez znajomości terenu musiało przemówić za południem. Jary i lasy, wszędzie suchy teren ułatwiały znakomicie obejście każdej pozycji nieprzyjacielskiej, dozwalały postępować i ewentualnie cofać się łukiem mniejszym lub większym zależnie od każdorodzajnego zachowania się nieprzyjaciela.

Na północy bagna Pełtwi i jej zamarstynowskiego dopływu wykluczały zupełnie możliwość posuwania się na północ od nich, bo konieczne w dalszym ciągu akcji ich sforsowanie byłoby bardzo trudne i kosztowałoby zbyt wiele ofiar. Tu więc posuwać się można było tylko przez miasto (Zamarstynów-Żółkiewskie) aż do wyjścia poza Podzamcze, czyli najpierw staczać krwawe, bo frontowe walki uliczne o wątpliwym wyniku, Ponadto akcja ta mogła wyrzucić swój skutek na wroga dopiero z chwilą zajęcia Wysokiego Zamku. Przedsięwzięcie co najmniej trudne, a możliwe tylko od wschodu, a raczej południowego wschodu.

Takie były motywy najważniejsze, które przy układaniu planu musiano wziąć pod uwagę. Z nich wypłynął plan akcji, dający się w krótkości przedstawić następująco: atak równoczesny na obu skrzydłach frontu miejskiego — silniejszy i z dalej zakreślonym celem na skrzydle południowym. Cel otoczenie miasta przy możliwym zwięźaniu łuku ze względów wyżej zaznaczonych i ze względu na czas marszu, później zdobycie miasta. Dotychczasowy front miejski demonstruje jedynie i przesuwając swe skrzydła w miarę posuwania się grup atakujących. Czynny udział bierze dopiero przy zdobywaniu miasta (II etap). Ubezpieczenie od niespodzianek z zewnątrz i rozbijanie zgromadzonych, lub gromadzących się tam sił przeznaczono patrolom piechoty (z odcinka IV i V), lwowskiemu pociągowi pancernemu (wypad aż po Stare Sioło), częściowo kawalerji połączonej. Ta bowiem miała jeszcze drugie zadanie, a to posuwać się równomiernie z południową grupą atakującą, ale łukiem znacznie większym i zabezpieczać i ułatwiać jej posuwanie się przez obchodzenie przeciwstawiających się sił ukraińskich.

Inaczej na północy. Tam ze względu na bagna pełtewne właściwa grupa atakująca musiała być oddziałem par excellence szturmowym, musiała przebijać się najpierw przez linie nieprzyjacielskie i przez uliczki przedmiejskie. Pomóc jej w tym, a zarazem zabezpieczyć przed atakami ze strony miasta było zadaniem przemys-

kiego pociągu pancernego, posuwającego się na prawym jej skrzydle, a raczej torującego mu drogę. Z drugiej strony współdziałać z nią miała podgrupa kap. Wiktora, posuwająca się równomiernie z nią na północ od bagien Pełtwi — więc przez Hołosko Wkie-Zboiska. Po zdobyciu Podzamcza i uzyskaniu wyjścia z miasta na wschód mogła łatwiej spełnić swe zadanie dalsze. Warunki ataku podobne naonczas do grupy południowej, jeno teren znacznie trudniejszy. Ubezpieczenie tej grupy od strony miasta obejmował wtedy odcinek III (por. Abraham), od wschodu przemyski pociąg pancerny.

Podkreślono na odprawie, że zajęcie Podzamcza, a potem przez Zniesienie i od dworca Łyczakowskiego akcja na Wysoki Zamek może się udać. W każdym razie zajęcie Podzamcza i Zniesienia z jednej strony, a dworca Łyczakowskiego z drugiej oznaczać będzie zamknięcie całkowite. Tą luką nie potrafiłby nikt przejść; niema tam wcale dróg.

Grupa ta miała być słabszą od południowej. Nie mogła być jednak za słabą ze względu na trudne — bardzo trudne swe zadanie w mieście.

Z grup miejskich musiał w pewnym momencie atakować miasto jedynie odcinek III, w szczególności por. Abraham. Miał on w razie posunięcia się grupy północnej sforsować „Żydowskie miasto“, zawinąć swój front lewym skrzydłem o całych 90 stopni i przy Wysokim Zamku podać jak najprędzej rękę grupie północnej. Zadanie trudne i bardzo odpowiedzialne.

Znaczne przedstawiał trudności rozdział sił ze względu na ich szczupłość ogólną. Cyrklowania, różne rozważania zabrały dość czasu.

Siły odsiecz, podane ogólnie w liście Tokarzewskiego, proponowano rozdzielić następująco: grupa północna otrzymuje 200 ludzi (rozumie się, że cyfry te oznaczają tylko pełne, nierozzerwane oddziały wojskowe, wynoszące w przybliżeniu cyfrę powyższą), grupa południowa i idąca z nią razem, a tylko o dalszym zasięgu grupa wschodnia 350 ludzi. Z frontów demonstrujących wzmacnia się odsieczą

jedynie Abrahama (50 ludzi) ze względu na zawinięcie skrzydła i forsowanie miasta i grupę Trześniowskiego (Cytadeli) 100 ludźmi ze względu na konieczność cernowania Cytadeli w dalszym momencie akcji, i jako zabezpieczenie przed nieprzyjacielskimi niespodziankami.

Siłami lwowskimi wzmacniano jedynie odcinek III (Grupę środkową), który otrzymywał część obsady dworca. Odcinek V przerzucono w całości do ataku na południe. Tam także siedł cały odcinek I. Reszta odcinka IV (dworca) obejmowała ubezpieczenie całego zachodniego frontu, częściowo traktowana jako rezerwa.

Rozdział artylerji i technicznych środków walki, wybór stanowisk i celów ogniowych w różnych momentach walki był rzeczą osobnej odprawy z dowódcą artylerji mjr. Śniadowskim.

Przelewanie na papier rozkazów operacyjnych w myśl otrzymanego planu obowiązkiem szefów sztabu. Nie jest to praca mechaniczna, lecz również twórcza w szczegółach, obliczeniach dalszych, wynikających z głównego planu dyspozycjach i t. d. Pracę wykonał jako pierwszy oficer sztabu por. Łapiński, później otrzymał celem przerobienia, uzupełnienia i poprawienia Dr. Jakubski, a po aprobacie, częściowo przerobieniu biła się na maszynie w adjutanturze lwowskiej 18 listopada „Dyspozycja ataku na Lwów”. (Podkreślam dyspozycja — nie rozkaz operacyjny).

Tego samego dnia wieczorem (18 listopada) odbyła się ustna odprawa wszystkich dowódców odcinków, grup i oddziałów zależnych bezpośrednio od komendy nacz. Na niej wyjaśniono cel i kierunek akcji każdej grupy, omówiono dokładnie sposób i drogę, wiodącą do osiągnięcia celu, ogólnie tylko w dyspozycji pisemnej podanej, współdziałanie grup i rodzajów broni, zabezpieczenie i t. d. Nakazano rozpocząć przygotowania bezwzględnie, ponieważ liczone się, że akcja może się zacząć 20 listopada, jeśli odsiecz zdąży do Lwowa w nocy z 19 na 20.

Polecono nadto osobną troskę o zachowanie akcji w tajemnicy bezwzględnej.

Rozdano odbite egzemplarze dyspozycji.

Treść jej następująca:

NACZELNA KOMENDA WOJSK POLSKICH WE LWOWIE.

Res

Lwów, dnia 18/11 1918.

### Dyspozycja ataku na Lwów.

Sytuacja nieprzyjacielska wedle załączonego szkicu na podstawie wywiadów B. W.

*Zadanie ataku:* Zamknięcie miasta od strony Łyczakowa i Halickiego i zajęcie Lwowa.

1 etap: Opanowanie Góry Lwiej, Wysokiego Zamku, Góry św. Jacka, ewentualnie Cytadeli.

2 etap: Zdobycie środka miasta.

### A K C J A.

#### K E T A P.

Dla przeprowadzenia ataku tworzy się grupy następujące:

#### *A. Grupa północna.*

W skład jej wchodzi oddziały podpor. Starcka, por. Sikorskiego i 200 ludzi z pułku ppłk. Tokarzewskiego, jedna bateria własna, jedna bateria przemyska.

Stanowisko Komendy: Szkoła przy ul. Lwowskiej.

Komendant: . . . . .

*Zadanie:* Zabezpiecza peryferje miasta na pñ. w kierunku na Zboiska, na wschód od Krzywczyc, w łączności z akcją pociągu pancernego zdobywa dworzec Podzamcze i Zniesienie. Gros sił zwraca na zajęcie Góry Lwiej i Wysokiego Zamku i zamyka od pñ. ul. Łyczakowską na wysokości Cesarskiego Lasku, dociera do ul. Franciszkańskiej, Stary Rynek, Zamarstynowskiej.

#### *B. Grupa środkowa.*

*Skład:* Załoga dworca, szkoły Konarskiego, por. Abrahama i 50 ludzi z grupy przemyskiej pod komendą por. Pomiana (szkoła Konarskiego).

Odcinek: Dotychczasowy od toru kolejowego po ogród miejski.

Zadanie: Demonstracja na froncie. W porozumieniu i w miarę postępu akcji grupy północnej zajmuje dzielnicę żydowską w kierunku na Stary Rynek po ul. Kaźmierzowską i pl. Krakowski, łącząc się tu z grupą północną.

### *C. Grupa Cytadeli.*

Skład: Oddział Marji Magdaleny, 1 komp. ppłk. Tokarzewskiego), 1 miotacz min, druga i trzecia baterja własna.

Komendant: Kpt. Trzeźniowski (szkoła Marji Magdaleny).

Odcinek: Od ogrodu miejskiego do ul. Długosza i Ossolińskich.

Zadanie: Atak na Cytadelę, wzgl. cernowanie jej od strony ul. Kopernika, Pełczyńskiej i Supińskiego, potem w etapie II—im całkowite.

### *D. Grupa południowa.*

Skład: Obsada odcinka pierwszego, kawalerja przemyska i lwowska, oddziały podpl. Tokarzewskiego (200 ludzi), jedna baterja przemyska.

Komendant: . . . . .

Stanowisko Komendy: Dom Techników, ewent. szkoła kadecka.

Odcinek: Ul. Długosza (wyłącznie), Zielona, Droga Stryjska.

Zadanie: Zajęcie ruchem okalającym Żelaznej Wody, Góry św. Jacka, dalej koszar Jabłonowskich, Bettenmagazin i ul. Zyblikiewicza po ul. Zieloną. Kawalerja zajmuje Kozielniki, Sichów i przez Pasieki miejskie koszary poza rogatką Łyczakowską i browar Grunda.

### *E. Grupa wschodnia.*

Skład: Oddział kpt. Boruty i 150 ludzi z Przemyśla.

Komendant: Kpt. Boruta na Kochanowskiego wzgl. Pohulance.

Zadanie: Współdziałanie przy zajęciu Góry św. Jacka z grupą płn., zajęcie Pohulanki i przez cmentarz Łyczakowski ul. Łyczakowskiej, poczem posuwa się ku miastu aż do połączenia z grupą pld. i płn. i zajmuje odcinek od ul. Zielonej do Łyczakowskiej.

Ubezpiecza Pohulankę i Łyczaków.

### *E. Pociągi pancerne.*

a) Przemyski: zajmuje dworzec Podzamcze, pomaga przy Wysokim Zamku i z tyłu przy W.H. wieś Krzywczyce, ubezpiecza tor i drogi w kierunku na Podborce, zajmuje dworzec Łyczaków.

b) Lwowski: przez Persenkówkę, Sichów aż do Starego Sioła.

### *G. Lotnicy.*

Lotnicy pomagają pod Wysokim Zamkiem, Górą Jacka i Cytadelą.

### *H. Rezerwa.*

Oddział Rotm. Dębińskiego i Kadra w szkole Konarskiego. Reszta oddziału przemyskiego  $\frac{2}{3}$  w szkole kadeckiej i  $\frac{1}{3}$  na Żółkiewskim, później na dworcu Podzamcze.

### *Czas akcji.*

Grupy zaczynają na osobny rozkaz komendy. Zajęcie Góry Jacka i Lwiej i dworca Łyczaków sygnalizują oddziały trzema rakietami.

## **II. E T A P.**

Na dalszy rozkaz komendy nac., lub w razie popłochu u rusinów bez rozkazu, lecz za porozumieniem grup sąsiednich nastąpi drugi etap, w którym:

A) Grupa północna zajmie odcinek od ul. Podwale, Dominikańskiej i Rutowskiego po plac Krakowski.

B) Grupa wschodnia po ul. Batorego, Rutowskiego i Rynek.

C) Grupa pld. między ul. Ossolińskich a Batorego, po ul. Kopernika.

D) Grupa środkowa z autem pancernym i rezerwą rotm. Dembińskiego po Hetmańską i Kopernika.

Budynki i koszary silnie obsadzone raczej cernować.

Budynki ruskie obsadzić, nie wypuszczając nikogo, a to: Dnister (Podwale), Narodny Dom (róg Rutowskiego i Ormiańskiej), nieparzyste numery domów na ul. Ruskiej, Narodną Torhowlę (Rynek), Narodną Hostynnicę (Sykstu-ska) i Ratusz, Namiestnictwo i wszystkie budynki komend wojskowych, szczególnie komendy korpusu (plac Berna-dyński) i komenda placu (ul. Wałowa).

### *III. Po zdobyciu miasta.*

A) Grupa północna staje w koszarach Heumarkt i przy ul. Zamarstynowskiej, ubezpiecza od ul. Janowskiej po lasek Cesarski.

B) Grupa wschodnia bez oddziału Kpt. Boruty zajmuje koszary Piotra i Pawła, ubezpiecza od Łyczakowa po ul. Zieloną włącznie.

C) Grupa południowa szkołę kadecką, lub dom Techników, ubezpiecza od Zielonej przez Stryjską rogatkę do Wóleckiej włącznie.

D) Grupa wschodnia Kpt. Boruty i obsada dworca szkołę Sienkiewicza, ubezpiecza od drogi Wóleckiej do Janowskiej.

- |   |        |
|---|--------|
| E) Grupa środkowa szkołę Konarskiego          | } jako |
| F) Grupa Cytadeli szkołę Marji Magdaleny      |        |
| G) Cała rezerwa koszary na ul. Jabłonowskich. |        |
| H) Kawalerja koszary Łyczakowskie.            |        |
| I) Artylerja własna Sadownicka 25.            |        |

Artylerja przemyska koszary Czerwonego Klasztoru.

Wszystkie oddziały patrolują z wyjątkiem grupy wschodniej w odcinkach w mieście przez się zdobywanych, cywilnych rozbrajają.

Stanowisko komendy nacz. ul. Grundwaldzka 8, po-tym w miarę posuwania się akcji szkoła kadecka, Góra



Jacka, plac Bernadyński. Komendy grup w miejscach podanych, lub dalej w środku swego odcinka.

Wszystkie grupy wysyłają po 2 łączników do komendy nacz.

Żandarmerja i B. W. otrzymują specjalne instrukcje.

Jeńców odprowadza się do komend odcinków obecnych, stąd do żandarmerji, Chocimska 2. W miarę akcji do domu Inwalidów i koszar Jabłonowskich.

Miejsca opatrunkowe wśród każdego odcinka zarządzi szef sanitarny.

Amunicja: szkoła Konarskiego, dom Techników, szkoła Sienkiewicza i Marji Magdaleny. Później także szkoła przemysłowa, dworzec Łyczaków i dom Inwalidów.

Żywność: Oddziały pobierają przed zaczęciem akcji po 2 konserwy mięsne.

Po zdobyciu miasta dostawi intendatura.

*Mączyński w. r.*

Za zgodność

*Garbień w. r.*

por. i adj.

Nowości nie można się dopatrywać w dyspozycji powyższej, w zmianie nazwy dotychczasowych odcinków na grupy. Pomieszanie odcinków, dodanie do każdego nowych sił odrębnych, wystarczającym uzasadnieniem. Nie potrzeba również uzasadniać nazw, biorących początek w stronach świata, właściwie w zadaniu każdej grupy.

Jest rzecz inna, którą bliżej omówię. Znający regulaminy i przepisy wojskowe fachowiec zarzucić może dyspozycji za szerokie jej ramy, określanie z góry zbyt dalekiego celu. Regulaminy przepisują wyraźnie określanie celu możliwie bliskiego, a potem w miarę postępu akcji dodawanie dalszych. Tu więc w myśl tych przepisów wystarczyłoby danie „Etapu I” schowanie zaś reszty do rozkazów późniejszych. Tymczasem dodano tu odrazu etap II. zdobycie miasta, rozgraniczono dokładnie posuwanie się grup w tym etapie, a ponadto dodano i część trzecią, zawierającą rozkwaterowanie oddziałów i ubezpieczenie zdobytego miasta na wewnątrz i zewnątrz.

Na usprawiedliwienie tego odstępiania od znanych przepisów wystarczyłoby zacytowanie początku II etapu: „Na dalszy rozkaz komendy, lub w razie popłochu u Rusinów bez rozkazu, lecz...”. Liczono się z popłochem u nieprzyjaciela i chciano na ten wypadek unormować wszystko, by dalsze części automatycznie po sobie następowały, by nie było zamieszania, opuszczania pewnych ulic, by nie było wreszcie przerwy w ubezpieczeniu miasta. Na dalsze rozkazy bowiem w tym wypadku nie byłoby czasu, pisanie i niektóre zbyt wielkie odległości mogły spowodować przydługą zwłokę. Ponadto oddziały, wpakowawszy się raz w miasto dwustutysięczne, mogły się pogubić, mogły kwaterować na własną rękę, a trudnoby je wtedy odszukać, mogły zaniechać wreszcie myśli o nieprzyjacielu na zewnątrz, nie wiedząc, gdzie i kto ma ubezpieczać.

W warunkach lwowskich była łatwiejsza zmiana rozkazu w razie niepostępowania ataku w myśl pierwotnego planu. Niemożliwością zaś było doręczyć niektórym grupom na czas rozkazu do dalszej akcji. Ponadto była to dyspozycja nie rozkaz. Dlatego odstąpiono od przepisów.

Wszelkie przygotowania do akcji powyższej ukończono 19 listopada. Artylerja zaciągnęła nowe stanowiska, przeprowadziła połączenia telefoniczne, ustawiono jedną 22 cm. minierkę (by oszczędzić amunicji na wstrzeliwanie się—wszak wszystkiego posiadaliśmy 9 strzałów) potworzono również odpowiednie oddziały piechotne. Przygotowano w odpowiednich miejscach amunicję, żywność, środki opatrunkowe i sanitarne itd. itd.

Po przyjeździe odsieczy odbyła się długa narada operacyjna. Brali w niej udział ppłk. Tokarzewski ze swym szefem sztabu por. Błęszyńskim i ja z por. Łapińskim.

Dowódcom odsieczy nie podobał się plan lwowski, ponieważ rozdrabniał zbyt wiele siły odsieczy — miast używać ich (znowu w myśl przepisów) w większych jednostkach, powtóre był zanadto „ryzykowny”. Stąd najpierw dyskusja co do uderzenia przez miasto, którego zwolennikiem był Tokarzewski, dając przykłady ze zdobycia Prze-

myśla, zakończona jednomyślną zgodą co do trudności i niemożliwości we Lwowie. Bardzo długo dyskutowano natomiast co do miejsca głównego uderzenia. Trzech z obecnych przemawiało za północnym skrzydłem. Wytrwale sprzeciwiałem się temu, wykazując ogromne tam trudności i to zaraz na samym wstępie akcji, poruszone powyżej. By zyskać choćby jednego więcej zwolennika myśli lwowskiej, wezwałem do obrad por. D-ra Jakubskiego, który wreszcie przeważył i przekonał.

Przy rozdziale sił odsieczy na poszczególne grupy atakujące stał twardo ppłk. Tokarzewski przy nierozdrabnianiu ich. Rozdzielono je więc w ten sposób, że grupa północna otrzymała miast 200 niespełna 80 żołnierzy, mniej jeszcze grupa kap. Trzeźniowskiego, wszystkie dalsze włączono do grupy południowej. Powstała ona z połączenia pod jedną komendą grupy południowej i wschodniej. Nie przemówiły do przekonania argumenty, że za duży odcinek, niemożliwy do opanowania przez jednego dowódcę itd. Stąd wyszła grupa południowa za silną, grupa północna za słabą w odniesieniu do zadań, spełnić się mających.

Na dowódców wszystkich grup wybrano wyłącznie dotychczasowych dowódców odcinków lwowskich, jako znających teren.

Co do czasu rozpoczęcia akcji był tylko jeden zwolennik (por. Łapiński) odroczenia o dzień jeden celem lepszego przygotowania. By utrzymać moment zaskoczenia przeciwnika, byliśmy temu przeciwni.

Nakoniec poruszono sprawę wspólnej komendy. Ppłk. Tokarzewski powołał się na znany przepis wojskowy, że on jako wyższy szarżą ma objąć dowództwo (mnie w międzyczasie miał mianować gen. Roja majorem — o czym zresztą nie wiedziałem). Nie miałem nic przeciwko temu, jedynie z zastrzeżeniem również w myśl przepisów, że jego dowództwo jest jedynie taktyczne i nie tamuje zupełnie samodzielności i organizacji grupy lwowskiej.

Osobno poczyniono przygotowania, by ze strony polskiej nie złamano warunków zawieszenia broni, by za-

den z oddziałów nie przekroczył linii rozejmu przed godz. 6 rano. W tym celu wyznaczono osobną baterję (por. Latawca), która miała dać strzałem znak do rozpoczęcia akcji.

Do grupy południowej zgłosił się na ochotnika D-r Jakubski, który otrzymał polecenie pełnienia tam funkcji pomocnika czy zastępcy komendanta. Do późnej nocy przeciągnęły się obrady powyższe. Niewiele czasu zostało na ostateczne przygotowania i dyspozycje.

Ppłk Tokarzewski wydał więc najpierw rozkaz, skierowujący oddziały odsieczy do poszczególnych odcinków, stąd udawały się na punkty wypadowe. Przemarsze te przez miasto rozpoczęły się około 12 w nocy. (Patrz dodatek № 42).

Spokojnie spał Lwów i nie przeczuwał w większości swej, co się na jego łonie gotuje.

Wreszcie ukończyli pracę pisania rozkazu obaj szefowie sztabu. Rozesłano go oddziałom odsieczy, a w miarę dalszego bicia na maszynie odcinkom lwowskim. Rozkaz ten zawierał jedynie pierwszy etap lwowskiej dyspozycji. (Patrz dodatek № 43).

Warto zakończyć ten rozdział mapą Lwowa wraz z wyrysowanym frontem polskim i ukraińskim, oraz zaznaczonymi kierunkami naszego uderzenia.

## PRZEBIEG 21 LISTOPADA.

Przygotowania na czas ukończono. Oddziały nie posiadały się z radości. Jedne z uciechy, że one właśnie przyszły z odsieczą Lwowowi, drugie, że ich krwawy trud trzytygodniowy nie poszedł na marne, inne zazdrościły tamtym szczęśliwszym, którzy odrazu mają ruszyć i z niecierpliwością oczekiwęły chwili, kiedy na nich przyjdzie kolej.

Przychodzą telefoniczne meldunki gotowości bojowej, najpierw z odcinka północnego później południowego. Oddziały wszystkie gotowe do skoku, w cichości czekają na znak omówiony, artylerja i minierzy z lontami przy działach (jakby powiedział pisarz dziejów z przed lat stu). Dwa smoki kolejowe w postaci pociągów pancernych bezpośrednio za swymi grupami w gotowości, bez światła, no i liczny wcale oddział złączonej kawalerji, u której konie zapewne parszają na pomyślność.

Wszystko niewidoczne dla nieprzyjaciela, ponieważ spowite gęstym tumanem nocy zamglonej.

„Bije szósta na ratuszu“, umówiony znak nie daje się słyszeć. Donośny głos zegara dotarł w ciszy nocnej do wszystkich placówek. Gorętsi pytają z wyrzutem: „czy odłożono“.

„Bije szósta na Bernardynach“ \*). Spokojnie, majestatycznie rozlega się ton dzwonu po spokojnym, uśpiętym Lwowie, nie budząc zapewne nikogo.

Rozdarł ciszą nocną dźwięk jedynasty. Nie był to dźwięk dzwonu zegarowego. To przemówił Łatawiec jedną i drugą armatą swoją trzy razy w odstępach zegarowych. Ten dźwięk wyrwał wielu spokojnych obywateli

---

\*) Dwa zegary wieżowe we Lwowie, różniące się stale o pięć minut od niepamiętnych czasów.

z objąć Morfeusza, zbudził zapewne i wroga — w rezerwach stojącego.

Jak w uśpionej wsi polskiej odezwie się w nocy brytan łańcuchowy, a za nim wieś cała odzywa się szczeniem, tak tu te, zdawało się, urwane, głuche, a donośne strzały Latawca nie oznaczały tylko końca trzydniowego zawieszenia broni.

Jak różdżka czarodziejska porusza niewidzialnie martwe figury, tak te strzały ożywiły tysiące ludzi i... potworów.

Ostatnie to armaty nasze, polskie — cyfra ich pokazna, głos donośny, czysty, krystaliczny. Pracują pilnie i gorliwie. Tysiące wypuszczają potworków, małych, niepokąźnych, lecz jakże serdecznie zawziętych na stworzenia żyjące i twory martwe.

Wzajemne ich tony wiążą się harmonicznie ze sobą i powstaje melodia dźwięczna, a dziwna, cudownie kojąca niepokój wszelaki w duszy kierowników, przytłumiająca cisnące się gwałtownie pytania: „Czy... i jak“.

Wala więc działa polskie w Cytadelę, grzmia licznie i groźnie na Zamarstynowie, nie zapominają o przeciwnikach swoich, artylerji ukraińskiej.

Odzywa się wreszcie i ona. Niezorjentowana i niepewna maca poomacku armaty nasze, aż nakoniec daje folgę żądom swoim i strzela bezładnie w polskie miasto, przez ludność cywilną zamieszkałe.

Rozjaśniał nieboskłon lwowski. Jak długi i szeroki notuje błyski jaśniejsze i większe — to od wystrzałów i równie liczne mniejsze od rozprysków.

Zdumiał Lwów, osłupiał nieprzyjacieli. Tyle armat nie grało jeszcze na jego terytorjum. Nie grały jeszcze tak zawzięcie, gdyż dziś obustronny ogień — huraganowy.

Działa, ulokowane wśród domów mieszkalnych, rozpryski naboju nad... wśród i między domami potęgują grozę wojenną. Echo, odbijające od każdego załomu ulicy, śpiewa nam w duszy pieśń radosną: „Dziś polska ofenzywa“.

Lwów zaś niepewny i akcji naszej nieświadom modlił

się w całości swej przed domowymi sanctuarjami o wytrwanie dla polskich żołnierzy.

Przy basowym huku, ogłuszającym niewprawne uszy, odezwały się maluczkie, a najbardziej śmiercionośne narzędzia wojenne. Głos ich z północy pochodzi. „Grają taśmami całymi“.

To Sikorski zaczął. Runął impetem. Zmiotł pierwszą linię placówek ukraińskich. Dał radę po zaciętym oporze i drugiej. Lecz na trzeciej utknął. Zbyt silny opór, zbyt wielkie siły przeciwnika, a własne słabiutkie. Bierze wroga systematyką, podsuwa się i zdobywa dom za domem, lecz akcja powoli idzie, ponieważ pociąg pancerny nie może dalej się posuwać.

Podjechał pod sam młyn, grzmi wień z armat, karabinów maszynowych i karabinków. Nieprzyjaciel broni się zawzięcie. Wkrótce wspomagają go świeże rezerwy, pospiesznie z miasta przysłane. Rozpoczyna się bój krwawy i zacięty.

Pociąg przemyski pod bohaterską komendą kapt. Hickiewicza walczy umiejętnie, choć obsypywany gradem pocisków z pobliskiego Zamku Wysokiego. Mimo nieprzebitego pancerza, pada ranion przez oko, otworem celujące, dowódca i... pociąg cofa się, by oddać kierownika i towarzysza opiece lekarskiej.

Powraca z powrotem po spełnieniu obowiązku i walczy dalej aż do zmroku, lecz bez skutku widocznego. Wróg nie ustąpił.

Sikorski więc piechotą własną pod wodzą bohaterskiego ppor. Starcka boryka się z nieprzyjacielem. Frontowo posunąć się nie może, jak długo pociąg nie zwalczy swej przeszkody. Zawijać skrzydła lewego nie wolno, gdyż już flankują go Zboiska, z którymi bohatersko ściera się Wiktor.

Zdobyto jeszcze kilka domów, opanowano jeszcze kilka małych i krętych uliczek, lecz do celu minimalnego (Podzamcze) jeszcze daleko. Przę doń i żołnierz; wie bowiem, że tam kres pracy jego, że wyszedłszy z cia-

snych ulic na świeże otwarte przestrzenie, będzie miał pracę lżejszą i łatwiejszą.

Bój trwa o niezmniejszającym się napięciu. Szybki, listopadowy zapada wieczór, a bój nie stracił nic jeszcze ze swego napięcia.

Atak i kontratak zmieniają się szybko i następują stale po sobie.

Niech walczą dalej, aż gęsty zmrok, zapadły za wcześnie, ich uciszy.

Trafił na siły za wielkie, sam mając za szczupłe; oto przyczyna uciążliwej walki. Czy wróg bronił tu czułego miejsca swego, czy na tym skrzydle chciał sam świeżymi siłami atakować—żadne już nie rozstrzygną dzieje.

Dalszy front miejski demonstruje i czeka. Demonstruje ten jedynie, który nie ma posunąć się zupełnie w pierwszej części akcji tj. od ogrodu jezuickiego hen dalej ku południowi.

Na odcinku trzecim cisza zupełna. Tu jeno Abraham czeka zniecierpliwiony, rychłoli posunie się Sikorski, rychło nań przyjdzie kolej.

Działa grają wytrwale i nieznudzenie. Trajkocą mile karabiny maszynowe. W tym pojawia się głos nowy, nieznanym jeszcze na polskim froncie. To młoda, kilka dni zaledwie ćwiczona obsługa małych, a groźnych na bliskie odległości minierek-olbrzymów zdaje egzamin ze sztuki nabytej i wsadza drugą z kolei minę w cel naznaczony. Bo amunicji mało. Mierzyli, obliczali długo, ale dobrze. Pierwszy strzał o parę zaledwie zbłądził metrów. Każdy następny „siedział” na murach.

Tam przed Cytadelą demonstracja jeno ma być z rozkazu. Demonstracja obliczona i wykonywana tak ułudnie, by upodobnić ją do rzeczywistości jak najbardziej. Nagle z postronnego aparatu przychodzi wiadomość, że widać tam poruszenia własnej piechoty.

Zrozumiano to w komendzie nacz., że pewnie znowu bez rozkazu chcą atakować. Ba, wbrew wyraźnemu rozkazowi.



Pędzi więc z rozkazu na aucie Łapiński, by ich powstrzymać, by uchronić wojsko ochocze i posłuszne od strat dotkliwych, a niepotrzebnych. Zanim przyjechał, już atak odbity. Kilkunastu dzielnych i najdzielniejszych stoczyło się po stromych stokach Cytadeli, kilku z nich martwych, reszta krwią broczy. Wrócił Łapiński z meldunkiem, że już przeszkodzić nie mógł, gdyż już było po wszystkim. Wrócił sam z ręką na temblaku — przestrzealoną w ramieniu.

Tamto sprytnie ulokował maszynkę swą Feldstein. Mimo wzięcia go na cel przez artylerję nieprzyjacielską, wytrwał. Lecz zejść mu kazano, ponieważ wieża kościelna \*) cenniejsza dla żołnierza polskiego, niż straty, jakie stamtąd można zadać nieprzyjacielowi.

Na „starym“ froncie sprawnie działa telefon. Stąd wszelkie wiadomości szybko przechodzą do komendy nacz.

Lecz cóż dzieje się w odcinku najważniejszym, w odcinku dziś głównym.

Tam przerzyna się Boruta przez jary i lasy na poprzek. Kiedy go można było widzieć, zmrok jeszcze panował. Gdy rozwidniło się, znikł z oczu dla obserwatora.

Telefon nie prędko tam będzie. Trudzą się telefoniści przy ciągnięciu linii, lecz nie dopędzić im Boruty. Pomknął jak strzała. Słuch więc wyteża Bujalski, pieszych szle łączników i melduje: „słaba strzelanina na Snopkowie“. Potym: „cisza zupełna“. Długo trwała ona. Rósł niepokój, gdy zimny zachować trzeba spokój.

Wreszcie „silna walka w stronie Łyczakowa“. Grają maszynki, strzelają działa ukraińskie. Rozpryski ich nad cmentarzem łyczakowskim. Dalej „widoczny atak na dworzec łyczakowski“.

Silny oddział Ukraińców schodzi z góry zamkowej, rozwija się w tyralierę na tenże sam dworzec. Strzały iczne i zawzięte, aż wreszcie milknie i ucisza się. Zrzadka jeno dochodzą strzały, lecz bliższe.

---

\*) Kościoła Marji Magdaleny

Co się tam stało? Minuty godzinami się zdają. Meldunku nie widać.

Pociąg pancerny wyjechał. Dymi w Sichowie. Wreszcie znikł i dym.

Przychodzi znowu meldunek Bujalskiego. Groźny swą powagą. „Łączność na prawym skrzydle zerwana“.

Konsternacja w komendzie nacz. Ukraiński kontratak, czy młode wojsko za gorąco parło naprzód?

Goniec za goncem wysłany nie wraca. Daleko to bowiem. Kilkanaście kilometrów przez jary i lasy.

Wiadomości bałamutne i niepewne.

No, wreszcie zjawia się Jakubski i referuje szybko, po kolei.

Z trzecim strzałem Latawca ruszyła wiara z Persenkówki po pod Kozielniki na Snopków.

Pierwszy opór na linii frontu ukraińskiego minimalny, gdyż pociąg pancerny z boku, a kawalerja z tyłu w mig się z nimi załatwiła.

Następny opór między Snopkowem, a roгатką Zieloną. Krótki i słaby. Po sforsowaniu nieprzyjaciel cofnął się ku miastu i obsadził przygotowane okopy, silne, niezdobyte prawie w wodociągowych rezerwoarach. Zostawiono tam kompanię jarosławską. Reszta poszła naprzód.

Bez walki zajęto Pohulanę, skąd jedna grupa w ścisłej łączności z kawalerją zwróciła się na koszary kawalerji poza roгатką Łyczakowską, drugą na cmentarz Łyczakowski, by stąd opanować koszary Piotra i Pawła. Zarząta przy obu rozwinęła się walka. Pierwsze zdobyto dzięki wydatnej pomocy kawalerji. Zdobyto przytym całą baterję ukraińską z 5 dział. Przy drugich trwała walka do późna w noc.

Mimo oporu z flanki nie ustaje parcie naprzód.

Z cmentarza zajęto Łyczakowską ulicę i odparto tu pierwszy silny kontratak ukraiński od strony miasta. Równocześnie na grupę drugą atakował nieprzyjaciel od strony Winnik. — Zdaje się świeże zupełnie siły, które do Lwowa spieszyły. Kawalerja szybko się z nimi załatwiła na wysokości Marjówki.

Po odparciu obu koncentryczny atak na dworzec Łyczakowski. Zajęty i on koło południa. Z góry zamkowej i piaskowej nowy ukraiński kontratak. Wdarli się na dworzec i opanowali część jego. Polski kontratak wyrzucił ich z powrotem.

Dworzec bezspornie w naszych rękach.

Żołnierz pada ze znużenia—dwie bezsenne noce, trzecia lwowska z marszami, a potem marsz bez drogi, po polach i wertepach. Jakubski prze naprzód, by zrobić jeszcze jeden krok i zająć Piaskową górę, lub Wysoki Zamek. Nadaremnie. Klnie więc na „legunów“, choć sam „legun“. Wyrzeka na „Łyczaków“, który za szczerze przyjął polskiego żołnierza, od stu lat niewidzianego.

Tak więc  $\frac{7}{8}$  Lwowa otoczone. Cieniuską linią, na której wrze walka koło koszar Piotra i Pawła i koło rogatki Zielonej.

Boruta sam nie może dać rady, mając za duży odciniek. Zaczyna go porządkować na wschodniej połowie, szle Jakubskiego na zachodnią.

Tu opór z Zielonej porwał chłopów ku sobie. Powstała luka olbrzymia między prawym skrzydłem Bujalskiego, który dotarł do swej granicy, a lewym Boruty, które posunęło się za daleko naprzód. Ściąga Boruta, co może ze wschodu, lecz nie ma jej czym „załatać“.

Naprzeciw luki Góra Jacka, silnie obsadzona przez nieprzyjaciela. Trzymany on wprawdzie od zachodu przez Bujalskiego, z którym uporczywie walczy. Lecz nuż, zorientuje się wróg i przerzuci poza swoim frontem znaczniejsze siły w dziurę.

W całości sytuacja groźna. Nie poszło na północy, tu zaś przekłeta dziura i częściowo niespełnione zadanie. Nie zajęta dotychczas ani Góra Jacka, ani wodociągi, ni koszary Piotra i Pawła. Takiej linii przy kontrataku ukraińskim nie utrzymamy. Trzeba się z nim liczyć, ponieważ już rozwinął się na północy i prze znowu na on sławny mostek kolejowy. Widoczne, że chce odciąć skrzydło. Jeśli spróbuje to samo na vis-a-vis, „pójdzie jak po maśle“.

Zły Tokarzewski, wyrzeka na plany miejscowe, przeklina „południe“, kiedy „północ“ byłaby lepsza itd. Chce wydać rozkaz cofnięcia prawego skrzydła (grupy południowej). Ustępuje jedynie perswazjom na czas pewien, aż „Bleszyński zbada“ na miejscu całą sytuację. Jeżeli się nie da „załatać dziury“, przyjdzie czas na rozkaz.

Jedzie więc z rozkazami odpowiednimi Bleszyński (Łapiński pojechał tam przedtym z rozkazami co do „dziury“). Pojechał i Tokarzewski na Persenkówkę i Snopków.

Tymczasem rozciąga swe skrzydło Bujalski i melduje po kilku godzinach „łączność nawiązana“.

Przyjeżdża Tokarzewski z wiadomością, że Góra Jacka nie „pójdzie dziś“. „No, to pójdzie jutro“, brzmi odpowiedź.

Późnym wieczorem zjawia się Bleszyński.

Meldunki jego: Opór Ukraińców na Zielonej osłabł pod wieczór. Kompania jarosławska, skierowana przez niego, zajęła bez strzału nieprzyjacielskie pozycje. Łuk zmniejszył się znacznie. Z powodu tego przesunęło się lewe skrzydło Boruty do granicy mu wyznaczonej i zwolniło tam zbyt rozciągnięte oddziały Bujalskiego.

Wobec tego zgoda jednomyślna—linię tę utrzymać.

Pozostaje mi jeszcze opisać akcje dnia tego oddziałów zabezpieczających.

Prawie równolegle z grupą południową, jedynie łukiem znacznie większym posuwała się kawalerja, połączona z lwowskich 2 szwadronów i 2 plutonów odsieczy. Zajęła ona Kozielniki, rozbiła mniejsze siły nieprzyjacielskie koło Sichowa, pozostawiając dalsze większe zgrupowanie równoczesnej akcji lwowskiego pociągu pancernego i dalej bez boju dotarła aż do browaru Grunda. Po drodze wysłała liczne patrole celem zbadania terenu na zewnątrz, zostawiała ponadto w odpowiednich punktach patrole obserwacyjne. Wzięła udział od południa w zdobywaniu koszar łyczakowskich (nb. spieszona), a potem pomknęła dalej w kierunku na Krzywczyce-Zniesienie, wysyłając pa-

trol w stronę Winnik. Brała tu udział w odpieraniu wspomnianego już ataku.

Nie mogła się dalej posunąć na wschód, gdyż natrafiła na znaczne siły nieprzyjacielskie. Nie było to zresztą w tej sytuacji bojowej jeszcze jej zadaniem.

Lwowski pociąg pancerny, zwany Lwowianinem, lub wedle porządku w rozkazie P. P. 3. i stąd później stałe „Pepetrójka“, pomógł wybitnie przy Kozielnikach, rozbił wcale poważne siły w Sichowie i poszybował aż po Stare Sióło, gdzie również zwycięską stoczył walkę. Później patrolował wytrwale na tej linii kolejowej, chroniąc skutecznie tyły i flankę.

Z patroli, wysłanych na zachód i południowy zachód spisał się najdzielniej wysłany przez Skniłów na Obroszyn. Rozpędził zbierające się tam nowe bandy chłopskie i popędził za nimi do Stawczan, które zajął.

Taki był wynik żmudnego, a dawno oczekiwanego dnia. Grupa północna, będąc za słabą, trafiawszy nadto na przeważające siły nieprzyjacielskie, posunęła się tylko częściowo naprzód. Nie osiągnęła jeszcze nakazanego w rozkazie celu.

Z grup miejskich żadna nie miała się ruszyć w tej części akcji.

Grupa południowa również częściowo tylko spełniła swe zadanie. Posunęła się wprawdzie na wschód tak daleko, jak nakazano, nie osiągnęła jednak jeszcze nakazanego ścieśnienia łuku przez zdobycie i zajęcie Góry Jacka, łączących się z nią koszar Jabłonowskich, koszar Piotra i Pawła.

Nie osiągnięto więc jeszcze z obu stron tego, co nakazano zdobyć w pierwszym etapie. Mimo to nie można uważać tego za niewykonanie rozkazu, za niepowodzenie, gdyż nigdzie w rozkazie nie powiedziano, że pierwszy etap ma być osiągnięty w całości pierwszego dnia akcji. Przeciwnie liczone się z dłuższą akcją, kiedy kazano oddziałom zabrać żywność dla żołnierza na *dwa dni*.

Już to stanowi niezbity dowód, że liczone się z akcją najmniej dwudniową. A może i dłuższą. Nie można więc

mówić o jakimkolwiek niepowodzeniu, kiedy wykonano tylko część akcji, nieokreślonej czasem jednodniowym.

Z tego wynika równocześnie plan akcji na dzień następny. Akcja musi być prowadzona dalej, ewentualnie z pewnymi, dodatkowymi zmianami, zależnie od ujawnionej w dniu tym sytuacji nieprzyjacielskiej.

Takie było stanowisko lwowskiej komendy nacz. Czy pokrywało się ono z zapatrywaniem ppł. Tokarzewskiego, nie chcę tu poruszać.

Wieczorem przyjechał do Lwowa gen. Roja i przywiózł ze sobą dwie kompanie, około 180 ludzi. Długa toczyła się z nim debata operacyjna i co do stosunków rozkazodawczych. W pierwszej kwestji był on zwolennikiem zgodnie z ppłk. Tokarzewskim wstrzymania dalszej akcji na linii osiągniętej, zatrzymania przywiezionych kompanii jako rezerwy i czekania z uderzeniem na dalsze posiłki z zachodu. Dał jednak posłuch rzeczowym i ścisłym argumentom w kierunku innego rozwiązania, a mianowicie: Przybyłymi dwoma kompaniami wzmacnia się prawe skrzydło Bujalskiego z poleceniem atakowania—nb. w ciągłej łączności z grupą Boruty—w kierunku przez Jackową Górę, Zyblikiewicza ku środkowi miasta (plac Bernadyński). Gen. Roja wydał rozkaz ppłk. Tokarzewskiemu przygotowania tej akcji.

W sprawie stosunków rozkazodawczych zawiadomił gen. Roja, że wysłał osobny pisemny rozkaz \*) i zarządził, że dziś będzie jeszcze tak, jutro inaczej. Poleciał jedynie ppłk. Tokarzewskiemu nie naruszać całości organizacyjnej grupy lwowskiej.

Około północy odjechał gen. Roja na dworzec, gdzie miał kwaterę w salonce, a ppłk. Tokarzewski, z nóg lejący, wydał rozkaz dwu kompaniom przejścia nad ranem do Bujalskiego, mnie zaś prosił o wydanie koniecznych rozkazów do dalszej akcji.

---

\*) Dotarł on do Lwowa w kilka dni później, gdzieś około 26 listopada.

## OSWOBODZENIE.

Od zbiega ukraińskiego — ekszandarma — wiedzieliśmy już, że koło godz. 2 pop. powstał u Ukraińców duży popłoch, ale potem uspokoiło się zupełnie. Zniknięcie oporu przy ul. Zielonej pod wieczór, mogłoby dać wiele do myślenia, kiedy znowu Jacka góra trzyma się ciągle. Kontratak wieczorny na Zamarstynów i poselstwo o zawieszenie broni wskazywały na różne zamiary ukraińskie.

Z miasta nie przedarł się do nas nikt w tym dniu, żadna kurjerka. Wskazywało to, jak już dwukrotnie uprzednio, na gęste obstawienie przez Ukraińców ulic w mieście i frontu.

Trzeba się było liczyć z dalszym oporem i uderzyć tam, gdzie kontruderzenie było dla nas najgroźniejsze. Wydano także rozkazy szczególnej czujności.

Mimo to z frontu nie nadchodzą żadne meldunki, któreby wskazywały na jakieś osłabienie przeciwnika.

O 12:30 melduje telefonicznie Abraham, że przybył do niego były legionista, internowany w koszarach przy ul. Kurkowej i melduje, iż u Ukraińców popłoch, pakują się i wyjeżdżają. Skorzystał on z tego i umknął, by się przedrzeć do wojsk polskich.

Uciekają na północ, trzeba im przeciąć drogę odwrotu.

Wobec tego otrzymał por. Abraham rozkaz posuwania się ku teatrowi. O jego osiągnięciu meldować bezwzględnie. Podesłano mu natychmiast połowę rezerwy rotm. Dembińskiego (około 50 ludzi). Runął tedy naprzód Abraham i po dość uciążliwych walkach dotarł tuż przed 3 godz. do teatru. Zameldował jeno, że posuwa się dalej w myśl wyznaczonej marszruty — Rynek — Wysoki Zamek.

Obecnie, kiedy Abraham wdarł się w środek miasta, przyszedł czas na ruszenie całego frontu.

Jeden odcinek za drugim, grupa za grupą otrzymywała obecnie rozkazy telefoniczne parcia naprzód. Wyznaczano jej drogę i określano cele. Do Boruty, z którym nie było połączenia telefonicznego, pocwałował z rozkazami por. Błęszyński.

Sforsowanie frontu od koszar Ferdynanda aż po pocztę wyłącznie odbyło się po walce i kosztowało nas pewną ilość krwawych ofiar. Od Cytadeli zaś aż hen po dworzec Łyczakowski posuwały się grupy naprzód bez walki, przyczym naturalnie grupa Boruty zaczęła ruch ten najpóźniej, dopiero koło godz. 6.

Walczono uporczywie na Zamarstynowie — zrozumiale — podesłano więc tam drugą połowę rezerwy Dembińskiego. Tam także skierowano auto i pociąg pancerny.

O 4 godz. zajął Abraham odwach, o 5:20 zatknął własnoręcznie polskie sztandary na wieżę ratuszową i posłał gros sił własnych na Wysoki Zamek. Linie, którą przechodził, obsadzał tak, że zamknięto krąg naokoło Ukraińców, broniących jeszcze frontu. Przed 6 opanowali „Straceńcy“ Wysoki Zamek, zdobywając tam dwie baterje ukraińskie, znaczną część ich obsługi wzięto do niewoli. Byli to urodzeni Ukraińcy, władający jedynie językiem niemieckim o berlińskim akcencie.

Ilość zdobyczy nie obliczono ściśle; 12 dział i prawie 600 jeńca, dużo wozów, kuchni polowych itd. Karabinów maszynowych zliczono jedynie 32. Było ich w rzeczywistości znacznie więcej. Działka piechotne, minierki, wcale obficie zaopatrzone magazyny żywnościowe i amunicyjne dopełniły reszty.

Gros Ukraińców jednak uciekła, lub przypinając na czapkę białoczerwone kokardki, grała rolę polskiego żołnierza. Częściowo ukryli się po licznych suterynach lwowskich.

Obecnie należało niezwłocznie zabezpieczyć miasto na zewnątrz. Wydano więc rozkaz, odpowiadający trzeciemu ustępowi dyspozycji nb. nieco zmienionej.



Treść jego:

*Dowództwo*

*połączonych sił lwowskich i Ekspedycji przemyskiej.*

ROZKŁAD DYSLOKACJI WOJSK I UBEZPIECZENIE NA ZEWNĄTRZ.

*Lwów, dnia 22/11 1918.*

Po zajęciu miasta zajmują oddziały następujące koszary i zabezpieczają Lwów na zewnątrz a to:

1) 1 Baon 5 p. piechoty zajmuje koszary przy ul. Piotra i Pawła i ubezpiecza wschodnią część miasta od rogatki Zielonej po linię kolejową na Podborce. Rezerwą 1 Baonu pozostaje pluton saperów i pluton 8 pp., które kwaterują w koszarach przy ul. Łyczakowskiej.

2) Trzy kompanie 4 pp. i 2 plutony 10-o pp. kwaterują w koszarach przy ul. Zamarstynowskiej i ubezpieczają północną część miasta od toru kolejowego na Podborce do toru kolejowego przy Rzęśnie Polskiej.

3) Od toru kolejowego przy Rzęśnie Polskiej po gościniec Gródecki ubezpiecza jak dotychczas oddział kpt. Pierackiego. Stoi załogą na głównym dworcu.

4) Od ul. Gródeckiej do rogatki Zielonej ubezpiecza oddział kpt. Boruty, stojąc załogą w szkole Sienkiewicza i Marji Magdaleny.

Cała grupa kpt. Trześniowskiego, obejmująca dotychczasowy odcinek pierwszy i drugi, pozostaje jako rezerwa w koszarach Jabłonowskich.

Grupa rotm. Pomiana której, podporządkowuje się cała grupa por. Sikorskiego i grupa Rzęsna Polska pozostaje jako rezerwa w koszarach Heumarkt.

Artylerja i kawalerja przemyska kwaterują w koszarach Czerwonego klasztoru. Artylerja i kawalerja lwowska w koszarach Ferdynanda przy ul. Gródeckiej.

Oddziały, mające ubezpieczenie zewnętrzne, patrolują aż do śródmieścia. Samo śródmieście obejmuje rezerwa rotm. Pomiana. Straże nad wszystkimi magazynami wojskowymi obejmuje grupa kpt. Trześniowskiego. Kawalerja przemyska przydziela każdemu odcinkowi z wyjątkiem dworca po 3 jeźdźców. Dowództwo wszystkich dotych-

czasowych oddziałów lwowskich pozostaje w dotychczasowym ręku i urzęduje na placu Bernardyńskim 10 (Korpskommando). Dowództwo całej odsieczy pozostaje w moim ręku z umieszczeniem przy pl. Smółki (Generalkommando). Otrzymują wszystkie oddziały jak rozkazy.

*Tokarzewski ppłk. mp.*

Za zgodność

Szef sztabu.

Płk. Tokarzewski udał się na kierowanie akcją na Zamarynow. Mnie przypadło objąć resztę miasta, zarządzić tu pościg, uporządkować oddziały i rozdzielić obronę na zewnątrz.

Nie pokuszę się o opisanie mych uczuć i wrażeń, gdy o 5<sup>30</sup> wyjeżdżałem autem z Grunwaldzkiej i mogłem rzucić słowa: „Sejm, Rynek“, które oznaczały kierunek jazdy.

Tu ludność, obudzona odgłosem walki, oblęgała okna, przecierając z niedowierzaniem zaspane oczy. Odważniejsi wylegli nawet na ulice. Inaczej działo się na Łyczakowie. Tu dopiero wyskakiwali ludzie z pościeli (dosłownie), by ujrzeć radosną jawę, czy senne złudzenie.

Radosne oblicza tłómaczyły braki ich garderoby, choć mroź siarczysty, 8 stopniowy, schwycił tej nocy. Szał radości, niedającej się opisać, ogarnął wszystkich mieszkańców Lwowa. Tu znajoma niewiasta (żona profesora uniwersytetu) pędzi w szlafroku i mesztach jedynie przez kilka ulic miasta; by — jak objaśniała później — „uwiadościć mamę, że Lwów nasz“, tam starzec — powstaniec, trzymający straż przy bramie — wedle nowego ukraińskiego przepisu — z niedowierzaniem przeciera wprzód oczy, miast witać rodzzonego syna, do rąk mu się rzucającego, ówdzie właściciel kamienicy w pełnym negliżu stroi wprzód dom swój w sztandar narodowy.

Nie podnoszę tych spraw, jakobym chciał być piewcą „nieubranego Lwowa“, notuję jednak objawy te, ponieważ dają rzeczywiste pojęcie o rozszalałej — nie liczącej się z żadną świadomością — radości Lwowian.

Z radości stracili świadomość i panowanie nad czynami swymi.

Szybko za to przybrał Lwów barwy narodowe. Powiał nad nim taki las chorągwi i proporców, jakiego nie zanotowały chyba kroniki dziejów jego.

Przystroił się w nie momentalnie, by godnie przyjąć z upragnieniem i tęsknotą trzytygodniową oczekiwane wojsko polskie.

Powstałby bunt otwarty wśród jego oddziałów, gdyby którykolwiek komendant zechciał prowadzić „nie przez miasto“ oddziały swe na nowe miejsce przeznaczenia. Wszystkie one — mając serca równie przepelnione radością — chciały nie tylko zobaczyć Lwów, chciały się nadto pokazać. Pragnęły za imponować „cywilom“, ukazać całe wyekwipowanie swoje, krwawym trudem i znojną pracą zdobyte.

Defilowały więc wszere i wzdłuż Lwowa oddziały wszystkie od kompanii piechotnych, przez oddziały mine-rów, saperów, granatników i „pancerników“, wraz z wszystkimi baterjami aż po kolumny taborowe. Wszystkie znajdowano w śródmieściu, choć wiele z nich zostawało na dotychczasowym swym miejscu postoju. Wszystkie witało radośnie, entuzjastycznie i z podziwem. Całowano i rzucano się na szyję żołnierzom, całowano konie i wozy, witano uściskiem armaty polskie. Nawet auto z wymalowanym godłem państwowym musiało przyjąć całus niewieści, gdy chwilę jeno wolno stało. „Polskość“ Lwowa okazała się chyba najdobitniej w onych frenetycznych, godzinami trwających oklaskach i wiwatach, z jakimi witano polskich ułanów, tych z odsieczy i szwadrony „dzieci lwowskich“.

Dostojnie, bo najpóźniej zjawili się oni, — Pracę bowiem w pościgu mieli rzetelną — ale też za to nie było mieszkańca „grodu lwiego“, któryby ich nie widział, już w tym pierwszym dniu.

Podobne defilady oddziałów były ostatnim momentem ich zwartości i spoistości. Jedni uwalniali się legalnie, by ujrzeć rodzinę, czy rodziców, inni znikali sprytnie,

by przeżywać ogólną radość Lwowa, by odwiedzić krewnych i znajomych. Inne oddziały wreszcie, przejęte rolą pościgu, pomknęły za wrogiem hen daleko.

Tymczasem wojsko nie mogło się oddawać ni radości, ni wypoczynkowi. Służba nagliła na obwodach miasta, służba cięższa jeszcze wewnątrz miasta.

Spracowanym i rzetelnie utrudzonym oddziałom lwowskim oddano—na podstawie nowego rozkazu gen. Roji—w pieczę cały obwód Lwowa — zewnętrzną obronę miasta. Oddziały odsieczy miały spocząć, by były zdolne do dalszej akcji.

Pierwsze zostawiono pod dotychczasowym dowództwem, nadając mu tytuł „komendy miasta i powiatu“.\*)

Ostatnim aktem lwowskiej komendy naczelnej była następująca odezwa do ludności miasta Lwowa. (Ułożona przez Skarbka na moją prośbę, gdyż zajęcia było za wiele. Aprobowana bez zmian).

## DO MIESZKAŃCÓW LWOWA.

Rodacy!

Lwów w naszych rękach!

Dziki najazd ukraiński na stolicę kraju został po bohaterskich i krwawych walkach odparty. Droga, a obfitą krwią polską okupił Lwów swą wolność, krwawiąc się trzy tygodnie wśród strasznych warunków, walcząc z wrogiem wolnym od poczucia wszelkiej odpowiedzialności.

---

\*) Tytuł wzięty częściowo z organizacji austriackiej, nieszczęśliwy, bo nie oddający znaczeniem swym właściwej funkcji i bojowego wyłącznie zadania oddziałów. Była nią obrona przed nieprzyjacielem na zewnątrz miasta i powiatu, nie zaś pilnowanie wewnętrznego porządku w mieście, co obowiązkiem „komendy placu“, zorganizowanej dawno przedtym pod dow. pułk. Mischa, a zależnej jedynie dalej od komendy miasta.

Dzięki mężnej postawie całej ludności miasta, dzięki jego bohaterskim obrońcom, dzięki wreszcie wytrwałości i cierpliwości z jaką polska ludność miasta znosiła terror i głód, Lwów pozbył się najeźdźców i dał wspaniały wobec świata dowód, że był, jest i zawsze pozostać musi polskim miastem.

Wam, mieszkańcy miasta Lwowa, przypada historyczna zasługa obrony swego grodu.

Wam winna dziś cała Polska głęboką cześć, wdzięczność i podziękę za Wasze bohaterstwo i za bezprzykładne poświęcenie i trudy.

Okażcie do końca wielkość ducha. Karność i porządek niech zapanują w zwycięskim mieście.

Spokojna ludność ruska, nie solidaryzująca się czynnie z aktem terrorystów ukraińskich, może liczyć na pełne uszanowanie swych praw zgodnie z tradycją, cechującą od początku naszą historję.

Naczelna Komenda Wojsk Polskich

*Mączyński m. p.*

Odezwa powyższa za słabo podnosiła podaną myśl moją. Nikt bowiem lepiej odemnie nie mógł odczuwać tego, że obrona Lwowa—to wyłączone dzieło jego mieszkańców, których poświęcenie i bohaterstwo pozwoliły zorganizować i prowadzić długą, krwawą i w straty obfitą wojnę.

Tylko takie niveau patriotyczne i bohaterskie jak lwowskie, tylko ta społeczność, zahartowana przed wojną w długotrwałych, choć bezkrwawych walkach z Ukraińcami, mogła wydać tylu dzielnych i rzeczywistych bohaterów-żołnierzy, mogła wywołać i przez długie czasy utrzymać to święte przekonanie, że raczej nam wszystkim zginąć, ale ziemi i miasta polskiego oddać nie wolno.

Ta bohatersko—w szeregach—podtrzymywana walka nie wydałaby tak szybkich owoców, nie doprowadziłaby tak prędko do oswobodzenia całego miasta, gdyby nie odsiecz. Organizowana wytrwale i wbrew wszelkim przeciwnościom przez hr. Skarbka, z którym znowu jak we

Lwowie współpracowała odrazu dzielnie grupa P. O. W. zmilitaryzowana szybko przez dzielnego i wybitnego organizatora ppłk. Tokarzewskiego, przyprowadzona przezeń „na własną rękę“ błyskawicznie szybko do Lwowa, mogła wydać przewspaniałe rezultaty, zawrotne swym rzeczowym ogromem i radością bezbrzeżną.

Tym dwom czynnikom wyłącznie zawdzięcza polska ludność Lwowa to, że 22 listopada 1918 r. mogła tak radośnie upajać się słowy:

„L w ó w n a s z“.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

## SPIS ROZDZIAŁÓW TOMU I.

	str
Wstęp . . . . .	1
Lwów . . . . .	4
Kwestja ukraińska i przygotowanie do zamachu prusko- austrjacko-ukraińskiego . . . . .	14
Przygotowania polskie . . . . .	33
Własny plan działania . . . . .	49
Noc Wszystkich Świętych . . . . .	64
Dzień Wszystkich Świętych . . . . .	70
Zaduszki . . . . .	95
Pertraktacje . . . . .	120
Grupa Wasyla . . . . .	132
Działalność w „etapie“ . . . . .	164
Ocena położenia wojkowego . . . . .	207
Dalsze boje . . . . .	225
Rokowania . . . . .	265
Odsiecz . . . . .	290
Plan uderzenia . . . . .	303
Przebieg 21 listopada . . . . .	317
Oswobodzenie . . . . .	327

# BŁĘDY KOREKTORA.

Strona:	Wiersz:	Zamiast:	Winno być:
1	27	najwiernej	najwierniej
3	1	ta	to
"	32	A jednak	Stąd może
7	31	skąłą	Skąłę
8	1	wzgórze	wzgórza
"	16	Już	Tuż
"	23	gwałtowne	gwałtownie
10	37	stałych	słabych
11	37	bo	ba
12	35	rozerw	rezerw
15	38	austrjackie	austrjackim
16	5	bo	ba
20	11	niezwocznie	niezwłocznie
22	24	niehło	nichto
23	29	Barana	Nazaruka
"	10	Kamińskiego z Budna	Hannickiego z Rudna
31	14	udaremnienie	utrudnienie,
"	34	doliczmy dążąca..	doliczmy, dążącą... grupę
"	"	składająca	składającą
32	2	początkach	początek
33	21	pojedyncze	poszczególne
38	32	w nocy na 31	w nocy 31
40	28	potrzebę	potrzebę organi- zacji,
53	19	o banque	va banque
"	20	prawdopodobne	prawdopodobnie
56	28	nawet do P. O. W.	nawet P. O. W. ich
		o poddanie	poddanie się.
57	37	sprawiedliwości	sprawiedliwość
62	12	Ładzińskiego	Łodzińskiego
"	36	broń	broń,
63	24	przyszły mnie	mnie przyszły
69	18	zamieszcza on	zamieszczony
77	30	por.	pchor.
78	16	raportm	raportem
85	3	postawieniu	postawie
86	38	dodać Marynowski	
91	19	zna-azła	znalazła
"	28	i-ewykształcone	niewykształcone
93	8	patrzali	patrzyli
103	7	Zdanie od Całością do	Bujalski należy do str. 149 w. 3.



Strona:	Wiersz:	Zamlast:	Winno być:
105	15	możn	można
151	29	4 karabiny maszynowe	6 karabinów maszy- nowych
154	35	ppor.	por.
"	36	rezerwę	rezerwą
161	14	ni	ani
162	20	rozkazom	rozkazom“.
179	24	dalsze	dalsze :
205	37	zaszytych	zaszyty
214	7	upy	lupy
234	35	uderzenie	uderzenia
239	1	taśm	taśm)
253	4	atoli	ataki
"	6	w dojściu	o dojściu
"	"	ataku	sztabu
"	16	nimy	nimi
"	27	nawet	
254	7	atak	ataku
"	15	słabym	stałym
"	33	zamorstynowską	zamarstynowską
256	22	obsadził	obsadzili
"	31	minimalna	minimalne
"	36	poru—	upor—
265	12	Poniosę	Podniosę
281	19	Dniepru	Dniestru
293	7	miał	miał zamiar
304	8	Pomjam	Pomijam
306	3	ciądu	ciągu
310	ost.	Po ulance	Pohulance
315	35	tamuje	tanguje
318	16	dziwna,	dziwnie
321	35	iczne	liczne

